



Aneta
Wybieralska_

GARNITUR NA SKUPIE

NOVAE RES

Aneta
Wybieralska

GARNITUR NA SŁUPIE



NOVAE RES

SPIS TREŚCI

[ROZDZIAŁ I.](#)

[ROZDZIAŁ II.](#)

[ROZDZIAŁ III.](#)

ROZDZIAŁ I.

- Może tego tu zapytamy? - powiedział półgłosem Rudy do kolegi o uroczej oraz inspirującej ksywie „Robal”. - Jeździmy w kółko jak durni i nie możemy znaleźć tego pier... znaczy, tego pieprzonego menela. Jak mu tam? Zenio?

- Nie wyrażaj się. Prosiłem przecież. Może Zenio, może Zeniu. Jakoś tak. Albo nie, czekaj, już wiem! Zbunio?

- To od czego? Od Zygmunta? Czy od Zenona?

- Nie mam bladego pojęcia. Dowiemy się wkrótce. Może od Zbigniewa? Facet chyba się nadaje? To znaczy ten tutaj - sprecyzował Robal, widząc, że towarzyszący mu kolega pogubił się w omawianych mężczyznach i już nie wie, o którego gościa chodzi.

Obaj panowie przybyli do Wrocławia w interesach. Rudy prowadził samochód, Robal siedział na przednim siedzeniu, z uwagą rozglądając się po okolicy.

- Mam nadzieję, bo inaczej szef powyrywa nam nogi z dupy. Znaczy z tyłka - poprawił się Rudy. - Musimy chyba jeszcze dzisiaj namierzyć tego frajera. I zacząć załatwiać sprawy. Tak? Dobrze gadam?

- Dobrze gadasz. Poza tym frajerem prawie wszystko się zgadza. Nie musimy dzisiaj. Pośpiech wskazany jest jedynie przy łapaniu pcheł. Każde działanie powinna poprzedzić rzetelna informacja. No to teraz zaparkuj nasze autko w jakichś krzakach. Porozmawiamy sobie z tym tutaj. I nie

zapomnij o węsach i okularach.

- A tobie ta peruka się przekrzywiła. Daj, poprawię. O kurwa! Gdyby nie te sztuczne węsy, to wyglądałbyś teraz jak jedna z pańienek Złotego. - Rudy był najwyraźniej podekscytowany całą sytuacją.

- Mówiłem ci, abys się przy mnie nie wyrażał! Trochę kultury! Poza tym masz się pilnować przy tej akcji. Żadnych wyzwisk, nazwisk i pseudonimów!

- No wiem, wiem. Nie krzycz na mnie. Ale przecież ciężko tak z dnia na dzień się odzwyczaić. - Rudy westchnął. Już miał na końcu języka kolejne soczyste mięsko, którym chciał rzucić w eter. Rzucania jednak zaniechał, z trudem się powstrzymując.

To był drugi dzień jego pracy z Robalem. Poprzedniego wieczora przyjechali do Wrocławia i zainstalowali się w jednym ze starych, historycznych, jeszcze poniemieckich hoteli niedaleko głównego dworca kolejowego. Mieli osobne, komfortowe pokoje. Rzec by można, że Rudy pierwszy raz znalazł się w podobnej sytuacji. Eleganckiej. I w podobnej, nowej, służbowej roli.

- Nie krzyczę. Biada ci, jak zacznę! Rozpoczynamy zatem naszą robótkę. Pełna gotowość. Godzina zero! - zażartował Robal.

Pseudonim organizacyjny Rudego wiązał się ściśle ze skłonnościami tego gościa do rudych kobiet. Po prostu podobały mu się wszystkie rude: ciemne i jasne, farbowane i naturalne, kasztanowe, ryże, nawet wiśniowe. W różnym wieku, bo nawet dużo starsze od niego. Jak leci. Byle rude. Gdy onegdaj jedna z jego narzeczonych przefarbowała się na platynowy blond, bo naturalne rudości na głowie jej się

znudziły oraz opatrzyły, to po karczemnej awanturze bez wahania rzucił niewierną. Dziewczyna nagle, dosłownie z dnia na dzień, przestała mu się podobać, jak też go pociągać. Rudości na czerepach mężczyzn nie wzruszały go aż tak bardzo. Raczej irytowały. Bo, jak mawiała babcia Rudego, „każdy rudy facet to fałszywy”.

Dla rudego koloru niewieścich włosów Rudy tracił nie tylko głowę, ale i resztki zdrowego rozsądku. A tego także nie miał zbyt dużo. Jakoś jeszcze się nie dorobił. Ani w życiu prywatnym, ani w zawodowym nie trafił na osobę, która pokierowałaby tym jego rozsądkiem, stworzyłaby warunki do rozwoju. Jednak od momentu spotkania z Robalem sytuacja zaczęła się zmieniać. Nowy „kierownik” po prostu z nim rozmawiał. Jak człowiek z człowiekiem. Spokojnie wszystko tłumaczył, nauczał od podstaw. I nowego fachu, i ogłady. Ponadto otoczył go jakby braterską opieką.

Do pomocy Robalowi przydzielił Rudego sam Szef, po rekomendacji paru podwładnych. Czyli chłopak jakby awansował w hierarchii, na czas nowego zadania zostając osobistym sekretarzem Robala. Asystentem, pomagierem. Jeszcze niecały tydzień wcześniej Rudy zajmował się w ich prężnie prosperującym przedsiębiorstwie działalnością o bardziej rozrywkowym charakterze, będąc jednym z pośrednich podwładnych, to znaczy szeregowym żołnierzem swojego najwyższego przełożonego, Złotego. Ten ostatni z kolei uchodził za prawą rękę Szefa. To znaczy bossa firmy, samego założyciela i pracodawcy, pomysłodawcy czynionych biznesów, interesów, także takich zwanych kolokwialnie przekrętami. No i, mówiąc językiem zarządzania, kreatora misji i strategii podległej sobie

organizacji. Nazywanego po prostu Szefem.

Właściwie ów wicenaczelnny, o ślicznym, jubilerskim pseudonimie „Złoty”, był bardziej ręką lewą. Jakby operacyjną, wykonawczą. Albowiem od prawa, ekonomii i dyplomacji oraz od specjalnych poruczeń, polegających głównie na używaniu mózgu, jak też na uruchamianiu szarych komórek był jednak Robal.

O Złotym krążyły legendy. Jedna z nich mówiła, że pierwszego miliona gość dorobił się na handlu złotem. Tu coś kupił, tam sprzedał, przemycił, przetopił. Kilku pięknym i bogatym „prywaciarzom” wcisnął parę świnek i obrączek. Naszyjników i sztabek. Na pewno coś w kolorze złotym. Przy okazji wciskał im, to znaczy tym prywaciarzom i prywaciarom, coś jeszcze, co owym uległym paniom (podobno także panom) sprawiało równie wielką przyjemność. Pierwsza zasłyszana legenda nie wspominała o konkretnych panach. Bo to nadal był niezwykle przystojny i szarmancki człowiek. Ten Złoty.

Druga z owych szeptanek-opowieści dotyczyła złotego zęba. Dokładniej materiału, szlachetnego kruszcu, z którego ponoć dawno temu wykonano Złotemu przednią górną dwójkę. Ponoć, bo teraz wszystkie kły miał całe i normalne, to znaczy w jasnym kolorze ludzkich zdrowych zębów.

Złotego porównywano czasami do bohatera jednego z odcinków serialu telewizyjnego o dzielnym poruczniku Borewiczu. Wszak w każdej legendzie jest ziarnko prawdy, nadto nimb tajemnicy jedynie wspomaga zarządzanie organizacjami. To znaczy bezpośrednio wpływa na lojalność podległych pracowników.

Postać zaś Szefa była jeszcze bardziej tajemnicza. Rudy

oczywiście słyszał o nim, podziwiał go, szanował, jednak nigdy osobiście nie spotkał tego człowieka. Kilka razy widział z daleka postać jadącą w pięknej czarnej limuzynie. Za wysokie progi na jego nogi i nie ten stopień podległości na takie znajomości.

- Musisz się jeszcze dzisiaj odzwyczaić, bo inaczej nici z naszego biznesu. No i będę musiał podziękować ci za współpracę. A sam nie dam rady tego pociągnąć. Logistyczne wsparcie powinienem mieć. Wiesz o tym. - Robał ze stoickim spokojem kontynuował rozpoczęty uprzednio wątek przeklinania podczas wspólnej roboty.

I nie tylko podczas roboty, bo kontaktów osobistych z podwładnymi całkiem nie dało się uniknąć oraz wyeliminować. Zwłaszcza w trasie i w tak zwanej delegacji służbowej, gdy praktycznie ci dwaj skazani byli na swoje towarzystwo.

Pomimo wielu oczywistych różnic obaj mężczyźni mieli ze sobą ociupinę wspólnego. Między innymi łączył ich podobny wiek. Postmłodzieżowy. Albowiem dobijali czterdziestki. Nie wyglądali na aż tyle, ale latka przeleciały, obchodząc się z nimi nad wyraz łaskawie. Nadto już ponad siedem wiosen lojalnie służyli organizacji Szefa i Złotego. Czynnie uczestniczyli we wspomaganiu mniej lub bardziej legalnych interesów tychże biznesmenów. Biznesów rozległych oraz, użyjmy trudnego słowa: zdywersyfikowanych rodzajowo.

Zarówno Robał, jak i Rudy nie zwykli podskakiwać przełożonym i kolegom. Nie chojraczyli jak większość, nie kłapali dziobami, skwapliwie wykonywali polecenia. Nie szastali na prawo i lewo zarobioną kasą, bo prywatnie

zbierali pieniądze na samodzielne mieszkanie. Po spożyciu alkoholu nie wsiadali za kółko. Wreszcie, co istotne, nie byli karani sędawnie za przestępstwa umyślne. Inaczej mówiąc: obaj mieli czyste kartoteki kryminalne.

Z racji licznych zasług dla firmy obu panów zatrudniono tam na tak zwany etat. Robala na stanowisku osobistego sekretarza i doradcy prezesa Szefa, i to w zasadzie od razu, to znaczy niemal natychmiast po spektakularnym porzuceniu przez niego państwowej posady nauczyciela akademickiego. Otrzymywał godziwe wynagrodzenie. Rudego zatrudniono formalnie dopiero po pięciu latach nieetatowego okresu próbnego, polegającego na wykonywaniu różnych zajęć. Zawieszono na kawałku etaciku w jednym z warsztatów samochodowych podległych firmie. Tak jak innych, uprzednio sprawdzonych, podrzędnych pracowników najniższego szczebla. W tym okresie Rudy był wnikliwie obserwowany, badany pod kątem lojalności oraz różnych predyspozycji.

Bo bossowie firmy dbali o lojalny personel, inwestowali w zasoby ludzkie, a etat traktowali jako premię. Gwarancyjną.

Różnic między Robalem i Rudym było znacznie więcej. Głównie w strefach intelektualnych i moralnych. W dziedzinach ściśle połączonych z pochodzeniem społecznym i wykształceniem. W gustach co do prezencji, ubioru, ulubionych marek samochodów, męskiej biżuterii. I tak dalej.

Dlatego też Robal wydawał się urodzonym wodzem. A Rudy? Cóż. Na razie pozostawał tylko szeregowym żołnierzem, któremu dano niepowtarzalną szansę na

awansik i rozwój. Osobisty też.

Rudego w wywodzie kolegi zaniepokoiło jednak coś innego. Nie obraził się za reprimendy o niedoskonałościach w wysławianiu, ponieważ przekaz Robala nie był wredny. Właściwie nowy szef go nie ochrzanił, o dziwo, wyraźnie nie zganił, ale przedstawił inny punkt widzenia. Właściwy. Pierwszy raz ktoś w taki sposób do niego przemawiał.

Chłop właśnie zdał sobie sprawę ze swoich licznych niedoskonałości. Na przykład nie bardzo wiedział i nie do końca rozumiał, z czym właściwie się je to logistyczne wsparcie. Samo pojęcie logistyki było mu niby znane, gdzieś i kiedyś obito się o uszy, jednak nijak nie łączył tego ani ze swoją osobą, ani z rozpoczętą misją we Wrocławiu. Nie śmiał zapytać o szczegóły, bo zwyczajnie bał się, że wyjdzie na głupka. Jak też kompletnie zblamuje się na samym starcie. Pospolicie było mu wstyd. A przecież Robal osobiście wybrał go spośród kilku kandydatów do tej roboty. Tym samym niewątpliwie wyróżnił oraz zaszczycił.

Poprzednie „logistyczne wsparcie” Robala, czyli po prostu kierowca, ochroniarz, tragarz i chłopiec na posyłki w jednym, właśnie wyjechało było na kilkuletnią państwową kurację odwykowo-resocjalizacyjną. Do niegdyś wojewódzkiego miasta Radomia. Jeżeli tam kogokolwiek i jakkolwiek wspierało, to tylko kumpli spod celi.

Człowiek ten wpadł w sidła Temidy zupełnie przypadkowo, bo kiedyś w nocnym klubie, w wielkim mieście na zachodzie kraju, wdał się w efektowną bójkę. Po spożyciu. Uporczywym tego feralnego wieczora. Właściwie to wpakował się w klasyczne mordobicie. A że gość nie był ułomkiem, do tego miał ciężką rękę, to uszkodził ciało

jakiegoś drugiego gościa, równie podchmielonego. Ów sfatygowany trafił do publicznej lecznicy na okres powyżej siedmiu dni, zatem uszkodzenia uznano za dość poważne. Klub, także uszkodzony, był obcy, nie jego firmowy. Jurysdykcja Szefa i Złotego za bardzo tam nie sięgała, oni sami zaś woleli nie uruchamiać swoich licznych znajomości dla ratowania niewiele znaczącego i powiedzmy szczerze, durnego patałacha. Do mordobicia i gróźb karalnych organy publiczne przypuścowały wyrywnemu i krewkiemu młodzianowi recydywę za jakieś wcześniejsze grzeszki i w efekcie wzmiankowane wyżej „wsparcie” Robala zarobiło kilka lat biernych wczasów na koszt polskiego podatnika. Górną granicę wynikającą z kodeksu karnego. Co prawda w więzieniu niby uznanym za ciężkie, ale naonczas najnowocześniejszym w kraju. Komfortowym. Nowo wybudowanym, świeżym, pachnącym. Eleganckim, z chromowanymi kratkami. Zawszeć to jakieś pocieszenie dla długotrwanie osadzonego.

Jednym z kryteriów doboru kandydatów na funkcjonariusza gwardii przybocznej Robala była dbałość o czystość. W sensie ogólnym oraz szczególnym. Gość sam musiał być osobnikiem czystym, pachnącym, względnie schludnym. Ogolonym. W żadnym razie flejtuchem w przepoconym i powyciąganym podkoszulku ani bałaganiarzem. Powinien ubierać się w świeżo wyprane i wyprasowane ciuchy, codziennie zmieniać skarpetki i bieliznę, używać mydła, dezodorantu i nieśmierdzącej wody: po goleniu bądź toaletowej. Nie chuchać na pasażera (rozmówcę, towarzysza) zjełczalym piwem albo skonsumowanym poprzedniego dnia surowym czosnkiem.

Albowiem Robal wykazywał nadmierną wrażliwość na wiele bodźców, w tym na zapachy.

Największą trudność sprawiało Robalowi dopasowanie człowieka według tego chyba na wyrost wydumanego kryterium „schludności”. W sensie dosłownym. Troszkę inaczej wyobrażał sobie na przykład zewnętrzny wygląd potencjalnego pomagiera. Tatuaze stały się bardzo modne, zwłaszcza w tym ich szemranym środowisku, a każdy z żołnierzy potężnej armii Szefa zdobił się nimi namiętnie. Im niżej uplasowany był w drabinie społecznej rzeczony żołnierz, tym więcej miał tatuazy. Okropność. Przyszły szef Rudego uznał jednak, że tym problemikiem zajmie się później, to znaczy w swoim czasie.

- Nikt nie jest doskonały. Gdybym chciał i wymagał za dużo, ludzi do roboty szukałbym do sądnego dnia.

Kolejnym aspektem tej czystości była przyrodzona, naturalna skłonność do dbałości o wygląd najbliższego otoczenia. O ład i porządek. W tym przypadku o czystość wnętrza powierzonego środka transportu, konkretnie samochodu osobowego marki Nissan.

Rudy miał służyć Robalowi także za woźnicę w klasycznym znaczeniu tego słowa. Oczywiście nie otrzymał żadnego uniformu, takiego służbowego, ze złotymi guzikami, z epoletami i czapką, jednakowoż samochodem musiał się zaopiekować. Z należytą starannością. Też jego stanem technicznym. W razie potrzeby potrafić samodzielnie sprawnie zmienić koło, dolać oleju i płynu do mycia szyb. Bezproblemowo coś dokręcić, odkręcić, przekręcić. Czyli zadbać o dobre samopoczucie i komfort jazdy bezpośredniego przełożonego.

Mężczyźni postawili samochód w okolicy zaniedbanego, zachwaszczonego starego parczku z ledwie widocznymi fundamentami po pałacyku spalonym przez działania walecznych sąsiadów w czterdziestym piątym. Opodał, przy dziurawej ulicy, stało kilka starych, poniemieckich, kilkupiętrowych kamienic. Ziały czeluściami mrocznych klatek schodowych i cuchnących stęchlizną piwnic za powybijanymi szybkami. Pod jedną z nich zaparkowano starego, zdezelowanego poloneza. Było pusto.

I dobrze.

Po dokonaniu dokładnej teatralnej charakteryzacji twarzoczaszek, obaj panowie na piechotę udali się nieco ponad sto metrów w okolice budynku podmiejskiego dworca kolejowego, pod którym już dużo wcześniej zaważyli koczującego mężczyznę. Właściwie klasycznego menela. Zwanego potocznie także lumpem. Takiego z wypchanymi czymś torbami, tobołami, worami, ubranego jak na trzaskający mróz i mocno nieświeżego. Wprawdzie poszukiwali innego, też lumpa, ale od tego akurat chcieli się czegoś dowiedzieć o tamtym innym. Wszak wiedzy i informacji nigdy dość. Na przykład interesowało ich bardzo, gdzie można go teraz spotkać, gdzie bywa, o jakich porach dnia. Ten inny. Oraz dalszych istotnych dla sprawy potwierdzonych danych.

Auto, którym dwaj panowie przyjechali do Wrocławia, także było ucharakteryzowane. Przed liftingiem nie rzucało się zbyt w oczy, swoim przepychem i marką nie kusilo także pospolitych złodziejasków. Albowiem po przemyśleniu, przejrzaniu statystyk, jak też po dokonaniu

rozpoznania rynku, Robal wybrał sobie siedmioletniego nissana primerę. Limuzynę. Deczko leciwą, ale wygodną. Wybrał ją jak najbardziej celowo. Takich samochodów po prostu nie kradziono. Rabusie zdecydowanie woleli wypasione fury niemieckie. Nabywcy i fani motoryzacji z szeroko pojętego Wschodu także. Nowe i prawie nowe.

Robal stwierdził, że zrobiłoby się wielce niefajnie, gdyby przez niczym nieuzasadniony snobizm, próżność i klasyczną głupotę dolnośląska, konkurencja poczęstowała się ich autkiem. Sekund trzy i całą od miesięcy przygotowywaną akcję trafiłby szlag.

Wszystkie służbowe i prywatne fury w przedsiębiorstwach zarządzanych przez Szefa i Złotego kupowano w salonach trzech uznanych marek niemieckich. Na dodatek preferowano je w kolorze czarnym. Budziły nie tylko respekt i szacunek, ale też zazdrość i pożądanie bliźniego. Grunt to dbałość o wizerunek.

- Ty, a nie mogłeś po prostu zabrać jednego z naszych samochodów? Musiałeś organizować taki szajs? - Rudemu wręczono kluczyki do auta, którym następnego dnia mieli jechać w delegację służbową.

- Dla ciebie to szajs, a dla mnie optymalny kamuflaż.

- Nie kumam. Znaczy, nie rozumiem tego.

- Po pierwsze, mój ty łysy robaczku, to wcale nie jest szajs. Wózek jest wygodny, niezawodny, nie jedziemy nim na koniec świata, tylko do Wrocławia. Po drugie pomyśl logicznie. Te wszystkie wypasione fury są łakomym kąskiem dla różnych. Sam podobne kilka razy skroiłeś, to powinieneś wiedzieć, o co mi chodzi. Jeszcze zwracają na siebie uwagę.

Szczególnie na ubogim przedmieściu.

- Aha. No skroilem. Ale dalej nie kumam.

- Nadal, nie dalej. Nieważne. O tym potem. Wracając do meritum: wkrótce skumasz. Oby jak najszybciej. Teraz przygotuj, proszę, auto do trasy. Zatankuj, posprawdź co trzeba, i przejedź się kawałek. Potem wymienisz tablice i lekko upaprasz je błoćkiem. Leżą w bagażniku. To potraktuj jako polecenie, nie prośbę.

- Tak jest. - Tylko tyle zdołał wybąkać Rudy, zaskoczony spokojną, pragmatyczną i kulturalną wypowiedzią nowego przełożonego.

Szary, legalnie kupiony i lekko podrasowany japończyk wyposażony został w kradzione tablice rejestracyjne z powiatu tarnowskiego, jeszcze trochę przerobione z zastosowaniem starego, dobrego przepisu Hansa Klossa z jednego z końcowych odcinków kultowego serialu wszech czasów; ósemkę zamalowano tak, by była trójką, a z jednej trójki zrobili dziewiątkę. Wszystko tak misternie ubłócili, żeby wyglądało na przebycie długiej drogi, a błoćko jeszcze lekko zamazywało ślady modyfikacji tablicy.

Nie mieli najmniejszego zamiaru niczego na tym aucie czyścić. Sprzątali w środku, bo tak było trzeba. To znaczy od całkiem niedawna osobiście czyścił Rudy, czyniąc swoje obowiązki z wielką pieczołowitością i ochotą.

Tylna rejestracja była niby widoczna, trochę czytelna, a niby nie. No i też trudna do zapamiętania. Na pewno nie tak, jak tablice rejestracyjne pojazdów innych znanych im biznesmenów, w stylu DeSeR*RUDY*13. Zatem było jak najbardziej fachowo i profesjonalnie. Przednia rejestracja, także czymś zachlapana, nieco się pogniotła oraz

przekrzywiła. Oczywiście uczyniła to sama i przypadkiem.

Jeżdżąc chwilę po okolicy, mężczyźni upewnili się jeszcze, że na zewnątrz podmiejskiego, starego, dworcowego budynku, na pewno poniemieckiego, nie ma żadnej kamery, która monitorowałaby wejście, a właśnie namierzony i potencjalny informator jest sam. Bez kumpli po fachu. To znaczy człek siedzi sobie bez przytomności innych szanowanych rzeczoznawców jego pokroju. Że obok niego nie wałała się żadna butelka po alkoholu. Nawet po głupim piwku sikaczu bądź po denaturacie. Znaczyło to ni mniej, ni więcej, że gość jest najwyraźniej potrzebowski i obietnica małego wsparcia finansowego przed śniadankiem powinna rozwiązać mu język oraz skłonić do zwierzeń.

Po maleńkim, niemalże relaksującym spacerku Rudy i Robal przystanęli jakieś dwa metry od menela. Od zawietrznej.

Zamierzali podejść jeszcze bliżej, by podczas merytorycznej dyskusji nie wrzeszczeć na całą okolicę, ale tak od faceta capiło, że stanąć bliżej już się nie dało. Ni cholery. Przecież mieli uzyskać informacje istotne dla sprawy, kolejne i potwierdzające te zgromadzone wcześniej, a nie puścić pawia na dzień dobry. Na dodatek pod budynkiem dworca, w miejscu poniekąd publicznym. Od razu zwróciliby na siebie uwagę, tego zaś za wszelką cenę chcieli uniknąć. Ich misja, bynajmniej nie dworcowa, nie kolejowa, nawet nie komunikacyjna, skończyłaby się, zanim jeszcze się zaczęła.

Stanąwszy, Robal wyciągnął zza pazuchy paczkę drogich papierosów i wolniutko, z należnym nabożeństwem, odwijał

pudełeczko z folii zabezpieczającej. Starał się, by menel dokładnie widział i obserwował te czynności. Foliowe opakowanie uważnie schował do kieszeni marynarki ciemnoszarego, eleganckiego, dwurzędowego garnituru, dynamicznie stuknął w dno pudełka i zwrócił się do Rudego:

- No to zapalimy sobie po całym i pomyślimy. Zastanowimy się, gdzie tego faceta znaleźć. Może ktoś nam w tym pomoże?

Reakcja potencjalnego informatora była odpowiednia. Adekwatna do sytuacji i oczekiwań. Kloszard wyraźnie się ożywił, poruszył i ewidentnie, jak też czynnie zainteresował. Rudemu wydawało się nawet, że facet nieco szerzej otworzył swoje kaprawe oczka oraz zaczął się ślinić.

O to przecież chodziło.

- Panie, poczęstujesz pan? - wybełkotał menel.

- Właściwie czemu nie. Chce się palić, nie? - Robał wyjął z paczki jednego papierosa i podszedł do mężczyzny, by mu go podać. Po tej czynności cofnął się szybko z grymasem na twarzy. Emitowane przez amatora kartonowych legowisk wonie były koszmarnie. Po prostu nie do wytrzymania.

- No... Ooo kurna, takich jeszcze nie paliłem. Co tu jest napisane? Golu... Glu... Zagraniczne. - Z poplamionego plecaczka menel wygrzebał mocno sfatygowane pudełko z resztką zapalek, przypalił cudzesa i zaciągnął się z lubością. - Dobrze, mocne! Kurna... Dasz pan jednego na zaś?

Rybka, trochę śnięta i cuchnąca, ewidentnie połknęła haczyk. Tak miało być.

- Może i bym dał, ale nie za darmo.

- A za co? Pieniędzy nie mam!

- Pan stąd? - Robał niezwłocznie przystąpił do biznesu.

Uzyskawszy wizualne potwierdzenie, polegające na kiwnięciu głową i zaprezentowaniu przez zagajonego z lekka przerzedzonego garnituru paru ciemnożółtych siekaczy, Robał kontynuował zasadniczy wątek:

- A znasz pan takiego Zenia? Może Zbunia. Mieszka gdzieś w tej okolicy, na ulicy Polnej, Wiejskiej albo jakoś tak.

- Może znam, może nie znam... - Gość zwietrzył interes. Dzień właśnie zaczął rokować nad wyraz dobrze i bogato. Mógł się nieźle obłowić, nie fatygując się na krok ze swojej suchej dworcowo-przydworkowej miejscówki.

- No a za ile by pan sobie przypomniał? - Robał zniżył głos. Spojrzał wymownie prosto w kaprawe oczka interlokutora.

Grunt to szacunek i respekt. Człowiek swoją godność przecież ma.

Człowiek docenił szacunek. Tego „pana” zwłaszcza. Poruszył się ociupinę dynamiczniej i poprawił kapturek zimowej kurteczki tak, by lepiej słyszeć. Na brzegu kapturka dyndała resztką wyliniałego, prawie naturalnego futerka, uchodzącego powszechnie za ekologiczne.

- No... panie, za dwie dyszki to może bym sobie przypomniał.

- Hmm... Dużo pan chcesz. Za dychę. Więcej nie dam. Chyba że pan sobie dużo przypomnisz. Zobaczymy.

- Dobra, niech już będzie ta dycha...

Dziesięć polskich złotych to było akurat tyle, ile dostałby w punkcie skupu złomu za cztery kilo aluminiowych puszek po piwie krajowym. Pod warunkiem, że wśród nich nie

byłoby czegoś cięższego i stalowego. Czyli, przeliczając zbieractwo na roboczogodziny, jakieś dwa lub trzy dni intensywnej fatygi w chaszczach pod osiedlowym sklepikiem, w kubłach na śmieci przy pętli tramwajowej oraz w okolicach parczku opodal miejscowego gimnazjum.

- No to co z tym Zeniem?

- Pytacie o Zenia czy o Zbunia? Żadnego Zenia, kurna, nie znam.

- Niech będzie, że Zbunio.

- No to chyba takiego znam - wybełkotał zagajony. Jakby bardziej komunikatywnie niż na początku pogawędki, chyba po zażyciu mocnej mieszanki zagranicznych, na wiór wysuszonych, aromatycznych roślinek. - Mieszka przy Wiejskiej. Ten wasz Zbunio. Czekał pan... raz, dwa... Szósty dom z lewej. Nie. Z prawej. Taki mały, szary. Numeru nie pamiętam. On ma dół. A na piętrze ktoś inny. Ale, panie, ja tam do niego nie chodzę. Raz tylko byłem.

- To wszystko już wiemy - przerwał wywód kloszarda Robal. - A gdzie go można teraz znaleźć? Zbunia znaczy. Bo tam u niego już byliśmy i nikogo nie było. Aha, i kto właściwie ma dół? A kto górę?

- Jaki dół? A to za drugą dyszkę. I jeszcze dajcie szluga. Bo dobry.

- No, gadaj pan szybciej. Zobaczymy. Na razie nic pan nie zarobił. A czas to pieniądz. Mamy sobie pójść i poszukać kogoś innego?

- Dobra. Dobra. No to powiem. Teraz to albo jest na złomie, tam het, na Rybakowie, albo już pod sklepem. Jak na Piątkowo. - Menel machnął ręką w kierunku wylotówki z Wrocławia. - Do domu zachodzi dopiero jak ciemno. Albo

zimno.

Robal zbytnio nie dociekał, kiedy menelom i im podobnym żulikom robiło się zimno. Sądząc po odzieniu obecnego interlokutora, temu akurat mogło być zawsze zimno. Słyszał też, że ciemno robiło się takim po spożyciu denaturatu. Albo innego napoju z zawartością nie do końca ożywczego metanolu. Czyli lumpom ściemniało się nawet w środku słonecznego dnia.

Aktualnie był dosyć ciepły początek jesieni. Obaj przyjezdni nawet nie założyli na siebie wierzchnich okryć. Robal odziany był, jak zwykle, w elegancki garnitur, wizytową koszulę i gustowny, dyskretny krawat. Rudy paradował w ulubionym kreszowym dresiku, niebiesko-szarym z czerwonym lampasem, i w bawełnianej podkoszulce. Na szczęście czystej. Pod szyją połyskiwał mu gruby złoty łańcuch. Charakterystyczne tatuaże na przedramionach zamaskowane zostały przez rękawy bluzy. Jednak dopiero po stanowczej interwencji Robala. Piękne stylizowane kotwice, skrzydlate smoki, gryfy i orły, do tego krwawiące tuszem popękane serca na pewno przykułyby uwagę niejednego przechodnia. Dzieci mogłyby nawet się wystraszyć.

„Trzeba będzie coś z tym zrobić. Jak najszybciej. Ten Rudy wygląda jak klasyczny wsiowy gangster. Do tego jak recydywista. Łysy kark z grubasnym goldem. Straszne. Ma budzić postrach, owszem, ale bez przesady” – pomyślał Robal i zwrócił się do menela.

- A właściwie jak on wygląda? Taki mały, gruby, koło trzydziestki? - Chciał się jeszcze upewnić, że rozmawiają o tym samym człowieku.

- A co z moją dyszką? Dobra, już powiem. Oj. Kurna. Coś pan... ej tam, nieeee! Taki chudy, duży, z brodą, trochę podobny do pana, jeno starszy... Ten mały to chyba Maniek. Na co wam Zbunio? Ale Maniek mieszka teraz na działkach. Tam za parczkiem. - Dla potwierdzenia prawdziwości zeznań machnął brudną ręką w stronę bujnych, jeszcze mocno zielonych krzaków okalających teren, gdzie mężczyźni zostawili samochód.

- Jeszcze powiedz pan, jak on się nazywa.

- Ja tam nie wiem. Ładnie chyba jakoś. Widzi mi się, że ładnie. To go, kurna, znacie i nie wiecie, jak się nazywa? - Menel uważniej spojrział na pytających.

Robał zignorował jego komentarz. Nawet inteligentny, zważywszy na osobę samego mówcy, kontekst rozmowy i inne poddworcowe okoliczności.

Nie miał najmniejszego zamiaru odpowiadać na żadne pytania tego człowieka. Zwykle to on pytał, jeżeli istniała taka potrzeba. A zapytani o coś ludzie, dla niego pospolite robaczki albo robale, mieli powinność, aby pokornie na te pytania odpowiadać.

Ów porządek rzeczy został utrwalony już prawie dziewięć lat wcześniej. W zasadzie zaraz po tym, gdy zupełnie przypadkowo zaczął pracować dla Szefa i Złotego. Stąd wziął się także pieśzcotliwy pseudonim artystyczny.

Robał nie przeklinał. Czasami wymsknęła mu się jakaś cholera albo inny młody drób, jednak tylko okazjonalnie, wśród swoich, albo w stanach uzasadnionego wzburzenia. A takie stany miewał bardzo rzadko. Mierziło go używanie słów i wyrażeń uchodzących powszechnie za obelżywe, jak

też wulgarne. W ich dobrze prosperującym przedsiębiorstwie Robal znany był z eleganckiego słownictwa, szarmanckiego obycia i szacunku do bliźnich.

W półświatku owiany był jednak gęstą mgłą tajemnic. Właściwie tylko Szef wiedział, kim naprawdę jest jego podwładny Robal, skąd pochodzi, jaka jest jego historia. Tylko Szef miał informację, że Robal przez moment był żonaty. Że posiadał wyższe wykształcenie uniwersyteckie, ukończył studia na kierunkach kulturoznawstwa i etnografii, na koncie naukowym dorobił się rozpoczętego przewodu doktorskiego, paru publikacji w fachowych pismach. Nawet książki popularnonaukowej.

Robal nigdy nie rzucał słów na wiatr, wyrażał się elegancko, zachowywał kulturalnie, a każdego rozmówcę traktował z należytą atencją. Dopóki rzeczony rozmówca nie zaczął fikać, kombinować oraz łągać. Znaczący wierzgać kopytami. Wówczas z godnego szacunku robaczka momentalnie przepoczwarzał się w parszywego robala, którego niezwłocznie należało zdeptać, przy tym wdeptać w gołą glebę czubkiem eleganckiego buta. Potraktować takiego obrzydliwego robala (karalucha, pluskwę, gnidę) bezwzględnie, jednakowoż nie ubrudzić sobie przysłowiowych, białych, eleganckich rękawiczek. Mówiąc ogólnie: załatwić ścierwo na cacy, a potem już takie(-go) mieć z głowy.

Do przeprowadzania czynności załatwiania robali oraz ścierw, jak też eliminowania tychże z najbliższego otoczenia Robala, Złotego i Szefa wykorzystywani byli już inni podwładni podwładnych. Na przykład tacy pokroju aktualnie towarzyszącego Robalowi Rudego.

- Dziękujemy panu. To chyba wszystko. Do widzenia. -
Dialog z dworcowym lumpem Robal uznał za zakończony.

Wyjął z kieszeni marynarki banknot dziesięciozłotowy, rzucił nim w stronę gościa, po chwili wahania ciepłą w niego jeszcze prawie całą niebieską paczuszką francuskich „Gaulu...”. Filantrop całą gębą.

- Bez urazy!

- Rany, ale smród! - Rudemu zbierało się na torsje.

Menel chyba usłyszał tę uwagę, bo na odchodne mężczyzn dodał i jakby na pożegnanie dobroczyńców bardziej wydukał:

- Panie dobrodzieju, ja to kiedyś byłem porządnym człowiekiem. Ale trunkowy! Takie życie... kurna.

- Jasne. Rozumiem. Do widzenia panu.

Chwilę potem Robal zniżył głos i zwrócił się do Rudego:

- No faktycznie. Fetor nie do zniesienia.

- Chodźmy stąd, bo się porzygam... Błeeee... Chyba że jeszcze coś od niego chcesz. - Rudy złapał się za nos i szybko odwrócił od przyglądającego się im lumpa. - Czym od niego tak wali? Kuuu... - zmełł przekleństwo w ustach.

- Po mojemu to denaturat i uryna. Znaczy jego mocz. Może gość ma nieleczoną cukrzycę, bo jakoś trochę też capi od niego amoniakiem. Tak mi się przynajmniej wydaje. Facet chyba z pół roku się nie mył. Na pewno nie prał gaci i portek. - Robal skrzywił się i westchnął. - Ty, robaczku, bardziej uważaj i nie wyrzucaj na chodnik peta! Nie zostawiaj śladów! Podnoś to i schowaj. Pilnuj się! - Zauważył nerwowy gest podwładnego.

- Dobra, szefie. Już zabieram.

- Nie żadne dobra, tylko uważaj i mnie słuchaj - odrzekł spokojnie Robal.

W ogóle nie miał w zwyczaju podnosić głosu. Kilka razy mu się zdarzyło, ale jedynie wówczas, gdy został doprowadzony do ostateczności. Zazwyczaj starał się trzymać nerwy na wodzy.

- Te, Robal, i co dalej robimy? - zapytał zniecierpliwiony Rudy. - Jedziemy szukać tego całego Zbunia?

- Oczywiście! Po to tutaj przyjechaliśmy. Za moment. Chwila. Nie piekarnia. Wszystko w swoim czasie. Najpierw dokładnie obejrzę mapę i postaram się zlokalizować te ich ulubione złomowiska. Potem sobie pojedziemy. Ty prowadzisz. I nie szarżuj, żeby nas gliny nie shaltowały. To znaczy przypadkiem nie zatrzymały, wylegitymowały albo, nie daj Bóg, spisały. Wszystko ma być zgodnie z przepisami! Zrozumiano? Nie zamierzam wpaść tak głupio jak Marecki. Za durnotę. I jeszcze wylądować za kratkami w Radomiu albo w innej Białolece. Wprawdzie papugi Szefa by nas z tego wyciągnęły, ale śmierdzący ślad w papierach pozostanie. Nie mówiąc o paluchach. Będzie się za nami włókl. Zupełnie niepotrzebnie.

- Mhmmm...

- No i dobrze. To do roboty. Siadaj za kółko i jedziemy pogadać z tym całym Zbuniem. Przy okazji ponownie zlustрую ten teren.

- A co? Byłeś już tutaj? - Rudy z zainteresowaniem podchwycił wątek. Chłonał słowa pryncypała niczym gąbka wodę.

- Przejazdem. Krótko. Jakiś czas temu. - Robal się uśmiechnął.

Seweryn Szpaczek nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Los się do niego najwyraźniej uśmiechnął, z samego rana bowiem zesłał mu dwóch eleganckich facetów, od których, za parę niewiele znaczących słów oraz nie do końca zrozumiałą pogawędkę, psim swędem otrzymał całą dychę w jednym kawałku. Do tego jeszcze prawie pełną paczkę drogich papierosów zagranicznej marki. Wartych przynajmniej połowę tej dychy.

Zapoznał się dokładnie z papierowym banknotem, przez moment studiował wizerunek Mieszka Pierwszego, pod światło zdyskontował znaki wodne.

- No, nie trefne. Dobrze, kurna.

Chuchnął w swoją zdobyczną dyszkę oparami naleweczki wiśniowej spożytej poprzedniego dnia, dołożył zgorzelą z kolejnego zepsutego zęba. Pieniądz pieczołowicie złożył w kosteczkę i ukrył w kieszeni kurteczki za pazuchą. Po raz kolejny upewnił się, że żaden z jego kolegów go nie podgląda. Ani chybi napadliby i obrabowali, podczas snu okradli, albo też, co gorsza, naciągnęli na poczęstunek i zmanipulowali.

- Zbóje jedne!

On na pewno dałby się zwieść. Jak zwykle. No i potem nic by mu nie zostało.

Przyjrzał się także dokładnie paczce z papierosami i ją też schował, jednak już w innej kieszonce kurteczki, zewnętrznej.

- Na co takim eleganckim gościom ten sukinsyn Zbunio?
- pomruczał pod nosem. - Ciekawość. Może oni z rodziny? Albo znowu coś szmaciarz nabroił i pójdzie siedzieć? Gliny

może? Należy mu się. Wyjątkowy szmaciarz. I chytry... Ale oni chyba nie stąd. Ale całą dychę dali. Bogacze jacyś. Gliny tyle by nie dały.

Raz kiedyś, dawno temu, taki jeden niestary, ale siwy policjant, po cywilnemu dał mu dwa złote na pół chlebusia i kefirek. To było w zimie pod starym osiedlowym sklepikiem pani Eli. Inni go tylko lżyli, poniżali, nawet kopali. Ten gliniarz potraktował bezdomnego z szacunkiem. Czasami Seweryn kłaniał się temu policjantowi uniżenie. Innym nie, bo nie zasłużyli.

- Nieużyteczni jacyś... Ważni. I nie szanują człowieka.

Po chwili dumania Sewek zagarnął trzy najmniejsze osobiste manatki i odłożył je pod murek, na którym właśnie siedział. Resztę swojego majątku zaniósł do poczekalni dworca i z namysłem ułożył na stertę pod ścianą z koślawym, aczkolwiek wielce oryginalnym napisem: „Przyczajony mundi, ukryty stopa”. Słowo „Mundi” napisano od małej litery. Stopę także. Tam, pod tą ścianą, znajdował się już jego stary materac ze szpitalnego łóżka, na nim ciepła, straszliwie brudna, okrutnie śmierdząca, wojłokowa szmata, która niegdyś prawdopodobnie była wojskowym kocem, oraz stelaż dziecinnego wózka na kółkach. Lekko sfatygowanych, skrzypiących, ale dających jeszcze radę na wyboistych, latami niewymienianych, poniemieckich brukach Kamieńska.

Szpaczek wyprowadził napakowany pojazd przed dworzec, upewnił się ponownie, czy w pobliżu nie czają się koledzy łasi na jego dobra, po czym kawałkiem sznurka przywiązał do wózcza trzy tobołki spod murku. Po tych skomplikowanych zabiegach udał się w kierunku znanego

sobie sklepiku ogólnospżywczego w centrum kamieńskiego przedmieścia. Jak na niego, zasuwał dość chyżo, bo od dawna utykał z powodu opuchniętej, bolącej i sączącej czymś stopy. Zadowolony na dodatek, jakby właśnie wygrał w lotka.

- Co dajemy tym razem, panie Sewerynie?

- A, da mi pani ze dwie moje naleweczki. A i może do tego jakąś dobrą bułeczkę. A i za resztę pasztetowej. - Sewek rzucił na ladę banknot. - A coś może zostało z wczoraj?

- Zaraz zobaczę. - Ekspedientka kucnęła, wyciągnęła spod lady pół bochenka lekko czerstwego chleba i drożdżówkę. Także twardawą. - Skąd pan ma tyle pieniędzy? Tak od rana na dodatek?

- A jakoś tak się pofarciło.

- Odłożyłam dla pana pieczywko. Gdyby pan dzisiaj nie przyszedł, dałabym komuś innemu. I jeszcze mam to. - Zademonstrowała puszczkę przeterminowanych śledzików z cebulką w sosie pomidorowym. - Chce pan?

- Aaa. Tak. Chcę. To ja tej pasztetowej nie biorę. Pani da resztę.

- Dobrze. Oczywiście. Ale niech pan już idzie, panie Sewerynie, bo mi pan innych klientów wystraszy. - Ekspedientka wydała prawie trzy złote reszty w drobniakach i ręką ponagliła stałego klienta Seweryna do opuszczenia jej sklepiku. Potem wyszła zza lady, by w ciasnym pomieszczeniu otworzyć drzwi i przewietrzyć okropnie zasmrodzone wnętrze.

Pani sklepowa Elżbieta bardzo współczuła Sewerynowi. Znała jego byłą żonę, wiedziała o tragedii, która dotknęła tę

nieszczęsną rodzinę. W ich niewielkim Kamieńsku była to dosyć głośna i bulwersująca sprawa. Wszystko przez skłonność tego człowieka do pseudomarkowych, podrabianych alkoholi oraz przez ciągoty do wytrawnego towarzystwa takich samych pijaczków i łachudrów jak on. Albo większych i cwańszych, bo Seweryn bywał poczciwy i nadmiernie ufny. Koledzy od butelczyny tylko nagminnie go łupili i bez skrupułów wykorzystywali. Znaleźli frajera. Ot, co.

Czasami pani Ela odkładała Sewerynowi przeterminowaną żywność, czerstwe pieczywo, przynosiła używaną odzież. Specjalnie ściągała do sklepu najtańsze wina owocowe i nalewki, by Seweryna nie kusily dostępne wszędzie, to znaczy w licznych pijackich melinach oraz na pokątnych bazarkach, jak też o wiele tańsze pojemniki alkoholowych trunków z podejrzanego źródła. Ażeby nie zatruł się śmiertelnie metanolem z tak zwanych importowanych księżycówek. Aby nie musiał spożywać taniego denaturatu.

- Straszna choroba. Sam sobie wybrał takie życie. Na własne życzenie. I nie chce się leczyć. Ech...

Z drugiej strony Ela goniła to całe menelskie towarzystwo z okolic sklepiku, by nie odstręczało i tak niewielkiego grona jej stałych klientów. Sama bowiem ledwie wiązała koniec z końcem. Jak grzyby po deszczu wyrastały w okolicy sieciowe markety, a z nimi każdy z lokalnych drobnych przedsiębiorców przegrywał w przedbiegach. Korporacyjna konkurencja wykańczała dużo większe tuzy niż Elżbieta.

Tych wytrawnych klientów od nalewek, taniego winka

i sponsorowanego czerstwego pieczywka nazywała „piątą brygadą podziemną”. Miano owej brygady zapożyczyła od miejscowych policjantów, którzy czasami także zaglądali do jej sklepiku. Dlaczego piąta? Zapewne z jakiejś partyzanckiej pieśni. „My, piąta brygada...” czy coś w tym stylu. Właściwie brygada była pierwsza, a ta piąta to kolumna. Mundurowi pytali niekiedy o okolicznych mieszkańców, przy okazji pobytu i służbowych pogawędek kupowali coś na szybką przekąskę. Najczęściej drożdżówki, cebularze i batony, do tego pożywny kefirek albo jogurcik w plastikowym kubeczku. Z rzadka wodę mineralną albo inne bardzo zdrowe, słodkie napoje gazowane.

Seweryn Szpaczek odszedł kawałeczek od sklepiku, produkty spożywcze upchał do swojego plecaczka, plecak przetrząsnął przez ramię. Przeliczył drobniaki, po czym udał się w kierunku pętli tramwajowej, ciągnąc za sobą zdezelowany wózek z manelami.

Po drodze zamierzał nieco zboczyć z trasy, którą ktoś zdrowy pokonałby normalnie w dziesięć minut. Może w piętnaście. Z tak zwanym palcem w nosie. W tym czasie do przedwieczornego zmroku chciał poszukać puszek i czegoś innego, równie cennego, co nadawałoby się do spieniężenia na zaprzyjaźnionym złomowisku. Pręta zbrojeniowego wyrwanego ze ściany starego pustostanu albo jeszcze nie skończonego domku w budowie, kawałka czyjejs rynny z przydomowej budy, żeliwnej pokrywy studzienki kanalizacyjnej, blatu starej pralki. Czegokolwiek metalowego.

Jak co dzień postanowił pomyszkować pod lokalnym ryneczkiem, czyli targowiskiem, tam znaleźć inne produkty

zdatne jeszcze do bieżącej konsumpcji. Nazwijmy je ogólnospożywczy mi.

Może uda się zjeść miseczkę gorącej zupki na zapleczu baru opodal rzeczzonego ryneczku? Czasami litościwie wynoszą namolnym bezdomnym coś do jedzenia, resztki.

Spotkać jakiegoś starego znajomego z minionej epoki „porządnego” i przykładnego życia z rodziną, wymienić uwagi o ciężkim losie bezdomnego? Napomknąć o pogodzie i aktualnych trendach w modzie...

W okolicy zaplecza obskurnej budy z ciuchami i stoiska z „prawdziwą” chemią gospodarczą z Niemiec Sewek pożyczył sobie napoczetą, półlitrową, szklaną butelkę fioletowego denaturatu. Skoro tak samotnie stała i na niego patrzyła, łypała lilowym oczkiem na kontrahenta, potencjalnego konsumenta, to żal było nie skorzystać. Leżąca obok szmatka nie była mu już do niczego potrzebna. Następny fart tego dnia. Sewek wpełził był w najbliższe krzaki, pod pupę podłożył sobie kawał tektury, na której ktoś koślawo napisał „Maga”. Chyba lokalny sprzedawca warzyw to narysował, w celach marketingowych oraz informacyjnych. Sewek z atencją opróżnił znalezisko. Gorzkawy smak napoju zagryzł kawałkiem podarowanego, na poły czerstwego chlebka oraz znalezioną na ziemi przywiedłą marchewką. Następnie udał się w kierunku stojącego samotnie kontenera PCK i wygrzebał jego zawartość przystosowanym specjalnie drutem ze sprytnym haczykiem na końcu. Znalazł, w zasadzie odkrył same ciuszki dziecięce. I jeszcze jeden niemowlęcy kocyk. Różowy w białe misie. Maleńki. Czyściutki. Prawie pachnący. Kocyk nie podobał się Sewerynowi. Niezadowolony odszedł

stamtąd jak niepyszny, zostawiwszy naokoło pojemnika porozrzucane śpiochy i kaftaniki.

Wszystko czynił po to, by wieczorkiem dojść wreszcie do celu. Usiąść sobie spokojnie na „swojej” ławeczce przy pętli tramwajowej w ulicznym zgiełku centralnej części Kamieńska, też swoim ulubionym. Potem, w atrakcyjnym towarzystwie następnej ulubionej rzeczy: wiśnióweczki „cherry” i zdobycznego zagranicznego papieroska, pogapić się na okna kilka lat wcześniej odebranego mu mieszkania. Na jego ukochany domek, w którym spędził ponad czterdzieści lat życia.

Dumając nad marnym losem, pan menel Szpaczek zamierzał powspominać dawne czasy i z nieco kaprawych oczek uronić łezkę żalu. Jak zwykle.

Jego, Seweryna, stara ławeczka zajęta była przez czule obłapiającą się parę młodych ludzi. Właściwie gimnazjalnych nastolatków. Dziewczyna była bardzo wulgarnie pomalowana, pryszczaty chłopak z tłustymi włosami wsadził jej rękę pod kusą spódniczkę. Gmerał sobie pod tą spódniczką. Publicznie. Gówniarze zapomnieli o bożym świecie i o tym, że oprócz nich przy tej pętli kręcą się jeszcze inne osoby.

Sewek zaś nie zamierzał rezygnować z wieloletnich przyzwyczajień. Był jak co dzień zmęczony, obolały, w głowie mu nieco szumiało. Odniósł wrażenie, jakby też dziwnie szybko się ściemniało. I w oczkach, i na zewnątrz. I jakby go ogarnęła okrutna niemoc. Chciał tylko sobie wygodnie usiąść, napocząć drugą buteleczkę ulubionego trunku, zapalić zdobycznego papieroska i pogapić się na stare śmieci, zanim uda się na nocny spoczynek z powrotem na

swoje bezpieczne, ciepłe legowisko pod dachem dworcowej poczekalni.

Podszedł blisko młodzieży, toboły zwałił pod ławeczką, i przyszczatemu chłoptasiowi pieszczotliwie wyszeptał do ucha:

- Wypierdalać stąd! To moja ławka!

Młodzież posłuchała. O dziwo natychmiast. Tym razem była bardzo grzeczna. Nawet w pewnym sensie pokorna. Nie dyskutowała, manualnych czułości zaniechała, oblizywanie bliźniego płci przeciwnej gwałtownie przerwała. Niezwłocznie galopem dała w długą, trzymając się za nosy. Dziewczyna nie zdążyła opuścić spódniczki, bo podczas zbiegania było jej widać majtki. Też kuse. Bardziej było widać chude, białe pośladki, między którymi tkwił maleńki skrawek materii, czyli tak zwane nici w życiu.

Upłynęło trochę czasu, zanim Sewek wygodnie się rozsiadł, przytaszczone manele ułożył na ławce. Ergonomicznie. Chciał je mieć w zasięgu ręki, bo o tej porze wzrok lekko był mu zaszwanekował. A w okolicy pętli byli tacy, którzy mogli się połaszczyć.

Wygrzebał swój szlachetny trunek cherry, na zagrychę spożył pół nadal rześkiej drożdżówki i wypalił kolejnego wonnego papieroska ze swojej kazonnej niebieskiej paczki, delektując się jego smakiem.

Zapadł zmierzch, potem nagle zrobiło się ciemno.

Ktoś biegnąc do tramwaju stojącego na przystanku, potknął się o tłumok na wózek przy ławeczce i niechcący szturchnął Seweryna dzierzącego buteleczkę. Trochę bordowego cennego płynu rozlało mu się na kurteczkę. Inny pasażer, śpiesząc do pojazdu miejskiej komunikacji

publicznej, rzucił w niego puszką z niedokończonym piwkiem. Celował w stojący opodal stylizowany kubek na śmieci, ale nie trafił. Puszczka odbiła się od metalowego dekla i spadła na kapotę siedzącego na ławce człowieka. Takie dobra także nie mogły się zmarnować. Menel zagospodarował zarówno całkiem sporą resztkę bursztynowego napoju, jak i aluminiową puszkę.

Rozgrzanemu tymczasowo chłopu robiło się coraz rzewniej i coraz przyjemniej. Znużony intensywnym dniem, nietypowymi przedpołudniowymi przeżyciami i myśleniem o niespodziewanych darczyńcach oraz o dawnym, lepszym, dostatnim życiu, Seweryn Szpaczek wyciągnął z niebieskiej paczki przedostatniego papierosa, zapalił sobie, prawie się zaciągnął błękitnym i aromatycznym dymkiem, łyknął z gwinta trzy spore łyki naleweczki.

Z żarzącym się papieroskiem w umęczonych usteczkach po prostu błogo zasnął, prawie na siedząco. Właściwie na półsiedząco z tendencją do zajęcia pozycji półleżącej.

Po chwili tłący się papieroszek wypadł z otwartych ust bezwładnie lewitującego właściciela. Spadł pomiędzy lekko uchylone poły kurteczki w okolice mostka na piersiach, na śliczny anilanowy sweterek. Pod tę kurteczkę z kapturkiem.

Po kolejnych kilkudziesięciu sekundach także włosie sweterka zaczęło się wolniusieńko tlić. Przy okazji topić. A spod kurteczki poszedł do góry toksyczny dymek. Prosto w nozdrza smacznie śpiącego Seweryna.

A potem to już wszystkie sweterki, bluzeczki i inne podkoszulki, w które na cebulkę odziany był menel, zajęły się żywym ogniem.

Jeszcze później zapaliła się Sewerynowa zimowa

kurteczka, manatki, manele i nawet jego ulubiona, zarazem kultowa ławeczka.

- Aa, kotku, może ty mi coś poradzisz? - Tomasz Stopiński rozsiadł się w swoim ulubionym fotelu ze szklanką piwa w ręku. Jasnego pełnego. Krajowego.

- A co się stało? Masz kłopoty? Nie strasz mnie. Może byś coś zjadł?

Anna wlaźła do salonu z dużym nożem w ręku i ścierką kuchenną przewieszoną przez ramię. Popatrzyła uważnie na męża. Nie wyglądał na zgnębionego. Ani na zdenerwowanego. Raczej na faceta, który coś kombinuje, knuje albo mataczy. W jego spojrzeniu dostrzegła coś na kształt chochlików.

- A nie. To nie to. Nic nie wiem o nowych kłopotach. Mam same stare. A wiesz, do której otwarta jest drogeria w Merkurym? Wiesz, ta na pierwszym piętrze.

- Gadaj lepiej, co się stało, bo już mnie diabli biorą! I po co ci teraz drogeria? Brakuje nam czegoś?

- Nie. To znaczy tak. No bo muszę pofarbować włosy...

- Czyje?

- No moje.

Anka popatrzyła na męża z troską.

- Jezu, chłop mi zwariował. Jaja sobie robisz? Czy ci odwalilo? A tego piwa to już może nie pij. Przynajmniej na czczo. Najwyraźniej ci zaszkodziło!

- Ha, ha, ha. Kurde, nie patrz tak, to jeszcze nie kryzys wieku średniego. He, he... Tylko muszę dorwać na moim terenie takiego jednego lumpa. Gnojek kradnie rowery,

kosiarki, co mu w ręce wpadnie, a jak mnie widzi, to zwiewa. Mój siwy, w zasadzie srebrny łeb, cholera, widać na kilometr! Muszę coś z tym zrobić!

- Aha. Rzeczywiście powinieneś z głową coś zrobić. Na przykład iść do lekarza specjalisty. Powinni ci tę główkę przebadać. W każdą stronę. No a tymczasowo na włosy to załóż czapkę. Dziecka. Powinna pasować. Tę białą z daszkiem.

- Zwariowałaś? W tej czapce będę wyglądać jak palant. Jak te moje lumpy. Albo złodzieje samochodów. Jeszcze może fura, skóra i komóra? Zapomnij. Tylko wymyśl coś, co się szybko zmyje. - Łyknął swojego piwka, potem spojrzał na żonę błagalnie. - No bo to mi potrzebne na jutro, bo mniej więcej wiem, gdzie ten gnojek będzie. Moi uchole mi zapodali. Poluję na niego od kilku tygodni. I wreszcie dostanę na jutro mojego cywilnego poldusia.

- A nie możesz jakoś się schować? Bo ja wiem? Zaczaić? Zza węgla napaść tego złodzieja? Pojmać go znienacka?

- Nie, to nie takie hop-siup. Tam jest zadupie jak cholera. Kilka starych chałup i pole. Drzewa z rzadka. Tam dalej za karczmą. Wiesz gdzie? Żadnego węgla nie ma.

- Nie bardzo...

- Kiedyś cię tam zawiozę. Auto też te nasze gnojki znają. Nawet nasze prywatne. Tacy durni nie są. Muszę ich jakoś przechytrzyć.

- A, chyba że tak. No to idź do fryzjera, i dupy mi nie zwracaj. Dam ci kasę, jak nie masz. Ja nie umiem farbować włosów. Ani komuś, ani sobie. Nigdy tego nie robiłam. Jeszcze coś spartolę i będzie na mnie. Na przykład po moim farbowaniu wyłysiejesz. Nie możesz raz założyć tej czapki?

Albo ja wiem? Peruki? W pracy mam takiego jednego, który sobie farbuje siwiejący łeb, bo zdurniał dla jakiejś cyncatej laski. Też od nas. Ta laska w sensie. Wygląda jak idiota. Facet. Laska jest nawet atrakcyjna, z dużymi niebieskimi oczami i z nogami po sam sufit. – Anka gestem obu rąk pokazała wydatne piersi. – Wszyscy rżą na jego widok. Głowa siwieje, dupa szaleje. Ich właściciel najwyraźniej na stare lata durnieje.

– Nie mogę. E tam. Nie będę inwestował w łapanie lumpa. Nie ma nic taniego? Na kilka dni? To jednorazowa akcja. Dorwę wreszcie tego mojego gnoja, może dwóch, potem dam sobie spokój. Obiecuję.

– No to chyba tylko jakiś szampon pomoże. Koloryzujący. Powinien potem dość szybko zejść. Czekaaj, skończę kroić mięsko i możemy iść. Merkury otwarty do dwudziestej.

Tomek osiwiiał bardzo szybko. Zaczął jako nastolatek, a na dobre zaczął siwieć w wieku dwudziestu paru lat. Miał to w genach po ojcu. Włosy Stopińskiego były wprawdzie ładne, gęste, błyszczące, dobrze ścięte, ale siwe. Właściwie w kolorze jasnego, połyskliwego srebra. Wszyscy się do tej jego siwizny przyzwyczaili, ale rzeczywiście łeb Tomasza widoczny był z daleka. Jeszcze błyszczał w słońcu.

Żona usiłowała zrozumieć mężowe rozterki.

– Ale żeby od razu farbować?

Uważała także, że zdecydowanie lepiej być siwym niż łysym.

– Nie wygłupiaj się. Co ci szkodzi? Czapka dziecka wydaje się nawet ładna. I modna. Czysta. Niedawno prałam.

– Mowy nie ma! Mówię, że będę wyglądać jak palant.

I czuć się jak palant. Nie lubię czapek, zwłaszcza tych z daszkiem.

- Dobra, dobra. Nie płacz, Ewka. Spróbujemy z tym szamponem. Już się nie denerwuj. Nie powinien być drogi. Prawie skończyłam. Możemy iść. Przy okazji kupię jajka. A, i śmietanę do zupy. Osiemnastkę.

- A jaka będzie?

- Zupka? Ogórkowa. Może być?

- Pewnie. A kiedy będzie rosół?

- Niedawno przecież był. Ciesz się, że cokolwiek dzisiaj robię. Też jestem zmęczona. Łeb mi chce rozerwać i urwać przy samej dupie. Będzie chyba zmiana pogody, bo łupie mnie w kolanach. Znowu naczelny dyro się o coś wściekał. Po południu załapałam się jeszcze na cotygodniową opierdolkę. Mam dość.

Anka wróciła do domu trochę później niż zwykle. Po cyklicznej firmowej naradzie. Zajmowała kierownicze stanowisko w dużej, jeszcze państwowej firmie, a z nasiadówek z dyrektorami nijak nie mogła się wymiksować. Ani bowiem nie była obłożnie chora, ani nie znajdowała innej sensownej wymówki. Dzieci Stopińskich już dawno wyrosły z karmienia cycem i z pieluch, a chyba tylko jakaś spektakularna klęska żywiołowa byłaby mocnym argumentem jej ewentualnej absencji na spiczu kierownictwa. Na przykład kolejna powódź stulecia. Anka miała w tych zebraniach uczestniczyć z urzędu, i wszystko na ten temat. Nawet w charakterze słuchacza albo przysłowiowego chłopca do bicia.

Jeden z panów dyrektorów bardzo lubił szukać winnych. Czegokolwiek, to znaczy wszystkich niepowodzeń i potknięć

firmy. Takie hobby w sobie odkrył. Pasję i powołanie. Niemalże misję dziejową. Najchętniej znajdował tych winnych właśnie wśród kobiet oraz w dziale zarządzanym przez żonę Tomasza.

- Pieprzony damski szowinista. Że też zawsze trafiam na takich szowinistycznych i nadętych dupków!

Po drobnych zakupach Tomek zajął się studiowaniem instrukcji obsługi szamponu koloryzującego do włosów, który zresztą sam sobie wybrał, natomiast Anka wróciła do kuchni, aby dokończyć gotowanie obiadu na kolejne kilka dni.

Na kolorowym pudełku szamponu było napisane jak wół i po polsku, że po zafarbowaniu włosów kolor finalny powinien wyjść czarny. Do firmowego pudełka dołożono przytomnie cieniutką plastikową rękawiczkę.

- Hej, żyjesz? Sam sobie poradzisz czy mam ci jakoś pomóc? Coś podać, potrzymać...

- Przeczytałem i sobie poradzę. Łatwizna. Tu jest napisane, żeby coś ochronnego potem nałożyć na głowę, i po dwudziestu minutach zmyć. Masz coś takiego?

- Tam w szufladce powinien być taki plastikowy czepek hotelowy. Przezroczysty, na gumce. Może się nada.

- Mam. Znalazłem. Nada się. Dobra. Raz kozie śmierć. Nastaw mi minutnik na pół godziny. Wchodzę do wanny.

- Dobra, nastawiam.

Oprócz minutnika Anka nastawiła zupkę i gulasz. Jeszcze wodę na ryż do tej ogórkowej. Obrała ziemniaczki, przygotowała surówkę. Ogarnęła kuchnię. Co jakiś czas nasłuchiwała odgłosów dochodzących z ich małej, ciasnej łazienki.

- Tyyy, jesteś tam? Budzik zadzwonił! Znaczący minutnik.
- Dobra, zmywam! Kotek! Czym mam to zmyć?
- No to zmywaj. A co jest napisane?
- Że samą wodą.
- Nie znam się. Jak woda, to woda. Ja tam użyłabym szamponu.

Po kilku kolejnych minutach z łazienki rozległ się głośny jęk Tomasza. Przypominający bardziej psi skowyt, krzyk rozpaczony i wyraz okrutnego bólu.

- Kotek! Ratunku! Pomocy!

Ania pognęła do łazienki. Z mokrą mytką kuchenną i widelcem. Na odsiecz wrażym hufcom zagrażającym jej chłopu.

- Coś się stało? Upadłeś?

- Chyba tak... znaczący, stało się. Zobacz, co mi wyszło... Kurwa mać! Co ja teraz mam z tym zrobić?

„Kotek” rzucił oczkiem i zdębiał. Po zabiegach pielęgnacyjno-fryzjerskich włosy męża zrobiły się nad wyraz śliczne i efektowne. Oto nabrały modnej barwy. Wrzosowofioletowej. Jakby były umoczone w roztworze pioktaniny.

- Ha, ha, ha! O kurde!

- To wcale nie jest śmieszne! Rany Julek. Popatrz, co mi wyszło! Co mam zrobić? To zejdzie? Czym to usunąć? Poradz coś! Kotek, błagam!

- Jezu, nie wiem. Ha, ha. Ty, a to na pewno był szampon? Nie pomyliłeś buteleczek? Umyj to szybko jakimś normalnym szamponem. Może nawet kilka razy z rzędu. Hi, hi... No to się pofarbowałeś i zamaskowałeś. Nie ma co. Cała okolica będzie się na ciebie gapić.

- A po jakimś normalnym szamponie zejdzie?

- Hi, hi, nie sędę, żeby od razu wszystko zeszło... Może trochę wyblaknie. Ale jaja! Nie chcę cię martwić, ale nasz kot był fioletowy prawie trzy tygodnie. Pamiętasz, nie? A kilka razy dziennie mył się sam. I wylizywał. Jak to kot.

- Faktycznie długo był fioletowy. I co teraz?

To pytanie było takie więcej retoryczne. Żona Tomasza Stopińskiego nie potrafiła na nie odpowiedzieć.

Sytuacja z kotem Stopińskich przedstawiała się następująco:

Rzeczono go trzeba było wykąpać w roztworze wody z pioktaniną, bo małżeństwu naonczas nic innego nie przyszło do głowy.

Ponad dziesięć lat wcześniej dzieci przyniosły do ich domku na wsi małego, kilkutygodniowego kotka. Podczas zabawy na polu zabrały go kociej matce z dzikiego gniazda. Zwierzątko było okrutnie wychudzone, darło się wniebogłosy, i szybko się okazało, że jest całe zarobaczone. Stadami chodziły po nim różne insekty, gołym okiem było widać, że maleństwo cierpi i może nie przeżyć kolejnych kilku godzin w nowych warunkach. Poza gniazdem i w ogóle. Należało jakoś zareagować. Na pewno nakarmić i napoić. W upalny sobotni wieczór wszystko było wtedy pozamykane. Do weterynarza, który prawdopodobnie też był zawarty na amen, mieli prawie dwadzieścia kilometrów. Kierowcy byli po spożyciu piwka, może dwóch. Dla ochłody i dla przyjemności.

Wtedy w domowej apteczce Ania znalazła buteleczkę od kilku lat przeterminowanej pioktaniny i właśnie nią postanowiła odkazić nowego kotka dzieci. Do miski wlała

wodę, doprawiła roztworem pioktaniny, i w tak przygotowanej miksturze wykąpała włochate maleństwo. Udało się. Sierściuch przeżył eksperyment naukowy, w końcu wyzdrowiał, ale z fioletowym zadkiem chodził i zachwycał dobrych kilka tygodni.

Jednakowoż zewnętrzny kamuflaż chyba Tomaszowi nie wyszedł. To znaczy jakiś tam wyszedł, ale nie do końca zgodny z pierwotnym konceptem ani taki, jaki powinien był. Teraz jego włosy przypominały nie tylko wypranego w pioktaninie rodzinnego kota, ale też głowę jednej z leciwych ciotek Tomka po wizycie u prowincjonalnego fryzjera. Zrobiono tam ciotuni elegancką oraz naówczas modną płukankę, po której siwe włosy nabrały ślicznej, wrzosowofioletowo różowej barwy. U starej baby może i uszłoby wizualnie, ale cudny rzucik na włosach posiadał facet w średnim wieku. Policjant. Detektyw. W czynnej służbie i na dodatek „kryminalny”. Było lato, gorąc okropny, założenie na głowę i uszy maskującej zimowej czapki uszatki odpadało w przedbiegach.

Z której strony by patrzeć, za przeproszeniem, dupa z tyłu. No i sensacja jak malowanie.

Do domu wróciło jedno z dzieciątek Stopińskich. Uprawiało sobie sport kontaktowy w postaci dżudo, po każdym treningu matka prała jego dżudogę, przeпоconą i ućmoruchaną podczas ćwiczeń. Dziecko miało pilną potrzebę skorzystania z prysznicza. W ogóle z łazienki.

- Mamcia, ktoś jest w łazience?

- Tak, tata.

- A długo tam będzie?

- No, chyba długo, bo ma małą awarię. Pilnie musi z nią powalczyć.

- Tak? A co się stało? Coś się zepsuło?

- Właściwie tak. Wejdz i sam zobacz. Tego się nie da opowiedzieć. To należy osobiście podziwiać. Hi, hi...

Dzieciatko weszło, bo po niewielkim wypadku jednej z babć członkowie rodziny nie zamykali drzwi łazienek i toalet. To znaczy z przyzwyczajenia zamykali tylko na klamkę, ale od środka i na klucz, to nie. Po krótkiej chwili dziecko wyszło z łazienki całe uradowane.

- Hę, hę, a tacie co się stało? Zabezpiecza parady równości i chce się wtopić w tłum? Czy co? Mogę zrobić fotkę? Wrzucę w neta i jeszcze na tym zarobię! A ile Czaku będzie miał fanów!

(Tomasz zyskał ksywkę „Czaku” dzięki uprawianemu zawodowi. Dzieciakom bardzo podobały się filmowe działania strażnika z Teksasu, w rolę którego wcielił się Chuck Norris).

- Ty, ani się waż! Ojciec cię zabije. Na bank. A ja po nim poprawię.

- Ale polewka! A tak poważnie, to co mu się stało? Pomylił się czy skaleczył?

- Nie. Farba. Właściwie szampon koloryzujący. Wypadek przy pracy.

- Hę, hę... Po co ojcu szampon koloryzujący? A to zejdzie? - Dziecko zainteresowało się zjawiskiem. - A tak w ogóle to ojcu coś dolega? Może na parę dni gdzieś sobie razem wyjedziecie? Odpoczniecie ? Chętnie pobędę sam w domu. Hi, hi...

- Nie wkurzaj taty. I daj mu chwilę. Niech spróbuje to

jakoś zmyć. Chociaż trochę.

- Dobra, dobra. Czarno to widzę. Nie, raczej fioletowo... Ojciec, wpuść mnie na dziesięć minut. Potem sobie możesz siedzieć. - Dziecko domagało się swoich praw do skorzystania z domowego natrysku. Zgodnie z potrzebą chwili.

Dobrze, że w domu państwa Stopińskich kibelek był osobno, a w nim mała umywalka. Można było awaryjnie skorzystać.

- Żmiję wyhodowałem na własnym łonie, psia krew. Dziecko paskudne, ty mi się tu nie rechocz, tylko lepiej pożycz jakąś letnią czapkę, bo zaraz szlag mnie trafi! Albo wezmę zwolnienie, dopóki to świństwo nie zejdzie... Już jakby trochę wyblakło... Trzy razy myłem normalnym szamponem. Kotek, jak sądzisz?

- No, może troszkę? - Ania podeszła nieco bliżej i przyjrzała się dokładnie fryzurze męża. - Nie przesadzaj z tym pucowaniem, bo ci wszystkie włosy powypadają. Lepiej już być fioletowym na trochę niż łysym na zawsze. He, he... - W żonie odezwał się głos rozsądku.

Jak zwykle w podobnych sytuacjach.

A powrotowi włosów męża do naturalnego, to znaczy srebrnosiwego stanu, Anka dawała jakieś dwa tygodnie. Do trzech. Przez ten czas czekały ją sympatyczne widoki oraz niezapomniane chwile z uśmiechem na ustach. Grunt to dobrze się bawić.

Następnego dnia Tomasz poszedł do pracy w czapce syna. Już zdążył pogodzić się z myślą, że będzie niekwestionowanym bohaterem dnia. Ba, zapewne nawet

dekady. Takiego numeru jeszcze na tym komisariacie nie wykrecono. Koledzy i komendant okrzykną go pracownikiem miesiąca, a do jego zawalonego złodziejskimi fantami pokoju pod byle pretekstem będą zaglądać koledzy gliniarze zachwyceni niecodziennym widokiem. I koleżanki. Jeszcze sekretarka komendanta, sprzątaczką, lokalny listonosz i wszyscy inni, którzy dowiedzą się o kolorze owłosienia na głowie aspiranta.

- Kurde, mam przechlapane. Jeszcze tego gnojka muszę dorwać...

Stopiński pomyślał sobie, że może się tak zdarzyć, że nawet te jego lumpy w momencie próby zatrzymania obalą się ze śmiechu na glebę, i nie będą w stanie uciekać ani stawiać oporu. Ujęcie złodziei stanie się przeto jedynie przyjemną formalnością.

Humor mu powrócił, bo to był bardzo wesoły i sympatyczny facet.

- Tomek, chodźcie do mnie z Edmundem na moment.

Komendant komisariatu policji Wrocław Kamieńsko przyszedł trochę wcześniej do pracy i po zapoznaniu się z pilnymi sprawami czekał już na swoich detektywów przy metalowej stalowoszarej kracie, oddzielającej urzędującego dyżurnego od reszty świata.

- Tak jest, szefie. Jakaś pilna robótka?

- Raczej tak. Chyba mamy zabójstwo. Musicie to szybko obrobić. Technicy z miejskiej już działają. Naszych nie ma, pojechali na włamanie i chyba szybko nie wrócą. Kolejna mieszkaniówka na śpiocha. Prorok jeszcze nie dojechał.

Znaczy prokurator.

- Już idziemy, szefie. A gdzie to?

- Na pętli tramwajowej. Weźcie samo... - Komendant nie dokończył kwestii o samochodzie, bo zauważył nietypowo zabarwioną koafiurę podwładnego. - Tomek, a ty co masz na głowie? Dobrze się czujesz? - Szef popatrzył z uśmiechem na jednego ze swoich służbowych ulubieńców.

Tomasz Stopiński był w pracy lubiany, owszem, ale nie na tyle, żeby przełożeni wpadli na słuszny pomysł, aby go trochę częściej awansować. Budził powszechne zaufanie zarówno jako dobry kolega, jak i znakomity, bardzo pracowity, wiecznie mobilny policjant do spraw różnych. Także glina do specjalnych poruczeń. Po prostu w tej części miasta był to jeden z najlepszych facetów od gliniarskiej, żmudnej, ciężkiej i czarnej roboty. Niewdzięcznej, mozolnej.

- Takiego koloru jeszcze nie widziałem. Ładny nawet. Hi, hi...

- Niech się szef ze mnie nie nabija. Oj, nieładnie! - Stopa wyszczerzył ząbki. - Czapkę syna mam na głowie. To dłuższa historia. Wypadek przy pracy. Za tydzień powinienem być znowu po swoim siwy. Mam przynajmniej taką nadzieję. Potem wszystko komendantowi opowiem.

Po krótkiej odprawie ze swoim przełożonym, okraszonej nieskrywanymi chichotami wszystkich obecnych, detektywi pojechali nieoznakowanym radiowozem na miejsce zdarzenia. Zasadniczo mogli pójść tam na piechotę, bo komisariat był bardzo blisko owego miejsca, to znaczy znalezienia ludzkich zwłok, ale służbowy samochód mógł im się przydać. Do tej sprawy albo do innych. Jeszcze przedtem musieli auto gdzieś zatankować, bo jechało dosłownie na

oparach. Jedyna w okolicy stacja benzynowa, w której mogli napełnić bak, oddalona była o kilka kilometrów.

Cudnie po prostu.

Lumpy grasujące bezkarnie na ugorach Kamieńska musiały poczekać. Drobne, upierdliwe, lokalne złodziejaski także. Siła wyższa. Obecne zdarzenie było priorytetem, ponieważ w Kamieńsku po raz kolejny pojawiły się ludzkie zwłoki. Czyli świeży trup.

- Dzień dobry. Aspirant sztabowy Tomasz Stopiński i starszy aspirant Edmund Kurzawa, Komisariat Kamieńsko. To pan w nocy wzywał straż pożarną?

- Panie władzo, no ja. A wezwałem strażaków, bo się paliło. Prawie pod moimi oknami. Myślałem sobie, że tam się hajcują jakieś stare manele! Dym mi do chałupy nalatywał i śmierdziało. Nie dało się spać. A moja żona chora. A co, niepotrzebnie wzywałem?

Pan Henryk Kłosek kilka lat wcześniej przeszedł na emeryturę. Po prawie czterdziestoletniej pracy w kolejnictwie, głównie w charakterze maszynisty pociągów towarowych, ciągle jeszcze budził się w okolicach trzeciej nad ranem i wychodził do kuchni, by coś przegryźć albo czegoś się napić. Potem wracał do łóżka.

Z okien kuchennej izby w jego starej, przedwojennej, dwupiętrowej kamienicy rozciągał się widok na ulicę. W zasadzie na dość ruchliwą trasę wylotową z miasta i w dalszej perspektywie - na pętlę tramwajową.

- Potrzebnie. Jak najbardziej potrzebnie. Dobrze pan zrobił. My właśnie w tej sprawie.

- Aha. Ale żeby policja? - zdumiał się gospodarz.

- No niestety, proszę pana. To paliły się manele i do tego jeden menel - wysnęło się Tomaszowi. Szybko dodał jeszcze, gwoli wyjaśnienia tego drobnego lapsusu: - Człowiek się palił na tej ławce.

- Co pan mówi? Coś podobnego! Gdybym wiedział, to bym zadzwonił po pogotowie. Ciemno było, panie, ogień duży, myślałem, że to kubel na śmieci. Już kilka razy się tam paliły. Ktoś wrzucił peta, zapałkę, i po jakimś czasie pożar gotowy. A kto to? A jeszcze żyje?

- Jeszcze nie wiemy, kto to był. To właśnie próbujemy ustalić. No niestety, ten człowiek zmarł.

- Aaaa. Przykrość.

- A może widział pan kogoś? Zaobserwował pan może coś nietypowego, podejrzanego? Jacyś inni ludzie tam byli? Ktoś podejrzany się kręcił? Proszę sobie przypomnieć. To może być ważne. Wszystko może być ważne - powtórzył Tomek.

- No, panie, tam cały czas ktoś przesiaduje. Nawet w nocy. Ziąb, nie ziąb. Bo niby centrum. I tramwaje. Gówniarze się obściskują, kręcą się podróżni. Obcy. Miejscowi też. I te menele z okolicy też. Na tej ławce i na innych. Kto by tam wszystkich spamiętał? Nawet nasz były sąsiad. Spod szóstki. Tam, panie władzo, kiedyś mieszkał, wejście z podwórka. - Dla poparcia swojej wypowiedzi Henryk machnął dynamicznie ręką. Jeszcze kilka centymetrów dalej i straciłby Tomaszowi czapkę z daszkiem, maskującą jego śliczną fioletową fryzurkę.

Policjanci zainteresowali się usłyszonym przed chwilą strzępkiem informacji. Wywód był wprawdzie nieco długi,

chaotyczny, ale rokował.

- Dlaczego były? Ten sąsiad?

- Ano tak. Ja tam nie wiem dokładnie, ale kilka lat temu zabrali im mieszkanie, komorniki chyba, albo jakoś tak. Baba się gdzieś wyprowadziła, ta jego, żona znaczy, sąsiadka, do krewnych czy gdzieś, a on się zrobił bezdomny. Całkiem, panie, na psy zszedł. - Wyglądało na to, że pan Henryk zakończył opowiadanie.

- Proszę mówić dalej. - Stopa wyjął notatnik i długopis.

- No. A że gość, ten sąsiad, lubi sobie wypić, panie, pije wszystko, co się da, to został z kumplami tutaj. U nas. Wszystkie one po jednych pieniądzach. Śmierdziele. Czasami go widuję. To może on? Szkoda chłopca. Lump, nie lump, ale, panie, przecie człowiek...

- Jak się nazywa ten pański były sąsiad? W jakim jest wieku?

- A chyba Seweryn. Sewek go wołali. Czeka pan, coś od ptaka chyba. Sroka, Sójka, jakoś tak. A trochę młodszy był ode mnie. Ja tam nie wiem dokładnie. Moja kiedyś gadała z tą jego babą, ale to było dawno. Jak jeszcze tu mieszkali.

- Możemy wejść do mieszkania i wyrzucić przez to pańskie okno?

- A co by nie. Wchodźcie. Tylko dobrze wytrzyjcie buty.

Policjanci dokładnie i pieczołowicie wyczyścili obuwie, na wszelki wypadek na dwóch wycieraczkach, po czym szybko przemieścili się za panem Henrykiem do zagraconej kuchni.

Na szerokim parapecie leżała stara poduszka w brudnej, poplamionej poszewce. Obok stał jeszcze brudniejszy kubek z resztkami zaschniętej kawy. Z boku w doniczce rosła bujna

paprotka, nieco dalej lekko przywiedła trzykrotka. Od razu było wiadomo, że któreś z domowników pasjami lubi wyglądać przez to okno.

- Niezła miejscówka. Wszystko jak na dłoni - powiedział cicho Stopa do kolegi.

Mundek kiwnął tylko głową. Też to zauważył.

Obaj doświadczeni gliniarze wiedzieli, że dla policji tego rodzaju obserwatorzy zawsze są nader pożyteczni. Jako okazjonalni informatorzy. Godzinami tkwią w swoich oknach i pasjami obserwują okolicę. Wprawdzie na co dzień uchodzą za ciekawskich dziwaków, zwłaszcza dla przechodniów i sąsiadów, ale w niektórych sytuacjach ich obserwacje mogą być bezcenne, a spostrzeżenia potrafią stanowić ważne informacje, przydatne w prowadzonych dochodzeniach, a nawet w poważniejszych śledztwach. Mogą nakierować policjantów na trop złoczyńców. Albo bywają pomocne chociażby w tak zwanych naprowadzeniach operacyjnych. Tak jak w tym przypadku.

Obaj detektywi docenili wagę słów pana Henryka.

- Dziękujemy panu. Sprawdzimy tego pańskiego sąsiada. Bardzo nam pan pomógł. Na... To teraz chyba wszystko. - Stopiński już miał wypowiedzieć rutynową formułę „na dzień dzisiejszy”, zaniechał jej jednak i użył innego wyrażenia. Przypomniało mu się, że żona niejednokrotnie zwracała mu uwagę na nieprawidłowość gramatyczną oraz stylistyczną.

- Jeszcze pan pozwoli dowodzik, to spiszemy pana dane. Proszę na razie nie wyjeżdżać z miasta, to znaczy w najbliższym czasie, bo możemy mieć jeszcze do pana pytania. Sam pan rozumie. Prowadzimy śledztwo. Musimy

wyjaśnić okoliczności śmierci tego człowieka. Gdyby się panu coś istotnego przypomniało, proszę dzwonić na komisariat. O każdej porze dnia i nocy.

- A panie, rozumiem. Co bym miał nie rozumieć? Nigdzie się nie wybieram. Żona mi choruje. Na razie nie wiem. Może się przypomni. Zapytam żony.

- A to zdrowia żonie życzymy. I panu też. Do widzenia.

- Do widzenia. Do widzenia. - Gościnnie gospodarz wyszedł za gośćmi na korytarz. - Ciekawość, czy to ten nasz Sewek... Szkoda chłopca. Menel co prawda, pijus, ale człowiek. Niestary był. Ale tak zemrzeć? Ech, życie... - zadumał się Henryk.

Pan Kłosek zaryglował za policjantami drzwi i wrócił do kuchni, człapiąc po drewnianej podłodze starymi, przydeptanymi laczkami. Po to, by dokładniej przyjrzeć się przez okno nadal trwającym czynnościom służb mundurowych.

W okolicach feralnej ławeczki przy kamienieckiej pętli tramwajowej krzatali się jeszcze strażacy, policjanci i jacyś ludzie po cywilnemu. Mierzyli, fotografowali, oglądali okoliczne trawniki i chodniki. W pewnym momencie pojawił się tam nawet jeden umundurowany gliniarz z ładnym pieskiem rasy owczarek belgijski, ale zwierzę tylko zakręciło się w kółko wokół własnego ogona i usiadło. Widocznie nie podjęło żadnego tropu.

W nudnym zazwyczaj centrum Kamieńska nareszcie coś się działo. Stali okoliczni mieszkańcy mogli się realizować jako gapie. Dzieci z podstawówki oraz młodzież gimnazjalna ochoczo uczestniczyli w rozprawianiu o przyczynach zajścia,

mając przy tym żelazne alibi absencji w szkole na pierwszej lekcji oraz dobry powód do usprawiedliwienia spóźnienia na drugą.

- To co, idziemy pod tom szóstkę? Jeżeli już tu jesteśmy? Obok? - Mundek wyszedł z bramy i skierował się do następnego starego domu.

- Tę. Tę szóstkę! I skoro będzie zasadniej - bezwiednie poprawił go Tomasz. - Jasne, ale zapewne i tak szybko niczego nie ustalimy. Musimy poczekać na szczegółową sekcję. I na zdjęcie tego gościa z „zedemesu”, jeżeli nie znajdą przy nim dokumentów i niczego, co pozwoli na rychłą identyfikację. Może to rzeczywiście był ten cały, jak mu tam? Sewek? Sroka czy Sójka? Na razie wiemy tylko tyle, że to chłop, menel, jakieś sześćdziesiąt do siedemdziesięciu lat. Ale mógł być młodszy. Cholera go wie. To może być zarówno miejscowy, jak i przyjezdny. To znaczy kolejny kloszard na gościnnych występach. Na razie działamy tak jak przy zabójstwie, potem się zobaczy. Co ty na to? O, patrzcie państwo! Zjawiała się pani prokurator.

- Lepiej późno niż wcale. Dobrze, że jeszcze ktoś tu jest - zaśmiał się Edmund. - Niech sobie paniusia obejrzy śliczne zwłoki. Na pewno będzie zachwycona.

- I niech sobie powącha. Trochę smrodu spalenizny zostało dla niej. He, he. No to idziemy pogadać z babskiem. Ale nogi ma ładne, franca jedna. Jeszcze w tych eleganckich rajstopach i czółenkach. Co sądzisz?

- No może. Nie znam się. Ale wredna jakich mało.

- No. Fakt - podsumował Tomek filozoficznie oraz wielce elokwentnie.

Mundek i Stopa musieli niezwłocznie zweryfikować

ustalony wcześniej plan działań. Powinni byli. Zamiast wejść do następnej posesji i zapytać o Seweryna o ptasim nazwisku, obaj zawrócili, by przywitać się ze znajomą dyżurną prokuratorką. No i od kolejnej już osoby zebrać joby. Za żywota i na dzień dobry.

- Dzień dobry, pani prokurator.

Aspiranci ukłonili się szarmancko. Przesadzili jakby troszkę, ale to akurat bardzo spodobało się kobiecie. Głęboki, klasyczny ukłon wyrażał szacunek i równocześnie poddańczą służalczość. Tym samym mile podłechtali prokuratorские ego tej pani.

- A dzień dobry. Co my tu mamy? Do czego mnie wezwano? Bo mi się bardzo spieszy.

- Zgona mamy, pani prokurator. Na razie en-ena. Bez dokumentów, ale ewidentnie to był kloszard. Może technicy jeszcze coś znajdą, co pozwoli nam na szybszą identyfikację.

- Przyczyna zgonu? Zabójstwo?

- Na razie nie wiemy. Sfajczył się trochę. - Stopa przyglądał się pretensjonalnej minie francy. - Na moje oko, to opity czymś smacznym zasnął z papierosem w ustach. Prawie klasyka. Technicy jeszcze muszą trochę podziałać. Znaczą, zewnętrznych śladów zabójstwa na razie nie znaleziono - grzecznie wytłumaczył Tomasz.

- No to nic tu po mnie. Można go zabierać. Na sądówkę. A panu co się stało w głowę, panie... panie... Tomaszu? - Pani prokurator raczyła uważniej popatrzeć na policjantów i nawet przypomniała sobie imię aspiranta Stopińskiego.

- A, nic takiego. Miałem drobny wypadek przy pracy. Skaleczyłem się w głowę. - Stopa nie zamierzał się tłumaczyć tej wrednej i niesympatycznej babie, ale musiał

być dla niej uprzejmy. Nie za bardzo chciał, ale musiał.

Tomasz miał jeszcze w pamięci scenkę obrazującą jak niegdyś to nadęte babsko go potraktowało. Niczym trzy zimne parówki. Przy ostatnim służbowym spotkaniu w prokuraturze i zamykaniu kolejnego prowadzonego przez Tomka dochodzenia, to znaczy przy końcowym przekazywaniu akt sprawy instancji wyższej, właśnie ta pani prokurator rutynowo wpisała do protokołu, w pozycji: wykształcenie, słowo „średnie”.

- Miałbym maleńką uwagę. Nie, nie średnie. Wyższe - sprostował wówczas aspirant.

- Co tam mówicie? Jakie?

- Wyższe. Magisterskie - odpowiedział spokojnie Tomasz.

Doprecyzował uprzejmie, bo ci po dwuletnich licencjatach na prywatnych uczelniach także uważali, że mają wyższe.

- Jak to wyższe? - zdziwiła się kobieta. - Coś takiego! Do tego magisterskie! A ja myślałam, że tam u was nikt nie ma wyższego. Najwyżej jakąś policyjną szkółkę oficerską.

Stopiński wyczuł w głosie prawniczki pogardliwy ton. Wydawało mu się, że zauważył lekki grymas na jej wrednej gębie. Prokuratorka charakterystycznie wydeła usta.

- No to pani źle myślała. - Policjant najwyraźniej się wkurzył. Nie chciał ciągnąć tego tematu. Żadnego zresztą z tą niewiastą. - Mogę już wracać? Do pracy? Do służby? Bo złoczyńcy nie śpią, a i nie przesiadują w prokuraturze godzinami na pogaduchach!

O tej porze na ulicach miasta tworzyły się już

kilometrowe korki, a z siedziby prokuratury rejonowej na przedmieście, do Kamieńska, było dość daleko. Tomka czekało jakieś czterdzieści minut jazdy. Do godziny. Jak nie lepiej. Tak było prawie codziennie. W dni powszednie. W piątkowe popołudnia było jeszcze gorzej.

Państwo prokuratoria uważali się za przedstawicieli wyższej kasty prawniczej. Szczególnie ci, za przeproszeniem, podrzędni, rejonowi. Natychmiast po otrzymaniu prokuratorskiego stolca pozjadali wszystkie rozumy. Teoretyczne i praktyczne. Momentalnie nabierali tak zwanej zawodowej rutyny i załapywali prawniczy wiatr w żagle. Traktowali policjantów, zwłaszcza tych z mniejszych komisariatów, jak niegramotnych wyrobników, którymi można pomiatać. Tak po prostu. Przy każdej nadarzającej się okazji. Sami nie kiwnęli nawet palcem, by pomóc policji przy nadzorowanych dochodzeniach i śledztwach, a ten ich kodeksowy, formalny, niby merytoryczny nadzór, polegał na wzywaniu funkcjonariuszy do każdej dupereli i opieprzaniu za coś, co zanieczyściła głównie prokuratura.

Zdarzało się, że podczas dyżurów w dni wolne od pracy lub w święta policjanci jeździli z dokumentami do domów akurat dyżurujących prokuratorów, i tam musieli załatwiać sprawy służbowe. Nieważne, skąd ten policjant był, czy miał do dyspozycji auto służbowe ani czy auto było zatankowane.

Tak się kiedyś złożyło, że dokładnie ta pani prokurator przyjechała Tomasza w Wigilię Bożego Narodzenia przed południem w swoim domu, odziana w szlafrok kąpielowy. Do tego, bądź co bądź służbowo, wystąpiła z prywatnymi wałkami na głowie. A pełniła naówczas stacjonarny dyżur

jako prokurator rejonowy. To znaczy miała powinność pełnić. Co do zasady pozycyjnie, w budynku prokuratury.

Ale kto ważnej paniusi podskoczy? No na pewno nie taki zwykły, podrzędny, prowincjonalny glina jak Tomasz.

Gdzie pokora? Gdzie szacunek dla ciężkiej służby bliźniego? Dla doświadczenia i codziennego nadstawiania tyłka na wszelakie ryzyko?

Oto jest pytanie...

Szkoda, że na studiach prawniczych nie kształcą pod kątem metodyki i metodologii pracy w polskich formacjach mundurowych: policji, służby więziennej, pograniczników jak też celników. Straży miejskiej i innych pożarnych. Albo przynajmniej w ramach aplikacji prokuratorskiej towarzystwo powinno odbyć praktykę na komisariacie policji i uczestniczyć w czynnościach kryminałków i dochodzeniowców. W sobotnie noce przejechać się radiowozem po ulicach wielkiego miasta i brać udział w zwykłych czynnościach mundurowych z patrolówki. Przeczłołgać się po ugorach i chaszczach, poszarpać się z lumpem, ze śmierdzącym kloszardem, ubabrać wyjściowe butki na wysypisku śmieci, gdzie znaleziono odciętą ludzką rękę. Wyłowić kilkumiesięcznego trupa z rzeczki. Tak przerobić na własnym tyłku gliniarski warsztat, jak onegdaj świeżo upieczeni lekarze w karetkach pogotowia ratunkowego. Doznać mozołu ciężkiej, czasami wrednej i niewdzięcznej służby. Nabrać doświadczenia. Okrzepnąć, pojąć, zrozumieć.

Byłoby wówczas zupełnie inaczej. Na pewno sympatyczniej.

Tak czy owak, na kamieńskim komisariacie pańcia,

prokuratorska gwiazda, nie była lubiana.

- Ty, Stopa, a co wy sobie tak spijacie z dzióbków? - zapytał Mundek, gdy już dyżurna prokuratorka zniknęła za rogiem.

- Nie wiem. Tak wyszło. Też jestem zdumiony. Widocznie baba ma lepszy dzień. Albo ją zatkało na widok mojej najnowszej koafiury. He, he. Ale gdy sądówka coś znajdzie, czyli stwierdzą działanie osób trzecich, i to jednak będzie zabójstwo, będziemy mieć z babą przesrane. Bo to ona chyba przejmie nadzór.

- Mowa. Oby nie. Mnie też się wydaje, że nikt tego tutaj specjalnie nie uśmiercił. Sam się załatwił. Na cacy. A denaturacik mu w tym pomógł.

- Albo inna nalewka na kościach. I na pewno papieroszek. Czyli następny lump rzucił palenie. Definitywnie. Tak bywa. Hmm.

Policjanci poczekali kilkanaście minut na specjalistyczny wóz z Zakładu Zieleni Miejskiej, który zgodnie z podpisaną umową miał zawieźć niezidentyfikowane zwłoki do siedziby innego zakładu: Medycyny Sądowej.

Karetka odjechała jakiś czas wcześniej, bo lekarz pogotowia stwierdził już, co miał stwierdzić. Za dużo się przy tym nie natrudził.

Tam, w ZMS, po wstępnych czynnościach biegli anatomopatolodzy powinni ustalić przyczynę zgonu. Potwierdzić albo wykluczyć działanie osób trzecich. Najpilniej, jak się da. Zresztą tego typu umrzyki mają pierwszeństwo przed innymi pewniakami i nieuśmierconymi przez osoby trzecie.

Samo życie.

- No to łapiemy tego naszego lumpa. Może jeszcze będzie na tym jego zadupiu. To co? Bulaje? - Tomasz wsiadł za kółko służbowego poloneza, do wtyczki po zapalnicze podłączył sygnalizator i wystawił go za okno na dach wozu. - Mundek! Pasy!

- Dobra, dawaj. Mus to mus. Czekać, zapnę się tylko. Bo jak ty depniesz na gaz, to mi się zaraz robi niedobrze.

Po kilku minutach policjanci dotarli w okolice, gdzie zgodnie z uzyskaną informacją miał przebywać ich „ulubiony” złodziej.

- Ty, patrz, to chyba on! - Stopa rozglądał się uważnie po lokalnych ugorach.

- Ten na rowerze? - upewnił się Mundek.

- Tak. Szybko, dawaj, dorwiemy gnoja. A rower pewnie znowu trefny.

- No to jazda!

Gdy tylko poszukiwany mężczyzna ujrzał znany sobie nieoznakowany radiowóz, spieszenie porzucił rower i chyżo dał dyla za rów, w rzadkie krzaczki. Poszedł w pole niczym parzystokopytny, aż się za nim kurzyło. Dużo starszy od niego aspirant Stopiński rzucił się w pościg, a najstarszy w tym towarzystwie Mundek wlaź do przydrożnego, dość głębokiego rowu, by wytaszczyć i zabezpieczyć porzucony jednośląd. Najprawdopodobniej kolejny złodziejski łup ściganego właśnie lokalnego zbója. Przy okazji Mundek zamierzał spróbować jakoś wepchać kłamot do zagraconego bagażnika radiowozu.

Mimo siwej głowy, w zasadzie aktualnie fioletoworóżowej, wbrew ciężarom przytroczonym do paska

od spodni, a to: ważącej tonę broni służbowej starego typu kaliber dziewięć milimetrów, kajdanek i prywatnego telefonu komórkowego, Tomasz nadal był bardzo wysportowany i wciąż szybko biegał. Na przekór upływowi czasu i już kilkunastoletniej służby w policji niezmiennie dopisywała mu świetna kondycja. Fizyczna i psychiczna. Na każdym organizowanym raz do roku obowiązkowym policyjnym teście sprawnościowym otrzymywał najwyższe noty. Nie dość, że w odróżnieniu do otłuszczonych i leniwych kolegów ochoczo poddawał się tym testom, nawet je lubił, to jeszcze stawiany był innym za wzór i wystawiany do reprezentacji wrocławskich policjantów w różnych branżowych turniejach i zawodach sportowych. W towarzystwie dużo młodszych od niego adeptów gliniarskiego fachu.

- Mam cię, gnojku! - Stopa dogonił uciekającego złodzieja i w pędzie pchnął go lekko obiema rękami. Młody mężczyzna się przewrócił. Policjant sprawnym, przez lata doskonale wyćwiczonym ruchem jedną ręką wyjął kajdanki z pokrowca wiszącego na jego prawym półdupku, i wysapał do leżącego:

- Rączki dawaj. Będziesz grzeczny?

Równocześnie drugą ręką i kolanem przytrzymał mężczyznę w pozycji leżącej.

- Za co? To napaść! Ja nic nie zrobiłem! Jestem niewinny!

- Tak? Na pewno? To skąd masz ten rower? I dlaczego przed nami wiałeś?

- Pożyczyłem. Od kumpla. Skargę na was złożę!

Na pytanie Tomka o przyczynę wiania nie było

odpowiedzi.

- Jasne. No to sprawdzimy. Twojego kumpla także. Dawaj te rączki, lumpie jeden, bo nie mam czasu. I nie zamierzam się z tobą cackać.

Po kilku sekundach Stopa złapał oddech i wyklepał rutynową formułę.

- Jesteś zatrzymany do wyjaśnienia. Skargę możesz złożyć. Nawet do biskupa i do samego ministra spraw wewnętrznych.

Złodziej został tymczasem fachowo zakuty w kajdanki i za pomocą wprawnego chwytu doprowadzony do samochodu. Rzucił się, wrywał i lżył przy tym jak szewc.

Gorzej, znaczy bardziej pod górkę, miał drugi policjant, który nie mógł sobie poradzić z wsadzaniem roweru do paki poloneza. Chłop miał problemy techniczne i metodyczne. Tylko się spocił i zasapał.

- Uff. Cholera ciężka, nie da się. A ty się tak nie rzucaj, bo będziesz biegał za wozem. - Ta druga kwestia skierowana była do zatrzymanego. Fachowo rzecz ujmując: do złodzieja ujętego podczas pościgu.

- Pilnuj go, a ja upcham jakoś ten rower. Spróbuję przynajmniej. Jeżeli mi się nie uda, trzeba będzie lecieć z gratem na piechotę. Albo wezwać chłopaków z busem - rzucił zadyszany Tomasz.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki Stopa wyciągnął lateksowe rękawiczki, jakich natenczas zwykle używali lekarze chirurdzy. W komisariacie nie dawali takich jeszcze do pracy, ale glina nauczył się, że bywają nieocenione. Szczególnie przy przeszukaniach, oględzinach zwłok, zabezpieczaniu śladów. Przy grzebaniu w śmieciach.

Rękawiczki były ogólnie bardzo przydatne, ale nie w wypadku przeszukiwania narkomanów. Niestety. Cienka guma kompletnie nie chroniła dłoni przed zakłuciem zakażoną czymś igłą.

- Ty, patrz, to damka! A jakie ładne kolorki! Cholernik skubnął rower jakiejś babie. Pewnie zaraz będziemy mieć zgłoszenie. Przywiążę to tylko i jedziemy. Stara mnie zabije, bo dzisiaj mieliśmy jechać na duże zakupy. A i głodny jestem jak cholera. Wrzucamy go na dołek i mamy fajrant! Niech go obrabiają inni. A jak nie, to może do jutra skruszeje.

- Dobra. Ale ja może jeszcze trochę zostanę. Mam papiery... - westchnął Mundek. Bardziej wysapał tę kwestię.

Stopa wiedział, że kolega szukał właśnie wymówki, żeby zostać dłużej w pracy. Tam, w zaciszu małego pokoiku zagraconego złodziejskimi fantami, zmienić buty na przydeptane wołokowe laczki, posiedzieć przy zdezelowanym biurku zawalonym papierami i nie wracać za wcześnie do domu. Praca to najlepsza wymówka. Na komisariacie było chłopu dobrze. W mieszkaniu na blokowisku na jednej z miejskich „glinianek” czekała bowiem na niego upierdliwa baba, jej stary, obrzydliwy, wyleniały, śmierdzący kot i kretyńskie seriale telewizyjne. Brazylijskie, argentyńskie i rodzime, polskie. Też jego żony. Tej samej od kilkudziesięciu lat.

- A rób, co tam sobie chcesz. Ja spadam. Rzeczywiście to cholerstwo się nie mieści. Mamy jakiś sznurek? Muszę go jakoś przywiązać.

- Ja nie mam. - Mundek przyglądał się pracy kolegi, równocześnie przytrzymując złodzieja, rozkraczonego i rozłożonego plackiem na przedniej masce wozu.

- Czekał, może coś tutaj znajdę. - Stopa metodycznie przeszukał bagażnik, potem wnętrze samochodu. - Cholera, ale fleja jakaś tym jeździła. Następny śmierdziel, tym razem mundurowy i od nas. Muszę sam sobie posprzątać. Znowu oddają mi zasyfione auto. I jak zwykle zostawili pełno petów, ktoś żarł w wozie orzeszki, paluszki... O, i słonecznik. Wiesz, chyba wywalę tę popielniczkę. A jej zawartość najchętniej na biurko tego jakiegoś.

Po czysto technicznym niepowodzeniu poszukiwawczym Stopa zaczął się klepać po kieszeniach marynarki, przy tej okazji przeglądając ich zawartość. Wyraźnie ucieszony wyjął parę damskich rajstop z lycrą, eleganckich, drogich i dobrej firmy. W tak zwanym kolorze cielistym. Ponownie wsadził rower do bagażnika, a wystającą na zewnątrz część sprawnie przymocował rajstopami do zderzaka.

- Przez te nasze cenne łupy będę jechać ostrożniej. Nie powinny wypaść.

Wzrok Edmunda mówił sam za siebie. Wyglądało na to, że w oczach kolegi Stopa objawił się właśnie jako dotychczas zakamuflowany zboczeniec, autentyczny świr, a na dodatek fetyszysta. Albo gwałciciel, do kompletu kolekcjoner nietypowych trofeów, czyli damskich utensyliów.

- Czyje to? - wybąkał Mundek. - Nic ci nie jest? No wiesz? Jak możesz... Przecież jesteś żonaty...

- A, to? Żony właśnie. Spoko, mojej, nie cudzej. Chciałem jej kupić dokładnie takie same - uśmiechnął się Stopiński. - Ale na pasek klinowy do malucha się nie nadają. Lepsze byłyby klasyczne, stylonowe.

- Do jakiego znowu malucha? - Mundkowi jeszcze

bardziej opadła szczęka.

W ogóle nie rozumiał, o co chodzi z tymi rajstopami. Dlaczego Tomasz nosi je w kieszeni marynarki? Podczas pracy na dodatek. I co ma ta część zdecydowanie damskiej garderoby do samochodowego paska klinowego? Jeszcze do tego stary maluch, lata temu utopiony podczas powodzi stulecia, którego wszyscy posiadacze nagminnie się pozbywają.

- Jakiegokolwiek. Do każdego starego wozu. Polskiego fiata też. Dobra, możemy jechać - odpowiedział radośnie Tomasz i uruchomił pojazd. - Pilnuj go. Trochę się zmęczyłem ganiem po chaszczach. Najwyraźniej się starzeję. I chyba rozwaliłem moje nowe buty. Oddam do szewca, może coś poradzi. Ale wreszcie dorwałem tego gnojka. Ha!

Po dokładnym przestudiowaniu mapy Kamieńska i okolic, Robal i Rudy oddalili się na poszukiwania Zbunia z chaszczy opodal dworca. Owe poszukiwania odbyły się według wskazówek menela zagadniętego na okoliczność pod rzezonym dworcem.

W zasadzie panowie nie mieli innego wyjścia. Musieli to zrobić. W ramach drogi do sukcesu, oczywiście. Robal trzymał na kolanach rozłożony plan miasta, Rudy siedział za kółkiem, uważnie prowadził auto, przy tym komentował widoki za szybą.

- Ty, szefie! To chyba nie tutaj. Chyba wyjechaliśmy już poza miasto. Jakaś trefna ta twoja mapa. To wiocha jakaś, a nie Wrocław.

- Nie. Dobrze jedziemy. Jesteśmy jeszcze w mieście. Widziałeś tablicę z nazwą innej miejscowości? Nie widziałeś. To jedź prosto tą drogą i nie dyskutuj. Jeszcze jedno miałem ci powiedzieć. Po wstępnych ustaleniach z tym całym Zbuniem masz sobie kupić jakieś porządne ciuchy. Najlepiej džinsy i kurtkę z długim rękawem. Też džinsową. Jakies sklepy odzieżowe widziałem w centrum tego całego Kamieńska. Przy głównej ulicy. To będzie po drodze. Tym ślicznym dresikiem możesz tylko ściągnąć na nas kłopoty.

- Nie pier... tego, ...nicz. Nie lubię nosić innych spodni. Co ci nie pasi? Przecież jestem czysty. - Rudy najwyraźniej się oburzył. - Te gatki są modne i markowe. Wypasione. Kupę kasy za nie zapłaciłem! W firmowym sklepie!

- Chyba nie zrozumiesz, robaczku słodki. Koszty operacyjne i tak pokrywa szef, jeżeli ci chodzi o kasę. Dżinsy wrzucę w kosza. Te twoje gatki będziesz sobie nosić do woli, ale dopiero po całej akcji. U siebie w domu. Poza tym i tak zarabiasz tyle, że stać cię na garnitur od Armaniego. Nie musisz od razu występować pod krawatem. Bez przesady. Dżinsy na początek wystarczą. Przede wszystkim kupowanie na prowincji jest bezpieczniejsze. Koszulki, adidas i ten twój, pożał się Boże, łańcuch, w zasadzie mogą zostać. Chociaż osobiście wolałbym, żebyś go jednak z siebie zdjął.

- Dobra, szefie. Zdejmę. Ty tu rządysz. Spodnie też. Nie stykają, to zdejmę. Właśnie. A co z tym naszym lumpem? Ciuchy chyba jakieś będą dla niego potrzebne?

- Mam coś dla niego na początek. Przywiozłem kilka moich starych ubrań. Sam zobaczysz. Zdaje się, że mamy podobne sylwetki. Tak przynajmniej mówili Marecki i ten

cały Orzech. Ten menel pod dworcem potwierdził. Potem zobaczymy, czego brakuje, dokupimy, ale przecież nie możemy go wziąć na zakupy. Mniej więcej wiemy, jak wygląda, chociaż przez te ponad pół roku, już prawie rok, mógł się zmienić. Na gębie i ogólnie. Mam wrażenie, że będą poniesione dodatkowe koszty.

- Jakie?

- Logistyczne.

- Czyli jakie? - Rudy wolał dopytać, bo znowu nie bardzo zrozumiał.

- Dobra, to potem. Pażywiom, uwidim. Poczekamy, zobaczymy - szybko przetłumaczył Robal, widząc głupią minę Rudego. - Wszystko pamiętasz? Czy mam ci powtórzyć?

- Pamiętam. Jasne. Mam za dużo nie gadać.

- Właśnie. To przede wszystkim. Patrz, tam ktoś idzie. Jakiś rasowy menel z wózcikiem. Opis się zgadza. To chyba ten nasz cały Zbunio? Tamten śmierzdel spod dworca przynajmniej nie ściemniał. Uczciwie zarobił na swoją dychę. No to, Rudy, mój robaczku, zaczynamy akcję. Pełna gotowość.

- No raczej!

Mężczyźni uporządkowali i sprawdzili wzajemnie swoje charakteryzacje, po czym wolniutko podjechali do gościa. Robal spuścił szybę i zagadał.

- Halo! Ty jesteś Zbunio? Prawda?

Maszerujący do tej chwili dynamicznie facet stanął jak wryty, aż z ciągniętego wózcicka spadł na bruk metalowy element pokrywy starej pralki.

- Co jest, kurwa?! Czego? - Dokładnie przyjrzał się

samochodowi i Robalowi. Spod przymrużonych oczek. Właściwie jakby spode łba.

- Szukamy Zbunia.

- A czego od niego chcecie? Spierdalajcie!

Robal przygotowany był na wszelakie odzywki. Także podobnie kulturalne. Umiał rozmawiać z każdym; z lumpem, moherową babcią, przestępcą, biznesmenem, nastolatkami, politykami. Jemu zasadniczo było wsio rawno, z kim gada, błyskawicznie bowiem dostosowywał się do poziomu i do stylu swoich interlokutorów. Dlatego też zabronił Rudemu otwierać gębę. Między innymi dlatego.

Równocześnie zdążył już dolecieć do niego specyficzny zapaszek emitowany przez znakomitą większość polskich kloszardów. Skrzywił się nieco, zamknął okno i wolno wysiadł z samochodu.

- To już nasza sprawa, czego od niego chcemy. Interes do niego mamy. I pozdrowienia od krewnych.

- Mówisz interes? Kurwa. A jaki?

- A co to ciebie obchodzi? Gadamy tylko ze Zbuniem. To znasz go czy nie? Bo nie mamy czasu na pierdoły i kretyńskie pogawędki.

- Może znam, może nie znam. - Teraz zagajony Zbunio zwietrzył niezły biznes. Przy okazji chciał oskubać z kasy dwóch dzianych frajerów w wypasionej furze, co z resztą było w jego zwyczaju. Skubanie wszelakich frajerów. Nienadzianych także. Równocześnie znów spojrzął na Robala spode łba.

- No to nie pogadamy. - Robal ze stoickim spokojem wsiadł z powrotem do samochodu, starannie zamknął za sobą drzwi i zwrócił się do kierowcy:

- Jedziemy. Tylko wolno.

- Co ty? Dlaczego? Przecież to na pewno on.

- Spokojnie. Wiem, co robię. Działamy strategicznie i pragmatycznie. Nie mogę takim cuchnącym lumpom wchodzić w tyłek.

- Czyli co? Dalej nie rozumiem. - Rudy posłuchał polecenia, przekręcił kluczyk w stacyjce i wolno ruszył.

- Nadal. Potem ci wytłumaczę.

- Co nadal?

- Nadal nie rozumiem.

- Czego nie rozumiesz?

- Ty nie rozumiesz. Nieważne już. Semantyka. Tego, jak mniemam, także nie rozumiesz.

W tym momencie biznesmeni usłyszeli dynamiczne walenie pięścią w tylną klapę bagażnika i krzyk Zbunia.

- Tyyy, kurwa, stójcie! Halo! To ja.

- Co za ja? - Robal otworzył drzwi i spojrzał na menela.

Rudy zatrzymał auto.

- No Zbunio. To ja.

- A skąd my mamy to wiedzieć? Teraz to pocałuj mnie w nos. Odechciało mi się z tobą gadać. Jedziemy.

Rudy spojrzał na szefa pytająco. Nadal niewiele kumał.

W ogóle Rudy nie pojmował, co tu jest grane. Tak po prostu niczego nie kumał. Mieli zrobić szybki, dobry interes. To było jasne. Przede wszystkim dogadać się z tym jakimś kloszardem. Jakoś dziwnie, czyli dla Rudego nietypowo, „popracować” przez kilka tygodni we Wrocławiu, potem zatrzeć za sobą wszelkie ślady, na końcu się zmyć. Tu zaczynał się problem. Bo na czym właściwie polegała ta

praca?

Metodyki i taktyki tej roboty, no i tego interesu, także do końca nie rozumiał. Nikt mu specjalnie nic wcześniej nie powiedział, Robal zaś wprowadził go w temat jedynie pobieżnie. A w kolejne i najświeższe zadania wprowadzał w zasadzie na bieżąco. Tuż przed realizacją. Dlaczego tak? Obecny szef, Robal, nie był zbyt wylewny. Ale tajemniczy to owszem. Rudy wiedział jednak, bardziej czuł, że jeżeli szefowie ich obu, to znaczy Szef i Złoty, w coś inwestują, a przy tym do roboty biorą Robala, to musi to być czysty, dobry biznes. I pewny. Bez krzty mokrej roboty, do której Robala nie angażowano. Podobno za delikatny był. I za mądry. Co nieco Rudy o nim słyszał, bo gadano. Plotkowano. W ich firmie otaczała Robala gruba aureola tajemnicy. Rzecz by można, że gęsta mgła.

Nie można tak od razu kawa na ławę? Robimy to i to?

A do tego jeszcze na pewno wpadnie kupa kasy. Bezpośrednio dla przedsiębiorstwa, w którym Rudy robił za żołnierza, pośrednio także dla niego samego. Po ostatecznym bowiem rozliczeniu każdej dużej roboty szefowie mieli w zwyczaju dawać pracownikom tak zwane premie uznaniowe. Nie tylko w pieniądzu. W wycieczkach, w sprzętach codziennego użytku, także w innych deputatach. Wybitnych i zasłużonych nagradzali samochodami, telewizorami, meblami. Kiedyś jeden z osobistych ochroniarzy otrzymał domek kempingowy nad jeziorem. Drewniany. Na własność! Trochę to wszystko zatem trwało, jednak grosza na premię za dobrą robotę nigdy nikomu nie poskąpiono.

Do tej pory Rudy wykonywał jedynie polecenia Złotego.

Jego dotychczasowa rola, czyli codzienna „praca”, polegała na tym, że od kilku ładnych lat pilnował ustalonego porządku w paru hotelikach. Robił tam po trosze za ciekcia, z rzadka za inkasenta, czasami za ochroniarza bezpośrednich przełożonych oraz ważnych gości tychże. Rudy miał baczenie na działalność usługową kilkudziesięciu pańienek różnych słowiańskich narodowości. Żeby były pokorne, grzeczne, zdrowe i spełnione. Także materialnie. Aby należycie dbały o gości.

Do kogoś innego należało już zadowalanie oraz zabawianie klientów tych przybytków, pojenie oraz karmienie. Tudzież kasowanie za świadczone usługi. Czasami Rudy musiał kontrahenta lub klienta lekko przycisnąć, służbowo oczywiście, nierzadko elegancko zdefasonować. Przywołać takiego krnąbrnego czy krewkiego do okazania pokory oraz do porządku.

Ale żeby myśleć? Planować? Analizować? Jak jakiś naukowiec? Używać do roboty i biznesu własnego mózgu? Dostawać pieniądze za umysłowe kombinacje? Gimnastyki? Aby się przy tej ciężkiej pracy własna czacha zagotowała?

Eee, co to, to nie.

Rudy zdał sobie właśnie sprawę, że ten tajemniczy interes to zdecydowanie nie jego bajka. I jeżeli Robal mu jakoś tego nie wytłumaczy, łopatologicznie nie wyłuszczy, to niechcący może narobić bigosu.

Na takie *dictum* Zbunio zdurniał. Niemal tak samo jak Rudy. Pogrzebał ufajdanymi rękami w równie brudnej torbie przewieszanej przez ramię, wyciągnął utyłtany czymś dokument tożsamości i wcisnął Robalowi do ręki.

- Zobaczcie. Tutaj. To naprawdę ja. Zbunio. Znaczący Zenobiusz jestem. Kozłowski. Kurwa. I jaki znowu kuzyn? A wy kto? Czego ode mnie chcecie?

Siedzący już zadem do niego Robal ponownie się odwrócił i z pewnym wahaniem ujął w dwa palce dowód osobisty menela. Tak, by nie zostawić odcisków swoich linii papilarnych i nie ubrudzić palców. Na jego twarzy widać było autentyczne obrzydzenie. Obejrzał niechętnie plastikowy prostokąt, na którym wizerunek facjaty właściciela znacznie odbiegał od aktualnego wyglądu mężczyzny. Robal uważnie przeczytał dane i zadał pytanie. Zupełnie jak policjant albo strażnik miejski przy legitymowaniu obywatela. Prawie niczym prokurator podczas przesłuchania. Gdyby miał lampkę ze starą klasyczną żarówką, zapewne poświeciłby Zbuniowi w te jego kaprawe ślepie.

- Jak się nazywasz?

- No mówię, kurwa. Zenobiusz Kozłowski.

- Drugie imię? Imię ojca?

- Co? Jan. Syn Zygmunta i Kazimiery. Tam pisze.

- Jest napisane. Data urodzenia?

- Co? A, urodzenia. No... Dwudziesty ósmy czerwiec tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty szósty - wyrecytował wkurzony i też trochę zaskoczony Zbunio.

- Czerwca. Nie czerwiec. - Odruchowo poprawił przepytujący.

Robal lekko się uśmiechnął. Pomyślał, że datę łatwo zapamiętać ze względu na historyczne wydarzenia w Poznaniu. Poza tym ten cały kloszard wyglądał dużo starzej. W realu. Na człowieka starszego przynajmniej

o dziesięć lat.

Trzeba było najpierw z należytą starannością potwierdzić tożsamość kandydata do interesu dekady, dopiero potem ustalać warunki współpracy. Przede wszystkim finansowe. Sprawa wymagała od Robala najwyższej koncentracji, skupienia i ostrożności. Jedno nieopatrzone słowo, gest, brak instynktu samozachowawczego, jak też nabranie jakiegokolwiek zaufania do przyszłego niby-partnera, kontrahenta, współpracownika, a z interesu będą nici. Chała. Z każdego biznesu, jaki w najbliższej przyszłości miałyby zrobić. Tu nie zadziałałaby stara biznesowa reguła dotycząca partnerów w interesach, to znaczy „ufaj, ale kontroluj”. Bądź też zasada: „przezorny zawsze ubezpieczony”. Menel nie miał być *stricte* partnerem. W żadnym aspekcie i w żadnym razie.

Jeszcze ten nic nierozumiejący Rudy. Tępak i nieuk. Tragedia po prostu. Zero wsparcia, pomocy. Tego też trzeba pilnować, by nie dał ciała. Ale i tak gość jest najinteligentniejszym ze wszystkich żołnierzy Złotego. Chce się uczyć, co jakby rokuje na przyszłość. Zadaje pytania. To nieźle. Może jeszcze będą z niego ludzie? Gdy się go wychowa i podporządkuje. Ukształtuje, zmusi do myślenia. Oby.

- Adres zameldowania?

- Co? Tu, na Wiejskiej, numer sześć.

- A to jest twój dom? - Widząc nieprzytomny wzrok interlokutora, Robal doprecyzował pytanie: - Czy masz akt własności nieruchomości? Domu, gruntu?

- Co? Aha. No. No niby mam. Ale w chałupie gdzieś

jest... albo nie ma.

Robal poszedł z dokumentem Zbunia do samochodu, na trzy, cztery minuty starannie zamknął drzwi, zrobił mu kilka zdjęć. Dwoma różnymi i najnowocześniejszymi cyfrowymi aparatami fotograficznymi, na wszelki wypadek. Po krótkim zastanowieniu poprawił fotkę swoim telefonem komórkowym. W razie Niemca.

Przez ten cały czas Rudy nie spuszczał lumpa z oczu.

- No to na razie w porządku. - Robal wysiadł z wozu, potem oddał dokument. - Przekazuję ci teraz pozdrowienia od Orzecha.

Zbunio zamilkł. Kilka razy poruszył włochatą szczęką, jakby chciał coś powiedzieć. Widać było gołym okiem, prawie słyhać, że właśnie trwają w jego głowie skomplikowane procesy myślowe. Trybiki zgrzytały jak nienaoliwione, gały w kaprawych oczkach prawie wylażyły mu z orbit. Aż się biedak spocił.

- Jakiego Orzecha? Nie znam. Ja pierdołę! - Zbunio o mało się nie popłakał.

Nie pamiętał żadnego Orzecha. W ogóle w obecnym stanie, czyli po spożyciu i jeszcze na czczo, niewiele mógł sobie przypomnieć. Ani z bliższej, ani z dalszej przeszłości. Ba, nie bardzo kojarzył, co robił poprzedniego wieczora. Spacerok na złomowisko z załadowanym wózekkiem też go trochę wyeksploatował. Na pewno fizycznie. Pragnienie dokuczało jak owsiki na pustyni. Na myśl o odżywczym piwku zwilżył językiem spękane usta.

- Kierowniku... litości, jakieś piwko na pamięć! Suszy jak cholera!

- No to jedziemy. Do widzenia. Najpierw interesy, potem

piwo. To ja tutaj teraz stawiam warunki. Ja pytam, a ty odpowiadasz. Jak nie chcesz z nami gadać, to nie. Znajdę kogoś innego. - Robal znowu uczynił ruch, jakby chciał wsiąść do samochodu.

Zbunio wizualnie się zafrasował. Autentycznie. Podrapał się po brudnej głowie. Potem jakby się nagle ocknął, na jego twarzy pojawiło się coś na kształt zdziwienia.

- Orzech, Orzech. Czekał. Znałem chyba. No. Ale to nie żaden krewny. Siedziałem z takim jednym. W pierdłu znaczy. Chyba to był Orzech. Albo już nie wiem... - Zbunio głośno sobie czknął. - Kierowniku, łyczka...

- Gdzie?

- Co gdzie?

- Gdzie siedziałeś?

- W Rawiczu.

- No to jesteście w domu. Może się jednak dogadamy. A jeszcze powiedz, kiedy siedziałeś i za co? - Robal gestem ręki wywabił Rudego z samochodu.

Ten pokornie wysiadł i stanął obok szefa.

- Co jest, szefie?

- Poczekaj. Zaraz odbierzesz od pana Zenobiusza dowód osobisty. W depozyt. Albo nie. Zostawimy mu na razie, niech nie ryzykuje braku dokumentu. Ale najpierw posłuchamy, co ma nam do powiedzenia na temat pobytu w więzieniu.

- Coo? - Skołowany lump nie zrozumiał wywodu Robala.

- Za co wkitrałeś się do pudła? - przetłumaczył Rudy, używając grypsery. Mniemał, że menel lepiej zrozumie więzienne narzecze niż normalne pytanie zadane mu czystą, literacką polszczyzną. Ponadto Rudy bardzo chciał się jakkolwiek przydać oraz czynnie uczestniczyć w dialogu,

jakby w negocjacjach z tym lumpem. Dość nietypowych. Albowiem tylko jeden z tych trzech wiedział, o co chodzi.

Zbunio zaś lekko niedosłyszał. Tak po prostu. Z naturalnej, oczywistej przyczyny. Jak najbardziej organicznej. Otóż facet od wyjścia z więzienia nie mył uszu. Niczego sobie nie mył. Stara woskowina zalegająca w brudnych małżowinach i kanalikach słuchowych uniemożliwiała prawidłowy odbiór większości normalnych ludzkich dźwięków.

- Co? - powtórzył. Potem jakby coś dotarło. Może czytał z ruchu warg? - A... Za niewinność. No i baba, szmata jedna, mnie wrobiła. I psy się czepiły. Odgarowałem swoje. Kurwa! Jakieś sześć miechów. Ale to dawno było. Wyszłem jakoś tak... zaraz będzie rok. - Mężczyźnie rozwiązał się język. Postanowił zeznawać. Jak na świętej spowiedzi.

Może jeszcze nic straconego i da się coś zarobić?

- No to akurat widać i czuć - skomentował Robal. - Jesteś na warunkowym? - upewnił się jeszcze. - Tylko gadaj prawdę, bo mój kolega się tobą zajmie. A pieścić się na pewno nie będzie.

Rudy zrozumiał przesłanie, zrobił groźną minę, napiął bicepsy i zacisnął pięści. Zmarszczył czoło, podniósł prawą brew. Zrobiło się groźnie. Na pewno dla menela, bo dla obu przybyłych scenka była dosyć groteskowa.

- Co? Nie wiem. A, no tak. Kurwa. Jestem na bezrobociu. I na warunkowym.

- To co, chcesz coś zarobić? Bo się spieszymy. Jak nie chcesz, to do interesu poszukamy kogoś innego.

- No ni-niby chcę. A, a ile? - Zbunio się zająknął, co ewidentnie było oznaką niepewności. Albo właśnie

rodzącego się strachu.

Zenobiusz Kozłowski przypomniał sobie właśnie, jak było pod celą z tym Orzechem. Wysilił się, skoncentrował jak mógł, po czym znowu na moment jakby go olśniło.

Musiał się wtedy dostosować do reguł panujących w pierdlu i pod rzezoną celą. Podczas odsiadki. Musiał też galopem przywyknąć do więziennej hierarchii oraz do grypsowania. Do zrozumienia tego, co mówili grypsujący. Ponieważ do zacnego grona bywalców polskich zakładów karnych nawet nie pretendował. Właściwie nie miał innego wyjścia, jeżeli w tamtym odizolowanym świecie za kratami chciał względnie pożyć, w ogóle przeżyć, i przetrwać do końca odsiadki w dostatnim ciepełku.

Pół roku na państwowym wikcie nie było dla niego nawet takie złe. Można byłoby spokojnie uznać, że wczasy w Rawiczu spadły Zbuniowi niczym manna z nieba. Garował w zimie i wczesną wiosną. W więziennych kaloryferach grzali, podtykali pod nos ciepłą zupkę. Czegóż chcieć więcej?

Wszystko byłoby tam dobre, nawet wspaniałe, gdyby nie dwie bardzo uciążliwe niedogodności. Wręcz katorgi.

Po pierwsze: osadzonych nie częstowano alkoholem, nawet nie pozwolono przemyścić do celi głupiego małego piwka. Zbunio cierpiał okrutnie z tego powodu, ale po dwóch tygodniach męki piekielne stały się nawet do zniesienia. Poniekąd do wytrzymania. Cierpienie spowodowane przymusowym odwykiem jakby ociupinę zelżało. Tęsknił za piwkiem, winkiem, wódeczką i naleweczką, po nocach śnił o ulubionych trunkach

i cierpiał. Bynajmniej nie pokornie i nie cichutko w kątku.

Po wtóre kazali się myć. Właściwie zmuszali. I klawisze, i kumple z tej samej celi. Codziennie! Wszyscy uwzięli się na niego w temacie mycia. Oraz podstawowej higieny osobistej. A częste mycie skraca życie!

Mordercy! Oprawcy! Auuu...

Przymuszali do wycierania tyłka po korzystaniu z toalety, do spuszczenia wody po każdorazowym użyciu, do mycia po sobie uprzednio ufajdanego metalowego kibla stojącego za przepierzeniem w rogu ich więziennego apartamentu.

- Ty łożu pierdolony, pucz se cegielnie!

Domagali się nawet od Zbunia sikania na siedząco. Na siedząco! Żeby lecący strumyczek nie rozbryzgiwał się po ścianach i podłodze.

Też coś! Chłop ma sikać na siedząco? Niedoczekanie!

- Spuszczaj jaruzela, jak julasz, cioto jedna parszywa!

Do tego współwięźniowie stosowali wymyślne tortury manualne.

Bardzo zdecydowanie naciskali na cykliczne pranie podkoszulek, skarpetek i gaci. Nie swoich, łaskawcy, jeno właściciela tych gaci - Zbunia. Swoje prali sami. Te artykuły bieliźniane i inne fragmenty męskiej garderoby, pierwotnie czyste, Zenobiusz vel Śmierdziel otrzymał w prezencie od pierwszego składu kumpli. Ów wcześniej wspomniany Orzech kilka razy dostarczał kolejne. Po jakimś czasie dorzucił do kompletu garderoby bluzę, koszulę, dresik, kapcie i buty. A Zbunio był niezwykajny. Posiadania czegoś nowego, zakładania, noszenia i prania. Lata całe tego nie robił. Przecież tego tak ciężko się nauczyć! Jak narzecza

mandaryńskiego.

Na szczęście dla wszystkich pościel zmieniano raz na tydzień. Prano ją w więziennej pralni. Przynajmniej to. Ale *de facto* ta Zbuniowa wymagała częstszego prania, czego już więzienny regulamin nie przewidział.

Okropność! Okrutnicy!

Nierzadko współwięźniowie egzekwowali swoje stanowisko odręcznie, ponieważ artykułowane werbalnie jakby nie działało. Wszystkie egzorcyzmy odbywały się jednak z zachowaniem wszechobowiązujących norm BHP. Kumple starali się nie ubrudzić rączek, a po wyegzekwowaniu rzeczonoego stanowiska dokładnie myli je mydłem pod ciepłą wodą.

Oprawcy!

Osadzeni codziennie sprzątają sobie sami. Teoretycznie. W salach mają do dyspozycji szmaty, ścierki i służbowe, podstawowe środki czystości. Większość tego towaru przechowywana jest w więziennych magazynach, ale w tym akurat przypadku nie występowało o nie zbyt często. W zasadzie jak zawsze. Ponadnormatywnie schodziły tylko same szmaty. Zbunio okrywał nimi nogi, wkładał je sobie pod poduszkę, a gdy mu było zimno - pod więzienną bluzę. Nijak nie można było mu wytłumaczyć, że bure ściery i szmaty służą do zupełnie innych celów.

Samo słowo „sprzątanie” było dla osadzonego menela zupełnie obce oraz abstrakcyjne.

Do Zbunia absolutnie nie docierało, że zajmowana przez niego pierwsza cela, sześćcioosobowa, była wówczas najbardziej przepustowa w całym więzieniu.

Kumple przychodzili, odchodzili, lokale zmieniali, a on

niezmiennie tam zostawał. Po dwóch miesiącach sytuacja lokalowa na bloku uległa nieznacznej, jednak spektakularnej modyfikacji. Albowiem to jego wreszcie przeniesiono do najmniejszej celi, jaką znaleziono na całym bloku. Dwuosobowej. Z tylko jednym jedynym piętrowym łóżeczkiem. Do celi ciasnej, ale prawie własnej. Przeto komfortowej. Jakich mało w tym kiciu i we wszystkich innych krajowych.

Po prostu naczelnik zakładu karnego przeanalizował sytuację, polegającą na nadmiernej i dynamicznej fluktuacji zasobów ludzkich w tej akurat przestronnej celi, zajmowanej pierwotnie także przez osadzonego Kozłowskiego. Zanim rzeczony naczelnik podjął był wiekopomną decyzję, popartą pisemnym zarządzeniem z podpisem i pieczęcią, przepytał na okoliczność strażników. Do tego jeszcze przesłuchał kilku swoich starych więźniów, których podania i wnioski, też pisemne, stertą zalegały na służbowym biurku naczelnika. Po tym dość nietypowym dochodzeniu sam i z własnej nieprzymuszonej woli poprawił Zbuniowi warunki bytowania. Bez interwencji Amnesty International czy innych organizacji dbających o komfort osadzonych w polskich kiciach, pierdlach i pakach.

Zenobiusz nie wiedział też, że rzeczony „krewny” spod celi o smacznym pseudonimie Orzech, *de facto* Mariusz Laskowski - luźno, jak też doraźnie związany z organizacją jako daleki kuzyn narzeczonej jednego z szeregowych żołnierzy Złotego - wstępnie wytypował go do interesu prowadzonego właśnie przez Robala. Jakiś czas później. To znaczy zagajony został przez innych pracowników Szefa, ale przez niego sowicie wynagrodzony. Za informacje. Po

dostarczeniu. Bo informacja kosztuje i jest najcenniejszym towarem na rynku. Każdym. Zwłaszcza w obrocie gospodarczym.

Jak tylko Orzech dowiedział się o sytuacji życiowej Zbunia, o legalnie posiadanej nieruchomości we Wrocławiu (bardziej o ruderze z lokatorami po kądzieli, po małej części współwłaścicielami, ale przecież w księgach wieczystych nikt nigdy nie napisał „rudera” albo „ruina”), sposobie na życie, nawykach, nawet najlepszych kumplach, wszystkie informacje od razu przekazywał poza mury. Potem, by zaskarbić sobie zaufanie i dozgonną wdzięczność menela, Orzech otoczył go swoistą opieką. Kuratelą jakby. By przypadkiem w tym Rawiczu nie spadł mu włos z głowy. Albo aby współmieszkańcy nie przesadzili w haniebnym procederze egzekwowania czystości w celi. Oczywiście osadzony Laskowski opiekował się osadzonym Kozłowskim na wyraźne polecenie Szefa, bo tak sam z siebie i w pięknych okolicznościach więziennej przyrody na pewno by czegoś podobnego nie wymyślił. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wpadłby na równie idiotyczny pomysł. Zwłaszcza wówczas, gdy chodziło o kuratelę nad menelem, lumpem, kloszardem Zbuniem – śmierdzielem nad śmierdziele. O swoistego bohatera pierdła, ustawicznie lżonego, wytykanego palcami przez współwięźniów.

Tak sprytnie ów opiekun, znaczy Orzech, zagajał, niby przypadkiem interesował się losem kolegi i współczuł, że osadzony Zenobiusz nie tylko puszczał farbę, ale i opowiadał o życiu, o sobie, nawet o kompanach od nalewek cherry. Chętnie, namiętnie, długo oraz wyczerpująco. Ponieważ w pace był trzeźwy jak niemowlę jeża, dodatkowo na tak

zwanym głodzie alkoholowym. I suszyło go ustawicznie.

Z tym włosem jednak przesada. Orzechowi bardziej chodziło o to, by Zbuniowi nie zdjęto ze łba całego skalpu. Naraz i skutecznie. Czyli żeby gość nie zdusił kity albo nie wywinął orła. Inaczej mówiąc, by nie wykorkował po regularnych wykopkach. Żeby po gibaniu zakład karny opuścił o własnych siłach i w jednym kawałku. Bo poza kratami był jeszcze komuś i do czegoś potrzebny. Orzech nie dociekał, na co komu ten śmierdziel po odsiadce. Dla niego był bezwartościowy. Nawet na lachociąga nikomu się nie nadał. Jeszcze ten ktoś trafiłby od śmietnika różę, albo zaraził się innymi parchami? Równie dotkliwymi?

W życiu!

Ale do więziennych zasad szacunek mieć należy. W tym także regularnie trzeba się myć.

Osadzony Zbunio jednak najchętniej czas spędzał na jedzeniu. Więziennych posiłków. Sama szama była istotą jego egzystencji. Kwintesencją jestestwa przy okazji odbywania kary w rawickim kiciu. Albo wykorzystywania nagrody. Zależy od punktu siedzenia.

Pierwsze spożyte tam śniadanko będzie pamiętał do końca życia.

Poranny posiłek więźniów składał się w tym dniu z kilku kromek chleba, margaryny do smarowania pieczywa, pęta kiełbasy jarmarcznej i kubka gorącej kawy. Zbożowej. Z cukrem. Dodatkowo skazani dostali po całym jędrnym jabłku. Odbywanie kary rozpoczęło się w czwartek, zatem na obiadek dostał zupkę kalafiorową, wydawaną elegancko w plastikowych miseczkach, no i w stanie ciepłym. Do tego

serwowano pełne drugie danie: pieczeń wieprzową w sosie z tłuczonymi ziemniakami oraz zasmażane buraczki.

Po prostu sięgająca absolutu psychota!

W piątkowym jadłospisie rawickiego zakładu karnego znajduje się zwykle zupa jarzynowa. Na drugie danie więźniowie jedzą tłuczone ziemniaczki, rybkę, najczęściej panierowaną w cieście, oraz suróweczkę z kiszzonej kapusty.

Zbunio był zachwycony. Wniebowzięty. Spałaszował danie palcami, wylizał talerzyk, potem śnił po nocach o tym delikatesie. Ale to jeszcze nie był koniec ucztowania tego dnia. Ledwie doczekał się ciepłej kolacyjki z pastą serowo-rybną i z całym, ślicznym pomidorkiem.

Tak oto zaczęła się półroczna kulinarna przygoda Zenobiusza. Niekończąca się ucztą godna królów. Dla niego samego ucztą Lukullusa, chociaż oczywiście nigdy o takiej nie słyszał. Warta każdych niedogodności, nawet łomotu spuszczanego mu kilka razy na dobę. Za żywota.

Zenobiusz nie pamiętał z dorosłego przedwieziennego życia, kiedy to jadał trzy posiłki dziennie, do śniadań i kolacyjek pijał gorącą herbatkę albo kawkę. Kiedy ostatnio korzystał z czystych sztuców, nawet plastikowych. Wszystko, co dawali do jedzenia, bardzo mu smakowało. Miseczki wylizywał skrzętnie, do cna, swoje i nie swoje, za co od razu zyskał uroczą ksywę „Śmietnik”, i zaskarbił swoistą sympatię wszystkich panów, z którymi przyszło mu garować.

Pseudonim „Śmietnik” (w więziennej grypszerze także brzuch albo żołądek) funkcjonował razem ze „Zsyphem” i „Śmierdzielem”. Równolegle. Paru gamzających grypsem nazywało Zenobiusza „Słomiakiem” (koszem na śmieci), ale

ta ksywa jakoś się nie przyjęła. Może dlatego, że klawisze i część więźniów nie grypsowała w ogóle. Przez ponad pół roku nikt nie zwracał się do niego per Zbunio. Nawet nie zadano sobie trudu, by taką błażostką zapamiętać. Absolutnym wyjątkiem był Orzech, który zapamiętał. Nie wiedział tylko, od jakiego to imienia. Na pewno od czegoś na zet.

Osadzeni mogli trzymać w celach swoją herbatę, kawę, cukier. Kruche ciasteczka, cukierki w papierkach. Artykuły spożywcze sypkie i niepsujące się szybko. Owszem mogli, teoretycznie, ale w praktyce nie tam, gdzie aktualnie przebywał Śmierdziel. Tam nie mogli. Bezczelnie i bez skrpułów Zsyp zabierał kolegom wszystko, co nadawało się do spożycia. Po czym błyskawicznie spożywał na ich oczach. Nie mógł się oprzeć. Nie pomogły ni prośby, ni groźby. Nie zadziałały szturchańce, kuksańce, inne chwytły. Regularny łomot także nie. Ni cholery. Gość zżerał, jak leci. Co znalazł. Do ostatniego okruszka. Atawistycznie, ekspresowo, dosłownie w mgnieniu oka oraz bezpardonowo.

Klawisze często chodzili po celach i sprawdzali, jak przechowywana jest tam żywność. By nie zalegało nic, co się zepsuło, co spleśniało lub zatechło. Jakiegokolwiek organiczne źródło mikrobów, zarazków i chorób. W tym aspekcie pomieszczenia zajmowane przez Zbunia były nieskazitelnie czyste. Tylko w tym. Gorzej działało się ze Zbuniem. To on bowiem sam w sobie był bezpośrednim nosicielem i źródłem wszystkich tych parchów groźnych dla zdrowia, nawet życia.

Do kiciowego menu często dochodzą rakiety z szamunkiem, inaczej tłuste walizy, przysyłane bądź przynoszone z zewnątrz przez bliskich. Ciasta, cukierki,

soczki, delikatesy w puszkach. Przynajmniej raz na kwartał dostawali takie rakiety prawie wszyscy osadzeni, tylko nie Zbunio. Jemu nie miał kto dostarczać paczek żywnościowych. Wprawdzie żadnych frykasów nie otrzymywał, ale kilka razy się poczęstował. To znaczy robił to za każdym razem. Pod nieobecność kolegów. Właściwie wyžerał im wszystko, co się do tego nadawało. Nie pomogły kolejne łomoty, razy, wsadzanie głowy do klozetu i inne dyscyplinujące szykany. Atawizm menela był silniejszy od zadawanego mu bólu fizycznego.

Zakupy poczynione w więziennej kantynie koledzy Zenobiusza Kozłowskiego spożywali na miejscu. Względnie na więziennych korytarzach w drodze do sali. Odbywało się to po uzyskaniu zgody klawisza dyżurnego. Nie wnosili jedzonka do celi, bo przynoszenie czegokolwiek nie miało najmniejszego sensu. Błyskawicznie zniknęłoby w paszczęce Zsypa jak w przysłowiowej beczce bez dna.

Zbunio nie chadzał na zakupy, bo nie miał pieniędzy. Niby skąd miał mieć? Nadto ani piwka, ani winka, ani jego ulubionej naleweczki nie sprzedawano w więziennych kantynach. Zresztą w ogóle nie raczył wymyślić, że rzeczona kasa jest mu do czegokolwiek potrzebna. Jadło samo przecież do niego przychodziło. Czasami na spacerunku znalazł jeszcze całkiem rześkiego peta, to sobie w kątku zajarał.

Dolce vita. Ot, co!

W niektórych celach, tych nieco lepiej wyposażonych, więźniowie sami gotują sobie dodatkowe posiłki. I w Rawiczu była taka możliwość, owszem, ale nikt o zdrowych zmysłach nie fatygowałby się przy kumplu

Zsypie. Mowy nie było. Jeden z nowych spróbował. Pierwszy i ostatni raz. Zbunio wtranzolił jadło do cna prosto z gara, zanim się ugotowało.

Jedynym wyjściem z tej żywieniowo-sanitarno-logistycznej opresji współwięźniów była zatem pisemna prośba o przeniesienie do innego lokum. Choćby do najbardziej zatłoczonego. Nawet tam, gdzie na jednego więźnia przypadało mniej niż dwa metry kwadratowe powierzchni mieszkalnej.

Początkowo Zbunio trafił do celi, w której stało szkiełko. Czyli w więziennej grypserze: telewizor. Jeden z kumpli otrzymał od kierownika bloku pisemną zgodę na zainstalowanie takowego sprzętu, powiadomił osobistą żonę, a ta z domu przywiozła mu kolorowy telewizor. Trzydzieści dwa cale. Nowoczesny, bo na pilota. Sprzęt, zanim trafił na salę, został dokładnie sprawdzony pod kątem bezpieczeństwa. Zgodnie z procedurą. Tak jak wszystkie paczki trafiające z zewnątrz do każdego zakładu karnego na świecie.

Telewizor służył chłopakom przez kilkanaście miesięcy. Dbali o niego, codziennie odkurzali, pucowali, cyklicznie wymieniali baterię w pilocie. Śmierdziel załatwił urządzonko w pierwszy dzień pobytu. Na cacy. Gdy zwyczajowo w celach około godziny dziewiętej rano wyłączono prąd (by wiara nie gnuśniała w wyrach, tylko zajęła się czymś pożytecznym, na przykład tyrką), zawiedziony niemaniem obrazu Zbunio tak się wkurzył, że po swojemu wszystko naprawił. I aparat telewizyjny, i pilota przynależnego temuż urządzeniu. Po tej naprawie nic nie nadawało się do użytku. Fachura Zbunio przez kilka dni także nie, w samo południe

bowiem, zaraz po ponownym włączeniu prądu i powrocie kumpli z siłowni, kółka szachowego i biblioteki, rzeczeni kumple spuścili mu prawdziwy i zupełnie nie telewizyjny, organoleptyczny łomot. Nie bacząc nawet na emitowane przez Śmierdziela wonie oraz jego bardzo głośne jęki.

- Ty, robaczku. Na pewno nie będziesz stratny, ale działasz na naszych warunkach. I pełne posłuszeństwo. Gdy tylko podskoczysz, coś niemiłego ci się przydarzy. Pamiętasz swojego kumpla Waldusia? Miał przykry wypadek, prawda?
- kontynuował dialog z menelem Robal.

Zbunio trwożnie, ale potakująco kilkakrotnie kiwnął głową. Właśnie zaczął się telepać ze strachu. Nawet z tego powodu trochę zmoczył spodnie. Prawdopodobnie także lekko sfajdał odzienie, ale akurat wtedy fizjologicznego nagłego zdarzenia nie było czuć. Z powodów oczywistych. To znaczy pan cuchnął był okrutnie i constans co najmniej od Wielkiej Nocy.

Z usłyszanego właśnie przekazu o Waldusiu Zbunio prostolinijnie był zrozumiał, że ktoś od tych eleganckich, czystych i pachnących gości maczał paluchy w śmiertelnym zejściu długoletniego przyjaciela od balang. Równocześnie bywalca tych samych skupów złomu i śmietników. Sam przecież niewiele pamiętał, zatem tym bardziej prawdopodobny stał się udział gawędzących sympatycznie smutasów w wyprawieniu przyjaciela na tamten świat.

- Wącha kwiatki od spodu. Już czwarty miesiąc. Tak?

- Coo? Tak... czwarty. Buuu...

- Bo za bardzo fikał. Dlatego wącha. - Robal poczekał nieco, aż Zbunio dojdzie do siebie i przestanie wyć. - No to

co? Wchodzisz w ten interes? Czy fikasz? Gadaj, zanim się rozmyślę. – Teraz to Robal zrobił groźną minę.

– Dobra. Niech wam będzie. Zgadzam się. A moje piwko? Dajcie chociaż na małego browarka... Panowie, kurwa, jak rany! To chociaż jedną złotóweczkę.

Robal ze stoickim spokojem otworzył bagażnik samochodu. Ale zamiast portfela z pieniędzmi oraz oczekiwanego piwka wyjął elegancką teczkę typu aktówka. Skórzaną i na zamek szyfrowy. Z niej przez jednorazową chusteczkę do nosa wydobył kilka czystych kartek papieru formatu A4 i srebrny długopis.

– Jutro dostaniesz to swoje piwo. W zasadzie pojutrze. Nawet dwa piwa. Ale dopiero po małej robocie. Potrzebujemy cię trzeźwego. Jeżeli to w ogóle możliwe. – Robal pogroził palcem. – Jeżeli do pojutrze tkniesz jakąkolwiek flaszkę z alkoholem, rum na kościach albo coś w tym stylu, podzielisz marny los tego swojego Waldusia. A teraz się podpisz. Na każdej kartce na dole. Czytelnie: imię i nazwisko. I nieczytelnie. Parafą.

– Coooo?

– No parafą. Dobra, to normalnie się podpisz i bez parafy.

Widząc ogromne zdziwienie i wahanie Zenobiusza, Robal doprecyzował:

– Umiesz pisać?

– No umiem. Kurwa.

– No to się podpisuj. Na dole. Na wszystkich pięciu kartkach. Tak samo. Pełne imię i nazwisko. – Robal zwrócił się do Rudego. – Robert, pomóż mu. Łap te kartki przez chusteczkę! I nie dotykaj ich palcami.

Robalowi przeszło przez myśl, że koniecznie trzeba zakupić jakieś jednorazowe rękawiczki. Najlepiej chirurgiczne.

Zbuniowi tak się trzęsły ręce, że dwa razy pomylił się przy swoim imieniu i raz przy nazwisku. Kilka kartek zabazgrał jak kura pazurem. Diabłu cyrograf byłby podpisał, żeby tylko nie zrobili mu tego samego co Waldusiowi.

Rudy był nadal zdziwiony, ale ze stoickim spokojem przejętym od szefa, do tego z kamienną twarzą pokerzysty podkładał lumpowi kolejne kartki do podpisywania. Także używając do tej czynności chusteczki podanej przez Robalą.

Do smrodu troszkę już się przyzwyczał i jakoś szło. Obyło się bez okolicznościowego hafciku.

Wreszcie Robal zgarnął wszystkie jedenaście podpisanych kartek i schował je do aktówki.

- Dobrze. Na razie wystarczy. Na początek. A teraz słuchaj uważnie... - zwrócił się do lumpa, podszedłszy do niego troszkę bliżej.

Uczył to wprawdzie z ogromnym obrzydzeniem, ale prawie bezpośredniego, niemal organoleptycznego kontaktu wymagała zarówno sytuacja, jak i to, co lumpowi miał do powiedzenia.

- Jutro cię sprawdzimy. Czy nie pijesz alkoholu. Znajdziemy cię tak czy owak, więc nie ma sensu się ukrywać. Ani uciekać z miasta. Zrozumiałeś?

- Co? Nie wiem... No... - Kozłowski trząsł się jak osika.

- Pojutrze przyjedziemy po ciebie około ósmej rano. Tym samym autem. Na Wiejską. Staniemy przy innej chałupie, na tym starym przystanku autobusowym. Zapamiętasz?

Zbunia wmurowało w podłogę. Był w stanie jedynie

szerzej otworzyć swoją śliczną buźkę, podnieść troszeczkę górną wargę, i tym samym nieco obnażyć wielce sfatygowany garnitur uzębienia górnej szczęki. Choć słowo „garnitur” byłoby w tym wypadku z pewnością sporym nadużyciem.

- Masz zabrać ze sobą dowód osobisty i wszystkie dokumenty, jakie tylko znajdziesz w domu. Masz być trzeźwy, umyty i w najlepszych ciuchach, jakie masz w chałupie. Zrozumiałeś?

Widząc tępy wyraz zarośniętej facjaty interlokutora, Robal powtórzył komunikat:

- Jeszcze raz. Słuchaj! Spotykamy się nie jutro, a pojutrze. Jutro możemy cię sprawdzić. Nic nie kombinuj, tylko masz być na spotkaniu. Bo inaczej szybko cię znajdziemy i coś niemiłego może ci się przytrafić.

Zbunio od jakiegoś czasu tylko potakująco kiwał głową. Z rozdziawioną gębą i twarzą jakby nieskażoną myślą. Z autentyczną, nieskrywaną trwogą wypisaną na nieogolonej gębie i w wyblakłych, kaprawych oczkach.

Robal natomiast miał coraz większe wrażenie, że gość ze strachu nic a nic nie jarzy. Zero kumania. Poza tym menel miał ogromnego kaca, a ten fakt ewidentnie przeszkadzał mu w jakiegokolwiek percepcji oraz ewidentnie utrudniał komunikację. Z kimkolwiek.

- Jeszcze raz. Pojutrze o ósmej rano jesteś przygotowany do dłuższej wycieczki. I się umyj. Bo nam zasmrodzisz auto. I gacie jakieś czyste załóż na tyłek!

- Dajcie na piwko...

- Damy jutro. Dostaniesz kasę na całą beczkę piwka. Cześć. A, jeszcze jedno! Nikomu pary z gęby, bo kolega

zrobi z ciebie marmoladę!

Biznesmeni, na razie dobrze się zapowiadający i potencjalni, wsiedli do samochodu, zapięli pasy bezpieczeństwa i odjechali w kierunku centrum wrocławskiego przedmieścia Kamieńska.

Zbunio jeszcze kilka minut stał w tym samym miejscu, w którym zostawili go mężczyźni, i patrzył w kierunku, gdzie zniknął szary samochód. Zadumał się nad dziwnymi facetami, którzy chyba właśnie zaproponowali mu zrobienie interesu życia.

- Ale o co chodzi? Ja pierdolę...

- No, Rudy. Robaczku. Uff. Pierwsze koty za płoty. Teraz pojedziemy do sklepu po twoje spodnie i kurtkę. Albo bluzę. Potem na Spokowice. Pokażę dokąd i jak tam dojechać. Będzie prostą drogą w kierunku starówki.

- Gdzie? Po co? Powiesz coś?

- Tak. Oczywiście. Powiem ci tyle, ile trzeba. Na tych Spokowicach, to takie duże osiedle niedaleko centrum, wynająłem dla nas mieszkanie. W olbrzymim bloku. Pełna anonimowość, a nie tak, jak na kolonii domków jednorodzinnych. To znaczy wynająłem dla was dwóch. Dla ciebie i Zbunia. Na miesiąc. Tyle powinno wystarczyć. Ty od jutra, nie, od pojutrze, opiekujesz się tym lumpem dzień i noc, ja natomiast wracam do hotelu.

Widząc zdziwienie na twarzy Rudego, wyjaśnił oraz doprecyzował:

- To znaczy: stale go pilnujesz. Żeby nie uciekł albo nie wyszedł gdzieś na łajzy. Karmisz i poisz. Ubierasz, niańczysz. Po robocie odwieziemy go do domu. No, bez

przesady. Może gdzieś w pobliżu domu. Nie możemy go tam zostawić, bo jeszcze zapamięta lokalizację chaty, a do tego nie można dopuścić.

- Aha. Dobra. Może dam radę. Nigdy jeszcze nie niańczyłem żadnego menela. Najwyżej siostrzeńca mojej byłej kobiety. Ale on miał wtedy pięć lat. - Robal podrapał się pod nosem. - Ty, Robal! Dlaczego powiedziałeś do mnie Robert? Przecież chyba wiesz, że mam na imię Wojtek.

- No tak. Robert. Rzeczywiście. Zapomniałem. Bo to teraz będzie twoje nowe imię. Na jakiś czas. Zaraz dostaniesz nowe papiery na nazwisko Roberta Zielonki. Dowód i prawo jazdy. Te twoje zabiorę. Przez najbliższe kilka tygodni nie będą ci potrzebne. Najpierw nauczysz się na pamięć swoich nowych danych. Dostaniesz też nowy telefon na kartę. Ze starego nie korzystasz, twoją kartę także zabiorę i wyjmę z aparatu. Zero połączeń do tych twoich rudych lasek. Podczas pobytu we Wrocławiu nie dzwonisz do mamusi ani do siostry, szwagra, kogo tam masz. Ten telefon służy wyłącznie do kontaktów ze mną i z szefami. Gdyby coś się stało na ulicy, z niego dzwonisz na pogotowie. W mieszkaniu, znaczy na tej wynajętej chacie, macie telefon stacjonarny i z niego możesz też awaryjnie korzystać. Gdyby coś się stało. Oby nie za często. Najlepiej wcale. Za jakąś godzinę jestem umówiony w tej nowej chacie. Ty czekasz w samochodzie, nie pokazujesz się właścicielowi. Ta meta jest właśnie na osiedlu Spokowice. Tymczasowa.

Rudy milczał i wsłuchiwał się w słowa Robala. Był coraz bardziej zaskoczony.

- Aha, hmm... Robercie, jeszcze dwie sprawy. - Robal

westchnął. – Proszę, abyś mojego imienia nie poprzedzał słowem „ty”. To nieeleganckie i wielce irytujące. Po wtóre, zapewne się zastanawiasz, dlaczego ci nic nie mówię?

– No... Trochę? Właściwie nic nie wiem.

– Wszystko w swoim czasie. Tak trzeba. Jeszcze dzisiaj dowiesz się więcej. Najpierw się zainstalujesz. Potem sobie posiedzimy, pogadamy, ustalimy co i jak. Ja tu jestem od myślenia, ty od roboty. Wstępne zasady naszej współpracy ustaliliśmy w firmie, i tego się trzymajmy. Zrozumiano?

– Dobra, szefie. To znaczy: tak jest. Ty tu rządysz. A mogę jeszcze o coś zapytać?

– Pytaj. Kto pyta, nie błądzi. Najwyżej nie odpowiem. – Robał się uśmiechnął.

– A jak ty się nazywasz? Bo nie wiem.

– Dowiesz się za kilkanaście dni. Będzie mnóstwo spraw do załatwienia. Przy tym masz od groma informacji do zapamiętania. Powolutku. Wszystko w swoim czasie. Już wkrótce załapiesz wszystko. Okej?

– Uhm...mm.

Robał znowu lekko się uśmiechnął.

– Jutro robimy dzień gospodarczy. Przygotowujesz mieszkanie, zaopatrujesz lodówkę, poznajesz najbliższą okolicę. Kupujesz, co tam tobie, właściwie wam, potrzeba. Z tą jutrzejszą kontrolą menela to był oczywiście bluff. On na pewno coś łyknie, bo nie wytrzyma, a im mniej się w okolicach Kamieńska pojawiaemy, tym dla nas bezpieczniej.

– Dobra. Ty tu rządysz – powtórzył Rudy. – To znaczy: tak jest, szefie! Jutro mamy dzień gospodarczy. Robimy zakupy, omawiamy robotę.

„Szybko się chłopak uczy. Może nie da ciała? Chyba jeszcze z tego Rudego będą ludzie. Będzie dobrze. Musi być dobrze!” – pomyślał Robal.

- Kurde Felek, znowu jakiś lump nam się trafił. Pewnie bezdomny. Na dodatek kloszard. Ja to mam farta. Niby już nieboszczyki, a czepiają się mnie jak rzep psiego ogona. - Stopa sprawnie założył na dłonie lateksowe rękawiczki i z pewnego oddalenia obejrzał sobie nagie zwłoki mężczyzny. Leżały w chaszczach, w dole, na ugorze na obrzeżach Kamieńska, opodal starych ogródków działkowych. - Facet chyba nie żyje od kilku dni. I na pewno nie zszedł tutaj. Hmmm... Jakoś nietypowo leży, a właściwie prawie siedzi.

- Skąd wiesz? - Stojący za Tomaszem Mundek także przyglądał się leżącym zwłokom. - Że od kilku dni? - doprecyzował, bo pytanie zabrzmiało nieco dziwnie.

W pewnych momentach niektórych prowadzonych dochodzeń panowie prawie doskonale się uzupełniali. Tylko prawie. Do doskonałości sporo brakowało. Edmund zwracał większą uwagę na otoczenie miejsca zdarzenia, Tomasz starał się skupiać na detalach, na śladach, wnikliwie analizować każdy szczegół anatomiczny ofiary, najmniejszy strzępek informacji. Jakby pod kątem przyszłej pracy anatomopatologa. Albo bardziej niczym brytyjski koroner. Edmund zdecydowanie wolał siedzieć za swoim biurkiem, wypełniać formularze i obrabiać kwity. Wertować akta i oczywiście nie biegać po chaszczach za lumpami jak jego

służbowy partner. Nawet nie za bardzo odpowiadało mu fizyczne przesłuchiwanie podejrzanych.

W odróżnieniu od kolegi Stopiński preferował działania w terenie. Tam czuł się jak ryba w wodzie. Uważał także, że od papierów są przeszkoleni w fachu dochodzeniowcy i sekretarka. Ewentualnie komendant. On zaś sam powinien łapać złoczyńców, potem dostarczać tychże do obróbki innym. Łapać czynnie, własnoręcznie, nawet biegając po ugorach. A nie siedzieć na dupie za zdezelowanym biurkiem. To właśnie najbardziej lubił i robił najlepiej. Nie wertowanie papierów i wypełnianie formularzy.

- Popatrz tutaj. Gość jest sztywny jak diabli. Stężenie pośmiertne, przykurcze i te sprawy. O, zobacz, i ma różnie ułożone plamy opadowe - stwierdził Tomasz. - Ja się tam za bardzo na opadach nie znam, ale na studiach miałem anatomię. Egzamin zdawałem dwa razy, to się troszeczkę naumiałem. Z fizjologii pięć razy. He, he. Takich rzeczy się nie zapomina. Poza tym truposz jest goły jak święty turecki i nie ma żadnych ciuchów. Właściwie dlaczego? W pobliżu także niczego takiego nie ma. Ty, Mundek, ale my go chyba skądś znamy?

Partner patrzył na Tomka z lekkim zdziwieniem, ale uważnie słuchał tego, co mówi.

„Jaki egzamin z fizjologii, do diaska? O czym on gada?”.

- Właśnie. Też mi się tak wydaje. Gęba jakoś znajoma. Faktycznie, to chyba nasz miejscowy menel. Mamy go chyba w bazie. Na sto procent. Już kiedyś go obrobiliśmy przy kradzionym złomie. Jak mu tam?

- Chyba mu jest Walduś. Nazywa się, to znaczy nazywał, jak jakiś artysta. Aktor? Malarz? Nie, czekaj, pisarz. Cholera

jasna... Zapomniałem.

- Czekaj. Mam na końcu języka. Wysocki? Winiarski?

- Wiem. Dąbrowski. Chyba. Waldemar Dąbrowski. Tyle tego w szkołach było, że mi się wszystko krochmali. Pisarze, poeci, malarze. Nie, cholera, Konopnicki? Mam! Konopacki! Był w ogóle jakiś sławny Konopacki?

- Nie wiem - wybąkał niepewnie Mundek, jeszcze bardziej zaskoczony niż przed chwilą.

- Czekaj. Zaraz. Była na pewno jedna Konopacka. Lekkoatletka chyba. Mundek, sprawdź go, proszę, przez radio. Zaczynj od Waldemara Konopackiego.

Mundek poszedł do radiowozu, by spełnić prośbę partnera, Tomasz obchodził zwłoki w kółko, ale ze znacznej odległości.

- Trafiłeś tego lekkoatletę. Wygląda na to, że to nasz Konopacki.

- No to teraz trzepiemy piątą brygadę podziemną. Poczekamy parę dni na sekcję. Właśnie, à propos. Kto znalazł zwłoki? - Stopa zauważył starszego mężczyznę, stojącego opodal w towarzystwie jednego z mundurowych. - Mundek, zajmiesz się panem? Ja pogadam z technikami.

- No...

Przygodny, przypadkowy świadek, i to nie samego zdarzenia, tylko widoku truposza, nie miał za dużo do powiedzenia. Pan mieszkał niedaleko. Przyszedł nazrywać świeżych i nieskażonych spalinami liści mlecza (to znaczy mniszka lekarskiego) dla króliczków wnuczki. Zobaczył nagiego gościa, stwierdził, że ten chyba nie żyje, potem zawiadomił policję. Nawet blisko nie podchodził, bo się bał.

- Czego?

- A tak ogólnie. Trupa i takich tam.

Reanimacji ani żadnej innej osobistej pomocy pokrzywdzonemu świadek jakoś nie wymyślił. Wszystko na ten temat.

Tomasz Stopiński westchnął. Do czasu otrzymania protokołu z sekcji zwłok nie mieli za dużo do roboty. Trzeba było uzbroić się w cierpliwość. Mogli tylko potwierdzić swoje przypuszczenia co do tożsamości znalezionej menela, odszukać jego kumpli i spróbować przesłuchać ich na okoliczność. Podobnych meneli, ustalonych oraz spisanych przy innych okolicznościach. Mogli dopilnować techników, by dokładnie zabezpieczyli ślady. Wokół truposza przede wszystkim. Potem zamierzali je wstępnie zanalizować. Jeszcze zadbać, żeby ze znalezionych opodal Waldusia starych, zardzewiałych tacek ogrodowych koledzy technicy kryminalistyczni wyciągnęli, co się tylko da. Przede wszystkim ślady linii papilarnych, inne przydatne. A może zostały czyjeś ślady biologiczne? Możliwie inne mikroślady istotne dla rozpoczętego postępowania. Nitki materiału, strzępki roślin, sierść zwierząt.

Może także, oprócz starszawego pana, który natknął się na zwłoki, cudem znajdą się jacyś inni świadkowie?

Potem jeszcze należało odszukać krewnych umrzyka. Bliższych, dalszych, jakich bądź. Kogoś, kto wywiesi klepsydrę na słupie ogłoszeniowym, dziedziczy po wujku albo po prostu zabierze sobie zwłoki. Następnie zorganizuje Waldusowi pogrzeb. Będzie opłakiwać przedwcześnie zmarłego, kochanego, nieodżałowanego i wspaniałego obywatela Trzeciej RP - pana Waldemara Konopackiego.

A jak nie odszukają, to miasto Wrocław pochowa Waldusia na własny koszt w alei zasłużonych kloszardów. Na najbliższym cmentarzu komunalnym.

Mozolna, wredna robota, a w tym wypadku jeszcze brudna i śmierdząca. Bo na terenie podległym KP Kamieńsko znaleziono nagiego trupa kloszarda.

- Psia mać, znowu babranina w gównach i w odpadkach. To już w tym Kamieńsku nie mogą utłuc nikogo normalnego i umytego?

Zlecona formalnie przez prokuraturę na mocy art. 209 § 1. k.p.k. sekcja zwłok rzezonego Waldemara Konopackiego nie wykazała poważniejszych obrażeń zewnętrznych. Ani wewnętrznych. Działania osób trzecich także nie.

Oględziny i otwarcie zwłok przeprowadza się wówczas, gdy zachodzi podejrzenie przestępnego spowodowania śmierci. To znaczy w wyniku przestępstwa. Wstępnych oględzin zwłok dokonuje prokurator, a w postępowaniu sądowym sąd z udziałem biegłego lekarza, w miarę możliwości z zakresu medycyny sądowej. To teoretycznie. W szczególnych wypadkach oględzin dokonuje policja z obowiązkiem niezwłocznego powiadomienia prokuratora. Tych pierwszych, „wstępnych” oględzin zwłok dokonuje się na miejscu ich znalezienia. (Albowiem w przepisach regulujących te kwestie nie ma czegoś takiego jak wstępne oględziny). Do czasu przybycia biegłego oraz prokuratora lub przedstawiciela sądu zwłoki można przemieszczać lub poruszać tylko w razie konieczności.

Czyli nie tykać, nie zdeptywać, i w ogóle łapy precz!

(Poza tym na miejscu zdarzenia nikt nigdy nie widział żadnego przedstawiciela sądu. W kilku krajach europejskich

mają koronerów albo sędziów śledczych. A u nas mamy jedynie prokuratorów. To musi wszystkim wystarczyć).

Można patrzeć i podziwiać z daleka, stojąc za taśmą, którą zwykle rozciąga policja w celu odizolowania miejsca przestępstwa. Albo nie rozciąga, bo odpowiednią taśmą akurat nie dysponuje. Jednakowoż gapiów ci w Polsce dostatek. Powszechne zjawisko należy mieć na uwadze.

Podstawą prawną części opisowej protokołu sekcji zwłok, który powinien być dokładnym sprawozdaniem „z dokonanych czynności i spostrzeżeń” biegłego, jest art. 181 k.p.k. Przepis ten stanowi między innymi, że przed przystąpieniem do właściwych oględzin ciała należy, w razie potrzeby, dokonać oględzin ubrania zwłok i odnotować krótko ich wyniki. Anatomopatolog (osobisty lekarz umrzyka, zarazem lekarz ostatniego kontaktu) miał zatem zadanie ułatwione, żadnej bowiem części garderoby na zwłokach nie stwierdzono. Przy nich i pod nimi także nie. Nadto nikt nie musiał się babrać w cuchnących lumpach lumpa, po których pierwotnie najprawdopodobniej chadzały jeszcze różnorakie niemile w odbiorze, niesympatyczne, upierdliwe, bardzo malutkie stworzonka. Widoczne i niewidoczne.

Przeprowadzona sekcja ustaliła ponad wszelką wątpliwość, że wprawdzie chłop zszedł był z tego padołu jakby przedwcześnie, bo niby w sile wieku, czyli nie przekroczywszy nawet pięćdziesiątki, jednakowoż w zasadzie niemal naturalnie. A to z powodu niewydolności krążeniowo-oddechowej i zadławienia wydalaną treścią żołądkową, spowodowanymi przede wszystkim zatruciem alkoholowym. Dokładniej metanolem.

To także była bezpośrednia przyczyna spektakularnego zakończenia imprezy. Przez Waldusia, co oczywiste. Wszelkiej działalności Konopackiego na tym padole. Oraz aktywności towarzyskiej. Gdyby metanol zagryzany był etanolem może gość przeżyłby jakoś także ten ostatni melanż. Bo to chyba jednak był gromadny melanż, zważywszy na pośmiertny transport nieboszczyka. A było odwrotnie i długotrwanie. W efekcie na wiegda.

Po kilku dniach od zejścia nie można było bardzo dokładnie ustalić, jaka ilość promili krążyła w żyłach aktualnego truposza tuż przed zdarzeniem. Ustalono w przybliżeniu. Na pewno Walduś zawierał ponad trzy i pół promila alkoholu. Miewał więcej, ale w tym wypadku wyłopał dużo za dużo.

Wiadomo było po tej obdukcji, że parę Waldusiowych organów wewnętrznych już od dawna nie funkcjonowało prawidłowo. Oprócz nowotworu złośliwego trzustki w stadium początkowym oraz marskości wątroby w stanie zaawansowanym, stwierdzono także kwasicę, kamice i inne podobne sympatyczne dolegliwości. Na przykład pasożyty. Jeszcze zakażenie bakteryjne i grzybicze. Ogólnoustrojowe. Cud, że w ogóle jego organy dotychczas funkcjonowały. Każdy inny pospolity niemenel od dawna gryzłby glebę, umarłszy na przykład na sepsę.

Jednakowoż lekarze anatomopatolodzy już zdążyli się przyzwyczaić do fizjologicznego cudu. Zwłaszcza przy tego typu pacjentach, których ci dostatek w wielkim i polskim mieście. Szczerze powiedziawszy, świat medyczny czeka na genialny pomysł jakiegoś długoletniego bezdomnego, polegający na podpisaniu przez onego oświadczenia

zezwalającego wykorzystać jego własny potencjalny zewłok do celów naukowych. Do badań klinicznych. Liczne rzesze studentów byłyby na pewno zachwycone. Szczególnie ci, którzy pierwszy raz w życiu udali się do prosektorium na zajęcia z anatomii. Władze wydziałów lekarskich także zacierająby ręce, tym samym bowiem naturalnie przerzedziłoby się grono studentów. Praca z młodzieżą stałaby się mniej uciążliwa, zwolniłoby się miejsce na parkingach pod uczelnią. Panie z dziekanatu nie musiałyby siedzieć do wieczora. A wszystko dzięki takim przezornym Waldusiom, Zbuniom i innym Sewerynom.

Policjanci z Komisariatu w Kamieńsku także nie zasypiali gruszek w popiele.

Pod nadzorem prokuratora rejonowego prowadzili dynamiczne czynności dochodzeniowo-śledcze, w celu ustalenia okoliczności śmiertelnego zejścia kolejnego niestarego menela.

Postępowanie szło na razie w sprawie, konkretnie w sprawie okoliczności ewentualnego nieumyślnego spowodowania śmierci, czyli przestępstwa z artykułu 155 Kodeksu karnego. Także nieudzielenia pomocy, o czym traktuje artykuł 162 k.k., bądź też znieważenia zwłok, czyli czynu karalnego, opisanego w artykule 262 § 2 k.k.: „Kto ograbia zwłoki, grób lub inne miejsce spoczynku zmarłego, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 8”. I jeszcze: „W sytuacji, gdy sprawca, okradając zwłoki, jednocześnie je znieważa, dopuszcza się jednego czynu, wyczerpującego znamiona z § 1 i 2 art. 262” (oczywiście Kodeksu karnego).

Przede wszystkim Stopa i Mundek chcieli się dowiedzieć, dlaczego znalezione zwłoki mężczyzny (Waldemara K.) były nagie. Bo ta kwestia była dla nich wielce interesująca. Niemalże kluczowa. No bo kto taki połaszczył się na odzienie wierzchnie denata? Nazwijmy je stylowym i markowym?

Tak samo pasjonująca wydawała się wiedza, z kim ostatnio Walduś spożywał, co takiego przyjął go gardła? Gdzie to było, i dlaczego owo spożywanie zaszkodziło tylko jemu? Innych członków piątej brygady podziemnej w stanie postżywotnym jakoś wówczas nie znaleziono. Ani w okolicznych rowach, ani w chaszczach, ani na ustalonym rychło miejscu zdarzenia, czyli w jednej z zasiedlonych przez kloszardów altanek na pobliskich ogródkach działkowych.

Następnie policjanci musieli od kogoś uzyskać odpowiedź na nurtujące ich kolejne pytanie, dlaczego kolega menel trafił w chaszczę przydrożnego rowu oraz jakim sposobem. Albowiem nie do końca przychyłali się do jednej z naprędce postawionych hipotez, że nieboszczyk dotarł tam sam, bez niczyjej pomocy, i jeszcze, zanim zajął wygodną pozycję półleżącą, rozebrał się, a następnie ukrył w tajemnym miejscu całe swoje odzienie. Że tenże nieboszczyk sam się teleportował do zarośniętego chaszczami rowu, a jego osobiste ciuchy z tyłka uszły w siną dal. To znaczy: też odwędrowały same.

Pies policyjny doprowadził detektywów do przestronnej, starej, ale zadaszanej altanki na ogródkach działkowych. Ciemnej, przeto przyjemnej.

Tam, w tym przytulnym domku, odkryto widoczne gołym

okiem ślady hucznej imprezy. Suto zakrapianej różnorodnymi gatunkami alkoholi. Do tego wszędzie wałały się resztki po zagryse: pieczywko, chyba konserwowe ogóreczki, śledziki z puszki (bardziej zdezelowane puszki po śledzikach), słoiczki po owocowych kompotkach i po dyni w occie.

Z zastanego widoku policjanci wysnuli jedynie słuszny wniosek, że imprezowicze poczęstowali się zawartością piwniczki jakiejś przedsiębiorczej gospodyni. Z pewnością niektórzy z nich przynieśli te dobra ze sobą. Na przykład w ramach wkupnego.

W Kamieńsku i okolicach stale ktoś się włamuje do przydomowych piwnic, a że niewielka wartość skradzionych przedmiotów stanowi o „niskiej szkodliwości społecznej czynu”, to lokalna policja nie odnotowała skarg od ludności. Jeżeli właściciel piwniczki odkryje manko w przetworach, to po prostu wścieknie się w zaciszu domowego ogniska. Zelży małżonka, że nie przypilnował, potem obieca sobie, że już delikatesów do piwnicy nie zanieś. Albo ich w ogóle nie wyprodukuje.

Pierwotny właściciel i producent smacznej (w każdym razie na pewno jadalnej) dyni pozostał tym samym anonimowym.

Podczas czynności operacyjno-śledczych ustalono ponad wszelką wątpliwość, że w rzeczonej prywatce uczestniczyło co najmniej pięć osób. Płci męskiej. Przynajmniej owa płć określona została zaraz po urodzeniu jako męska, bo teraz, po wielu latach imprezowania, to nie do końca było wiadomo. Rysy twarzy takich osobników oraz kondycja ich organów płciowych na pewno nie świadczyły

o stuprocentowej męskości. Żadnej damy chyba tamże nie było, a jeżeli kolegów jakaś odwiedziła oraz czynnie uczestniczyła, to na krótko i przypuszczalnie bez noclegu.

Wśród worów i tłumoków umiejscowionych pod okienkiem altanowego saloniku znaleziono jednego z aktualnych właścicieli posesji. To znaczy osobę, która niedawno przejęła w tymczasowe władanie tłumnie zasiedloną nieruchomością działkową. Inaczej i precyzyjniej rzecz ujmując, pana dosłownie odkopano. Smacznie kimał w stanie absolutnej nieważkości, wtulony w utyłane czymś lepkiem resztki dziecinnej kołderki. Druga osoba odnaleziona na posesji, teoretycznie żywa, praktycznie zastygła w bezruchu pod zdezelowanym stołem. Dzierżąc w dłoni pustą buteleczkę po naleweczce cherry. Na szczęście owa osoba jeszcze do końca nie ostygła, zatem doświadczonym policjantom udało się śpiącego dobudzić, prawie spionizować i spowodować, by z otoczeniem nawiązał kontakt wzrokowy. Przynajmniej taki.

Po drugiego z panów przyjechały umundurowane posiłki i odwiozły na publiczny detoks. Albowiem po czynnościach prawie reanimacyjnych Stopa uznał, że sami z Mundkiem nie dadzą z nim rady. O przesłuchaniu potencjalnego świadka zdarzenia na razie nie było mowy. Absolutnie.

- Jutro rano chyba też go nie przesłuchamy. Spróbujemy po południu. Może się uda. - Stopa próbował realnie ocenić sytuację.

- Może. Bo ja idę z moją na imieniny. Chyba że nie pójdę - wysapał aspirant Edmund.

Imprezowicz z buteleczką wygodnie dojechał do komisariatu policji w Kamieńsku, a tam odprowadzony

został na dołek. W asyście oraz przy wydatnej pomocy kolejnych dwóch mundurowych. Oczywiście buteleczkę mu odebrano i fachowo zabezpieczono jako kolejny materiał dowodowy. Tak na wszelki wypadek.

Funkcjonariusze postanowili dać chłopu szansę na wytrzeźwienie, tym samym na powrót do żywych oraz ewentualnie rozmownych. Była to na razie jedyna osoba, od której mieli nadzieję uzyskać wkrótce, w ciągu kodeksowych czterdziestu ośmiu godzin, odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Przynajmniej na część z nich. Do tematu postanowili wrócić następnego dnia, czyli jakieś dwadzieścia kilka godzin od momentu zatrzymania gościa do wyjaśnienia.

Na szczęście dla potencjalnych osób postronnych policyjny dołek nie był nikim zasiedlony, bo drugi lokator z pewnością nie zniósłby towarzystwa bardzo nieświeżego kłozarda. Tym bardziej po kilkudniowej imprezie.

Chociaż z drugiej strony bardzo szkoda, że nie był, ponieważ po bezpośrednim kontakcie organoleptycznym (albo tylko zapachowo-wzrokowym) z nowo przybyłym ten drugi osadzony na pewno przyznałby się natychmiast do wszystkiego, co mu zarzucano. Pewnie do czegoś jeszcze. Tym samym komisariat odnotowałby kolejny sukces dochodzeniowo-śledczy i poprawiłby ogólnopolskie statystyki wykrywalności przestępstw.

W tak zwanym międzyczasie Mundek i Stopa prowadzili inne zakrojone na szeroką skalę czynności operacyjne, zmierzające do ustalenia pozostałych gości Waldusia i jego partnera. Tak jakby. Współlokatora. Przyjaciela. Tego, który tymczasowo lewitował za kratą w piwnicznej izbie KP

Kamieńsko. Lewitował w sensie mistycznym, rzecz jasna. Fizycznie był nie do spionizowania. Trzymał poziom *constans*. Tutaj był to poziom policyjnej pryczy.

Detektywi uruchomili swoich czynnych i uśpionych uchoi (tajnych i mniej tajnych współpracowników). Zajrzeli do okolicznych punktów skupu złomu oraz do paru podmiejsko-wiejskich sklepików, gdzie członkowie piątej brygady podziemnej mogli się zaopatrywać w swoje ulubione napitki.

Może ktoś coś widział, ktoś coś wie? A jeżeli tak, to czy ten ktoś będzie łaskaw podzielić się wiedzą z policjantami?

W dalszej kolejności dzielni detektywi objechali miejsca, przy których pomieszkiwali, koczowali i bywali bezdomni. Ich ulubione rewiry. Między innymi stare, nieczynne i jak najbardziej czynne podziemne kanały ciepłownicze – ulubione sezonowe mety wszelakich członków lokalnej piątej brygady podziemnej. Przy okazji zatrzymali jednego złoczyńcę poszukiwanego listem gończym. A w pewnym skupie złomu odkryli bardzo zgniecione fragmenty miedzianej rynnny. Właśnie dostarczonej. Nowej, błyszczącej, jeszcze nie pokrytej charakterystyczną zielonkawą patyną. Najprawdopodobniej ukradzonej komuś z posesji mieszkalnej.

- Chociaż... Czekał. Ty, a to nie jest przypadkiem ta rynna od naszego proboszcza? - Stopiński przyjrzał się dokładnie efektownej kupce miedzi.

- Może tak być. Kilka dni temu proboszcz oficjalnie zgłosił kradzież. Osobiście był u naszego starego i darł się jak nieboskie stworzenie. Pół Kamieńska go słyszało. Ty akurat przebywałeś w terenie. Domagał się

natychmiastowego odnalezienia rynien, dorwania złodzieja na gorącym uczynku i publicznego zlinczowania. Ukarania złoczyńcy, jakby popełnił zbrodnię stulecia. Z tego, co wiem, to cała parafia zrobiła ściepę na te rynny. Podobno. Kupa szmalu na to poszła! Aż żal dupę ściska na ten żalosny widok.

- Hi, hi! No to chyba mamy trochę dóbr proboszcza. Ciekawe, gdzie jest reszta? Mówiliśmy księżulkowi, żeby nie kupował miedzianych? Mówiliśmy. Ostrzegaliśmy. A ten uparł się jak osioł. No to teraz ma. To znaczy on nie ma rynien, a my mamy od cholery dodatkowej roboty. Te rynny same prosiły się o kradzież. Co on sobie myślał? Że jak spod kościoła, to lumpy nie ukradną? Przecież oni to mają serdecznie w dupie. Leżało, to wzięli.

- Szlag by trafił. Tu nieboszczyk, tu rynny, ciekawe, co jeszcze dzisiaj. A wszystko na wczoraj - westchnął Mundek.

- No to działamy. Nie ma co jójczyć. Ja mam jeszcze dzisiaj pogadankę w szkole. W gimnazjum. Muszę na nią iść, bo dyrektorka łeb mi urwie. Przy samej dupie! Do roboty, partnerze!

Policjanci otrzymali namiary, ujmując rzecz fachowo: naprowadzenie operacyjne, na paru sympatycznych panów. A nawet na ze dwie śliczne panie, z którymi Walduś lubił przebywać, spożywać oraz dyskutować. W szachy z nim wprawdzie nie grali, a jeżeli podnosili i przestawiali jakieś figury, to najpewniej szklane, plastikowe albo kartonowe. O pojemności od pół litra do jednego litra.

Panowie policjanci napracowali się solidnie tego dnia.

Następnego także.

Jeździli swoim służbowym polonezem po całym podległym im terenie, przeszukiwali chaszczę, ugory, laski, ogródkowe altanki i inne tak zwane meliny. Odwiedzali sklepiki, złomowiska, zaprzyjaźniali się z ich właścicielami.

Całego towarzystwa, to znaczy potencjalnych sprawców ogołocenia i teleportacji doczesnych szczątków Waldusia, nazbierało się kilkanaście osób. Jedną z nich był niekwestionowany książę lokalnych lumpów. Czyli obywatel Zenobiusz Kozłowski. Osobnik płci męskiej o pieśczośliwej odimiennej ksywie „Zbunio”.

Przedwcześnie zmarły Walduś uchodził za najlepszego przyjaciela rzeczzonego Zbunia, choć zaszczytne miano „przyjaciela” padło z ust ledwie jednej pani ekspedientki lokalnego sklepiku i jednego pomocnika właściciela lokalnego złomowiska.

Właściwie to wzmiankowany Zbunio wysługiwał się rzeczonym Waldusiem, jak tylko mógł. Walduś robił mu za jucznego osła, służył za chłopca na posyłki, oraz (co podobno było w ich środowisku tajemnicą poliszynela) za czułą kochankę. Zwłaszcza po wyjściowych imprezkach Zbunio zapraszał tego swojego Waldusia do domu, prawdziwego, legalnego, ze ścianami, z podłogą, z dachem i barłogiem. A tam, pod tym dachem, na barłogu, w autentycznych domowych pieleszach i w intymnej atmosferze, zadowalał seksualnie.

Kto? Kogo? Na pewno Zbunio zadowalał siebie, bo czy używany przyjaciel był podobnie zadowolony i spełniony, to tak do końca wiadomo nie było. Tę tajemnicę Walduś zabrał ze sobą do grobu.

Jednakowoż rozrywkowo-seksualne skłonności Zenobiusza, połączone z nadmiernym upojeniem alkoholowym oraz z chwilowym brakiem świadomości, mogły być jedną z bezpośrednich przyczyn całkowitego obnażenia Waldusia. Tę niewiadomą także należało wyjaśnić.

Podczas śledztwa trzeba było dociec, czy Walduś rozebrał się sam, czy ktoś z obecnych mu pomógł? Kiedy to nastąpiło? Przed zejściem, czy już po nim?

Sekcja zwłok Konopackiego mogła nie stwierdzić jednoznacznie i ponad wszelką wątpliwość, czy Walduś był podczas tej pamiętnej libacji używany. A jeżeli tak, to Stopa chciał jeszcze posiadać wiarygodną informację, czy przypuszczalny akt płciowy nie przyczynił się bezpośrednio do śmierci używanego. Albo pośrednio, a używającym było wsio rawno, czy współżyją płciowo z organizmem nadal w miarę żywym, czy może już niezupełnie.

Jeszcze mogła się zmienić kwalifikacja prawna czynu zabronionego, co także należało uwzględnić. Czyli stało się wielce prawdopodobne, że postępowanie wejdzie na inne i nieznane tory.

W protokole sekcji zwłok pojawiła się ciekawa adnotacja, że po wstępnych czynnościach obdukcyjnych zwłoki umyto. Ponieważ były bardzo brudne. Stary i nowy brud uniemożliwiał zaś dalszą dokładną obdukcję powłok zewnętrznych.

Aspiranta Stopińskiego bardzo zaciekało stwierdzenie (w dziale „ogłędziny zewnętrzne”), poparte załączonym materiałem fotograficznym, że na skórze zmarłego

odnotowano liczne zasinienia. Starsze i nowsze. Większe i mniejsze. Ponad wszelką wątpliwość stwierdzono także zadzierzgnięcia w okolicach szyi denata. Znaczący krwawe wybroczyny podskórne, świadczące o dość częstym podduszaniu za pomocą palców obu dłoni. To znaczy podduszano, gdy osobnik żył. Podduszanie na denacie wyglądałoby nieco inaczej. Żadne z nich nie było jednak bezpośrednią przyczyną śmierci Waldusia.

Po dokładnym kilkurazowym przeczytaniu i analizie fragmentu o wyglądzie skóry nieżyjącego, Stopa wciągnął jedynie słuszny wniosek, że ktoś, najprawdopodobniej znany już policji Zenobiusz, podczas uniesień miłosnych zbyt dosłownie potraktował imię Waldusia. Jak swoiste przesłanie, wynikające z pieśczośliwego zdrobnienia kochanka. Było bowiem dwa w jednym: i walenie, i duszenie.

Dopiero po kilku dniach detektywom udało się względnie przybliżyć do prawdy, jak też uzyskać część odpowiedzi na nurtujące ich pytania.

Stopa i Mundek musieli przede wszystkim jakiś czas poczekać na werbalne wyjaśnienia uczestników pamiętnej libacji. A ci zwierzali się niechętnie, powołując się na niepamięć. Fachowo rzecz ujmując, na tak zwaną amnezję afektywną.

Początkowo policjanci prowadzili czynności jak przy zabójstwie. Zgodnie zarówno z przyjętą procedurą, jak i ze zdrowym rozsądkiem.

Ofiarą, realną i namacalną, był Walduś. Sprawcami mogło być nawet kilka osób. Ba, co więcej, wszyscy

uczestnicy balangi w altance mogli się po trosze przyczynić do śmierci Konopackiego.

- Jakaś zabójcza mafia kloszardów. Tak to mi wygląda. Mundek, im dalej w las, tym więcej meneli. Wyrastają nam jak grzyby po deszczu.

- Kurde, Stopa, jaki znowu las?

- Nieważne. To przenośnia.

Detektyw Tomasz Stopiński kombinował, jak umiał najlepiej.

No bo jak to teraz nazwać? Współdział, pomocnictwo? Podżeganie? I jak to wszystko ustalić? Przydałoby się zastosować jakieś serum prawdy. Bądź też wszystkim lumpom w okolicy zadać eliksiru z miłorzębu japońskiego. Może naturalne ziółko wzmocni tę ich wielce sfatygowaną pamięć wsteczną?

Bo to był taki lokalny, stylowy, jak najbardziej koedukacyjny melanz: z bara-bara, riki-tiki, tańcami na rurze i z toastami za bliźnich.

Wzmiankowanych zaś rur, cokolwiek to w ustalonych okolicznościach znaczyło, na imprezie pojawiło się co najmniej dwie.

Jak przystało na dobre, doświadczone psy policyjne, wywieszono także liczne okazje do zorganizowania tak hucznej imprezy.

Ustalono przy tym, że dwoje imprezowiczów właśnie wtedy otrzymało zasiłki z pomocy społecznej. Jedna dama podzieliła się z kolegami świeżo odebraną rentą inwalidzką. Zbunio z Waldusiem intratnie zbyli parę ciężkich przedmiotów ze stali, jak też kilka kilogramów miedzianego drutu pozyskanego w częściach: najpierw ze studzienki

telekomunikacyjnej, potem z linii napowietrznej. Także telefonicznej. A że czasami chłopcy mieli świetne pomysły, w porywach wykazywali się kreatywnością, a w środowisku szcycili się inicjatywą godną przedsiębiorczych biznesmenów, to natychmiast w ognisku opalili miedziankę, by pozbyć się otaczającej ją gumowej osłonki. Tym samym zarówno utrudnić identyfikację trefnego towaru, jak i zwiększyć jego wartość.

Co dwie głowy, to nie jedna.

Po drodze do punktu skupu złomu kamienieccy przedsiębiorcy znaleźli jeszcze niewielką, ale bardzo ciężką żeliwną pokrywę studzienki ściekowej. Z niemieckim napisem w stylizowanym gotyku, i ładnym firmowym logo z lwem. Także niemieckim. Przy kamienieckim cmentarzu znaleźli. Akurat nikt nie patrzył, to sobie antyczne cacuszko zagospodarowali. Wymyślili, z gruntu słusznie oraz naukowo, że nieboszczykom pokrywa się nie przyda, bo już mają swoje, kamienne. Albo lastrykowe. Sponsorowane. A im owszem, przyda się bardzo. Po prostu żyć bez takiego czegoś nie mogą. Rzeczoznawcy przecież. Z krwi, kości, z powołania i z pasji.

Wzmiankowanym dwóm rzeczoznawcom nie wystarczyło już inwencji na wydedukowanie konsekwencji tych przycmentarnych prac fizycznych. Chyba zapomnieli, że wszyscy właściciele szrotów mieli obowiązek meldować władzom o każdej próbie zbycia podejrzenie trefnego towaru. Ewentualnie szrociarz miał powinność spisać dane sprzedającego z dowodu osobistego lub z innego dokumentu tożsamości.

Na zaprzyjaźnionym złomowisku gość nabrał

uzasadnionych podejrzeń co do pochodzenia ciężkiego cudeńka. Następnie zapłacił chłopcom marnie, bo symbolicznie. Jedynie za kilogram żeliwa. Zresztą po długotrwałych negocjacjach.

Summa summarum nabierało się tego dobra na ładną, prawie okrągłą sumkę, za którą w drodze powrotnej poczyniono sprawunki. Czyli tuż przed melanżem nabyto ekskluzywne dobra spożywcze, jak również artykuły monopolowe. Właściwie było odwrotnie. Za resztę mamony pozostałą z trunków kupiono trochę zarcia.

Impreza okolicznościowa trwała przynajmniej dwie doby. (Stopa wysnuł mianowicie taką hipotezę na podstawie niepewnych zeznań świadków).

To znaczy w działkowej altance balowano dwa dni i dwie noce. Piękne okoliczności przyrody, zgromadzone zapasy i aktualna wylewność licznych sponsorów sprzyjały świetnej zabawie zgromadzonych gości. Towarzystwo tak dobrze fetowało, że nie odnotowało właściwie i z należytą starannością danych wszystkich współbiesiadników przewijających się przez domek na działkach. Stałych oraz tymczasowych. Jeżeli jednak ktoś mimo zmęczenia i upojenia coś odnotował, to i tak do końca wszystkiego nie zapamiętał. Ponieważ mieszanina spożywanych trunków oraz zakąsek negatywnie wpłynęła na percepcję i pamięć bieżącą.

Policjantom trudno było się dogadać. W ogóle. Z kimkolwiek.

Tak czy owak, nieodżałowany Walduś czynnie uczestniczył jako współgospodarz, i był gościnny ponad przeciętność. To przynajmniej udało się ustalić.

Sądowy patolog wykluczył zabójstwo. To znaczy nie dopatrył się bezpośredniego udziału osób trzecich w śmiertelnym zejściu Waldusia.

Kwalifikacja prawna czynu zabronionego uległa zatem pewnej modyfikacji jeszcze na etapie śledztwa ad rem, a policyjne śledztwo przestało być prowadzone pod kątem morderstwa z premedytacją i przeszło na tory popełnienia przestępstw mniejszej wagi. Zagrożonych karą do ośmiu lat pozbawienia wolności.

Postępowanie nadal prowadzone było w sprawie, nie przeciwko osobie czy osobom, żadne bowiem z podejrzewanych nie nadawało się jeszcze do oficjalnego przesłuchania. Nie mówiąc o wymaganych w tym wypadku innych procedurach dochodzeniowo-śledczych. Te utknęły na dłuższy moment w martwym punkcie. Mówiąc oględnie, dostały klasycznego zatwardzenia.

Zdobywszy wiedzę o uczestnikach okolicznościowego melanzu zakończonem zgonem pana Waldemara Konopackiego, policjanci postanowili niezwłocznie odwiedzić ustalonego ponad wszelką wątpliwość przyjaciela nieboszczyka, pana Zenobiusza Kozłowskiego. Właściciela posesji przy ulicy Wiejskiej.

Tenże, będąc formalnym posiadaczem prawie całej nieruchomości, także gruntowej, *de facto* zajmował jednak tylko kawałek parteru. Jakby samodzielne mieszkanko wydzielone z całości. Reszta, to znaczy pół parteru i maleńkie piętérko, przypadła dalekim krewnym Zbunia po kądzieli: trzypokoleniowej rodzinie z dwojgiem dzieci w wieku szkolnym i jednym w wieku przedszkolnym, która to rodzina ponosiła przy okazji wszelkie koszty związane

z utrzymaniem domu. Też te publicznoprawne. Do rodzinnego kompletu dochodziła jeszcze babcia dzieci, w żaden sposób niespowinowacona ze Zbuniem. Familia Kozłowskiego (ta po kądzieli) zadbała także o to, by odłączyć przedsiębiorczemu wujkowi prąd i wodę. Albowiem latami za nie w ogóle nie uiszcział. Odizolowała się osobnym wejściem, metalową siatką oraz drewnianym płotkiem. Zainstalowała furtkę z jebutną poradziecką kłódką. Specjalnie właśnie takiej szukali. Gdy Zbunio pewnego pięknego dnia zamienił graniczną siatkę na artykuły monopolowe, a kłódkę przy okazji także dokądś wywiało, rodzinka postawiła inny płotek. Tym razem plastikowy. Wzmocniony i przytwierdzony do podłoża betonowymi słupkami.

Na podwórku przynależnym do kwaterki wujka Zenobiusza stała stara sławojka, pamiętająca niemieckich właścicieli naonczas jeszcze wiejskiej posesji. Wykorzystywana przez gospodarza i jego nielicznych gości jedynie okazjonalnie. I to w cieplejszym okresie roku: od kwietnia do października. Bo wtedy tak nie wiało w obnażone dupska beneficjentów przybytku, a wydalane płyny nie zamarzały w locie.

Opróżnianie wspólnego szamba należało do krewnych. Zasadniczo nie mieli innego wyjścia.

Gdy Stopa i Mundek zapukali do drzwi pana Kozłowskiego, usłyszeli jedynie szczekanie psa. Zachęceni zaproszeniem otworzyli zdezelowane wrota bez zamka, ale z oldskulowym drewnianym skobelkiem, po czym weszli do przedsionka dużego pokoju. Właściwie do ponurej izby, nory jakby, bo

pomieszczenie na pewno nie pretendowało do miana pokoju.

- O kurwa! - Stopa złapał się za nos. - Ale smród! Halo, dzień dobry! Policja! Halo! Jest tu kto?

Procedur trzeba dochować z należytą starannością.

- Czego? Spierdalać!

Jednak ktoś był. Ledwo faceta zrozumieli. I jeszcze usłyszeli znaną złodziejską formułkę, stosowaną raczej w półświatku:

- Z psami nie gadam! - Głos zaspanego mężczyzny brzmiał tak, jakby się wydobywał z głębokiej studni.

- Zenobiusz Kozłowski? - Mundek nie tracił zimnej krwi, choć zarówno intuicja, jak i niedające się poskromić reakcje fizjologiczne oraz cuchnące okoliczności jednoznacznie kazały mu stamtąd wiać gdzie pieprz rośnie. Nadto odpuścić sobie jakąkolwiek konwersację w tym pomieszczeniu. I z tym panem.

- A co?

- Gównno! - Zdenerwował się Edmund. - Wstawaj, lumpie jeden, idziesz z nami.

- Spierdalać! - Zbunio postanowił jednak pogadać z psami. Chociaż, w sensie dosłownym, bardziej rozmowny był jego wychudzony kundel. Darł japę ile wlezie.

- Dobra. Dosyć tego. Zabieramy go, bo tutaj nie idzie wyrobić. - Tomasz założył swoje skórzane rękawiczki i fizelinową maseczkę chirurgiczną, po czym ostrożnie podszedł do legowiska w rogu pokoju, na którym cały czas polegiwał menel. Obok poległego siedział mały, gdzieniegdzie włochaty, miejscami wyliniały kundelek. I ujadał. - Ostrożnie, uważaj i nie wejdź w te kupy! - zawołał do Mundka.

- W co? - Partner Stopińskiego nie zrozumiał dokładnie treści ostrzeżenia.

- W gówna nie wdepnij!

- Aa. Rozumiem. W gówna. Postaram się nie wdepnąć.

Cała podłoga, pokryta resztkami przedpotopowego gumoleum, usłana była pustymi butelkami, kartonami i szmatami. Wśród nich, na środku, leżały dwie kupki odchodów, znaczy ekskrementów. Zaschniętych. Jedna ewidentnie ludzka i jedna chyba psia. Widocznie gospodarz nie zdążył wyjść za potrzebą, a przy tym zapomniał wypuścić na dwór swojego pupila.

- O rany! Zaraz się porzygam. Jak można narobić na glebę w swoim własnym pokoju? - Pytanie policjanta było takie więcej retoryczne.

- Widocznie można - odpowiedział ze stoickim spokojem Stopa. - Dawaj z nim do wozu. Powalczymy ze śmierdzielem na komisariacie. Jakoś to zorganizujemy.

- Dobra. Racja. Tutaj się nie da. Dawaj.

Dwaj policjanci wyprowadzili Zbunia z posesji, zabrawszy go z domowych pieleszy za fraki i pod paszki. Prawie bezwładnego wsadzili do radiowozu, potem wywieźli na Komisariat Policji w Kamieńsku. Znaczy do siedziby KP. Na szczęście przytomny Stopa już jakiś czas wcześniej kazał zainstalować grubą, mocną, pleksową przegrodę, oddzielającą tylne siedzenie od przednich.

W siedzibie lokalnej policji, aby w ogóle dało się przesłuchać potencjalnego świadka zdarzenia, policjanci przykuli gościa kajdankami do zewnętrznej kraty okna na parterze obiektu. Uczynili to niechętnie i po krótkim namyśle.

Do przykuwania podobnych gości nadawała się jeszcze krata oddzielająca komisariat od reszty świata. Zamykana elektronicznie. Stopiński nie zamierzał jednak podrzucać kolegom tej swoistej bomby biologicznej w osobie cuchnącego kloszarda. Budynek komisariatu był przecież mały, ciasny, na dodatek od lat zagracony, przeto fetor od razu trafiłby w najmniejsze zakamarki posesji. Mogłoby się skończyć nawet przymusową ewakuacją wszystkich pracowników przybytku.

Ażeby wytrzymać nawiązanie i przeprowadzenie jakiegokolwiek dialogu z podejrzanym, dyżurny komisariatu otrzymał polecenie pootwierania czego tylko się da. Tym sposobem zrobił najwykleszy, ale ożywczy przeciąg.

Podczas przyjacielskiej pogawędki z aspirantami Kurzawą i Stopińskim Zbunio nie potwierdził, ale i nie zaprzeczył swojego czynnego udziału w ostatniej ziemskiej podróży Waldusia. To znaczy: nie przypomniał sobie faktu przemieszczenia rzeczonoego kolegi za pomocą taczek z ogródkowej altanki w przydrożny rów kilkadziesiąt metrów dalej. W końcu, lekko przymuszony, potwierdził uczestnictwo w spotkaniu towarzyskim, nawet przypomniał sobie, aczkolwiek z pewnym trudem, że chyba opuszczał balujące w najlepsze towarzystwo. Ponieważ w chwili przebłysku intelektualnego i przypląwu sił witalnych musiał iść do siebie i wyprowadzić psa. O psie przypomniał mu chyba Walduś. Teraz już Zenobiusz nie wie za bardzo, czy wypuszczenie zwierzątka na zieloną trawkę się powiodło, bo psa w domu nie znalazł. Przez uchylone bądź po prostu

niedomknięte drzwi wejściowe jego pieseczek mógł sam się wyprowadzić. Śladem innych okolicznych powsinogów udać się na organizowaną w miejscowym lasku psią libację. Czyli imprezkę konkurencyjną.

Pan Kozłowski także nie bardzo pamiętał, kiedy i czy w ogóle odnotowano ostateczną niemoc ulubionego kolegi. Gdy już na policyjnym przeciągu nieźle wywietrzał, coś mu się zamajaczyło, że Walduś odpłynął był w altance.

- Chyba na pewno...

To znaczy, prawie na pewno kompletnie zaniemógł i stracił kontakt. Ale kto przy tym był, czy próbowano kumpla cucić i wskrzesić, znakiem tego cokolwiek począc z niemocą Waldusia, pozostanie na jakiś czas jedynie w sferze przypuszczeń i domniemań.

I chyba obywatel Kozłowski tego wszystkiego dokładniej sobie nie przypomni. Nie ma szans. Dupa błada.

Zbunio wytoczył nawet z półprzymkniętych oczek łezkę żalu, kiedy pod koniec rozmowy wreszcie do niego dotarło, że jego ukochany Walduś nie żyje, za chińskiego boga nie ożyje, i jakby używać go już się nie da. Nigdy.

- Mój Walduś! Ajaj, kurwa! Ja pierdołę!

Po ponad dwóch godzinach przesłuchania w charakterze świadka, o czym na początku pogawędki usiłowano poinformować nieco sfatygowanego oraz nieprzytomnego interlokutora, i zgodnie z policyjną procedurą spowodować reakcję zrozumienia przekazu, aspiranci spisali Zbuniowe zeznania. Nareszcie. Zanotowali sobie kilka kolejnych imion osób mniej lub bardziej uczestniczących w spektakularnej imprezie, po czym wypuścili kloszarda do domu. To znaczy

wyprosil go elegancko poza terytorium komisariatu.

- Wypad!

Zatrzymywanie mężczyzny nie miało żadnego sensu. Tym samym gnębienie osób odpowiedzialnych za obsługę komisariatowego dołka. Marnowanie służbowych środków, jak też narażanie cywilnej pani sprzątaczkę na dodatkową, nieprzyjemną fuchę. Pracownicy jednostki mogliby bowiem nie zdzierżyć nawet kilkuminutowego pobytu pana Kozłowskiego na ich terenie. Ponadto Zenobiusz Kozłowski nie wyglądał na osobę, która chciałaby natychmiast dać w długą oraz uchylać się od obowiązków świadka zdarzenia, wnikających z polskich przepisów karnych.

Zatem pana na razie niczym nie ukarano, tylko odpowiednio pouczone, ostrzeżone i rozkuto. Puszczono wolno.

Potem wszyscy na komisariacie odetchnęli z ulgą.

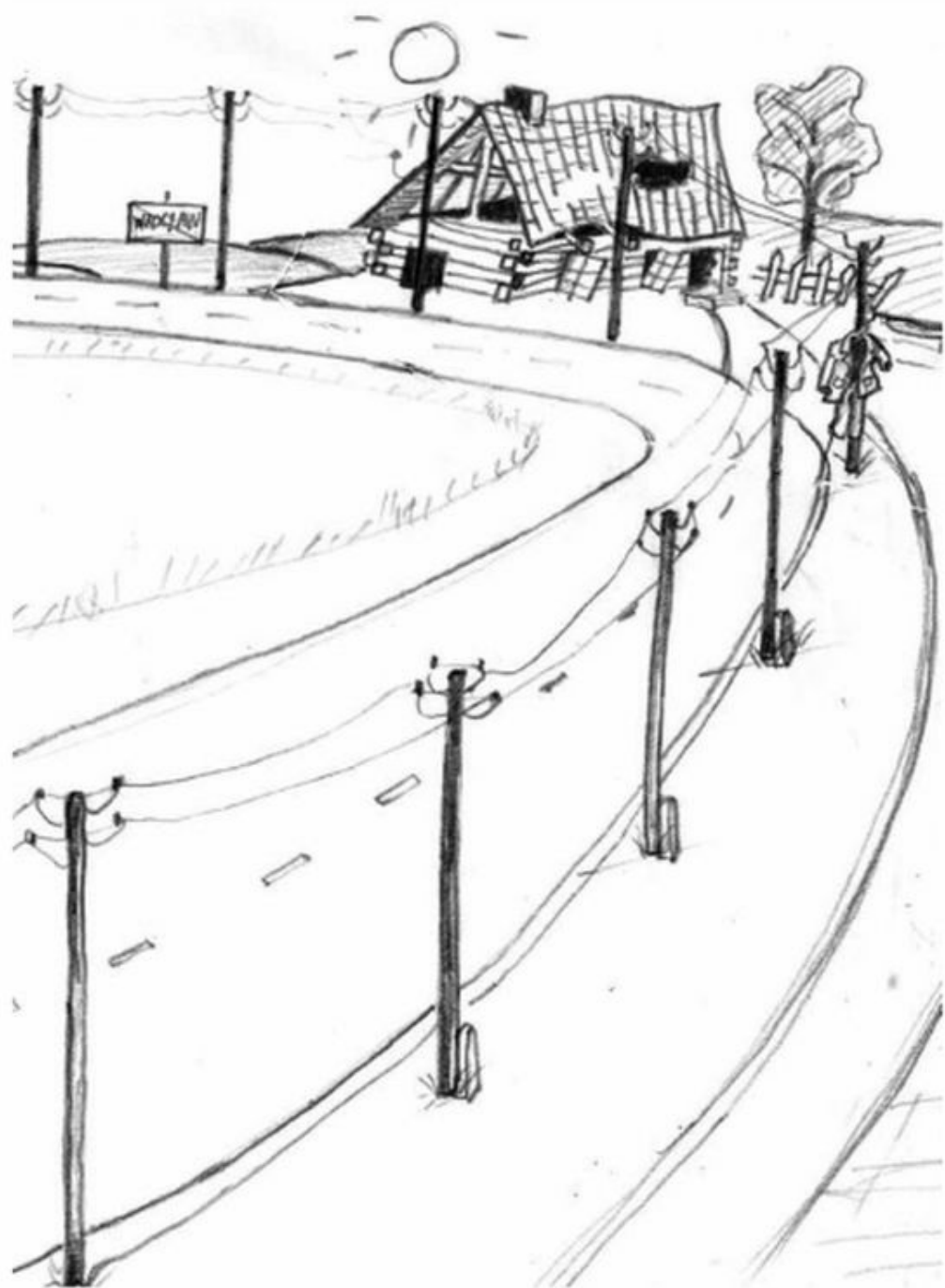
- Chyba muszę się napić! Ale najpierw wezmę prysznic! Czuje się, jakby mnie całego wsiury oblaży. - Tomasz bezwiednie zaczął się czochrać po torsie.

- A wiesz? To dobry pomysł. Z tym prysznicem. Mnie chyba też coś jakby pogryzło. Ja tak samo zrobię, a potem napiję się herbatki - przyznał partnerowi rację Mundek.

- Spadam na chatę. Mam dość.

- A ja może jeszcze chwilę posiedzę. - Mundek się zasepił.

- Jak chcesz. Cześć. - Stopa wybiegł z komisariatu tak, jakby go ktoś gonił.



ROZDZIAŁ II.

Robal przygotowywał się do akcji we Wrocławiu ponad pół roku.

W pewnych kręgach to się nazywa sporządzaniem i wstępną realizacją szczegółowego biznesplanu nowatorskiego projektu, w innych po prostu planowaniem.

Robal działał intensywnie oraz z pełną determinacją, z właściwym sobie zaangażowaniem, także ukierunkowaniem na cel. A finalnym głównym celem planowanej operacji był duży zysk materialny. Co oczywiste.

Jeszcze wcześniej, na etapie myślowej obróbki koncepcji Szefa, Robal otrzymał namiary na kilkunastu innych kandydatów do współpracy przy przeprowadzeniu kolejnego złotego interesu dekady. Tak zwane naprowadzenia na mieszkańców miast i wsi, egzystujących sobie praktycznie na obszarze całej Polski. I na razie niczego nieświadomych.

Właściwie to początkowo, podczas fazy wstępnej projektu, jeszcze na etapie luźnej koncepcji, Robal gorąco odradzał Szefowi ów interes. Albowiem nie był do końca przekonany o całkowitym sukcesie tej misji. Wydawała się jakby innowacyjna, performerska. Ponadto Robal nie znał nikogo, kto już w podobne przedsięwzięcie zainwestował, przeprowadził je, nie umoczył, i komu przynosiłoby ono spodziewane zyski. Albo większe od planowanych.

Ba, co więcej, inteligentny pomocnik Szefa zdawał sobie

sprawę, że na polskim, jeszcze nie do końca okrzepłym rynku, najprawdopodobniej będzie prekursorem oraz eksperymentatorem. Rzec by można, że klasycznym performersem.

Misja wymagała od wszystkich uczestniczących, zwłaszcza od niego samego, nie tylko perfekcyjnego przygotowania, dopracowania każdego detalu, ale też wytypowania odpowiedniego człowieka. Pomocnika, pomagiera, współpracownika. Polegała między innymi na tym, by do cna wykorzystać zasoby ludzkie. A znalezienie takowych graniczyło z cudem.

Szef zaś, czyli przełożony Robala, się uparł. Zaparł, zawziął. Obiecał wsparcie psychiczne oraz logistyczne i zasadniczo na obietnicach poprzestał. Oddał Robalowi do częściowej dyspozycji opłacanych przez firmę księgowych, radców prawnych i adwokatów. Zagroził także, pół żartem, pół serio, że wyleje Robala na zбитy pysk. Jeśli się nie podejmie.

To znaczy przede wszystkim pryncypał zapewnił wsparcie finansowe. Praktycznie bez szemrania dostarczał kasę. Mianował Robala „dyrektorem” projektu, dając mu wolną rękę. Uprzednio przekazał wytyczne co do konceptu i ilości pieniędzy, które w przedsięwzięcie spokojnie może zainwestować. Poczytał uwagę, że znaczne przekroczenie ustalonej kwoty musi zostać uzasadnione, a także zyskać akceptację inwestora. Czyli jego.

Na całkowitą realizację nowatorskiego projektu dał wykonawcy rok. I kupę kasy.

Łaskawca! Pan całą gębą.

Robal musiał podjąć służbowe wyzwanie. Zasadniczo nie

miął innego wyjścia. Szef był szefem, zatrudniał na etat w charakterze sekretarza-asystenta, za myślenie płacił niezłą pensję. No i wymagał.

Rzeczony poszukiwany człowiek, w rozumieniu kodeksu cywilnego „osoba fizyczna, niepozbawiona praw publicznych”, musiał spełniać liczne warunki. Oczywiście te pasujące do pomysłu.

W związku z powyższym Robal siedział kilka dni nad stworzeniem samego profilu kandydata. Dopasowywał osoby do koncepcji. Zupełnie jak łowca głów pracujący dla amerykańskiej korporacji. To znaczy niczym przeszkolony pijarowiec albo klasyczny head hunter.

Mając już sformułowane cele szczegółowe i nakreślony profil, Robal dość długo zastanawiał się, w jaki sposób onego człowieka pozyskać. Znaczący, używając fachowej nomenklatury, jak zwerbować. Gdzie takiego szukać, gdzie znaleźć? Z oczywistych powodów nie mógł tego zrobić sam, czyli osobiście. Także akurat nie miał do dyspozycji kompetentnych haerowców, marketingowców ani kadrowców.

Zasoby ludzkie w organizacji były wprawdzie dość pokaźne, jednakowoż ukierunkowane na coś zupełnie innego. Profesjonalisty nie stwierdzono. Zaangażowanie podmiotu zewnętrznego odpadało w przedbiegach.

Robal nie mógł indagować ludzi bezpośrednio. Sam jeden. Maksimum dyskrecji. Jak najmniej bezpośrednich powiązań. Z Szefem, ze Złotym, wreszcie z nim, Robalem, jako z najbliższym współpracownikiem bossów organizacji.

Wszystko musiało się odbywać według starej,

sprawdzonej zasady pracy niemieckiej Abwehry oraz izraelskiego Mosadu. Radzieckiego KGB i innych wielkich służb. Korzystając z tych skutecznych, okrzepłych wzorców, Robal zmierzał utworzyć nową podorganizację, coś na kształt i podobieństwo klasycznej siatki wywiadowczej.

W ramach już istniejącej sieci organizacji Szefa i Złotego Robal rozpuścił tak zwane wici. Ażeby pracownicy, współpracownicy i różnego autoramentu bliscy tychże rozglądali się czujnie za odpowiednimi osobami. Przy okazji. Podczas swoich codziennych obowiązków i zajęć.

Tak też przez umyślnych, czyli bynajmniej nie bezpośrednio, Robal trafił na paru gości, którzy już jak najbardziej bezpośrednio zdobywali namiary na odpowiednich kandydatów. To znaczy na ludzi odpowiadających stworzonemu profilowi. W tym napotkał osobnika o apetycznej ksywie Orzech, pociotka jednej z burdelmam Złotego. Ów Orzech także nie poznał Robala osobiście, a nawet o nim nie słyszał.

Wszak o to w całej zabawie chodziło, i tak miało zostać. Zgodnie z maksymą: im mniej wiesz, tym jesteś zdrowszy, a im mniej osób znasz, tym jesteś bezpieczniejszy. Ty i twoje biznesy.

A także: Tisze budiesz, dalsze pajdiosz. Co w wolnym tłumaczeniu może oznaczać: Nie twój interes. Morda w kubeł. Tutaj nie płacimy za kłapanie dziobem.

Sam zaś Orzech, lojalny i wdzięczny bossom za intratną, dobrze płatną i jakby stałą posadkę w sferze usług dla ludności, tak się przejął doniosłą rolą agenta służb specjalnych, że dosłownie zarzucił Robala informacjami. O Zbuniu i o jeszcze jednym gościu. Wprawdzie cokolwiek

inteligentniejszym, błyskotliwszym i ociupinę młodszym, ale bez ustalonego majątku własnego.

Rzeczony Orzech do końca realizacji swojego zadania był przekonany, że czyjś interes (zapewne szefów) ma w szerokim zakresie polegać na nie do końca legalnym obrocie nieruchomościami. Co było wielce prawdopodobne, zważywszy na ogólnopolski charakter biznesów czynionych przez Złotego.

Na pewnym etapie nowej robótki przeszło mu przez myśl, że tacy faceci jak Zbunio i ten drugi mogą być potrzebni dla uzdrowienia innej osoby. Bądź do naprawienia osób majątnych, które wymagały pilnego odświeżenia organów wewnętrznych. Ponieważ na skutek jakiejś ciężkiej choroby owe organy się popsuły i należało zdobyć świeże. Nieświeże oraz niefunkcjonujące prawidłowo wymienić na nowsze.

Orzech nie mógł jednak pojąć, na co komu do tego nieruchomości potencjalnego dawcy organów. Przeanalizował sprawę i wyszło mu, że zleceniodawcy mogliby szukać tych nereczek, wątróbek i serduszek u dużo młodszych osobników płci obojga, i tam też je pozyskać. Możliwości istniało aż nadto. Krajowych i zagranicznych.

Jemu samemu niczego takiego nie brakowało. Na wszelki wypadek nie dopytywał, tylko zeznawał jak leci, a informacji przekazywanych o kandydatach nie segregował. Uznał, że mocodawcy sami je sobie precedzą na własna modłę. Albo dane przesieją jak we młynie. Plewy odrzucają, i na koniec procesu zostanie sama wartościowa kaszka. Optymalnie kaszka manna.

I słusznie mniemał.

Robal znalazł jeszcze trzech takich Orzechów. To znaczy osoby pewne, zaangażowane oraz prawdomówne. Właściwie troje. Dwoje z nich odbywało niedługą karę pozbawienia wolności za popełnione czyny przestępcze. Trzeci, a właściwie trzecia, bo chodziło o rasową niewiastę, dzielnie oraz ciężko pracowała w wielkim mieście na południu Polski. Do codziennej działalności w sferze usługowej używała, oprócz głowy, także innych pięknych i powabnych części swojego ciała. Ponadto była osobą rozumną, jak również wszechstronnie utalentowaną. Do imentu wdzięczną, na wskroś lojalną, przeto tym bardziej użyteczną dla przedsięwzięcia. Jakiegokolwiek by ono było.

Po zastosowaniu pierwszego sita Robal założył teczki. Wszystkim zatwierdzonym wstępnie kandydatom. Coś w rodzaju profesjonalnych akt osobowych z pokaźnym *dossier*. Zadbał o fizyczne zabezpieczenie tego materiału, uniemożliwiając dostęp doń osób trzecich. Znaczący postronnych. Poręczniejsze i zdecydowanie prostsze byłoby korzystanie z systemu komputerowego, ale komputery Robala i jego szefów czasami podłączone były do sieci, nie chowane do kas pancernych czy sejfów pod obrazami w sypialni. A to oznaczało potencjalne ujawnienie danych. Zagrożenia czaiły się przecież wszędzie. Również w tym aspekcie należało zachować szczególną ostrożność.

Nazbierało się tego siedemnaście tomów. Tych akt personalnych. Po wstępnej selekcji merytorycznej zostało dziewięć, z tego trzy do bieżącego wykorzystania, reszta do ponownego przemyślenia i niezbędnego uzupełnienia.

Na samym wierzchu sterty teczek leżała gruba,

wypełniona papierami aktówka z napisem: Wrocław.

Równolegle Robal poszerzał swoją wiedzę prawniczą. Zabrał się do studiowania przepisów z kilku dziedzin prawa: skarbowego, podatkowego oraz cywilnego, ze szczególnym uwzględnieniem prawa własności. Jeszcze elementów prawa handlowego. W tym ostatnim najwięcej uwagi poświęcił opasłemu tomowi Kodeksu spółek handlowych.

Pewnego pięknego kwietniowego dnia Robal udał się w celach poznawczych do jednego z właściwych miejscowo urzędów gminy. W rejonie swojej aktywności zawodowej. Tam zapoznał młodą śliczną urzędniczkę, czy raczej się z nią zaprzyjaźnił, a ona z czasem uzupełniła jego informacje teoretyczne o praktyczne.

Owa urzędniczka dostarczała Robalowi druki, formularze, uchwały, rozporządzenia oraz dzienniki ustaw. Podczas pracy i potem, poza nią. Opowiadała o swojej bardzo ciężkiej robocie, niskich zarobkach i chorej babci. Z właściwą sobie empatią, jak też z obopólną korzyścią, uczyniła wszystko, co potrzeba, by kompleksowo zadowolić ulubionego petenta. W różnych aspektach zaspokajała Robalą, bo wdzięczny petent chętnie stworzył wiele możliwości oraz okoliczności. Do wzmiankowanych aspektów.

Wielowątkowe opowiadanie o funkcjonowaniu gminy i współpracujących z nią podmiotów urzędniczka kontynuowała po wyjściu z pracy.

Na przykład podczas jednego z długich weekendów majowych w Międzyzdrojach. Siedząc w hotelowym szlafrocuku na przestronnym tarasie z widokiem na morze,

pachnąc drogimi, najmodniejszymi, właśnie otrzymanymi i przy darczyńcy rozpakowanymi perfumami, pijąc do śniadania ożywczego drinka z bąbelkami, palemką i egzotycznym owockiem, a w przerwach piejąc z zachwytu nad cudnym widokiem z tarasu, jak też rozkoszując się perspektywą przyszłych wybuchów zazdrości u licznych przyjaciółek.

Znakiem tego wszystkie przekazywane w Międzyzdrojach informacje i dane można byłoby nazwać *all-inclusive*. Jak hotel, pokój, strefę SPA i drinki z palemką.

Gminna referentka potrzebna była Robalowi także do innych celów. *Stricte* prywatnych. Poza chęcią uzupełnienia czy pogłębienia wiedzy przydatnej służbowo nasz mózg operacji „Zbunio” (albo bardziej oficjalnie: „Wrocław”) pragnął uzyskać jak najwięcej danych dotyczących pewnej nieruchomości. Gruntowej i budowlanej.

Otóż jakiś czas wcześniej Robal upatrzył sobie w okolicy zabytkowy, maleńki, dwunastoizbowy dworek. Właściwie nader skromny pałacyk z przełomu wieków (z tak zwanej epoki), który zamierzał prywatnie, najlegalniej na świecie, już pod swoim własnym nazwiskiem zakupić, szybko wyremontować i docelowo tamże osiąść. To znaczy zameldować się i zamieszkać.

A to wszystko nie było akurat takie proste. Ani tanie. Nie osiadanie rzecz jasna, tylko wejście w posiadanie pałacyku. Sama nieruchomość nie była nawet taka koszmarnie droga, jednakowoż wymagała *primo*: nabycia w drodze przetargu publicznego. Ponieważ jeszcze była formalnie i prawnie własnością instytucji publicznych. A dokładniej jednej z krajowych agencji rolnych. *Secundo*:

bardzo kosztownego remontu, niestety dopuszczalnego jedynie na podstawie przedwojennych, jakby pierwotnych planów. Do wymiany były dachówki, stropy, okiennice, drzwi (drzwi oraz ościeżnice), podłogi, mozaiki. Właściwie wewnątrz wszystko wymagało renowacji i wymiany, aż po klamki, a na zewnątrz po ozdobne neorenesansowe gzymsy. Albowiem na przedmiotowej posesji siedział kolejny publiczny organ pod wezwaniem wojewódzkiego konserwatora zabytków. I to siedział okrzykiem. Notabene tego akurat organu nie dało się prywatnie pozyskać, hojnie obdarować i używać. Z paru powodów. Z podległym mu organem szczebla powiatowego byłoby dużo prościj.

Powyższe sprawiało, że dla potencjalnego prywatnego nabywcy pałacyku powstał maleńki problem. Organiczny.

Ponadto Robal planował *tertio*: przy wymarzonej domku obstalować sobie angielski ogródek, w środku, znaczy w pokoikach, porozstawiać stylowe mebelki z adekwatnej epoki, piecyki, kominki i inne wyposażeniowe bzdety. Optymalnie autentycznie historyczne. Antyczne.

Wobec powyższego liczne znajomości i koneksje poznanej panny mogły tylko ułatwić i tę skomplikowaną operację. I od początku do końca ewidentnie przyspieszyć wszystkie inne procedury wymagane równie skomplikowanymi przepisami obowiązującego prawa. Przez niektórych skrupulatnie przestrzegane.

Młoda niewiasta doceniła wiele aspektów zaprzyjaźnionego, niezwykłego petenta: zarówno jego urok osobisty jak i hojność. To znaczy urok materialny.

Łyknęła bajeczkę Robala o rychłym i okazałym spadku,

o pogmatwanej sytuacji rodzinnej. Z tego, co o sobie opowiadał, prostolinijnie wywnioskowała, że Robal jakby może być formalnie żonaty, ale jest to stan przejściowy, nie do końca wiążący oraz niezobowiązujący.

Kupiła w ciemno niekwestionowany patriotyzm nowego znajomego, przejawiający się silnym pragnieniem osiedlenia w wolnej, demokratycznej Polsce po wieloletniej przymusowej tułaczce (zsyłce) za granicą.

Po tym wszystkim całą duszą i ciałem oraz wspomaganą specjalnie na ten cel uruchomionymi dodatkowymi siłami witalnymi, urzędniczka publiczna zaangażowała się w przekazywanie patriotcie wszelkiej posiadanej wiedzy. Z zapałem dzieliła się nawet wiedzą chronioną z urzędu i opatrzoną niewiele znaczącą, zupełnie bezsensowną oraz zdecydowanie zbędną klauzulą „zastrzeżone”, bądź „tajemnica przedsiębiorstwa”.

Jeszcze bez reszty oddawała się także, używając do tego swojego organu mowy. Swojej ślicznej buzi używała *constans*, ochoczo oraz namiętnie.

Któż bowiem oparłby się czarującemu Robalowi? Jeszcze do tego w najpiękniejszych na kontynencie okolicznościach polskiej nadmorskiej przyrody oraz w zaistniałej krajowej sytuacji społeczno-gospodarczej? No przecież nikt.

A właścicielki długich blond fryzurek, kolorowych czterocentymetrowych tipsów na paznokciach oraz karminowych, namiętnych ust są jedynie niedocenionymi, skromnymi, wiejskimi urzędniczkami z wyższym wykształceniem. W tym przypadku z dyplomem trochę prowincjonalnej prywatnej szkoły wyższej, nadającej cypatym absolwentkom wielce zaszczytny tytuł licencjata

zarządzania i marketingu.

To oczywiste, że na początku znajomości Robal przedstawił się pani. Z pierwszego imienia i części drugiego nazwiska. Zrobił to na ulicy opodal siedziby urzędu gminy, gminy wiejskiej, gdyby kto pytał, porą południową. Zgodnie z etykietą obowiązującą ludzi eleganckich oraz kulturalnych. Szarmancko ujął szczupłą, upierścienioną, prawą dłoń niewiasty, cmoknął w pstrokatego, kiczowatego tipsa przyklejonego do paznokcia serdecznego palca tejże dłoni. Zaraz potem na wystudiowanym przydechu, oznaczającym ni mniej, ni więcej, tylko gwałtowny napad zachwytu, wyznał:

- Ach, znowu się spotykamy! To chyba przeznaczenie! A ja, kretyn, chyba nie przedstawiłem się ślicznej pani. Jestem Rafał ...niecki.

W tym momencie panienkę tak zatchnęło, otępiło i wmurowało w trotuar, że zdołała wydobyć z siebie jedno, dwusylabowe, krótkie słówko:

- Aaa-siaa...

Równocześnie usiłowała stuknąć innym, równie kiczowatym tipsem w służbowy identyfikator - plastikową plakietkę zdobiącą jej lewą, jędrną pierś.

Synchronicznie jakby wyrosły Asi anielskie skrzydła, które umożliwiły lekkie i wdzięczne uniesienie do wysokości okna gabinetu wójta na pierwszym piętrze budynku.

Pod misternie wykonanym makijażem, raczej tapetą na trzy palce, pojawił się u dziewczoi intensywny niewieści rumieniec. Taki sam wykwitł był na dekolcie. Szczupłe kolanka zachwyconej niewiasty lekko zadrgały, czego już Rafał nie zauważył.

Chwilę potem panna Asia dała się zaprosić do kawiarenki na rynku. Na kawkę, może na ciacho lub lody. Na tym etapie rokującej znajomości Rafał nie śmiał zaproponować lampki wina. Może nie sprawiłoby mu to większej trudności, jednak wino zobowiązuje, a on zamierzał najpierw wybadać swoją zdobycz. To znaczy ją samą i jej możliwości.

Aura sprzyjała. Wszystkiemu. Na zewnątrz rodziła się polska ciepła wiosna, a w kobietę uderzyła nagle fala tropikalnego gorąca. Opór nie miał najmniejszego sensu i absolutnie nie wchodził w grę.

„Gdzie panińskim rumieńcem dziecielina pała... Bardziej cielęcina. I nawet czyjaś pała może stanąć na widok tego rumieńca”. – Takie było pierwsze skojarzenie Robala.

Kulturoznawca przecież. Kształcony. Prawie doktor. Wiadomo.

Robal kontynuował podryw.

– Oczywiście, jeżeli tylko pani znajdzie dla mnie chwilkę po ciężkiej pracy. Chciałbym podziękować za poświęcony mi czas, no i przeprosić za moje chamskie zachowanie. To zgoła niewybaczalne.

– Och... Jejku... – W tym momencie ponadprzeciętnie elokwentna panna Joanna Nowak, prywatnie siostrzenica urzędującego wójta wzmiankowanej już gminy wiejskiej, z wyvodu Robala najlepiej zapamiętała słowo „zgoła”. Oto też gwałtownie nabrała przeogromnej ochoty na loda. Jakiegokolwiek, byle w towarzystwie tego przystojnego, kulturalnego, eleganckiego i niewątpliwie zamożnego petenta. Absolutnego, przeapetycznego ciacha.

Czyli po tym zagajeniu panna Asia znalazła dla Rafała

kilka chwilek. Łaskawie.

„O Jezu! Ale boski facet... Te wszystkie głupie krowy będą mi go zazdrościć! Mój ci on... Tylko mój!”

No i właśnie tu i teraz, stojąc na chodniku przed urzędem gminy wiejskiej, dotychczas nieprzystępna, jak też asertywna urzędniczka publiczna odkryła w sobie uśpioną do tej chwili misję niesienia wszelakiej pomocy bliźniemu swemu. Jak przystało na zdeklarowaną, ale niepraktykującą narodową katoliczkę.

Za wszystkie operacje związane z nową inwestycją płacił Szef.

To znaczy inwestował środki w nowy projekt bez zbytniego szemrania. Ale, co oczywiste, miał wymagania. Jak to inwestor.

W założeniach budżetowych, czyli we wstępnym preliminarzu niezbędnych kosztów i wydatków, Robal uwzględnił także wynagrodzenie dla potencjalnych informatorów. Osobowych źródeł informacji. Bo przecież informacja kosztuje, a te koszty należy zawczasu przewidzieć oraz przygotować. Mało tego: nigdzie we współczesnym globalistycznym świecie bez informacji nie ma ani biznesu, ani interesu, ani zysku.

Oczywiście w grę wchodziła jedynie gotówka. Żadnych kart! Bankomatów. Zero czeków, umów! Sygnatur, podpisów. Wykluczone! Tylko gotówka, i to najlepiej amerykańska lub multieuropejska. No i używana uprzednio przez innych. W grę wchodził tylko pieniądź pozostający w obiegu pozabankowym. (Firma dysponowała kilkoma

kantorami wymiany walut, jak najbardziej legalnymi, kontrolowała także kilka następnych. Zatem waluty obce nikomu nie przysparzały problemu).

W Międzyzdrojach Robal także za wszystko płacił pieniędzmi szefa, dokładniej gotówką. Tym razem polską.

Spełniał wprawdzie wiele zachcianek „swojej” Asi, nadskakiwał jej, jak mógł, ale na nowe, jeszcze dłuższe tipsy się nie zgodził. Ze względów zdrowotnych oraz estetycznych.

- Wykluczone. Zrobisz sobie te paznokcie w ekskluzywnym salonie w Poznaniu - uzasadnił profesjonalnie stanowisko. - Nie tutaj. Dla ciebie, moja piękna, będzie wszystko, co najlepsze!

- Ach, naprawdę? Ojej... Jesteś taki słodki!

W każdym razie budżet nie ucierpiał na fanaberiach urzędniczej dupy, a cele organizacji zostały osiągnięte. Po trzykroć. Rzec by nawet można, że sporo zaoszczędzono na zauroczonej Robalem pannie. I jeszcze sam Rafał skorzystał z niej trochę prywatnie, z nadzieją na dalsze wymierne korzyści różnego autoramentu.

„Świetnie! Upiekłem trzy pieczenie przy jednym ogniu. Będzie chyba maleńka premia na ten mój pałacyk. Jeszcze tylko ten cały konserwator. Kurza jego zabytkowa twarz! Trzeba będzie coś z facetem zakombinować. Może szef będzie mieć jakiś pomysł? To łośbski gość. Coś na pewno wymyśli”.

Sam szef Robala, znaczy ten łośbski gość, kierował się w interesach maksymą starą jak świat. Sądził mianowicie od lat oraz z gruntu słusznie, że nie ma nieprzekupnych urzędników. Załatwienie czegokolwiek jest tylko kwestią

ceny. Albo też umiejętnego wykorzystania zebranych informacji. Na jedno w zasadzie wychodzi: chcieć to móc.

Jak się da, to się robi.

Dzieląc się z bossem swoimi rozterkami, Rafał lojalnie wyznał przy okazji, że z ochotą poniesie część kosztów związanych z pozyskaniem informacji od Asi. No bo przecież nad tym morzem załatwiał również domek dla siebie. Poniekąd ze znajomości służbowej korzystał także pozasłużbowo.

- Nie wygłupiaj się. Odrobisz z nawiązką. W naturze. He, he. Zakochałeś się w niej może? Czy coś w tym stylu?

- No co szef! Ja? W życiu. Absolutnie nie. I to mi na razie nie grozi. Żadne takie hercklekoty ani motyle w brzuchu. Wielką miłość do kobiety przerabiałem raz, i chwatit. Do tej pory odbija mi się czkawką. Ale lasencja trafiona, zatopiona.

- Odpracujesz tę całą Asię tak czy owak. Zainwestowałem w ciebie. - Szef łyknął ulubionego trunku z pięknej kryształowej szklaneczki.

Siedzieli z Rafałem w stylowym gabinecie i popijali trzydziestoletnią markową szkocką.

- No to jak było w tych twoich Międzyzdrojach? Gadaj! Przynajmniej będę wiedział, na co dałem szmal.

- W krótkich żołnierskich słowach: cztery pe. Pipka pachniała, paplała i pieprzyła.

- He, he... A przynajmniej ta laska warta grzechu? Jaka ona w te klocki?

- W te klocki biegła. Mucha nie siada. Gorzej z jej koszmarnymi tipsami. Całe plecy mam podrapane do krwi! Używała tego cholerstwa namiętnie.

- No, stary, jakieś koszty trzeba ponieść. Tipy? Co to? A, już wiem. Takie sztuczne, plastikowe szpony. Dobrze! He, he. Nie ma ten tego... He, he! Ale jaja!

- Dzięki, że pytasz. Oba trochę przy niej zużyłem, ale zasadniczo ocalały.

- He, he!!!

Od jakiegoś czasu, od kiedy tylko profil Zbunia pojawił się na górze kupki z teczkami „operacyjnymi”, Rafał vel Robal zainteresował się również środowiskiem tego specyficznego kłoszarda. Także okolicą, w której przyszło menelowi żyć, mieszkać, funkcjonować. Znajomymi, wydarzeniami, nawet codziennymi zwyczajami i menu.

Ostro zabrał się do tak zwanego białego wywiadu.

Codziennie po kilka godzin oglądał programy informacyjne emitowane z budynku Telewizji Wrocław. Słuchał wrocławskich rozgłośni radiowych. Śledził lokalną prasę dolnośląską i wrocławską, koncentrując się na kronikach kryminalnych, wypadkach i spektakularnych akcjach prowadzonych przez przedstawicieli służb mundurowych. Ściągał i czytał od deski do deski czasopismo „Głos Kamieńska”. Kilkustronicowy dwutygodnik, sponsorowany między innymi przez radę osiedla.

Rafał przeglądał internet. Wyśledził jednak głównie kilka wzmianek o stłuczkach drogowych i jedną o awarii prądu na pętli tramwajowej w interesującym go miejscu. Ta wiedza była mu na chusteczkę, bo do realizowanego projektu zupełnie nieprzydatna.

Ociupinę zainspirowała go wzmianka o kradzieży

miedzianych rynien z miejscowego kościoła parafialnego. Spektakularna akcja, zakończona nie tylko wykryciem sprawców, ale także ekskomunikowaniem tychże z kościelnej ambony. Bezprecedensowa odezwa proboszcza, to znaczący apel do sumienia podległych dusz, wywołała na osiedlu niemałą zadymę.

Rafał zainteresował się lokalnymi władzami. Tymi z najniższego szczebla samorządowego. Samymi radnymi oraz ich inicjatywami. Między innymi z ubolewaniem stwierdził, że wybrani przez mieszkańców członkowie kilkunastoosobowego gremium nie są aktywni w sieci. Generalnie niedużo o nich pisano i mówiono. Widocznie niewiele z tych osób potrafiło obsługiwać komputer. To także była dla Robala jakaś informacja. Przykładowo taka, że towarzystwo było wiekowe albo miało nieznane dolegliwości intelektualne. Przeto nie pasowało do koncepcji. Jego koncepcji działań operacyjnych.

Naprzeciwko Komisariatu Policji Wrocław Kamieńsko jeden z prywatno-służbowych znajomych Złotego uruchomił swego czasu agencję towarzyską. W dużej, wolno stojącej willi. Oczywiście przypadkiem akurat w tym miejscu.

Przez kilka lat interes szedł nawet nieźle. Także dzięki nietypowemu sąsiedztwu. Gość od tej willi pokornie płacił podatki, w terminie uiszczając inne należności publicznoprawne, sprzedawany w agencji alkohol legitymował się wymaganymi akcyzami i zezwoleniami. Nawet regularnie opłacano ZAiKS oraz abonament radiowo-telewizyjny, choć programów telewizji publicznej na pewno

tam nie oglądano. To, co oglądano na szklanych ekranach, nie przypominało żadnego programu puszczanego w żadnej europejskiej telewizji publicznej. Jednakowoż formalnie nie było się do czego przyczepić. Nasłany na nich sanepid, na bank poinformowany uprzejmie przez zazdrosną konkurencję, nawet nie wlepił właścicielowi mandatu.

Aby na bieżąco wiedzieć, co się dzieje u sąsiadów, pracowników obu instytucji wyposażono w lornetki. Tych z willi pod czerwoną latarnią w amerykańskie, z nowoczesnymi noktowizorami. Natomiast tych z posesji, nazwijmy rzecz: w kolorze stalowoszarym - w sprzęt troszkę starszy, poradziecki, bez dodatkowego oprzyrządowania. Pamiętający czasy zimnej wojny. Gorącej chyba też.

(Nowoczesne noktowizory były przecież bardzo drogie, zatem ledwie kilka sztuk otrzymały jedynie wrocławskie policyjne oddziały specjalne).

Wyznaczeni odgórnie dyżurni obserwowali się nawzajem. Z poczynionych obserwacji wyciągali wnioski, robili notatki, większość zaobserwowanych faktów sprawozdawali swoim władzom zwierzchnim. Do wykorzystania służbowego. Wszystko odbywało się na zasadzie dobrosąsiedzkiej współegzystencji.

Pewnego pięknego dnia, po prawie trzyletniej inwigilacji wzajemnej, nadal dobrosąsiedzkiej, co już wcześniej ustalono, koledzy policjanci z Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu w twarzowych hełmach, zasłaniających lica kominiarkach i czarnych gustownych, moro najechali gromadnie na agencję towarzyską. Zaraz potem rozrywkową ekipę z kilkoma zewnętrznymi klientami usługobiorcami ujęli, wiarę zakutą w kajdanki na ulicę wyprowadzili, do

autek przypominających stare zomowskie suki wtłoczyli i na bombach z Kamieńska wywieźli. Nieco rozneglizowane usługodawczynie okryli z wierzchu, czym się dało, bo podczas ewakuacji z zagrożonego terytorium nie miały czasu ciepłej się ubrać. Biedaczki. Je także wywieźli, ale już innymi oznakowanymi pojazdami. Osobowymi.

Wszelkie czynności w burdelu odbywały się pod bronią długą. I krótką także.

Cała akcja na złoczyńców przeprowadzona została szybko i sprawnie. Taki był ostateczny finał sprawozdawania do policyjnych władz zwierzchnich. Rozrywkowy przybytek niezwłocznie zamknięto. Z tego samego powodu, dla którego tak dobrze funkcjonował. To znaczy dzięki wsparciu dobrego, lojalnego, zaprzyjaźnionego sąsiedztwa.

Ów znajomy wrocławski biznesmen, przez niektórych nazywany po prostu krótko i węzłowato alfonsem, był także wielce pomocny w uzyskiwaniu informacji niezbędnych Robalowi. Jak też zadbał o bieżące przekazywanie tychże. W każdym razie zdążył ze wszystkim ważnym przed pokazową likwidacją burdelu oraz pamiętną, wręcz wiekopomną wizytą Robla w Kamieńsku.

Właściciel legalnego przybytku męskiej rozrywki i koedukacyjnej rozpusty miał jakiegoś znajomego w miejscowej policji. Chyba nawet kilku. Na pewno jednego z nich także w tej maleńkiej, skromnej, kamienieckiej. Znaczy naprzeciw i po sąsiedzku. To się nazywało niezłymi, przydatnymi wtykami w glinie. Albo weterynaryjnie i elektrycznie:

- Szefie, tak. Mamy kabel na psiarni.

Może dziarski, rozrywkowy glina z kilkoma prywatnymi

zainteresowaniami, pracujący na co dzień w mundurze formacji z rombowałą naszywką „P” (Pe jak prewencja, nie Pe jak Polak), nikomu nie zdradzał wielkich tajemnic państwowych. Albowiem takowych nie posiadał. Zdarzało mu się jednak raz po raz chlapnąć coś głupiego. Jakoś tak przy okazji, marginalnie, mimochodem. Na przykład jedną czy drugą niewielką tajemniczkę służbową. Niewinną, prawie dziewiczą. Aby była jasność, jedynie raz na jakiś czas. Okazjonalnie.

W chwilach upojenia sponsorowanym, markowym oraz bardzo drogim, przynajmniej dwunastoletnim trunkiem z butelki bez akcyzy, klepiąc po jędrnym tyłeczku skąpo odzianą, skośnooką, wschodnioazjatycką pięknosć, chwalił się służbowymi osiągnięciami na polu i na niwie. Na niwie policyjnej, gdyby kto pytał. Dzielił się ciekawymi akcjami. Swoimi i nie swoimi. To znaczy przeprowadzanymi przez kumpli z komisariatu. Tym samym przydawał sobie ważności i splendoru. Oraz, oczywiście zasłużenie, zyskiwał dodatkowe porcje ulubionego łyskacza (tego spod baru, prywatnego, to znaczy bez akcyzy).

Notabene niewątpliwe zasługi tego policjanta dla ojczyzny, prawie bohaterskie, miały *de facto* charakter głównie transportowy. Gość zwyczajnie woził ujętych złoczyńców oznakowanym radiowozem, czasami transportował komendanta na odprawy do komendy miejskiej. Sekretarkę do wojewódzkiej po pensje dla policjantów. Ryzę papieru maszynowego i papier toaletowy z policyjnego magazynu. To ostatnie trochę rzadziej, bo jakiegokolwiek służbowego papieru okrutnie im skąpiono.

(Miejscowi policjanci, w tym Stopa i Mundek, przynosili

na służbę swoją prywatną srajtaśmę. Wszystkie zaś cenne artykuły pierwszej potrzeby trzymali w szufladach biurtek. Z dala od oczu i jeszcze paru części ciała innych potrzebujących).

Ponadto gadatliwy chłopak dyżurował, to znaczy służył, o różnych porach dnia i nocy, mógł zatem na bieżąco uczestniczyć w niektórych wiekopomnych, spektakularnych wydarzeniach zapyziałego przedmieścia wielkiej aglomeracji miejskiej. W tym między innymi w przeszukiwaniu ogródków działkowych, zabezpieczaniu miejsc zdarzenia przed dostępem osób nieuprawnionych i licznych gapiów. Albo raz, przypadkiem, w poszukiwaniach zagubionego odzienia wierzchniego doczesnego truchła nieboszczyka Waldusia.

Tak czy owak, wrocławianie byli bardzo pomocni w zdobywaniu informacji biznesowych. Nie tylko oni. Prawie tak samo użyteczni dla spraw Szefa i Złotego, tu i teraz: Robala, byli jeszcze krakowianie, lublinianie oraz gdańszczanie.

Przy okazji Robal służbowo kontynuował zainteresowania wynikające z wykształcenia etnograficzno-kulturoznawczego. Wszak o to właśnie chodziło w szczegółowych przygotowaniach do tej całej akcji. Żeby wykorzystać wszelkie posiadane zasoby i umiejętności.

- Jak myślisz? Będzie ten menel? To znaczy pytam, czy w ogóle przyjdzie? - Rudy zaparkował samochód opodal posesji częściowo zamieszkiwanej przez Zenobiusza Kozłowskiego. W nieużywanej zatoczce przystanku autobusowego. - Jak długo czekamy?

- Spokojnie. Będzie. Zapewne się spóźni, ale przyjdzie. Chce przecież coś zarobić, poza tym na pewno się boi.

- Czego? Zarabiania pieniędzy? Nie bardzo rozumiem.

- Nie, tego akurat menele się nie boją. Nas się boi. Dokładniej tego, że zrobimy mu krzywdę. Jak temu jego Waldusiowi. Ale zapewne trochę na pacana poczekamy. Przecież na pewno dawno przepił zegarek. Jeżeli go w ogóle kiedyś miał. Albo jeszcze gdzieś kima po jakiejś ichniej pijackiej imprezie. Czekamy, ile będzie trzeba. Spiesz się, robaczku?

- No nie. Nie spiesz mi się. Ty tu rządzisz. A właśnie: nie kumam z tym Waldusiem. Kto to był? Rzeczywiście to nasza robota? Poszłeś w mokrą robotę?

- Poszedłeś, nie poszłeś. Facet poszedł. Baba poszła. Bez de. Ja poszedłem. Ty poszedłeś. Czas przeszły faceta zawsze z de. - W głosie Rafała pojawił się ton irytacji.

- Cooo?

- Jajco! - Robal najwyraźniej zirytował się na dobre. Po raz pierwszy od spotkania z Rudym. - Kurczę, mógłbyś się wreszcie nauczyć. To nie takie trudne! Oczywiście, że Walduś to nie nasza robota. Nawet go nie znałem, słyszałem o nim tylko, i ten gość, od jakiegoś czasu umrzyk, nie był mi do niczego potrzebny. Nam. Z tego, co wiem, to facet, też bezdomny kloszard, prawdopodobnie sam kojfnął. Podczas jakiejś menelskiej imprezy. To znaczy nikt mu w tym nie pomógł. Ale ten cały Zenobiusz o tym nie wie. Najwyraźniej myśli, że to nasza robota. Że wykończyliśmy mu przy... no, powiem po twojemu: jego osobistego przydupasa. Kochanka. Żeby mieć na niego haka. Bo tak niby robi każda mafia. Zastrasza i szantażuje. I tak ma zostać. Nie zamierzam

wyprowadzać lumpa z błędu. Musi się nas bać. Tylko wtedy zrobi wszystko, co mu każemy, i dokładnie to, o co nam chodzi. Nikomu nas nie sypnie, bo nadal będzie się bać.

- Kochanka? Aha. Znaczy ciota. Chyba łapię. To niby my też?

- Co my też? A, mafia? Tak. My niby też. Tak na dobrą sprawę to nasza firma, znaczy cała organizacja stworzona przez Szefa i Złotego, ma charakter mafijny. Oni przecież prowadzą mnóstwo różnych interesów, też takich natury... hmm... nie do końca legalnej. Doskonale o tym wiesz, ale chyba nie analizowałeś firmy w ten sposób. Nie da się prowadzić podobnego holdingu bez ryzyka i bez naginania obowiązującego prawa. Zatem jak najbardziej. Obaj pracujemy dla mafii, mój ty rudy robaczku!

- No chyba tak. Zajeb... Tego. Ale skąd wiesz o tym pi, tego, Waldusiu? I kto to w ogóle był? - dociekał uporczywie Rudy.

Z jednej strony zaczynał trochę rozumieć. Przemyślał sobie to i owo: postępowanie Robala, jego dziwne rozmowy z lumpami. Także tę wczorajszą pogawędkę z nim, pogładową jakby. Coś mu świtało. Gdzieś dzwoniło. Jeszcze dokładnie nie wiedział, co to jest. Z drugiej strony Rudy bał się trochę dokładniej zapytać, żeby nie wyjść na większego durnia i aby Robal się do niego nie zraził. Ponadto Robal obiecał, że w temat i w zadania do wykonania będzie go wprowadzać na bieżąco.

- Znaczy, trza, ku... cierpliwie czekać. Taka robota.

- Trzeba.

- No mówię, że trza.

Rudy poczuł po raz kolejny, to znaczy wydawało mu się,

że mimo ewidentnej różnicy w pochodzeniu, wykształceniu, obyciu i kulturze Robal jakoś dziwnie oraz niezrozumiale mu ufał. Obecny szefunio liczył chyba na jego pomoc, inaczej nie wzięłby go przecież do tej roboty, jakby trochę pod swoje opiekuńcze skrzydła.

Zatem Wojtek mógł być względnie spokojny. Zaczynał też wielbić swojego nowego szefa jako mentora, nauczyciela, dobroczyńcę. I ta robota także zaczynała mu się coraz bardziej podobać. Tudzież nowy wizerunek. W wygodnych, bawełnianych i markowych džinsach czuł się niemal tak dobrze jak w swoich ulubionych dresach. Dostojnie i elegancko. Ważniej, a na pewno poważniej. Niczym w eleganckim garniturze na ślubie siostry. Nawet bezwiednie zaczął się prostować i podnosić dumnie głowę.

A mówią, że niby szata nie zdobi człowieka.

- Gówno prawda! Zdobi jak cholera.

- To chyba nie do mnie? - Robal się uśmiechnął. Widział, że Rudy nad czymś intensywnie duma. - Za jakiś czas dowiesz się więcej. Cierpliwości, robaczku. Teraz mogę jedynie powiedzieć, że za długo przygotowywałem ten interes, żeby teraz coś wysypać. Nie zwykłem iść na żywioł, bo to nie byle ustawka kiboli przed meczem ligowym, tylko poważne przedsięwzięcie biznesowe. W grę wchodzi wielkie interesy i równie wielkie pieniądze. Chociaż w zasadzie, analizując oba zjawiska, te wasze kibolskie melanje też są przygotowywane dużo wcześniej. Ktoś coś planuje, organizuje, różnymi kanałami powiadamia wiarę. Wybula kasę. Nie ma za frajer. Nawet w pysk od dziada nie dostajesz za frajer. He, he. Wszyscy trzymają gęby na kłódkę. Niemalże do końca. Zgadzasz się ze mną?

Robal dokładnie wiedział, że Rudy całym sercem kibicuje pierwszoligowej drużynie ze stolicy Wielkopolski. Należy do prężnego klubu kibica, jeździ z kumplami na większość meczy, ochoczo bierze czynny udział w ustawkach, nierzadko dość krwawych. Na szczęście dla wszystkich, Robal nie napadał na ludzi na ulicach. Ani dla sportu, ani w celach rabunkowych. Stąd pomysł na porównanie.

- No tak. W sumie tak. Zgadzam. A jak nie przyjdzie?

- Nie bój żaby, robaczku. Spokojnie. Przyjdzie, przyjdzie. W razie niepowodzenia mam plan B. I jeszcze C.

- Taaa? Jaki?

- Nie kłopotz twojej ślicznej łysej główki.

- Dobra. Spoko. Czekamy. To jeszcze raz. Jak to było?

Rudy chciał zaimponować Robalowi. Z własnej woli, co nie było dotychczas w jego zwyczaju, zamierzał powtórzyć zadania na najbliższe godziny i dni.

Poprzedniego ranka, popołudnia i wieczora w wynajętej na czas wrocławskiej przygody trzypokojowej chacie długo omawiali najbliższą akcję. Gdzie, co, jak, w jakiej kolejności. Jakimi nazwiskami posługują się od następnego dnia. Nawet szczegółowo, co jedzą i co piją.

To tymczasowe mieszkanko z jednej strony go zawiodło, bo było ciasne i maleńkie. Nieustawne. Jak wszystkie na tym osiedlu. Wyposażone w meble pamiętające siermiężne czasy polskiego socjalizmu. W ciasnych pokoikach stały meblościanki à la Kowalski i wersalki. Cokolwiek zdezelowane i nadgryzione zębem czasu, ale z pojemnymi schowkami. To lokum ogólnie wydawało się brzydkie, długo nieremontowane.

Z drugiej strony Robal wytłumaczył podwładnemu, że okolica gwarantuje im pełną anonimowość i jakoś te kilka tygodni przeleci. Nadto im mniejsza powierzchnia, tym mniej sprzątanía. Można poświęcić więcej uwagi na sprawy opiekuńczo-wychowawcze i skoncentrować się na istocie sprawy.

Też dobrze.

- Pamiętasz swoje nazwisko? Dane z dowodu?

- Tak. Robert Ziolo...

- A moje? Bo biada ci, jeśli wymsknie ci się przy menelu moja ksywa. Albo przy kimś innym. Całą akcję diabli wezmą!

- Wiem. Pamiętam. Kazimierz ka, ku... tego, sorry, coś od kółka. Nie, od krążka! - Widząc niewróżącą niczego dobrego zmarszczkę na czole Robala, Rudy się skoncentrował i szybko mu się przypomniało. Wykrzyczał radośnie: - Czekał, już wiem! Kazimierz Krężel.

- Dobrze.

- A, Ro... tego, Kaziu, nie dałeś mi jeszcze hajcu! Nie mogłeś sobie wybrać innego imienia? W mordę... Jakieś dziwne. Stare i głupie. Mój dziadek był Kazik. I pamiętam tylko tyle, że mnie bił.

- Współczuję. Nie bardzo. To znaczy nie mogłem. - Rudy także uważał, że to archaiczne imię kompletnie do niego nie pasuje. Jednakowoż skojarzenie z kultowym władcą Kazimierzem Odnowicielem ociupinę dodawało otuchy.

Cóż było robić? Dostał dokumenty na Kazimierza Krężela, świetnie podrobione, mucha nie siada. Niewykluczone, że nawet autentyczne. Po kimś. Na nie wynajął lokum na wrocławskich Spokowicach, okazał je w paru instytucjach. Na nie miał pokój w jednym

z wrocławskich hoteli. Dotychczas nikt się nie przyczepił.

Najważniejsze, że papiery były w porządku.

- No tak. Pieniądze. Jasne. Przepraszam. Dam ci jutro tyle, ile będzie potrzeba. Dałbym dużo więcej, ale ten cały menel może ci skubnąć. Podobno przytula sobie wszystko jak leci. A tego nie chcemy, prawda?

- Aha. Może. No. Raczej. Ale przecież będę go pilnować.

- W kibelku? Pod natryskiem? W nocy? Nie bądź taki chojrak. Swojej prywatnej kasy też dobrze pilnuj. Tych łańcuszków, kolczyków, co tam na sobie masz. Nawet sygnetu. Fajki dostałeś. Lodówkę masz dobrze zaopatrzoną na kilka dni. Jest herbata, kawa, soki, woda mineralna. Tylko uważaj na gada, żeby ci naraz wszystkiego nie wyżarł i nie wyłopał. A Zbunio potrafi to zrobić, zapewniam. Żarcie ma być jako nagroda. Trzy, cztery razy dziennie. Nie więcej. I porcje przygotowuj jak dla dziecka. Żeby się nie przeżarł, potem nie pochorował. Na pierwszy obiad zamówimy pizzę. Potem będziesz wam przynosił ciepłe żarło z osiedlowego baru albo czasami wszyscy zjemy gdzieś na mieście. Piwa też macie dość. Część w lodowce, część w schowkach. Pamiętaj! Najwyżej jedno naraz. Jedno! Drugie w nagrodę za dobre sprawowanie. Niczego więcej, choćby cię błagał na kolanach! Przede wszystkim go pilnujesz. Żeby nie chlał, nie nawalił się jak stodoła, był na chodzie. Nie nawiał nam, na oścież nie otwierał drzwi, okien. Na noc zamykasz go w jego pokoju. Na klucz. Wszystkie klucze trzymaj przy sobie. Jak będziesz musiał przywołać lumpa do porządku, rób to tak, żeby mu nie uszkodzić facjaty. Do ludzi przecież ma iść. Zrozumiałeś?

- No mowa. Pamiętam. Ale nie bardzo rozumiem z tym

żarciem.

- Sam na to wpadniesz. Spokojnie. Szybciej niż myślisz. Komplet kluczy od mieszkania dostałeś. Na pewno nie masz przy sobie żadnych swoich dokumentów? To ważne.

- Na pewno. Wszystko ci oddałem... Ka... Kaziu. Kazimierzu. Hmm. Kaziu chyba bardziej styka. No nie?

- Chyba styka. Dobrze. To czekamy. - Robał wyjął zakupioną w osiedlowym kiosku gazetę codzienną i ze stoickim spokojem zabrał się do czytania. Jakby czekanie na lumpów było dla niego codziennością.

Rudy ze zdenerwowania zaczął obgryzać paznokcie. Podłubał trochę w nosie, podrapał się za uchem, przejrzał w lusterku wstecznym, poprawił swoją charakteryzację. Po namyśle spróbował poradzić sobie z nieładnym pryszczem na brodzie, następnie ciężko westchnął. Nie lubił beczynnie siedzieć i czekać.

Podczas długoletniej roboty dla Złotego naczekał się w samochodach na różnych takich i już mu warowanie obrzydło. Wolał przynajmniej obserwować teren. Albo przyglądać się kształtom chmur.

Wysiadł z wozu i stanął przy samochodzie. Już wyjmował papierosa, gdy na horyzoncie pojawił się Zbunio.

- Jest łachudra. Oż kur... jego mać!

- Co się dzieje? Miałeś nie... - Robał odłożył gazetę. - Dobra. Już nieważne. Przyszedł. Dawaj go do wozu i jedziemy.

- Ty, ale on prowadzi na sznurku jakiegoś zawszonego kundla. Co my z nim zrobimy?

- Kundla? O kurczę. Duży? Już go widzę. Nie. Mały. Trudno. Spoko. Coś wymyślisz. Hmm. Niech pomyślę.

Kundla bierzemy, żeby menel nam się nie wystraszył. Na jakieś drobne ustępstwo możemy pójść.

- A żarcie? Bo chyba psy też coś jedzą. Jeden taki nie mój zżarł mi nowe buty. Do tego obsikiwał meble. Temu nie dam moich nowych butów.

- Słusznie. Psa nie będziemy głodzić. Staniesz po drodze przy jakimś markecie to wyskoczę i kupię. Suche i puszkę. Pewnie zje wszystko, jak jego pan. Jakiś szampon dla psów może wezmę. Tego wszarza też trzeba będzie zaraz przeprać. Wątpię, żeby był szczepiony.

- Ty, Ro... Kaziu! O kundlu nie było mowy.

- No to teraz jest. Będziesz go wyprowadzać na skwerek pod blokiem. Kilka razy dziennie. Wielkie mi halo! Pies to nie koń. Na pewno dasz sobie radę, a ja dam ci potem dodatkową premię. To znaczy do obiecanej premii dorzucę trochę kasy. Za tego kundla. Stoi?

- Chyba że tak. Mogę wyprowadzać.

Zbunio powłóczył nogami i okrutnie sapał. Jakby w ogóle nie spał albo całą noc imprezował w krzakach.

Rudy zwrócił się do nadchodzącego lumpa.

- Ty, spóźniłeś się. A ten kundel zostaje.

- Co? Nie. To mój pies! Kierowniku, kurwa!

- Na pewno twój?

- No. Mój. Bez psa nigdzie z wami nie jadę. - Zbunio chyba próbował negocjować i ustalać warunki przyszłej współpracy.

- No dobra. Niech jedzie. Ale te manele zostają. Co to w ogóle jest? - Rudy skrzywił się na widok dwóch brudnych tłumoków Zbunia. Teraz dopiero doleciał do niego smród menela. - Po co ci te brudne łachy? To wszystko cholernie

śmierdzi. Ty też. Miałeś się umyć i włożyć czyste gacie! Wali od ciebie jak cholera.

- Co? Nie wiem.

- A ty w ogóle coś wiesz? Dobra. Wsiadaj do tyłu, bo szkoda mojego czasu.

Na szczęście piesek był mały, chudy i poręczny. Do tego wystraszony jak jego pan.

Wszystkie przytасzczone manele Zenobiusz zostawił w płytkim rowie przy ulicy, opodal zardzewiałej latarni. Właściwie, po wahaniu, porzucił przytargany dobytek.

Po kolejnym krótkim namyśle Zbunio machnął ręką i z kundlem pod pachą wsiadł do samochodu.

Robal zamknął swoje drzwi, otworzył okno i nie oglądając się za siebie, głośno zapytał:

- Masz dokumenty i papiery?

- Cooo? Mam. A moja kasa? Piwko, dobrodzieju, suszy... ja pierdołę... Od wczoraj nic nie piłem. Litości!

- Najpierw robota, potem kasa. Miałeś nie pić od przedwczoraj. Pamiętasz? Dojedziemy na miejsce, wykąpiemy ciebie i tego wszarza, potem w nagrodę dostaniesz śniadanie i piwo. I dawaj te dokumenty. I dowód osobisty.

- Co? Niech będzie. Kurwa.

- Jeszcze czego. Żadnej kurwy nie będzie - mruknął pod nosem Rudy.

Robal usłyszał celny komentarz kolegi i lekko się uśmiechnął.

Po przejęciu dowodu Zbunia i paru starych kartek z pieczęciami notarialnymi, które od razu przez chusteczkę schowane zostały do plastikowego woreczka, potem do

aktówki z zamkiem szyfrowym, Robal zwrócił się do Rudego. Ten zdążył już wyruszyć z przedmieść w kierunku centrum miasta.

- Słuchaj. Jedziemy prosto do domu. Lekka modyfikacja planów. Najpierw wsadzamy ich do wanny, bo nie wyrobię od tego zaduchu. Zaraz nam się zaśmierdnie auto. Jak da radę, to razem. Ty ich myjesz i pucujesz, ja zbieram do worka wszystkie jego zawszzone, śmierdzące łachy i natychmiast wywalam na śmietnik. Idę do apteki po coś na odwszenie, odrobaczenie, do sklepu po żarcie dla kundla. - Rafał starał się mówić cicho i tak, żeby Zbunio słyszał jak najmniej.

- Dobra Ro... ka, Kaziu - odpowiedział cicho Rudy vel Wojtek, vel Robert. - Kurna, zasrana robota. Czuję go przez skórę. Zaraz puszczę pawia. Otwieram okna i robię przeciąg.

- No. Zgadza się. Ale tak trzeba. Obaj tkwimy po uszy w tym śmierdzącym szambie. Trochę za późno, by się wycofać. Będzie dobrze. Zobaczysz.

- No... - Czując smród pasażera, Rudy zaczął nabierać wątpliwości.

Po przejechaniu około kilometra Zbunio jakby trochę doszedł do siebie. Zaczął się trwożnie rozglądać, szarpać Robala za rękaw marynarki.

Krajobraz nieco się zmienił. Po prawej i lewej stronie szosy rozciągały się pola. W oddali majaczyły wysokie bloki jednego z dużych osiedli mieszkaniowych Wrocławia. Minęli także jadący po pojedynczym torowisku tramwaj linii trzy. Łączący Kamieńsko z wielkomięską cywilizacją.

- Gdzie mnie wieziecie? Kurwa jego mać! Do

Wrocławia? Ja pierdolę...

Robal nie odpowiedział. Pomyślał, że trafił mu się gość z kompleksem wiochy. Niby długoletni mieszkaniec wielkiej aglomeracji, a mentalność klasycznie prowincjonalna: małomiasteczkowa albo wiejska.

To akurat przedmieście włączono do terytorium administracyjnego Wrocławia pod koniec lat dwudziestych dwudziestego wieku. Za Niemca jeszcze. Między wojnami światowymi. Na początku lat sześćdziesiątych przedmieście rozbudowano i zmodernizowano. Puszczono tramwaje. Urządzono węzeł komunikacji miejskiej. Zbunio mógł być wówczas dzieckiem. Od tej pory minęło ponad czterdzieści lat, jednak rdzenni mieszkańcy Kamieńska nie wyzbyli się dawnych przyzwyczajęń. Nadal jeździli „do Wrocławia”, „na Wrocław” albo „do miasta”. Szkolna miejscowa młodzież mówiła tak samo.

„Przydatny ten kompleks wiochy. Może lump dokładnie nie zapamięta, gdzie go trzymaliśmy i dokąd woziliśmy?” – pomyślał Rafał i swoim zwyczajem ponownie uśmiechnął się ledwie widocznie.

- Z czego się brechtasz?

- Nic, nic. Z tego kundla. Jeszcze dobrze nie zaczęliśmy, a już taka niespodzianka.

- No, he, he. - Rudemu trochę poprawił się humor.

Mężczyźni dojechali na miejsce. Samochód zaparkowali na osiedlowym parkingu opodal olbrzymiego bloku mieszkalnego z wielkiej płyty, wybudowanego pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Prawie całe osiedle powstało w tym czasie. Potem sukcesywnie dobudowywano

inne bloki, wciskając je między te najstarsze.

Pomogli wysiąść przerażonemu i oszołomionemu Zbuniowi, zaprowadzili go do jednej z klatek schodowych w środkowej części budynku, siłą wepchali do ciasnej windy, potem wjechali na siódme piętro. Tam otworzyli drzwi mieszkania, z których dzień wcześniej Robal usunął numerek. Nie dało się zamaskować ani nazwy ulicy, ani numeru bramy. Robal liczył na łut szczęścia, to znaczy na to, że Zbunio nie zakoduje tych danych.

Przez cały czas menel dzierżył na rękach równie przerażonego kundla.

Gdy Rafał poszukiwał na tym osiedlu optymalnego mieszkania do wynajęcia na swoją akcję, rozważał kilka interesujących ofert. Zdecydował się na tę właśnie, ponieważ lokalizacja gwarantowała największą anonimowość. Początkowo sam miał kłopot ze znalezieniem właściwego bloku i wejścia do klatki, uznał zatem, że Zbunio może w ogóle nie zapamiętać, gdzie mieszkał przez kilka tygodni.

Wszystko, co robił Rafał, było do gruntu przemyślane. Poddane wnikliwej analizie. Niczym przy mistrzowskiej grze w szachy. Jedynie takie działanie organizatora sprzyjało powodzeniu przedsięwzięcia.

- Dobra, jesteście w domu. Tutaj teraz będziecie mieszkać jakiś czas. Rozbieraj się!

- Co? Nie!

- No, zdejmuj z siebie ciuchy. Wszystkie! - powiedział Robal głośniejszym głosem. Miało zabrzmieć jak kategoryczne polecenie i tak też odebrał to menel.

- Błagam, nie zabijajcie!

- Na to też przyjdzie czas. Fikniesz i już po tobie. Teraz idziesz się kąpać. Twój kundel też.

- Co? A w czym będę chodził? Moje ubranie...

- W twoim pokoju masz czyste, świeże ciuchy. W łazience szlafrok. Twoje zawszone łachy wyrzucam. A teraz ja wychodzę, a ty masz słuchać kolegi. Jasne?

- Nieee... kurwa, ja pierdolę! Błagam! Piwka...

- Marsz do wanny! Natychmiast! Robert, wiesz, co masz robić. À propos mycia: ja tymczasem się zmywam. Zamknij za mną, klucze mam swoje.

Pierwotny plan Rafała był troszeczkę inny.

Najpierw mieli zawieźć lumpa do łaźni miejskiej, gdzie czasami kąpano wrocławskich bezdomnych. Jednak parszywy kundel ewidentnie stał temu na przeszkodzie. Kundli miasto nie kąpało. Ani charytatywnie, ani odpłatnie. Żadne w Polsce. Ani w łaźniach, ani nigdzie.

Ponadto należało jak najszybciej pozbyć się cuchnącej i zapewne zarobaczonej odzieży Zbunia. Robał najchętniej spaliłby ją niezwłocznie, ale nie bardzo miał możliwości. Ani nie bardzo było gdzie. Palenie czegokolwiek w mieście, nawet w niedalekich chaszczach nad brzegiem leniwie płynącej Odry, niechybnie zakończyłoby się ściąganiem sobie na kark straży miejskiej, policji, straży pożarnej, stada gapiów i Bóg wie kogo jeszcze. Palenie sterty odzieży w wannie także odpadało w przedbiegach. Może jakoś by uszło w wolno stojącej willi. Ale w miejskim bloku? Niemożliwe.

Zaraz po wyjściu z bloku Rafał wrzucił plastikowy wór do osiedlowego śmietnika.

Migiem musiał wyczyścić gdzieś w myjni wewnątrz

samochodu, ze szczególnym uwzględnieniem tylnego siedzenia, na którym pólężał menel z kundlem na rękach. Zamówić dla Zbunia wizytę u fryzjera męskiego, dać zrobić manikiur. To znaczy zrobić lumpowi, bo dłonie Robala były elegancko wypielęgowane. Dokupić trochę bielizny i wizytowe buty, które wprawdzie mógł nabyć wcześniej, ale nie był pewien dokładnego rozmiaru. Iść do apteki. Kupić psu jedzenie. Gdzieś nabyć dobrze tnące nożyczki w celu podcięcia Zbuniowi długich kudłów na głowie i brodzie, zanim gość trafi pod profesjonalne nożyczki i brzytwę specjalisty.

Dobrze, że lump nie dorobił się kołtuna, bo z tym byłoby dużo gorzej. A tak to rachuciachu i po strachu.

Istniało bowiem realne niebezpieczeństwo, że fryzjer odmówiłby wykonania usługi strzyżenia. W jednorazowe artykuły do golenia Robal zaopatrzył się już wcześniej. Czekały na pierwsze użycie po kąpieli.

Tym na miejscu miał się zająć Rudy, co także ustalono wcześniej.

Robal przygotowany był na dodatkowe trudności organizacyjne, zatem ostro i z werwą wziął się do roboty.

Pierwszy, wrocławski etap prac nad projektem zbliżał się ku końcowi.

(W prawie karnym określanym jako przygotowanie do popełnienia przestępstwa).

Rozpoczęcie drugiego etapu miało nastąpić niezwłocznie po tym, gdy obaj biznesmeni upodobnią Zenobiusza Kozłowskiego do ludzi. I będzie można go zademonstrować wielkiemu światu. W nowej wersji *business class*.

Chwilkę po wyjściu szefa Rudy zaprowadził Zbunia do łazienki, gdzie do wanny lała się ciepła woda, tworząca na powierzchni tafla pachnącą piankę z płynu do kąpieli. Najtańszego, jaki znaleźli.

To znaczy usiłował zaprosić i zaprowadzić. Finalnie i z użyciem dużej siły udało się zawlec oraz zataszczyć. Albowiem Zbunio się zaparł. Goły jak święty turecki, jedną ręką ścisnął pod pachą psa, drugą ułapił się mocno pokojowego kaloryfera. I wył przy tym, jakby go Rudy obdzierał ze skóry. Na dodatek na żywca i za pomocą tępego narzędzia.

Pies także wył. Widocznie tak jak jego pan niezwykajny był jakichkolwiek ablucji i solidaryzował się w bólu.

- Zamknij mordę i ucisz psa. Pójdiesz dobrowolnie, czy mam ci wpierdolić? - zdenerwował się Rudy.

Na moment zaniechał ciężkiej pracy fizycznej, zakręcił wodę, żeby nie zalać łazienki i przy okazji sąsiadów z niższych pięter. Sam rozebrał się do majtek, pozbył się teatralnej charakteryzacji, prezentując w pełnej krasie łysą głowę, gładko ogoloną twarz i swoje liczne tatuaże na rękach, torsie, nawet na goleniach. Rudy napiął bicepsy, zrobił jeszcze groźniejszą minę i zdecydowanym ruchem przechwycił psa.

- Dawaj tego kundla. Wypierdolę skurwysyna za okno. Będzie spokój.

- Nieee, tylko nie za okno! No to już pójde. - Zbunio złapał oddech. - Kurwa, biją! Ratunku! Ludzie... - Wrzask przerodził się w gromki skowyt.

Nie poszedł. A jeżeli jakoś w końcu ruszył spod tego

pokojowego kaloryfera, to na pewno nie o własnych siłach i bynajmniej nie dobrowolnie.

- Tyyy... Nie drzyj się! I nie biją, tylko myją. Łeb ci tam nie odleci. Najwyżej dostaniesz ode mnie kolejny wpierdol!

- Auuu...

Po kilkunastu minutach „Robert” nareszcie osiągnął swój pierwszy sukces pedagogiczny. Udało mu się zaciągnąć kłoszarda do łazienki, tamże ponownie najpierw z objęć Zenobiusza wyrwać i wrzucić do wanny psiaka, po czym, korzystając z chwilowego zaskoczenia lumpa, wepchnąć do kąpieli i jego.

W mydlanej pianie zwierzę na moment zamilkło, nawet zaczęło jakby płynąć pieskiem. Zbunio natomiast uczynił odwrotnie: bynajmniej nie zamilkł, tylko począł wydawać z siebie dźwięki niczym skrzywdzony kundel. Czyli głośno wyc i skowyczeć.

- Kurwancka, nie wyrobię! Gnoju jeden, zamknij dziób! Czego tak wyjesz, jak rany? - Rudy także zaczął się drzeć, starając się przekrzywić obu tymczasowych gości łazienkowej wanny.

- Ludzie, mordują! Ratunku!

- Morda w kubeł, bo ci naleję zimnej wody! Albo gorącej. Znaczy wrzątku. Chcesz?

- Cooo? Nie, ja pierdolę! Auuu...!

W tym czasie kundel wyskoczył z pianistej kąpieli, otrzepał się i natychmiast zaczął szczekać na wkurzonego, zasapanego i spoconego egzorcystę. Szczekanie przeszło w warkot i demonstrację psich walorów. Jeszcze chwila, a pupil Zbunia ugryzłby w gołą nogę oprawcę swojego pana.

Celnym ruchem odnóża Rudy wykopał kundla za drzwi.

Przydała się amatorska gra w piłkę nożną.

- Wszarza załatwię później. Nie pierdol, tylko dawaj ten zawszony łeb! Masz tu gąbkę i się trochę wyczyść! Używaj mydła, ty cholerny śmierdzielu!

- Nie! Auaaa...!

Pół godziny bez mała trwało, zanim Rudy uporał się z pucowaniem Zbunia. Spuszczając wodę z wanny, równocześnie spłukał ciało menela czystą wodą z natrysku.

- Ja pierdolę, ale syf. - Oprawca przejął nomenklaturę swojej ofiary. - Jak szambo moich sąsiadów. Kurwa mać! Jeszcze czeka mnie sprzątanie tego gówna!

Pies drapał w drzwi i skowyczał.

- Masz tu ręcznik, wytrzyj się i włóż suchy szlafrok. Tu masz szczoteczkę i pastę! Zanim wyjdiesz, umyj zęby! Z gęby też ci jedzie niemożliwie.

- Co? Nieee!

- Nie chcesz? No to twój durny kundel wyskakuje za balkon. Już się do tego zabieram!

- Za cooo?

- Za kasę, lumpie parszywy! Zgodziłeś się!

Zbuniowi nie do końca o to chodziło.

- Buuu... Nie!

Rudy wyszedł i zamknął Zbunia w łazience. Na klucz. W tym momencie nawet nie przyszło mu do głowy, że na półeczce stoją męskie kosmetyki zawierające alkohol. Gdyby Zbunio to zauważył, na pewno galopem opróżniłby wszystkie buteleczki do dna.

Potem Wojtek zrobił to samo z sierściuchem na małym balkonie, który przylegał do równie małego salonu. To znaczy nie wypił, tylko zamknął tam psa na

klamkę i na klucz. Pomyślał, że byłoby najlepiej, gdyby parszywiec sam stamtąd wyskoczył. Jeden problem mieliby z głowy. I dodatkowy bodziec do wymuszenia posłuszeństwa na lumpie. Rudy lubił jednak zwierzęta, dlatego ulitował się nad wredną bestią. Tak po ludzku.

Po jakimś czasie Zbunio zaczął walić pięścią w drzwi.

- Tyyy, juuuuż, wypuść mnie! Ratunku!

- A umyłeś zęby?

- Coo? Taaak... kurwa, umyłem!

- No to pokaż. Sprawdzimy, czy ci nie jedzie z gęby!

Widok rzekomo wyczyszczonego uzębienia sprawił Rudego w autentyczne osłupienie. Czegoś takiego jeszcze nie widział. Nawet dziewięćdziesięcioletni dziadek jego byłej miał w swojej leciwej gębie i więcej, i ładniej. No i zdecydowanie czystiej. A w prowincjonalnej okolicy staruszek słynął z tego, że okrutnie bał się dentysty i innych wszelakich medyków. Dosłownie mdlał na widok białego fartucha i strzykawki. By resekować zepsuty ząb mądrości, zastosowano wobec biedaka znieczulenie ogólne, poprzedzone solidną dawką „głupiego Jasia”. Zastrzyk też zrobiono dziadkowi z zaskoczenia, podszedłszy go od tyłca.

Po pierwsze z dziąseł Zbunia z rzadka sterczały liche kikuty, po wtóre owe kikuty były koloru nieco przejrzałego, zarazem zepsutego banana.

„Stare nutrie miały jaśniejsze zęby. No i co Robal z tym robi? Jasna cholera!” – Rudemu przypomniały się gryzonie dziadka. – Błeeee...

Był wówczas małym chłopcem jeżdżącym z matką na lotnisko do dziadków na wieś. Jeszcze przy okazji przypominał sobie o ciepłym futerku babci, także z nutrii,

i opowiadaniach mamy o przepysznej kiełbasie, którą ów dziadek produkował w siermiężnych czasach PRL-u. Z tych swoich ukochanych, hodowlanych, prawie szczurowatych zwierzątek. Przedsiębiorczy dziadzius obdarowywał delikatesem rodzinę, sprzedawał znajomym. Wymieniał z sąsiadem na równie pyszną kiełbasę z koniny.

W Peru ponoć jadają pieczone nutrie i świnki morskie. Uchodzą podobno za rarytas. Ale żeby w centrum Europy wpieprzać duże szczury? Powinni z nich robić karmę dla zwierząt, a nie wędlinę.

- Błeeee...

W tym momencie Rudy spojrzął na Zenobiuszowego psa zupełnie pod innym kątem. Bardziej konsumpcyjnym.

- Na co właściwie lumpowi ten pies?

Czekając na Robala, Wojtek vel Robert, vel Rudy włączył wykąpanemu Zbuniowi telewizję i wszedł do kuchni, by zrobić im późne śniadanie. Zasadniczo prawie w porze lunchu. Tak długo zeszło mu z pucowaniem okropnie zapuszczonego kloszarda.

Nastawił wodę w czajniku, z lodówki wyjął jajka, smarowidło, serek, wędlinkę i pomidorka. W swoim kawalerskim stanie i w wynajętej jednopokojowej kawalerce wyspecjalizował się w kanapkach i jajecznicy, zatem i teraz postanowił przygotowywać owe kultowe dania. Szybko i sprawnie. Ewentualnie jeszcze ugotować parówki. Menel siedział nadal w szlafroku na kanapie, ze swoim psem na kolanach. Z pokoju dochodził ich ciężki oddech i jakby ciche skamlanie. Obu.

- Tyyy, jajecznicza na maśle?

Brak odzewu. Zbunio gapił się tępo w telewizor.

- Hej, do ciebie mówię! Jaka jajecznicza?

- Cooo? Eee...

- Jajka jakie?! - wydarł się Rudy. - Głuchy jesteś?

Znowu nic.

Robal wrócił do pokoju z nożem kuchennym w ręku. Zbunio nadal tępo i z rozdziawioną gębą wybałuszał gały w ekran, jego pies w niego. Też się wgapiął, jednak trochę rozumniej oraz inteligentniej.

- Ogłuchłeś po tej kąpieli?

Nic. Zero reakcji. Gadał dziad do obrazu. Albo odwrotnie.

Rudy podszedł i wywrzeszczał prosto do niby umytego ucha Zbunia.

- Jakie jajka ci zrobić?

- Aaa. Nie wiem...

- A, to już wiem. - Wojtek odwrócił się na pięcie i wszedł z powrotem do kuchni.

„Kurde. Coś z nim jest nie halo. Nie słyszy, skurczybyk. Chyba uszy trzeba mu przetkać. Tylko jak? Ja się nie piszę. Nie ma mowy. Może Ro... Kaziu coś wymyśli? Kaziu. Kaziu. Muszę się nauczyć. Za dużo tego, jasna dupa. Niańczyć, wozić, gotować, spamiętać. Podcierać dupę. Co to ja jestem? Student jakiś pieprzony? Matka Polka? Kurwa mać!”

Po zjedzeniu obfitego śniadanka i wypiciu dwóch kubków herbaty z czterema łyżeczkami cukru każdy Zenobiusz momentalnie przeniósł się w objęcia Morfeusza. W końcu Rudy zabrał mu cukierniczkę sprzed nosa, bo bał się, że lumpa zemdli. Że od przedawkowania glukozy Zbunio puści

pawia, a na opiekuna spadnie dodatkowe sprzątanie.

- Rany. Nie ma umiaru. Jak mamę Kocham.

Chwilę wcześniej minęło południe. Wojtek był tak zmęczony, że wyjął sobie chłodne piwko z zamiarem spożycia. W tym czasie do mieszkania wszedł Robal.

- Cześć. Jak ci idzie? No, mam to żarcie dla kundla. Możesz mu dać. O, wyprałeś drania? Jakoś mniej tu cuchnie.

- Obu wyprałem. - Rudy opowiedział historię z oporem materii i koncertem akustycznym.

Przekaz był podparty dynamiczną gestykulacją i mimiką.

- Gdyby ten wszawy kundel mnie ugryzł, wyp... tego, wychrzańliby za balkon. Słuchaj, ale chyba mamy z nim kolejny mały problem. Znaczy z naszym lumpem. Nawet dwa.

- Nie denerwuj mnie. Gadaj. Jakie?

- Jemu chyba trzeba jeszcze jakoś wyczyścić uszy. Chyba po tej wannie mu zalało, czy coś. Jak się kąpał. Ja się na takie zabawy nie piszę, sam znaczy, bo jeszcze obaj mnie pogryzą. No i trzeba zrobić coś z jego... no tego... hmm, garniturem. - Rudy chciał być elegancki. Gdzieś słyszał stwierdzenie o tym garniturze i wydawało mu się, że wyraz będzie odpowiedni. Adekwatny. Zarówno do sytuacji, jak i dla uszu inteligentnego mentora.

- No przecież ma, bo przywiozłem. Wisi w szafie. Powinien być dobry. Dobrej firmy. Koszule i krawat też mu do niego dobrałem.

- Nie ten garnitur. Chodzi mi, no, tego, o jego zęby.

- Tak? A co z nimi?

- No chyba nie bardzo. Sam zobacz. Raczej do dupy. Sorry. Trzeba chyba będzie go zaprowadzić do jakiegoś

dentysty albo co... Nie wiem. Aha, jeszcze te uszy. Bo chyba zupełnie ogłuchł. Pytałem kilka razy o jajecznicę, a ten pie... tego, menel, nie słyszał.

- O, skoro o jajecznicę... - Robał się zamyślił. - Powinien zareagować na jajecznicę. Przecież tu chodziło o żarcie. Rzeczywiście może nic nie słyszeć. A zjadł coś? - dopytywał.

- Wpie... tego, wpieprzał, aż mu się uszy trzęsły. Musiałem mu dorobić kanapek, a kundlowi dać chleba ze smalcem. Chciał więcej, ale kazałeś nie dawać wszystkiego. I pieczywa już nie ma. Jak tutaj jesteś, to wyskoczę i dokupię. Chętnie się gdzieś przejdę.

- Kto chciał więcej?

- No Zbunio. Właściwie to jeden i drugi. Ale żaden nie dostał.

- Bardzo dobrze. Grzeczny robaczek. Jak się obudzi, to z nim pogadam. I zobaczę ten jego, hmm, garnitur w gębie. Zaraz też obetniemy mu trochę te ohydne kudły. Potem jedziemy do fryzjera i na manikiur. - Ostatni wyraz Robał wypowiedział prawidłowo po francusku, to znaczy akcentując ostatnią sylabę, i używając charakterystycznego, francuskiego er. Tylnojęzykowego. - Umówiłem nas na czwartą. Samochodem jedziemy. Wprawdzie to blisko, bo na następne osiedle, ale pojedziesz dłuższą drogą, żeby nie wiedział dokąd. Licho nie śpi.

- Na co?

- Co na co? Na następne osiedle.

- Nie. No, na mani coś tam. Co to jest?

- Aha. Tak. Do manikiurzystki. Pielęgnacja dłoni i paznokci. Przecież dziad idzie między ludzi i będzie podpisywać ważne dokumenty. A łapy ma nie do przyjęcia.

Brudne i zaniedbane od razu zwrócą czyjąś uwagę.

- Aa... no tak. Nie wiedziałem. Trochę go wymyłem, to chyba łapy mu odmokły. Dam psu to żarcie, to może potem da mi się wyprowadzić? Co? Kupiłeś jakąś smycz?

- Nie kupiłem. Kurczę. Nie pomyślałem. Nigdy nie miałem psa.

- No to co robimy?

- Dobra, spróbujemy jeszcze na tym brudnym sznurku. Czeka. Niech pomyślę. To ja w takim razie idę teraz do sąsiadów przeprosić za te wrzaski. Opowiem jakąś historyjkę o wujku ze wsi z chorobą psychiczną. Że ma schizofrenię i dostał ataku. Albo wspomnę o zespole Tourette'a. Będzie lepszy. Wiarygodniejszy. A jeszcze dodam coś o przyjeździe do specjalistów. Lekarzy znaczy. Powinni łyknąć bajeczkę.

- Gadaj, co chcesz. I tak nie wiem, o co chodzi. Połowy nie zrozumiałem. Dobra ta choroba psychiczna. W przypadku naszego Zbunia nawet chyba się zgadza. Chłop ma coś z głową. Zryty beret. Normalni ludzie tak kretyńsko się nie zachowują.

Robal wyszedł, Rudy zaś nałożył z puszki do miseczki wołowinę z warzywami w sosie własnym, cokolwiek to znaczy w przypadku psiej karmy, i postawił na podłodze w kuchni. Pies momentalnie się pojawił, i po kilku sekundach miska świeciła pustakami. Nawet najedzone zwierzę jakby podziękowało za poczęstunek, przyjaźnie machając ogonkiem.

- Smakowało jedzonko? No to zaraz spacer, ty pieprzony wszarzu. Szkoda, że sam nie wyszedłeś przez ten balkon, bydlaku jeden. Czy wyszełeś? Nie, chyba wyszedłeś.

Ja pierdolę! Jeszcze to!

Robał w końcu wrócił z przymusowej wycieczki po sąsiadach i okolicznych sklepach.

- Ty, tego, Kaziu, czemu tak długo?

- Dlaczego. Czemu się przyglądasz? Zeszło mi troszeczkę, bo obleciałem paru sąsiadów. Potem jeszcze musiałem zadzwonić. Chyba kupili naszą bajeczkę. Baba z góry, ta nad nami, starszawa i taka jakby pognieciona, najpierw chciała dzwonić na gliny. Potem stwierdziła, że pójdzie się pomodlić za naszego wujka. W intencji chorego, czy jakoś tak. Uważaj na nią. Nawiedzona jakaś. A i kłaniaj się wszystkim. Mów każdemu dzień dobry. Lepiej kilka razy niż w ogóle. Tak na wszelki wypadek.

- Jeszcze czego! Może jeszcze mam im nosić siatki? No dobra. Jak chcesz. Będę. Idę z tym wszarzem. Niech go... diabli. Nie przyglądam się. Jaka ta baba z góry? Pognieciona?

Kundel wyszedł bez oporu. W ciasnej windzie też zachowywał się w miarę poprawnie. Tylko troszeczkę oznaczył marnym sikiem swoje nowe terytorium. Potem zatrzymał się pod krzaczkiem na skwerku pod blokiem i załatwił wszystko, co miał do załatwienia. Razy kilka nawet.

Trzymając w dłoni koniec psiego sznurka, Rudy usiłował zapalić papierosa. Cały czas obserwował kundla, który niemiłosiernie ciągnął i szarpał. Miotał się po skwerku jak opętany, obwąchiwał wszystkie wystające trawki i krzaczki, co rusz podnosił nogę. Zасыpywał po sobie. Jakby się bawił,

a nie korzystał z wybiegu.

W pewnej chwili Rudy usłyszał damski głos.

- Ty, Aga, popatrz, jaka wypasiona smycz. Dawno takiej nie widziałam!

- Oryginalna. Hi, hi. Zapytamy pana, gdzie ją kupił? - Głosowi zawtórował drugi głosik, także damski. - Może jeszcze takie mają? A jaka to rasa? Pasuje do tego sznurka! Hi, hi...

Zamyślony Wojtek odwrócił się i zdębiał.

Chodnikiem szły dwie młode kobiety, w tym jedna autentycznie ruda. Piękna! Zjawiskowa! Modne obcisłe dzinsy wyglądały zabójczo na jej zgrabnym tyłeczku. Długie, lekko kręcone włosy pięknym gęstym dywanem opadały na plecy czarnej, skórzanej, modnej kurteczki. Na widok zjawiska rasowemu chłopu stanęło parę organów. Dolnych i górnych. Wręcz osłupiało. Rudy jako całość - także.

Zaszokowany cudnym widokiem, wypuścił z ręki sznurek. Pies wykorzystał moment i chyżo pobieżał w kierunku ruchliwej ulicy.

- O kurwa! - wyrwało się Rudemu. - Niemój! Wracaj, ty durny wszarzu!

- Hi, hi... Leć pan za nim! - Cudny, boski rudzielec dobił zgnębnego Rudego. Na odchodne.

- To nie mój! - usiłował jakoś wytłumaczyć się przed cudem, ale dziewczyny oddaliły się już znacznie, nadal się chichrając. - Aj, chuj ci w dupę. Idź w diabły. Ale towar! Rany! Może tu gdzieś mieszka i ją jeszcze spotkam? - Nie wiedział za bardzo, co ma robić. - No i co teraz? Robal mnie zabije! Ale fajna dupa! U nas takich nie ma. Albo same dziwki, albo głupie, świętojebliwe wieśniaczki.

Rudy pokręcił się trochę po osiedlu w poszukiwaniu Zbuniowego kundla. Z bliska obejrzał ruchliwą ulicę, popytał przechodniów, nagabywał osoby czekające na przystanku autobusowym. Nikt nic nie widział. Zapewne nikt także nie zwrócił uwagi na małego wypłosza z zawiązanym na szyi sznurkiem. Rozjechanego zwierza Wojtek też nigdzie nie zauważył.

Wrócił do domu i opowiedział Robalowi o ucieczce kundla na wolność.

- To moja wina. Przepraszam. Cholera! Chwila nieuwagi i wypuściłem z ręki sznurek. Szarpnął jakoś, czy coś. Stało się. Durny kundel. No i co teraz zrobimy? Może nie zauważy? Najwyżej powiemy, że pies polazł spać do szafy. Nażarł się, wysikał i wybiegany kima.

- Dobra. Zastanówmy się. - Robal uznał, że nie będzie rugać podwładnego. Mleko się wylało. - Tak zrobimy. Nie mamy wyjścia. Musimy odwlekać informację o ucieczce kundla, ile się tylko da. Gdy się nasz Zbuniek obudzi, dasz mu jedno piwo, niech się nim zajmie. Potem ubierzemy go w dresy, ciepły sweter i pojedziemy do fryzjera. Muszę mu chyba kupić jakąś kurtkę, bo robi się coraz zimniej. Potrzebny nam zdrowy, a nie chory. Ty go pilnuj, ja muszę znaleźć niedaleko jakiegoś dentystę. Idę dzwonić. Mam jeszcze jedną pilną sprawę do załatwienia. Będę za jakieś dwie, trzy godziny. Może mi dłużej zejść. Przykryj czymś tego lumpa, bo nam się za wcześnie obudzi.

Po kilku godzinach Robal przyszedł z gorącą pizzą o nowym na rynku rozmiarze XXL.

Czysty i przejrzysty Zenobiusz dostał swoje piwko. Jasne pełne. Trochę marudził, że tak mało, że sukinsyny mu

skąpią, ale potem spałaszował prawie całą neapolitańską z sosem czosnkowym. Chciał jeszcze sobie pojeść, jednak delikatesu nie wystarczyło. Robal z Rudym skosztowali po małym trójkąciku, on wtrząchnął resztę.

O psa nie zapytał.

- Chcesz jeszcze jedno piwo? - zapytał Robal.

Rudy popatrzył na niego zdumiony.

- Cooo?

- Piwko! Pi-wo! Chcesz?

- Noooo! - Lump najwyraźniej się ożywił.

- To najpierw wyczyść sobie uszy. Tu masz patyczki kosmetyczne. Tylko nie wsadzaj za głęboko, bo sobie bębenki poprzebijasz!

- Cooo?

- Zaraz mnie diabli wezmą! Nie wytrzymam tego co. Uszy, facet! Robert, potrzyj mu ten łeb, ja mu przetkam uszy. Wyczyszczę je trochę, bo zaraz mnie szlag trafi. Przynajmniej spróbuję coś z nimi zrobić. Gołym okiem widać, że zawałone woskowiną po brzegi. Fuj! Przy okazji zobaczysz, czy ma czystą głowę. To znaczy chodzi mi o ewentualne gnidy na włosach. Kupiłem taki specjalny płyn. Przecież do fryzjera nie wrzucimy naszego kochanego wujka z insektami we łbie.

Zbunio znowu dał popis artystyczno-wokalny. Przy otolaryngologicznych czynnościach Robala darł ryja i wył wniebogłosy. Rękoma i nogami machał na szczęście bezgłośnie. Rudy przytrzymał mu głowę, Robal starał się trochę wyczyścić oboje uszu. Sąsiedzi na pewno słyszeli jego paniczne, jakby wilcze wycie. Skowyt albo ujadanie. Do tego niewybredne kalumnie. I jeszcze mogło słyszeć pół osiedla

z przyległościami.

Doraźny cel dziarskich biznesmenów, zarazem opiekunów pana Zenobiusza Kozłowskiego, został w końcu osiągnięty. Wprawdzie połowicznie, ale zawszeć był to sukces. Do ofiary kolejnych już egzorcyzmów lepiej zaczęły dochodzić dźwięki zewnętrzne.

Wprawdzie Rudy nie zauważył w Zbuniowych włosach żadnych insektów, a nawet pierwotny, brzydki, tłusty łupież też po kąpieli jakoś dziwnie zniknął, ale Robal zdecydował, że jednak posmaruje łeb żulika blekotem z apteki. Cuchnącym jak wszyscy diabli. Profilaktycznie. Na trochę. Tym razem za obietnicę podwieczorku.

Przekupiony żarciem, lump siedział z ręcznikiem na głowie i pałaszował kanapki z pasztetem i ogórkiem konserwowym. Poprawił paczką ciasteczek. Kruchych w cukrze.

Nadal nie zapytał o swojego psa. Na szczęście. Na razie, zachwycony konsumpcją, chyba o nim zapomniał.

Rafał próbował umówić „wujka” Zenobiusza do dentysty. Wtedy, gdy go nie było. Na tak zwane cito, i nawet za podwójną kasę. To znaczy był gotów zapłacić dwa razy tyle, ile stanowiła rynkowa cena usługi.

Nic z tego. Dupa błada. Bardziej dupa ze Zbuniowej gęby. Nie dość, że trzech stomatologów akurat było zajętych, a wolne terminy mieli najwcześniej za tydzień, to jeszcze absolutnie wykluczyli szybką naprawę mocno sfatygowanego garnituru. Czyjegokolwiek. Na nowe zaś, śliczne, ręcznie robione uzębienie przednie, jak się dowiedział, trzeba czekać przynajmniej dwa miesiące. Do

czterech. Wy tłumaczono pytającemu, jak w praktyce wygląda wykonanie protezy lub koronki. Najpierw należy wyleczyć bądź usunąć z dziąseł pozostałe sfatygowane uzębienie, potem pobrać odcisk. Następnie fizycznie oraz odręcznie wykonać protezę, po przymiarce ewentualnie poprawić. Przymiarki są niezbędne. To wszystko trwa, musi trwać i niczego w tej materii nie da się przyspieszyć. „Panie, coś pan! To nie fabryka, nawet nie manufaktura, tylko rękodzieło! Absolutnie artystyczne!”

W końcu Robal odpuścił. Z zębami Zbunia. Nie chodziło tu o koszty, tylko o terminy. Naprawiony garnitur wujka Zbunia potrzebny był tylko przez tydzień, może dwa do trzech, i już od pojutrze. A nie na zawsze i dopiero za kilka miesięcy.

Łebski chłop musiał wymyślić coś mądrego. Problemowi zaradzić. Nawet pomyślał, żeby na trochę pożyczyć od kogoś sztuczną szczękę. Na ten tydzień lub dwa, może odkupić? Od czyjogoś dziadka. Ewentualnie od babci. Używaną.

Ta pognieciona sąsiadka z góry wyglądała na szczęśliwą posiadaczkę przynajmniej jednej protezy. Może od niej?

Albo zdobyć jakąś plastikową, pasującą do karnawałowego kostiumu wampira. Obcięłoby się długie kły albo upiłowało, i może nikt by się nie zorientował. Jak sztuczne, to sztuczne.

Robal miał zatem nie lada zgryz.

Wychodząc z budynku najbliższej przychodni lekarskiej, gdzie oprócz gabinetu stomatologicznego przypadkowo odwiedził słynną w mieście prywatną pomaturalną szkołę trudnego zawodu technika dentystycznego, Rafał natknął się na młodego mężczyznę. Siedzącego na wózku inwalidzkim.

Nieszczęsny gość był ewidentnie ofiarą jakiegoś wypadku komunikacyjnego. Albo spadł z rusztowania na budowie. Jeszcze mógł się zderzyć z pociągiem, jednak wówczas wyglądałby troszkę inaczej. Zdecydowanie gorzej. Raczej w ogóle już by nie wyglądał, i na pewno samodzielnie nie jeździłby na wózku. Nie dość, że połowę członków miał w gipsie, głowę owiniętą bandażem, podbite limo i sfatygowany nos, to jeszcze szyję biedaka ozdobił imponującej wielkości kołnierz ortopedyczny, który przy okazji krępował dolną szczękę delikwenta, uniemożliwiając prawidłową motorykę tejże.

To była jakaś opcja. Oczywiście nie naprędce symulowany komunikacyjny wypadek Zbunia, przynajmniej nie w tej chwili, a taki kołnierz.

- Proste i genialne! To jest to!

Robal kulturalnie przeprosił faceta i zapytał, gdzie można dostać takie ustrojstwo.

- Bo pilnie potrzebne.

Z pewną trudnością werbalną, aczkolwiek uprzejmie, ofiara wypadku wyjaśniła oraz wskazała, a uradowany Robal niezwłocznie udał się samochodem do wskazanego sklepu i po zasięgnięciu języka dokonał zakupu. Trochę to jednak trwało.

- Jaki rozmiar tego kołnierza? - uprzejmie oraz fachowo zapytała pani ekspedientka.

- Jak dla mnie.

- Dobrze. Oczywiście. A jaki typ?

Rafał nie miał bladego pojęcia, o czym mowa.

- Hmm. Jakie pani ma? To może ja najpierw któryś przymierzę i potem podejmę decyzję?

- Proszę bardzo. - Pani była nadal uprzejma, usłużna, sympatyczna. Do tego urocza. Kulturalny i przystojny klient bardzo jej się podobał.

Przy wydatnej pomocy sprzedawczyni Robal przymierzył cztery gustowne kołnierzyki. Wybrał największy typu Schantza, właściwie najwyższy, równocześnie najmniej wygodny. Nieskomplikowany w obsłudze. Niedrogi.

W domu zakup pokazał Rudemu.

- Ty, co to jest? Do czego to?

- Kołnierz ortopedyczny. Dokładniej szyjny. Zapinany z tyłu. Na przylepce. Pokrowiec można prac. Sam przymierzałem.

- A dla kogo to?

- No przecież nie dla ciebie, tylko dla naszego wujka Zbunia.

- A co? Mam mu skrócić kark? Zaraz? Teraz? Robi się.

- Stop! Zwolnij. Nie aż tak radykalnie. Nie musisz mu niczego skręcać. Przynajmniej nie zaraz i nie teraz. Po prostu gość nie będzie się odzywać i demonstrować publicznie tego swojego koszmarnego garnituru. Mówię o gębie, nie o odzieży. Garnitur po mnie jest niczego sobie. Na pewno można go pokazywać. Czaisz?

- Nie bardzo. I czy on założy to coś?

- Musi. My mu założymy. Dentysta odpada w przedbiegach. Za długo trzeba czekać na efekty. Na spotkaniach Zbunio ma odgrywać faceta chorego na szyję, obolałego po wypadku. Nie odzywać się, nie otwierać gęby. Wystarczy, żeby kiwał potakująco głową, powiekami, i do tego udawał, że wszystko rozumie. I że nie jest upośledzony umysłowo. To ostatnie może być trudne. Ja będę mówić za

niego.

- Nie bardzo rozumiem.

- Widok człowieka z takim czymś pod brodą zawsze rodzi u innych współczucie i zrozumienie. A gdyby mimo to otworzył gębę, to mu przywalisz.

- Aha. Teraz chyba rozumiem.

- Wiesz co? Cholera by wzięła. Jeszcze o czymś zapomniałem. Teraz mnie olśniło. Jeżeli on z byle powodu tak się wydziera jak opętany i miota, jakby się szaleju nażarł, to chyba jest za bardzo nadpobudliwy. Może być kiepsko. Wyskoczę jeszcze do apteki po coś na uspokojenie. Trzeba mu podawać, bo zwariujemy.

- No pewnie. I któryś z sąsiadów nie wytrzyma i nas wsypie.

- Ty, gościu, robaczku złoty, zaczynasz myśleć! Otępi go trochę. Oby. Najwyżej będzie nieco dłużej kimał. To także jakoś wytłumaczymy. Gdyby pytano, rzecz jasna. W Stanach można kupić valium. Tak normalnie i bez recepty. W drogeriach i na stacjach benzynowych. Przydałoby się nam teraz takie amerykańskie valium. U nas są chyba tylko jakieś tabletki ziołowe. Waleriana w kroplach może. Kiedyś moja babcia używała. Zapytam w aptece i coś odpowiedniego nabędę.

Przy rozważaniach na temat kultowych kropelek Robalowi przypomniała się jego wspaniała, elegancka, szlachecka babcia, która okazjonalnie opowiadała w towarzystwie pewną humoreskę. Przeczytaną w jednym z popularnych tygodników kulturalnych. Od razu poprawił mu się nastrój.

Pytanie: *Czy od kropli walerianowych można zejść w ciążę?*

Odpowiedź: *Oczywiście. Zależy, ile Walerian ma lat.*

Rafał stwierdził przy okazji, że ze strony Zenobiusza żadnej kobiecie ciąża nie grozi. Nawet po zadanej mu dużej dawce tego śmierdzącego specyfiku.

Z fryzjerem poszło gładko. Zenobiusz Kozłowski siedział sobie wygodnie z pelerynką na karku, tępo patrzył przed siebie w potężne lustro i ze spokojem poddawał się pielęgnacji górnego owłosienia. Nawet jakby sprawiało mu przyjemność delikatne głaskanie jego zestresowanej głowy, jak też muskanie włosów ciepłym powietrzem z fryzjerskiej suszarki.

Z pielęgnacją dłoni poszło już trochę gorzej. Zbunio wyrwał się, miotał, a owo miotanie przypominał taniec świętego Wita. W końcu nawet zelżył manikiurzystkę wulgarnymi słowy, bo go lekko pokaleczyła cążkami. No ale skoro się wyrwał?

Zbunio nijak nie mógł zrozumieć, że jego długie, brzydkie szpony należy obciąć, trochę podpiłować, a dłonie pozbawić wżartego w nie brudu: specjalistycznie odmoczyć, na końcu czymś namaścić. Wydawało mu się chyba, że w ramach kontynuacji wcześniejszych egzorcyzmów paznokcie zostaną mu powyrywane w całości. Nie dziwota, że go w końcu dziabnięto narzędziem. Wyjątkowo cierpliwa kobieta zapewne miała szczerą chęć przywalić mu odręcznie, ale na dobrą sprawę także był klientem, który płaci i wymaga.

Opiekunowie przeprosili specjalistkę, a do standardowego wynagrodzenia za usługę dorzucili dziewczynie spory napiwek. Za straty moralne.

Nieco uspokojony ziółkami Zenobiusz, dał sobie potem, już w mieszkaniu, przymierzyć przygotowany uprzednio modny, elegancki garnitur, koszulę, krawat i buty. Te kupione kilka godzin wcześniej. Łaskawie włożył czyste skarpetki i gatki. Nówki nieśmigane. Gdy ze zdumieniem oglądał się w lustrze, stojąc pod wieszakiem w ciasnym przedpokoju, Robal nałożył mu na kark kołnierz ortopedyczny.

Próba generalna kostiumowa wyszła dobrze. Pan Zenobiusz Kozłowski wyglądał elegancko oraz nobliwie. Sam się zdziwił, że tak dobrze może wyglądać. Właściwie to nie poznał się w lustrze.

- No. W dechę. Teraz to jakoś wyglądasz. Jak normalny człowiek. Ostrzyżony, ogolony. Ubrany. Tylko się nie odzywaj przy ludziach - skwitował Robal.

- Noo... Ehe... Aaaa. To ja? - Zbunio nie mógł dojść do siebie. Widok przyprawił go o autentyczne zdziwienie.

Bezwiednie dostosował przygarbioną sylwetkę do charakteru garnituru. Wyprostował się, jeszcze bardziej podniósł głowę. Po wizycie u fryzjera nawet jego czółko nabrało normalnych kształtów, ludzkich, a Zenobiusz nie przypominał już neandertalczyka z epoki kamienia łupanego. Kołnierz krępował mu ruchy zuchwy, utrudniał motorykę odnowionej głowy.

- Teraz możemy się z tobą pokazać na mieście. Nie będzie obciachu. Fajnie nawet wyglądasz - podsumował autorytatywnie Rudy.

- Zdecydowanie lepiej niż wcześniej. - Robal też wydawał się kontent z wizualnych efektów dotychczasowej działalności.

Jak w epoce pozytywizmu. Edukacja i kultura nie poszły wprawdzie pod strzechę, tylko do wrocławskiego kloszarda. Na jedno wyszło.

Wieczorem trzech panowie zajęli miejsca przy stole.

Zbunio zasiadł już w swoim szlafrocisku kąpielowym, mięciuchnym i ciepłuchnym, w biało-granatowe pasy. Może dlatego tak dobrze się w nim czuł, że barwą nieco przypominał więzienny uniform? Wygodny, uniwersalny?

Robal wystąpił w niezmiennie eleganckim garniturze, od którego marynarkę powiesił na wieszaku obok „służbowego” garnituru Zenobiusza.

Rudy został w swoich nowych dżinsach i luźnej sportowej bluzie. Też nowej. Ze swojego świeżego wizerunku był niemal tak zadowolony jak menel. Od czasu do czasu zastanawiał się nawet, dlaczego upierał się tak długo przy prawie sportowych dresikach z bocznymi lampasami stylizowanymi na galowy smoking, skoro teraz wyglądał naprawdę fajowo. W dechę. Co istotne, nawet piękne dziewczyny, towary jak ta lala, chciały z nim pogadać na ulicy. Wcześniej rude kobiety jakoś dziwnie przyspieszały i nie reagowały na zagajenia.

- Bały się mnie, czy co? Ja chyba rzeczywiście wyglądałem jak zbir spod ciemnej gwiazdy. Mądry ten Robal...

Wojtek sprawnie przygotował kolacyjkę złożoną z nieśmiertelnych kanapek i kiełbasy na gorąco, podanej

z wody. Z musztardą i keczupem. Otworzył jedno piwo, rozlał je do dwóch szklanek. Dla siebie i dla Zbunia.

- Bez jaj z tym piwem. Więcej dostanie potem, w nagrodę.

W takiej prawie rodzinnej atmosferze Robal poinformował zebranych o planach na następny dzień.

Podczas wieczornej narady, zasadniczo roboczej, Zenobiusz Kozłowski dowiedział się, że prawdopodobnie już od jutra bądź od pojutrze przez jakiś tydzień, góra dwa tygodnie zostanie desygnowany na prezesa zarządu pewnej niewielkiej firmy. Nominalnie nim będzie, choć to słowo było mu obce. Będzie jeździć i chadzać po Wrocławiu w drogim markowym garniturze, w eleganckiej pod nim czystej koszuli, pod krawatem. No i koniecznie w kołnierzu ortopedycznym. Do kompletu. Dokładnie w tym, co przymierzał przed lustrem. Niby wizualnie, wizerunkowo, będzie ofiarą urazu kręgosłupa po małej kolizji drogowej. Jakby aktualnym rekonwalescentem na przymusowym chodzie.

No bo prezes firmy, nawet najmarniejszej, musi jakoś wyglądać oraz niektóre sprawy powinien załatwiać osobiście. Pomimo ewidentnej niedyspozycji zdrowotnej.

Dalej, że Zbunio poodwiedza w towarzystwie dwóch panów, Roberta i Kazimierza, kilka instytucji, podpisze parę różnych dokumentów. No, może w sumie parędziesiąt.

Że ma się przy robocie w ogóle nie odzywać, nie uśmiechać, nie ziewać ani nie kichać, tylko niemo potakiwać głową. Kiwać łbem z zamkniętą gębą mu wolno. Nic ponadto. Wszystko, co potrzeba, załatwiać będzie Kaziu.

Wreszcie za te nieskomplikowane czynności Zenobiusz

otrzyma sowite wynagrodzenie. Na końcu przedsięwzięcia. To znaczy na odchodne. Zgodnie z wcześniejszą umową ustną. Dostanie bonifikatę pieniężną adekwatną do włożonego trudu oraz fadygi.

- Potem rozstaniemy się w przyjaźni, a każdy z nas pójdzie w swoją stronę. Rozumiesz?

Jakoś fakt zostania prezesem firmy zbytnio Zbunia nie poruszył, za to przyszły prezes bardzo się przejął pustą szklanką. Swoją.

- Co tak mało? Dajcie więcej! I gdzie moja kasa? A gdzie jest mój pies?

- Przecież przed chwilą tu był. Nie widziałeś? - Robal udał zdziwienie. - Dostał żreć i pewnie gdzieś kima. Wyprowadzę go po zmroku - dodał spokojnie. Nawet się nie zająknął. Łgarstwo gładko przeszło mu przez gardło. Nie pierwsze i nie ostatnie w jego biznesowej karierze. - Zaraz będzie więcej piwa.

Robal zrobił krótką przerwę w wypowiedzi. Celowo.

- Masz mnie słuchać, robaczku, bo ci kolega Robert porachuje kości. A co do kasy, to przed chwilą ci tłumaczyłem. Najpierw trochę pomożesz nam w interesach, zapracujesz, potem będzie ta twoja obiecana mamona. Zrobisz, co trzeba, i dostaniesz. Nie zamierzamy cię wystawić. Zresztą na co ci ona teraz? Masz wszystko? Masz.

- Co? No. Piwa bym się napił. I może wódeczki.

- Dobra, zaraz przyniosę piwo. - Rafał poszedł do kuchni, wsypał do puszki z piwem kolejne w tym dniu, tym razem dwie pokruszone tabletki na uspokojenie, przy okazji mrugnął znacząco do Rudego. - Masz, to dla ciebie. My już dzisiaj nie pijemy. A wódki ode mnie nie dostaniesz.

Zapomnij. Masz być trzeźwy jak niemowlę. Sam sobie potem kupisz. Będziesz mieć tak dużo kasy, że wystarczy na pół monopolowego. Albo na kilka miesięcy imprezowania z tymi twoimi kumplami lumpami.

Rudy się nie odzywał tylko kiwnął niepewnie głową.

Zbunio zaś, czekając na dostarczenie kolejnej porcji ulubionego napoju, kwestię wyłuszczonej przez Robala jednym uchem wpuścił, drugim wypuścił.

Obaj biznesmeni odetchnęli z ulgą.

Gdy Kozłowski oglądał telewizję, spożywając piwko, uprzednio ochrzczone melisą, rumiankiem, dziurawcem i paroma innymi naturalnymi suplementami diety uspokajająco-usypiającej, co w połączeniu z alkoholem powinno należycie zadziałać, Robal wywołał podwładnego do kuchni. Na wszelki wypadek Rafał kupił jeszcze tabletki zawierające kozłek lekarski. Znaczą popularną walerianę. Pani magister wytłumaczyła, że jest to nadal najczęściej stosowane zioło na sen i na uspokojenie. Dostępne także w kropelkach, owszem, ale w postaci płynnej nadal okrutnie śmierdzi. Jak przed laty.

- Później się napijesz, czego tam chcesz. Jak ci menel zaśnie. Chcę się upewnić, że to ziołowe gówno zadziała. Wsypałem mu do piwa. Na noc daj mu jeszcze w czymś do picia proszek z walerianą. Na przykład w herbatce z cytryną i z miodem. Pod twoim łóżkiem masz schowaną butelkę łysekacza. Zero siedem. Jasia wędrowniczka ci kupiłem. Może być?

- Mowa. Dzięki. Lubię Jasia. Skąd wiedziałeś?

- Nie wiedziałem. Ja preferuję dobry koniak i czystą z wytrawnymi sokami. A do wykwinnych kolacji pijam wina.

- Zapamiętam. Ty, o mało się nie posrałem, jak gadałeś o tym kundlu. Ty, jeszcze mam pytanko. Co jest grane z tym prezesem? Jak rany...

- Na tym właśnie polega nasz biznes, mój ty łysy robaczku. Po kolei. My dwaj będziemy nic nieznaczącymi członkami zarządu w jego firmie. Oczywiście na nasze lewe papiery. To znaczy na lewe nazwiska i dane. To, co mogłem, już załatwiłem sam. Jutro najpierw jedziemy do notariusza. Wszyscy. Umówiłem nas na jedenastą. Potem może jeszcze do urzędu miasta, na pewno do banku i do paru innych instytucji. Zobaczymy, ile nam z tym wszystkim zejdzie. Tydzień, dwa, może dłużej. Pełna gotowość.

- Rozumiem.

- Pilnujesz lumpa jak dziewictwa swojej siostry. Morda w kubeł. Jego, nie twoja. Za mieszkanie zapłaciłem z góry, do tego dałem pokaźną kaucję, zatem właściciel nie powinien nam przeszkadzać. Zresztą twoja buziuchna też w kubeł, ale w innym sensie. On ma się tylko pokazywać publicznie w garniturze i podpisywać na dokumentach. A teraz chodźmy do niego, zobaczymy, czy zasnął. A, tylko nie opij się na umór, bo nasz wesoły lump może to wykorzystać i narozrabiać.

- Spoko, szefie. Będzie dobrze. Wszystkiego nie wypiję. Jestem przecież, tego, w robocie. Nie? Znaczy w pracy. Na służbie, he, he. I tak bez twojego pozwolenia nic bym nie łyknął. Znam zasady.

- Grzeczny chłopczyk. Muszę lecieć za chwilę, bo się spóźnię do teatru.

- Gdzie?

- Do teatru. Kupiłem sobie bilet na świetną sztukę. Tu

mają ekstra sceny. Lubisz teatr?

- Nie wiem. Nigdy nie byłem. Ale do kina to bym sobie kiedyś poszedł. Do takiego prawdziwego, a nie w prowincjonalnym domu kultury. Co to znaczy te sceny? Nie kumam.

- Scena teatralna. Dobry teatr, na wysokim poziomie artystycznym. Wrocław ma świetnych aktorów. Kreatywnych. O to mi chodziło. Muszę się jakoś zrelaksować. W domu słucham sobie muzyki poważnej.

- Aa. Nie wiedziałem.

- Zakończymy robotę, pozbędziemy się menela, to wtedy pójdziesz sobie do kina, na koncert albo na co tam chcesz. Ja jeszcze koniecznie muszę odwiedzić gmach tutejszej opery. Skoro już w tym Wrocławiu jestem.

- O ja cię pie... ten, przepraszam. No to idź. Pewnie. Ja sobie wieczorem pooglądam telewizję. Ma być film z Segalem. I potem jakiś kabaret.

- Jeżeli lubisz kabarety, to coś pomyślę. Można połączyć.

- Aa. Połączyć. - Rudy zastanawiał się nad tym łączeniem, jednak nie śmiał zapytać o szczegóły. Zachwycił się myślą, że nareszcie pójdzie do prawdziwego kina. I może jeszcze do takiego kabaretu, jaki widział w telewizji. Tylko na żywo.

„Robał obiecał, to chyba dotrzyma. On nie rzuca słów na wiatr. Spoko gościu”.

Zenobiusz spał jak niemowlę. Rzec by można, że ślicznie i słodko. Do spania dostał, obok blekotu uspakajającego, nową bawełnianą piżamkę, a na swoim łóżku miał jeszcze względnie świeżą pościel. Robał zadbał o wszystko, Rudy

stanął na wysokości zadania i pilnował, by lump na bieżąco się mył i przebierał w czystą bieliznę.

Rudy przykrył Zbunia miękkim kocykiem, delikatnie ułożył na wersalce, na końcu poprawił mu poduszczkę pod głową.

Mężczyźni przeszli z powrotem do kuchni, gdzie Robal dokończył opowiadanie o biznesie i kluczowej, reprezentacyjnej roli Zbunia. Nakreślił bieżące zadania dla Rudego, polegające głównie na pilnowaniu i dopieszczaniu menela. Dbaniu o jego higienę, prowadzeniu samochodu. Karmieniu. Robieniu tak zwanego tła, wożeniu na spotkania. Na osobistej ochronie tak jakby, polegającej głównie na tym, by Kozłowski pokornie wykonywał polecenia i przypadkiem im nie nawiał.

- Nie bój się. Niczego nie będziemy podpisywać.

Sporo tego było. Rudy się skoncentrował. Czasami głośno powtarzał usłyszane kwestie, by lepiej zapamiętać.

- Ty, a to wypali? Ten biznes, znaczy się.

- Nie kracz. Musi wypalić. Narobiłem się jak wół. Przygotowałem grunt. Ale to nie koniec. Jeszcze czeka nas parę ważnych spotkań, wizyty z menelem w paru tutejszych urzędach. Reszta w domu, na miejscu. Mam na myśli następną, operacyjną fazę tego projektu. Ale już bez ciebie, bez tego lumpa i poza Wrocławiem. Nasi ludzie zajmą się resztą.

- I co? Koniec potem? Już mnie nie potrzebujesz?

- A będziesz chciał jeszcze ze mną pracować? Ty mój rudy robaczku?

- No pewnie, że tak! Mowa. Wiesz, Ra... Kaziu, jesteś spoko ziomek.

- O, to chyba był komplement. Zatem pomyślę nad następną robotą dla ciebie. Najpierw jednak pozwolisz, że zobaczę, jak się spiszesz przy tym całym menelu. *Deal?*

- Co to dil?

- Z angielskiego. Układ. Git. Sztama. Umowa. Gra gitara. Wybierz sobie - przetłumaczył z uśmiechem Rafał.

- Teraz spoko. Rozumiem. Jasna sprawa. Sztama, szefie. Ten, znaczy, jak to było? A, już wiem. Dil! - Rudy bardzo się ucieszył z poznania nowego, obcego określenia.

„Kurde. Fajnie byłoby z nim pracować. Git facet. Spoko ziom” - pomyślał i szczerze uśmiechnął się do Robala.

Ten uśmiech odwzajemnił.

Atmosfera w pracy zrobiła się jeszcze miłsza i dużo sympatyczniejsza.

Na Rudego zważyło się nagle zdecydowanie za dużo informacji naraz. Danych i faktów. Pojęć, o których w życiu nie słyszał, a jeżeli słyszał, to w zupełnie innym kontekście. A mianowicie w burdelowo-hotelowo-barowym.

Rudy najpierw sobie pomyślał, że Robal znalazł frajera i chce go wydoić. Początkowo wszystko na to wskazywało. Trochę mu jednak nie pasowało, że do interesu wybrany został śmierdzący gołodupiec, do tego cuchnący starymi sikami kloszard z walącą się rudera zamiast domu.

Im dłużej Robal mówił i tłumaczył, tym więcej Rudy rozumiał. W końcu załapał, że Zbunio miał być jedynie prostym narzędziem, natomiast cały interes ostatecznie miał polegać na wykiwaniu innych frajerów. Dużo większego kalibru. Przecież dla marnych zysków i niewielkich pieniędzy nikomu z jego szefów nie opłacałoby się czynić

takiej inwestycji. Wkładać grubej kasy w biznes wart w zasadzie tyle, co kot napłakał. Do tego jeszcze fatygować takiego łebskiego faceta jak Robal.

Czyli to musiała być gruba sprawa. Na bank!

Rafał powiedział mu tylko tyle, ile mógł. Oraz tyle, ile chciał. To oczywiste. Bez wchodzenia w szczegóły i meandry ekonomiczno-prawnicze. Jednakowoż z pytań zadawanych w trakcie rozmów przez Wojtka wynikało, że chłop (pytający) jest ciekawy, momentami nawet dociekliwy. Chce się uczyć, czynnie uczestniczyć we wszystkich działaniach. Na tym zarobić konkretny szmal. Względnie nabyć ogłady, doświadczenia na innym polu.

Każdy by tak chciał.

Z tą poprawką, że każdy mądry.

Wynikało z nich także, że Rudy zaczyna myśleć, kojarzyć, nawet planować, co dotychczas nie miało miejsca. Szło mu jeszcze niepewnie, kulawo, jednakowoż gołym okiem było widać, że się przy tej robocie rozwija. Na pewno krzepnie intelektualnie oraz, rzec by można, zawodowo.

Rafała cieszył głód wiedzy podwładnego. Z mądrymi ludźmi pracowało się komfortowo. Także zdecydowanie mniejsze było ryzyko wpadki.

Robal nie wspomniał Rudemu, że jakiś czas wcześniej, gdy tylko otrzymał dowód Zbunia, pomógł „wujkowi” Kozłowskiemu założyć jednoosobową działalność gospodarczą. Przy ewidentnej pomocy pewnej młodej urzędniczki o ślicznym imieniu Asia. Zrobił to, oczywiście, nie w macierzystym prowincjonalnym urzędzie rzeczonyj Asi, tylko we Wrocławiu. Dokładniej w siedzibie urzędu

administracji samorządowej właściwego miejscowo dla adresu zameldowania lumpa. Zbunio nie musiał wiedzieć, że założył firmę. Na razie.

Pana Asia była Rafałowi jeszcze do czegoś potrzebna, owszem, ale jej rola w założeniu firmy o nazwie „Kozłowski i Syn” się skończyła. Definitywnie. Przed wyjazdem Robała na delegację służbową do stolicy Dolnego Śląska. Co trzeba było, to Asia wytłumaczyła, wyłuszczyła, doradziła, fizycznie uraczyła drukami i czymś jeszcze. Coś tam tylko wiedziała o jakimś wujku, i nawet nie znała nazwiska krewnego swojego przystojnego ukochanego. Wsio.

Reszty formalnych czynności Rafał musiał dokonać we Wrocławiu.

Chwilę po tym wiekopomnym fakcie, taką urzędniczo-administracyjną chwilę, prezes *in spe* Zenobiusz Kozłowski stał się posiadaczem firmowego konta w jednym z olbrzymich banków o zasięgu ogólnopolskim. Też zaocznie. Nawet na rzeczonym koncie miał jakieś konkretne pieniądze. Środki na start, na rozruch, na tak zwaną zachętę dla potencjalnych inwestorów. Nazwijmy je także „zdolnością kredytową”. To był oczywiście formalny wymóg polskiego prawa gospodarczego. Nie wspominając o równoległym załatwieniu pełnomocnictwa do korzystania z owego rachunku bankowego, upoważniającego Kazimierza Krężela do wszelkich ruchów i operacji na rzeczonym koncie. Firmowym. Oprócz likwidacji rachunku, tę bowiem ostateczną operację może formalnie przeprowadzić tylko założyciel – główny właściciel. Ale kto by się przejmował takimi szczegółami? Przecież to nie było konto Rafała, nawet nie Kazia, tylko Zbunia.

W tym momencie Rafał także uruchomił znanych Szefowi specjalistów od dokumentów. Oprócz uruchomionego doraźnie czaru i uroku osobistego wobec kolejnej panienci z okienka, tym razem okienka wielkomiejskiego. Z kolei ci specjaliści, fachmani w każdym calu, za konkretne i niemałe pieniądze stworzyli w ciągu kilku dni inne pełnomocnictwa ogólne i szczególne. Wykonali parę firmowych pieczętek oraz, co najistotniejsze, dwa eleganckie faksymile ze ślicznym, autentycznym podpisem Zenobiusza Kozłowskiego. Faksymile to był dopiero majstersztyk sztuki pieczętkarskiej. Odbitka wychodziła na papierze lepiej od oryginału. Tylko fachura odróżniłaby podróbkę. Albo biegły grafolog.

Nadto rzeczeni fachmani, spece od dokumentów, lekko zmodyfikowali, znaczy ociupinkę poprawili, dwa zapisy w jednej księdze wieczystej. To znaczy w odpisie księgi, który to dokument zwykle otrzymuje petent właściwego sądu. Księgi wieczystej dotyczącej nieruchomości przy ulicy Wiejskiej w mieście Wrocławiu. Konkretniej w dzielnicy Przemysłowej, na osiedlu Kamieńsko. Wszystko było tam prawie autentyczne, tylko areał nieruchomości stał się nagle nieco większy. O jakąś dziesięciokrotność tej prawdziwej.

Oj tam. Przecinek w lewo, przecinek w prawo, zero tu, zero tam. Co za różnica?

Z dokumentu zniknęło także nazwisko dalekiego krewnego właściciela. Faktycznego współwłaściciela nieruchomości w jednej którejś. Drobiażdżek. Bzdecik. No i do najbardziej aktualnej daty wydania odpisu też nie można było się przyczepić.

Mając komplet dokumentów, należało przystąpić do

przekształcenia jednoosobowej działalności gospodarczej wujka Zbunia w przedsiębiorstwo większego formatu. W spółkę. Optymalnie kapitałową. Krajową, gdyby kto pytał. Właśnie teraz. Podczas pamiętnego pobytu we Wrocławiu. Do tej operacji wszystko było teoretycznie przygotowane. Przez dzielnego, pracowitego, błyskotliwego, jak też mądrego Robala.

Nad wyborem formy zakładanej spółki Rafał pracował także praktycznie kilka miesięcy. Albowiem istniał pewien wybór: między rozbudowaną spółką osobową, na przykład komandytowo-akcyjną, a jakąś kapitałową. Tu, w formach kapitałowych, akurat tak dużego wyboru nie było, w kodeksie przewidziano bowiem tylko dwie. Chodziło jednak głównie o to, by osoba desygnowana, to znaczy namaszczona na stanowisko prezesa spółki, nie odpowiadała własnym prywatnym majątkiem. Za długi i zobowiązania. To samo potencjalni wspólnicy, pełnomocnicy, członkowie zarządu, prokurenci. Ktokolwiek wpisany na sądową listę rejestrową.

Tak na dobrą sprawę to Rafałowi było wsio ryba, czy prezes przyszłego przedsiębiorstwa straci na swoim biznesie. Coś. Majątek, głowę, wolność, palec wskazujący albo ucho. Cześć lub honor. Robał miał to serdecznie w nosie. Jednak w całej zabawie w wielki biznes chodziło także o to, by od miesięcy planowany przekręt wyszedł na jaw jak najpóźniej.

Na opcję „w ogóle” pomysłodawca nie liczył, bo takie cuda w demokratycznej Europie się nie zdarzają. Przecież na interes należy patrzeć realnie oraz pragmatycznie. Zadbać, aby wierzyciele, kontrahenci, urzędy i inne ciała

zewnątrznie zainteresowały się przedsiębiorstwem Kozłowskiego po wielu miesiącach od rozpoczęcia działalności. Im później, tym lepiej. Najlepiej nigdy. Albo jeżeli już, to przynajmniej po przedawnieniu się przestępczego procederu.

Jak w przypadku FOZZ. Autorskiego, jak też nowatorskiego publicznego „przedsiębiorstwa” *made in Poland*.

FOZZ był dla Rafała po prostu genialny. Koncepcja, realizacja, moment (czas) i miejsce przeprowadzenia operacji. Sposób wykorzystania wszelakich koniunktur: politycznej, gospodarczej i społecznej.

Fascynacja zjawiskiem skłoniła Robala do kolejnej poważnej refleksji.

Na drugi fundusz typu FOZZ nie było szans. Pomysł odpadał w przedbiegach, bo po prostu stał się nierealny. Na fundację albo stowarzyszenie w zasadzie pojawiły się spore, szanse znaczy, ale do takiej opcji biznesu Rafał jeszcze się nie przygotował. Może kiedyś. Gdy zostaną stworzone bądź odkryte dogodniejsze warunki zewnętrzne. Oraz gdy SzeF na poważnie się do tego zabierze. Na razie pryncypał Robala zabrał się do organizacji przedsiębiorstw bardziej dyskretnych i łatwiejszych w obsłudze. Popularniejszych na rynku. Rzadziej kontrolowanych przez instytucje publiczne oraz przez aktualnie rządzących polityków. Mniej nośnych medialnie. Wreszcie od lat przerabianych oraz gruntownie obrabianych przez otaczających Szefa księgowych i prawników.

Ponadto nikt przy zdrowych zmysłach nie pchałby się tu i teraz choćby w podobny interes jak fundusze, fundacje czy

stowarzyszenia. Na dodatek przy udziale zaprzyjaźnionych (czytaj: opłacanych tudzież wspieranych) polityków ugrupowania, które nie miało szans na dłuższe przetrwanie w obecnej ekipie rządzącej Trzecią RP.

Ani Szeff, ani Robal nie mieli na razie innych kandydatów na prezesów. W podobnym przypadku potrzebne jest dobre, nośne i znane nazwisko. Niekwestionowany, autentyczny VIP. Bohater narodu. Celebryta. Człowiek, któremu społeczeństwo zaufa. Postać o takiej twarzy, że ludzie powierzą jej swoje pieniądze, oszczędności, zaskórniaki. Człowiek, który swoim nazwiskiem, wizytówką, otaczającą go aureolą otworzy niejedne drzwi, nawet pancerne.

W żadnym razie lump, menel czy kłoszard. Chyba że tenże menel przez przypadek nosić będzie imię i nazwisko znanego celebryty albo polityka, a przy odbiorze wici rozsianych oraz puszczonej w biznesowy eter ktoś coś pokręci, nie tak skojarzy, niedokładnie przeczyta, pokrętnie zinterpretuje sprytnie zmodyfikowane dane.

To fakt, że na razie Rafał nie rozglądał się za kimś takim. Uznał, że prędzej czy później ludkowie sami przyleżą jak muchy do miodu. Wtedy, gdy wywąchają wielkie pieniądze Szefa. I jego wielkie możliwości jako uznanego biznesmena i lobbysty.

Zresztą już gromadnie do niego leżą na tak zwane salony. Zabiegają o względy, ochoczo uczestniczą w rautach oraz eventach. Pchają się do ekskluzywnego, wypełnionego po brzegi żłobu.

Jednak żaden z nich się nie nadaje. Może wkrótce pojawi się ktoś odpowiedni? Wówczas Robal wróci do tematu i poważnie zabierze się do zakładania fundacji.

Z poświęceniem, z determinacją. Z grubej rury. Mając odpowiednie, sprawdzone, lojalne zaplecze społeczne, polityczne oraz gospodarcze.

Wracając do fenomenu gospodarczego, to profity członków zarządu i innych beneficjentów tej akurat państwowej, to znaczy publicznej fundacji (Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego), te realne, ujawnione, wykazane w dobrych walutach oraz lekko po niewczasie zdemaskowane, na tyle zainspirowały Rafała, że postanowił wymyślić coś równie mocnego. Znaczący grubego. Tylko skala zjawiska miała być na początek nieco mniejsza.

Bez przesady.

Dużo mniejsza nawet. Robał zadowoliliby się marnym zyskiem rzędu miliona baksów. Takim ładnym, równiutkim, okrągłym, skromnym milionikiem na czysto. To znaczy zyskiem netto.

„Szef zapewne chciałby wycisnąć z nowej firmy trochę więcej. Zobaczymy, co da się zrobić. To przecież mój pierwszy raz w tej branży. Pierwsza samodzielna realizacja pomysłu. No i pierwsze koty za płoty. *Carpe diem*, ale z głową! I z jajami. Stosownie do okoliczności”.

Co do istoty geniuszu konceptu, to objęte aktem oskarżenia nadużycia zarządu FOZZ polegały na tym, że około stu milionów dolarów amerykańskich zostało wytransferowane, to znaczy wyeksportowane, na konta różnych mniej lub bardziej dziwnych podmiotów ulokowanych w tak zwanych rajach podatkowych. Albo też na rzecz szemranych spółek w dziewięciu krajach europejskich oraz w USA. Wzmiankowane podmioty gospodarcze dziwnym zbiegiem okoliczności, kolizji

przypadków niesprzyjających światowej koniunkturze gospodarczej, i na skutek innych plag naturalnoekonomicznych wkrótce potem przestały być wypłacalne.

Katastrofa! Wypadek. Zdarzenie nagłe.

Na wykup zadłużenia zagranicznego oficjalnie przeznaczono wówczas około sześćdziesięciu milionów. Także rzeczonych baksów.

Według aktu oskarżenia z powodu afery FOZZ Skarb Państwa stracił co najmniej: sto dwadzieścia milionów dolarów amerykańskich, ponad dziewięć milionów marek niemieckich, niecałe siedemnaście milionów franków francuskich. Ponadto marnych sto dwadzieścia pięć milionów franków belgijskich oraz zupełnie niewartych wzmianki, skromnych trzydziestu pięciu miliardów starych polskich złotych. Czyli, po denominacji, jakieś ponad trzy i pół miliona nowych złotych. Obliczono tym samym, że w przeliczeniu na złotówki łączne straty wynosiły trzysta trzydzieści cztery miliony nowych złotych. Wszystko na dzień trzydziesty pierwszy grudnia 1995 roku, po oficjalnym bankowym kursie dwa złote czterdzieści sześć groszy za jednego dolara. Tego właściwego dolara z wizerunkiem Jerzego Waszyngtona, wydrukowanego oczywiście w mennicy federalnej USA.

Przecież wówczas na biednego nie trafiło. W tym przypadku także nikogo ubogiego nie ograbią. Rafał nie miał takiego zamiaru. Mogło się przydarzyć, owszem, jako wypadek przy pracy, jednakowoż niezamierzenie. Wypadki bowiem chodzą po ludziach, a mądry człowiek powinien się od takich ubezpieczać.

Bawiąc się w Janosika albo Robin Hooda, Szefer zamierzał nabić w butelkę jedynie bogaczy. Bo wprawdzie Zbunio nijak zamożny nie był, jednak na tym interesie zarabiał, i to w żywym, wymiernym pieniądzu. Czyli kłozarda zamierzano potraktować z gruntu uczciwie. Po Janosikowemu.

Oczywiście żadna zyskowna operacja finansowa nie udałaby się bez udziału całej armii specjalistów okrzepłych w bojach, dodatkowo kutych na cztery nogi. To znaczy, ujmując rzecz kolokwialnie, po prostu bez lojalnego, oddanego zaplecza osobowego, nikomu nie wyszedłby żaden duży przekręt. Może tylko mały, nie skatalogowany jeszcze w przepisach karnych.

Na przykład w stylu tak zwanego oscylatora. To znaczy początkowo jakby legalnego przekrętu bankowego, uznanego potem za proceder haniebny, przestępczy, godzien ścigania z urzędu. Kogo ścignięto? Na pewno biznesmenów pomysłodawców. Wrocławskich.

A co z tego, że w demokratycznym europejskim państwie prawo nie działa wstecz? Tym razem zadziało i wówczas nikt jakoś nie zaprotestował. Oprócz samych pomysłodawców. No i nikt inny nie trafił do paki.

Wracając do planowanego procederu, to bez dobrych fachmanów nic by się nikomu nie udało ani wówczas, zaraz po polskiej transformacji ustrojowej, ani teraz, w dobie w miarę poukładanego i obwarowanego niezłymi kodeksami rynku gospodarczego.

Zarówno Robal, jak i jego mocodawcy mieli świadomość ogromnej wagi tego zaplecza. Zatrudniali i godziwie

wynagradzali lojalnych sobie biegłych księgowych, prawników i finansistów. Adwokatów: karnistów, ze szczególnym uwzględnieniem wschodzącej gwiazdy poznańskiej palestry w dziedzinie karnoskarbowej, i cywilistów. Tych ostatnich na wszelki wypadek. Licho nie śpi.

Bossowie organizacji Robala otulili się kokonem aktualnych VIP-ów.

Trzymali w kieszeniach polityków różnego szczebla, decydentów, bankierów oraz urzędników publicznych. Przyjmowali u siebie sędziów i prokuratorów. Paru mundurowych komendantów. Jednego wiceministra. Dwóch biskupów. Wszak duchowe wsparcie także się przyda. Nadto ksiądz biskup też człowiek, poniekąd, i swoje potrzeby ma. Oprócz duchowych, mistycznych, także cielesne. A te ostatnie zaspokajali wyspecjalizowani w swoim fachu pracownicy firm podlegających bezpośrednio Złotemu. No i oczywiście młode, zgrabne, rozneglizowane pracownice. Nierzadko pracownicy płci męskiej.

Nic, co ludzkie, nie było im obce.

Szefowie służyli bardzo tanimi lub darmowymi usługami celebrytom wszelkiej maści. Według zasług tychże. Oczywiście, usługami świadczonymi tylko dla „przyjaciół” oraz dla specjalnych, drogich gości „po starej znajomości”. Jak też „promocyjnie”.

Owe uprzejmości świadczone w jak najbardziej legalnych firmach, usytuowanych na terenie dwóch województw zachodniej Polski. To znaczy w warsztatach i salonach samochodowych, w hotelach i restauracjach, w tartakach, w fabrykach mebli. W salonach urody, nawet

w galeriach handlowych.

- No bo przecież czego się nie robi dla przyjaciół? Zwłaszcza gdy ładnie proszą?

Konsorcjum Szefa i Złotego miało nawet kilka niezłe prosperujących stacji paliwowych, bo na początku lat dziewięćdziesiątych Szef korzystnie kupił ze cztery bazy transportowe, leżące odłogiem na terenach pozostałych po upadłych posocjalistycznych przedsiębiorstwach państwowych. Równie tanio wszedł w posiadanie paruset hektarów pól, łąk i innych nieruchomości popegeerowskich.

Szef i Złoty cyklicznie organizowali aukcje dzieł sztuki, wystawy, okolicznościowe bale. Udzielali się charytatywnie.

Niewielu z tych zaprzyjaźnionych celebrytów pamiętało (albo chciało pamiętać), że ich darczyńcy i sponsorzy, czyli serdeczni „przyjaciele”, dorobili się pierwszych dużych, prawdziwych pieniędzy jeszcze w PRL-u. Na handlu walutami oraz na przemyśle do kraju dóbr konsumpcyjnych. Z byłych demoludów, ze Szwecji i z Turcji. Skąd się dało. A potem po prostu umiejętnie i rozumnie korzystali z nadarzających się okazji. Inaczej mówiąc: okazjnie inwestowali siły i środki w rozwój polskiej demokracji. Z przedsiębiorczych cinkciarzy i pokątnych handlarzy detalistów stali się finansowymi potentatami. Rekinami wszelakiego biznesu. Przy okazji uznanymi filantropami. Kto bogatemu zabroni?

A pamięć czasami bywa ulotna. Ot co.

Gościnność bossów wielkopolsko-lubuskiego holdingu, doceniana przez tych wszystkich dobrych znajomych, przyjaciół i partnerów biznesowych, nie była tak do końca

bezinteresowna. To jest zresztą jak najbardziej oczywiste w podobnych kręgach wielkiej, nowobogackiej, polskiej socjety. Ponadto ci ludzie byli twórcami przedsiębiorstwa nastawionego na zysk, a nie instytucji charytatywnej. Z czegoś przecież trzeba żyć.

No bo gdyby kiedyś wydarzyło się coś, nadto ktoś gdzieś jakoś się pogubił, to liczni znajomi powinni pomóc. W załagodzeniu albo w zatarciu tego czegoś, co był uprzejmy nabroić ten ktoś. W opóźnieniu, w przesunięciu bądź w przyspieszeniu. W zagubieniu, wykreśleniu, zamazaniu. Odłożeniu, odroczeniu. Zatuszowaniu. Teleportacji w niebyt.

Jeżeli z jakiegoś powodu nie chcieliby pomóc, ci liczni znajomi, wówczas ktoś im przypomni. Sam lub przez kogoś od ktosia. Napomknie mimochodem, że oto teraz powinni się jakkolwiek odwdzięczyć. Za tę gościnę na polowaniu lub na balu. Albo za prezent tudzież za inne skromne wsparcie.

Gdyby ustosunkowani celebryci nadal wykazywali się niepojętą amnezją, wtedy najprawdopodobniej, delikatnie i z pewną nieśmiałością (bądź mało elegancko, niedelikatnie i dosadnie), ujawnione zostaną okoliczności miłego spędzania czasu, przy tym dobrej zabawy tychże VIP-ów w gościnnych prywatnych progach prezesów konsorcjum. Kto, co, gdzie i kiedy. Ze szczególnym uwzględnieniem tego, kto konkretnie i z kim. Jak spędzał czas ten ktoś z tym kimś, i że wtedy na pewno tym kimś nie była aktualna małżonka tego kogoś. Ani inny bliski krewny, z którym miłe spędzanie prywatnego czasu byłoby jak najbardziej uzasadnione. Do tego poprawne moralnie. No, niech będzie: etyczne.

No bo za każdym razem owe okoliczności oraz zaistniałe

sytuacje przypadkiem utrwalane bywały na różnorodnych nowoczesnych nośnikach informacji. Nieco trwalszych niż ulotna pamięć o wzmiankowanych sytuacjach przejściowych. Wszystko przecież działa się w imię bezpieczeństwa i na wszelki wypadek. Jak onegdaj w starej, dobrej reklamie jedynej państwowej firmy ubezpieczeniowej: „Przezorny zawsze ubezpieczony”. Bo po cóż innego? A dbałość o bezpieczeństwo uczestników licznych oraz rozległych interesów od dawna, w zasadzie od początku, pozostawała w zainteresowaniu Szefa. W żywotnym interesie. Facet miał takie prywatne hobby. Oprócz gry w golfa, kolekcjonowania starej broni i jazdy na nartach.

I już.

Rafał vel Robal, aktualnie oraz tylko tymczasowo we Wrocławiu Kazimierz Krężel, wybrał sobie z katalogu spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością. Celowo. Po konsultacjach z prawnikami, po zakrojonych na szeroką skalę studiach z dziedziny prawa gospodarczego.

Z tych jego studiów wynikało, że spółka z ograniczoną odpowiedzialnością i jej podobne osoby prawne (na przykład za granicą i w kraju) są pod wieloma względami najlepszym środkiem i sposobem prowadzenia biznesu. Przede wszystkim pod kątem prawnego rozdziału majątku spółki od majątku wspólników, czyli bezpieczeństwa majątku osobistego ewentualnych wspólników. Oraz gwarantują legalną optymalizację podatków. (Należności publicznoprawnych nikt nie zamierzał przy tym uiszczać).

Taki był plan.

Majątek podmiotu gospodarczego jest wówczas zupełnie odrębny od majątku osobistego wspólników. W wypadku jakichkolwiek problemów finansowych spółki wierzyciele tejże nie mogą prowadzić egzekucji z konta osobistego wspólnika. I na odwrót: wierzyciele udziałowca nie mogą prowadzić egzekucji przeciwko spółce. Oprócz zajęcia udziałów wspólnika, czy jego osobistych zysków ze spółki, na przykład dywidendy albo wypłaty z zatrudnienia w firmie.

To jasne, że Rafał także pomyślał o tym wątku. Z namysłem, z wielką starannością. Jak wszystko. Przewidywane wynagrodzenie dla prezesa oraz dwóch członków zarządu, to znaczy Kazimierza i Roberta, wyglądało wiarygodnie. Na razie tylko w przygotowanych dokumentach. Zostało wyliczone według danych z GUS, realnych zarobków w znanych Rafałowi spółkach, potem odpowiednio uśrednione. Nie za niskie, nie za wysokie. Realne, jak też optymalne.

Wszystko po to, by nikt się nie przychrzanił, oraz, nie daj Bóg, wnikliwiej nie zainteresował.

Przecież o żadnych wynagrodzeniach z zysków firmy nawet mowy nie było. A papier przyjmie wszystko. Jeden z prawników wyjaśnił Robalowi, że do umowy cywilnoprawnej można wsadzić słonia. Byłe było legalnie, byłe zgodnie z obowiązującym prawem.

Ponadto kto niby miałyby się upomnieć o to wynagrodzenie albo roczną dywidendę? Na poły debilny prezes Zbunio?

Jeżeli egzekucja przeciwko spółce okaże się bezskuteczna; hipotetycznie, teoretycznie, naturalnie

w przyszłości, odpowiedzialność spada na członków zarządu. Mogą jej uniknąć, jeśli wykażą, że w odpowiednim czasie zgłosili wniosek o ogłoszenie upadłości lub rozpoczęło się postępowanie układowe. W konkretnym powyższym wypadku, to znaczy w spółce „Kozłowski i Syn”, mogli sobie przeprowadzać egzekucje na członkach zarządu, czyli na osobach Kazia i Roberta. Do woli. Zabierać im majątki, zajmować samochody oraz maszyny rolnicze. Opieczętować obory i stodoły. Kurniki i chlewnie.

Rafał nawet bardzo się zmartwił na wieść, że coś tak niesprawiedliwego i strasznego może się przytrafić tym dwóm biedakom.

- Jedyna możliwa egzekucja to czeka mnie. Jak tego nie ogarnę i coś spartolę. Szef mnie oskalpuje. Gilotyną utnie mi łeb, potem jaja. Albo odwrotnie. Na końcu wywali z roboty na zbity pysk - pomyślał Rafał. W zasadzie rzekł był sam do siebie, bo gadanie pod nosem bardzo pomagało mu w koncentracji. Wspomagało logiczne myślenie, skupiało uwagę na sednie sprawy.

- Pełna koncentracja! Czekolada z orzechami. Sałatka z owoców morza. Banany. Najwyżej jeden drink dziennie i tylko przed snem. Albo lampka dobrego wina. Jak przed egzaminem z logiki albo epistemologii.

Żadnych prochów. Zażywanie narkotyków byłyby największym idiotyzmem na ziemi. No i prostą drogą do degrengolady.

Zawczasu przygotowana została także pisemna umowa spółki. Ładnie, elegancko, na komputerze. Skonsultowana z prawnikami obsługującymi przedsiębiorstwo Szefa. Na wszelki wypadek z kilkoma. Na końcu ustnie zatwierdzona

przez samego Szefa.

Wspólnicy – lub tylko jeden wspólnik – teoretycznie muszą rozpocząć procedurę zakładania spółki z ograniczoną odpowiedzialnością od pisemnego sporządzenia umowy.

Kodeks spółek handlowych wskazuje, że musi ona być zawarta w formie aktu notarialnego. Kodeks rzecz święta, z przepisem nie należy się spierać.

Robal znalazł we Wrocławiu notariusza, który powyższą operację miał przeprowadzić sprawnie oraz bez zbędnej zwłoki. Człeka zaufanego, dyskretnego, okrzepłego w bojach na rynku gospodarczym. Przy okazji poleconego przez kumpli z branży. To znaczy przez wytrawnych biznesmenów wysokiej klasy. W pełni dyspozycyjnego, zwłaszcza dla takich nadzianych oraz ustosunkowanych gości jak Szef i Złoty.

Rzeczona umowa miała określać *primo*: nazwę i adres siedziby.

Zdecydowano się na „Kozłowski i Syn. Spółka z o.o.». Nazwa dobra, prosta, budząca zaufanie. Musiał być na końcu ten syn, bo sam Kozłowski już istniał. „Kozłowski i wspólnicy” także, i to jeszcze jako spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Innych osobowych z Kozłowskim w nazwie także było kilkanaście. A samych przedsiębiorców o nazwisku Kozłowski? Jak mrówek! W książce telefonicznej zwłaszcza. W całym kraju, na Dolnym Śląsku i w stolicy tego regionu.

Czyli nazwę przedsiębiorstwa wybrano bezpiecznie. Nazwisko właściciela rodziło duże możliwości. Dawało szansę na powodzenie misji. Tych Zenobiuszów tak dużo nie

stwierdzono, raczej zupełnie mało. Był tylko jeden. Pewnie, że lepszy byłby klasyczny Jan. Albo popularny Zbigniew. Trafił się Zbunio.

Cóż począć? Mówi się trudno i żyje się dalej. Będzie nazwa z samym nazwiskiem i bez tego kretyńskiego imienia.

Secundo: przedmiot działalności.

Tutaj Rafał dał popis swojej inteligencji. Pojechał po bandzie bez skrupułów. W umowę i w formularz wpisał wszystko, co mu przyszło na myśl. Przedsiębiorstwo wielobranżowe. Import i eksport. Hurt i detal. Obrót nieruchomościami. Transport międzynarodowy i krajowy. No tak, ale skoro mieli coś importować albo eksportować, w dodatku ilości hurtowe tego czegoś, to po co się rozdrabniać i bawić w jakieś detale? Zatem musiał być transport. Swój, ciężarowy. Prezes spółki musi czymś jeździć, takż członkowie zarządu, zatem Robal wpisał transport osobowy. Jeszcze usługi budowlane oraz remontowe. No przecież potencjalne nieruchomości, którymi prezes Zbunio chciał obracać, oczywiście teoretycznie, mogły wymagać remontu. Czyż nie? Naprawienia, przebudowania. Zburzenia albo dobudowania. Rekultywacji. Wszelakie towary przechowuje się zwykle w magazynach, a te trzeba zbudować. To oczywiste.

Rozmach pełną gębą.

Co Rafał będzie Zbuniowi żałować? Rubryki w urzędowym formularzu wymyślono po to, by je wypełnić. Niech się chłop rozwija. Niech się firma rozwija. By Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej. Przynajmniej niektórym.

Papier wytrzyma wszystko.

Ostatecznie Robal wpisał kilkanaście symboli PKD. W umowie spółki także. Gorzej byłoby, gdyby nie wpisał, a potem ich do czegoś potrzebował. On albo inni, z Szefem włącznie.

Po kolejne, *tertio*: kwestia wysokości kapitału zakładowego.

Zgodnie z przepisami obowiązującymi w RP minimalna wysokość wynosiła, i nadal wynosi, pięć tysięcy złotych. Jak pięć, to pięć. Zawsze kapitał można zwiększyć. Wszyscy na początek dają pięć, to on także. Nawet biznesowe tuzy dają tyle. To znaczy niezupełnie on, bo teoretycznie kasę wyklada jedyny właściciel, prezes, pomysłodawca, biznesmen – pan Zenobiusz Kozłowski.

Wszystkie udziały miały być na Zenobiusza. Tu zapis nie budził zastrzeżeń. Innych wspólników nie było. Nie ma i nie będzie.

Rafał miał najwięcej dylematów z ustaleniem czasu trwania spółki, jeśli potencjalnie miałyby być założona na czas określony. Z rozpoznania rynku wynikało, że zdecydowanie lepiej byłoby założyć firmę na czas nieokreślony. Jest po prostu bardziej wiarygodna. Dla potencjalnych kontrahentów, klientów, banków, urzędów. Rodzi to wiele możliwości, rokuje na przyszłość. Albo, jeżeli już określać, to na przykład na pięć lat. Powinno wystarczyć. No ale właściwie dlaczego na pięć? A nie na trzy? Albo na siedem? Przestępstwa gospodarcze przedawniają się po dziesięciu. To może na tyle?

Po konsultacji z fachowcami dyrektor projektu zdecydował się założyć przedsiębiorstwo na okres

bezterminowy.

Nie przekombinować!

Umawiając się na spotkanie z notariuszem, Robal skonsultował z nim ten czas trwania przedsiębiorstwa. Dla pewności i w celu potwierdzenia uprzednich ustaleń. Notariusz wówczas po prostu zapytał, czy istnieją jakieś przesłanki, by nie zakładać na czas nieokreślony.

- A jakie to mogą być?

- No, na przykład tymczasowy wspólnik zagraniczny, który potem się wycofa. Albo późniejszy zamiar przekształcenia firmy w spółkę akcyjną i wejście z nią w określonym czasie na giełdę papierów wartościowych. Teoretycznie mamy całe mnóstwo przesłanek, w tym jedną najważniejszą. To znaczy konkretny termin osiągnięcia celu założenia firmy. Ale osobiście odradzam, jako długoletni praktyk. Będziecie mieli panowie związane ręce.

- Na giełdę, powiada pan? Hmm. Interesujące. No to na razie chyba nie planujemy. Ja przynajmniej nic o tym nie wiem. Za mały kaliber finansowy. A wspólnik jest tylko jeden. Krajowy. Zasadniczo właściciel. Pan Kozłowski. Tylko on. Zenobiusz.

- To zapraszam panów z dokumentami. - Pan notariusz uprzejmie wyznaczył szybki termin. Właściwie ekspresowy.
- Dokument muszą podpisać wszyscy wspólnicy. To znaczy, w panów przypadku, do tej formalnoprawnej czynności potrzebowałbym najbardziej pana Kozłowskiego. Bez niego ani rusz. Pomimo wspólnych znajomych nie dam rady ominąć tego wymogu. Nie mogę inaczej. Straciłbym uprawnienia.

- Rozumiem. Oczywiście. Bardzo panu dziękuję, mecenasie. Postaramy się zdążyć. - Rafał także był uprzejmy. Pokorny. Do rany przyłoż. - Chociaż ostatnio nasz pan Zenobiusz lekko niedomaga. Ale prawą rękę ma sprawną. Może się podpisywać, bo umie.

Słowa Rafała odebrane zostały jako dobry dowcip. Fachowy. Stosowny do okoliczności.

- Ha, ha. Tylko podszewki kieszeni powinny być dobrze zszyte. I głębokie. À propos tematu: przyjmujemy tylko gotówkę.

- Oczywiście, panie mecenasie. Będzie gotówka. W złotówkach. Z głębokiej i przepastnej kieszeni. Bez węża. - Rafał dobrze zrozumiał przesłanie notariusza.

No bo skoro miało być dobrze, do tego na cito i bezboleśnie? Dyskretnie? Jeszcze zasadniczo po znajomości? Trzeba ponieść dodatkowe koszty. Chociażby na tak zwane waciki dla flamy notariusza. Za dyskrecję, za te znajomości i za ekspresowy termin cito.

Proste? Proste jak konstrukcja cepa. I życiowe.

Rafała bardzo zainteresowała wzmianka o zagranicznym wspólniku. Oraz zainspirowała. To był dobry trop. Może niekoniecznie do realizacji na teraz i zaraz, bo biznes ze Zbuniem w roli głównej był w toku. Nie na najbliższą przyszłość, bo kolejne dwa przedsięwzięcia także nie uwzględniały zaangażowania cudzoziemca. Przygotowania szły pełną parą, a już nawet zostały poniesione wstępne koszty. Niewielkie, ale zawsze. Ludzie są poumawiani, zaangażowani. Itepe. Ale koncepcja mariażu z cudzoziemcem rokowała i dawała spore możliwości. Rafał postanowił się tym zająć w wolnej chwili, przemyśleć temat

i sporządzić ramowy, wstępny biznesplan. Dla Szefa rzecz jasna, nie dla urzędu, czy dla banku.

W momencie podpisania umowy, oczywiście potwierdzonej notarialnie, nowa firma zyskuje status „spółki z ograniczoną odpowiedzialnością w organizacji”. Od tej chwili ma, ta firma, maksymalnie sześć miesięcy czasu na wpis do Krajowego Rejestru Sądowego.

Rafał nie zamierzał tak długo czekać. Pierwotnie.

- Żadne pół roku! Wykluczone!

Nawet trzy miesiące to za długo. Zdecydowanie lepiej byłoby czekać tylko pół miesiąca. Zależało mu na czasie, bo przecież czas to pieniądz. Jak najszybciej, czyli bez zbędnej zwłoki, zamierzał zawlec Zbunia do właściwej miejscowo siedziby sądu gospodarczego, gdzie miał dokonać wpisu do tego nieszczęsnego KRS-u. Dokumenty, wnioski, formularze były przygotowane. Tylko złożyć podpis i zdać dokumenty firmy na książkę podawczą. Uścić koleją opłatę skarbową.

Aby wszystko odbyło się jak należy, Rafał udał się w wolnej chwili do tego sądu. Jeszcze przed ulokowaniem Zbunia na Spokowicach. Osobiście oczarował panienkę z okienka, a owa oczarowana wyjaśniła wszystko. Cierpliwie. Krok po kroku. Chętnie użyczyłaby swojego, także w wolnej chwili i po pracy, kroku znaczy, ale Rafał jakby tylko zasugerował mimochodem taką opcję, nie będąc przy tym konkretnym. Najbardziej konkretny był wytrawny komplement, którym obdarzył urzędniczkę. Najważniejsze, że i w tym przypadku zadziałało, a petent wyszedł kontent. Nie wspominając o maślanych oczach panienki z sądowego okienka.

Zaraz potem przedsiębiorczy kulturoznawca dowiedział

się z kodeksów i od mądrych prawników, że przed upływem tego półrocznego terminu wspólnicy mają czas, jak sama nazwa wskazuje, na zorganizowanie się. Więc na przykład na zgromadzenie kapitału zakładowego w gotówce lub w innej formie.

W przypadku ich spółki „zoologicznej”, jak ją roboczo nazywał Robal, niezbędna gotówka była zgromadzona. To znaczy wyłożona. Te marne pięć tysi w zetach, a nawet więcej. Szef nie skąpił. Zresztą takie pieniądze wydawał kilka razy w miesiącu na kolacyjkę dla znajomych. Albo tylko na bieżące potrzeby pewnej uroczej, młodej, długonogiej, jędrnopośladkowej znajomej. Jednej.

Merytoryczna rozmowa Rafała z szefem przebiegła następująco:

- Zapłać, ile trzeba. Nie targuj się. Ma być poprawnie i bez lipy. Im mniej ludzi w to zaangażujesz, tym lepiej. Jak to się mówi? - Złoty był konkretny. Jak zwykle.

- *Lege artis?*

- Właśnie. O to mi chodzi. Jak wiesz, w biznesie pewne są tylko pieniądze. Ludzie niekoniecznie, a my działamy w myśl starej zasady: „ćwierkały jaskółki, że niedobre są spółki”.

- Jasne. Ufaj, ale kontroluj! Szefie. No to ile mam wziąć? Chyba mogę ze dwadzieścia, trzydzieści, tak na początek?

- Wiesz co? Weź pięćdziesiąt tysięcy. I w tym Wrocławiu wybierz sobie hotel z sejfem. Żeby ci ktoś przypadkiem nie skroił tej kasy. Powinno ci na wszystko wystarczyć. W razie czego dzwonisz, i następną kasę ci dowieziemy. Albo wyślesz Rudego. Jeszcze długo nie przekrocysz

zaplanowanego budżetu. Hi, hi...

- Jasne, szefie. Zrozumiałem. Gdybym jednak przekroczył, to mam jeszcze trochę swoich zaskórniaków. To mi potem oddasz. Sam rozumiesz. Dworek. Romantyczna chatka za wsią. Te klimaty. - Robał się rozmarzył. - Chciałbym wreszcie gdzieś osiąść na stałe. I na swoim.

- Faktycznie. Zapomniałem, że zbierasz hajc na swój wymarzony domek. Hi, hi, pożyjemy, zobaczymy. Pażywiom, uwidim, jak mawiają starożytni Indianie.

Do tej organizacji firmy dochodzi też formalne wybranie zarządu, którego skład Robał ustalił już dawniej. Najpierw z mocodawcą, potem z Rudym. Formalnie oraz oficjalnie z panem Robertem Zielonką.

O zaszczytnej funkcji członka zarządu spółki kapitałowej Rudy dowiedział się w ostatniej chwili, natomiast pan prezes Kozłowski nie musiał w ogóle się dowiadywać. Taka wiedza nie była mu do niczego potrzebna.

Ponadto groziła ujawnieniem osobom postronnym, oczywiście jedynie w przypadku gwałtownego przyływu pamięci i nagłej eksplozji ukrytego, uśpionego geniuszu kłoszarda z wrocławskiego przedmieścia.

Wreszcie w grę wchodziła również ważka kwestia zaciągania zobowiązań przez tworzony podmiot gospodarczy. W tym czasie w nazwie spółki musi się znaleźć określenie „w organizacji”.

Rafał zamierzał zaciągać zobowiązania. Bardzo.

Na to zaciąganie, cokolwiek miał na myśli, czaił się, od kiedy tylko szef desygnował go na dyrektora projektu. Praktycznie cały czas myślał, gdzie te zobowiązania

zaciągać, by było dobrze. Dobrze dla sprawy. No i przy okazji dla niego samego. W jakich firmach, w jakich bankach, w jakich pieniądzach? Wreszcie: w czym, czyli w jakich towarach? Od kogo i skąd wyciągać. Kogo naciągać, wystrychnąć na dudka, orznąć oraz wydymać?

Najpierw on sam miał delikatnie spróbować zaciągnąć kilka zobowiązań u paru różnych przyszłych wierzycieli, natomiast po wyprowadzeniu się ze Spokowic i wyjeździe z Wrocławia właściwymi interesami mieli się już zająć inni współpracownicy Szefa. Włącznie z biegłymi, mądrymi księgowymi. Doradcami inwestycyjnymi kutymi na cztery łapy.

Pod wszystkimi dokumentami i tak podpisywał się prezes Kozłowski. Osobiście lub ktoś za niego faksymile. Sam Rafał niezbędny był do konceptu, projektu, biznesplanu, organizacji oraz wstępnego rozruchu.

Jeśli chodzi o cel działalności przedsiębiorstwa, to znaczy spółki zarejestrowanej na Zbunia, to miał on zostać osiągnięty w ciągu kilku miesięcy. Optymalnie. Może na upartego, przy akurat niekorzystnej koniunkturze rynkowej, przed upływem roku kalendarzowego oraz finansowego. Co także należało uwzględnić. Zgodnie z polskim prawem. A celem był zysk. I tylko zysk. To chyba oczywiste. Zdobycie dużych pieniędzy i ulokowanie ich na bezpiecznych kontach. Szwajcaria, Kajmany, Bermudy. Uroczą wyspą pozostająca pod jurysdykcją królewskiej Kanady. Inne uznane raje podatkowe.

Jak nie na kontach, to w nieruchomościach, w dziełach sztuki, w biżuterii.

W pralniach. Im więcej w tej pralni piorących pralek,

tym lepiej.

Najpewniejsza byłaby dywersyfikacja wszystkich tych lokat. Licho nie śpi. Po troszeczkę. Metodą drobnych kroczków.

Trzeba byłoby kupić samochód także ciotecznej babci. I na babcię. Na jej osiemdziesiąte urodziny. Ona lubi czerwone, najchętniej poprowadzi sportowe ferrari.

Apartament w centrum Warszawy bardzo przydałby się stryjecznej cioci Szefa. Rencistce. W wolnych chwilach wyskakiwałby sobie do teatru, gdzie jeszcze grywa jej ulubiony aktor. Albo na koncert rockowy.

Przyszywany wujek z Mławy od wieków marzy o stadninie koni przy własnym hotelu.

A SzeF ma przecież bardzo dużą rodzinę. Naturalnie dalszą, bo bliższa już wszystko ma, żyje się jej dostatnio, jak też stabilnie. Po co psuć ten błogostan dodatkowymi pieniędzmi? Kolejnymi dobrami konsumpcyjnymi? Niech inni krewni także coś mają.

Jak przystało na kreatywnego dyrektora projektu, Rafał zrobił odwrotnie. Konceptyjnie. Jakby wszystkiemu na przekór. Albowiem najpierw wymyślił owe zobowiązania, dopiero później dostosował do nich kody PKD (dla laików: Polskiej Klasyfikacji Działalności Gospodarczej), czyli profil działalności firmy o nazwie „Kozłowski i Syn. Spółka z o.o.”. Te numerki PKD znalazł głównie w działach F, G i H.

Rozkminiając rzecz teoretycznie: jeśli po upływie pół roku od sporządzenia umowy spółka nadal z jakichś przyczyn nie zostanie wpisana do KRS, umowa zostanie rozwiązana z urzędu, a wspólnicy mają obowiązek spłacić wszystkie zobowiązania, które zaciągnęli w tym okresie.

Z tym Rafał miał kolejny problem. Nazywał się: wpisywać czy nie wpisywać? Pół roku to tak na dobrą sprawę i dużo, i mało.

- Trzeba to przegadać. Sam nie podejmę decyzji.

Następnie Robal, pomysłodawca i wykonawca interesu, jeszcze raz zapoznał się z wymogami prawnymi postępowania po wpisie do tego nieszczęsnego rejestru.

- Hola, hola! Hej, facet, stop! Nie zapędzaj się tak. To nie twoja firma i chyba trochę inny cel przedsięwzięcia! Nie ty tu rządysz. Pity, city, waty, pierdu, pierdu. Formularze, druki KRS-coś tam, kolejne formularze zgłoszeń i druki do tych pierwotnych. Rejestracje, czekanie, milion urzędów. Dowody wpłaty. Bulenie za zgłoszenia w monitorach i innych rejestrach. Dosłownie za pierdnięcie. Podwójne, nawet potrójne opodatkowanie. Skarbówka! Organy kontrolne. Na końcu gliny, prokuratorzy, biura śledcze. Interpol. Wrrrr... Rany! W życiu! Trzeba być kretynem!

Przekalkulował sobie wszystko na chłodno, poważnie pogadał z paroma mądrymi papugami obsługującymi interesy Szefa. Udało mu się dorwać zmyślnego księgowego, biegłego rewidenta. Też opłacanego przez Szefa, rzecz jasna. Nie takiego z łapanki albo z reklamowanej korporacji.

A potem to już nadeszła poważna refleksja.

- A właściwie po chusteczkę mi teraz ta rejestracja? Wrębałbym się tylko w niezłe bagno. Chyba nam wystarczy sześć miesięcy na tę całą niby organizację? Tym bardziej, że praktycznie większość spraw już zorganizowałem. Zawsze mogę wrócić do tematu. A pośpiech jest dobry jedynie przy łapaniu pcheł. Podsumujmy wstępnie. Konto już mamy. W dobrym, dużym banku. Trzeba będzie tylko

wykombinować na początek jakiś numer REGON. Na dłuższą metę bez tego ani rusz. Nawet najlepszy biznes może spalić na panewce, gdy pominie się jakiś drobny, z pozoru nieistotny detal, szczególnie, dosłownie duperele.

Wprawdzie Robal postanowił wstrzymać się z decyzją co najmniej pięć miesięcy, jednak wszystkie niezbędne dokumenty do rejestracji w rejestrze sądowym były przygotowane. Prawie wszystkie. Z rozpędu. Na chłodno przejrzy je ponownie po ostatecznym pożegnaniu się z prezesem Kozłowskim. Także grunt jakby częściowo został przygotowany w samym sądzie właściwym miejscowo dla siedziby tworzonej spółki.

No a oficjalną siedzibą tej spółki z ograniczoną odpowiedzialnością stała się nieruchomość zasiedlona i zamieszkiwana przez Zbunia. Jak też przez dalekich pociotków onego.

W związku z faktem, że jeden z członków zarządu wynajął na swoje nazwisko lokal mieszkalny z telefonem stacjonarnym, w dokumentach firmy podano doraźnie właśnie ten adres i ten numer. Niby tymczasowy zamiar biura spółki w organizacji. Służący do bieżącego kontaktu kontrahentów z przedmiotową spółką w organizacji. Zawsze prezentuje się lepiej, gdy firma ma kilka numerów, w tym z kierunkowym właściwym dla siedziby. Wygląda wiarygodniej. Ktoś sobie zadzwoni, sprawdzi, czegoś będzie chcieć.

Rudy miał odbierać telefony. Tylko wówczas, gdy będzie w mieszkaniu. To znaczy w biurze.

A że potem nikt nie odbierze? Albo słuchawkę podniesie

osoba niemająca zielonego pojęcia o jakiejś spółce? O firmie pana Kozłowskiego i syna? Następny najemca lokalu? Bogu ducha winna studentka?

Cóż. Zdarza się. W najbogatszych krajach świata także zdarzają się pomyłki telefoniczne, błędy drukarskie i ludzkie.

Jeszcze jedno należałoby uwzględnić. Skoro jest adres i siedziba, to potencjalnie może nadejść korespondencja. Lepiej mieć konkretny adres z ulicą niż numer skrytki pocztowej gdzieś przy poczcie głównej.

- Poczta. No tak. Może przecież przyjść. Też się zdarza, że listonosz coś przyniesie i wsadzi do euroskrzynki. Albo też pofatyguje się osobiście z listem poleconym.

Biedny ten listonosz. Szczególnie wówczas, gdy winda w bloku będzie zepsuta. Jeśli doręczyciel, umęczony chodzeniem po schodach, trochę pomyśli, włoży do skrzynki awizo. Bez chadzania. Powoli skrzynka zapcha się makulaturą, ale to już będzie problem właścicieli lokalu. Na pewno nie Robala.

Tak do usranej śmierci. Niech sobie dzwonią i piszą. Do świętego Mikołaja, do cesarza chińskiego i na Berdyczów. Wszelakim posłańcom i innym komiwojażerom krzyżyk na drogę.

- Powiedzmy sobie jak szachista do szachisty: szach i mat.

Żeby firma mogła prowadzić działalność bez ograniczeń, jej przedstawiciel powinien dodatkowo wypełnić jeszcze kilka obowiązków.

Należy do nich założenie firmowego konta w banku, do

czego trzeba podać uzyskany numer REGON. Robal miał tego świadomość. Numer konta był, bo założone zostało na jednoosobową działalność gospodarczą pana prezesa. Po co zakładać kolejne albo zmieniać to obecne, skoro spółka jest w organizacji? I długo jeszcze będzie. Potem wszystkich informować o zmianie, znowu coś wypełniać, zgłaszać i uiszczać.

Jeszcze czego!

Nie o to chodzi. Prawdopodobnie nikomu o to nie chodzi. Ludzie, znaczy przedsiębiorcy, zakładają firmy po to, by zarobić. A nie dokładać, biegać po urzędach, wyrywać sobie włosy z głowy i uiszczać. Przed, w trakcie i po.

Co zaś do numeru identyfikacyjnego Krajowego Rejestru Urzędowego Podmiotów Gospodarki Narodowej, to trzeba byłoby o tym pomyśleć poważnie. Im wcześniej, tym lepiej. Wprawdzie ten numer można uzyskać jak najbardziej legalnie już jako spółka w organizacji, ale po co tyle zachodu? I fatygi? Po jaką chusteczkę angażować urzędników, zawracać gitarę osobom postronnym?

- Bez sensu! Jak nie kijem go, to pałką! Pomyślmy.

Należałoby jedynie zadbać o dwie pierwsze cyfry, koniecznie, gdyż po reformie administracyjnej w 1999 roku, czyli chwilę wcześniej, dla nowo nadawanych numerów rzeczony dwie cyfry oznaczają numer nowego województwa. A to musi być Dolny Śląsk.

Wprawdzie ostania, zarazem dziewiąta cyfra REGON-u jest cyfrą kontrolną, ale po licznych przemyśleniach Robal doszedł do wniosku, z gruntu słusznego, że nie zna nikogo, kto podczas robienia biznesów obliczałby sobie ową cyfrę kontrolną. W celu sprawdzenia kontrahenta albo dla

zabawy. Bądź też ma takie nietypowe i wielce oryginalne hobby. Ten ktoś. REGON to REGON. Trzeba mieć. Fajnie wygląda w dokumentach.

Skoro tak, to znowu trzeba go sobie pożyczyć albo kupić. Najlepiej zamówić u tego samego producenta. Specjalisty i fachowca. Sprawdzonego, zaufanego, dyskretnego. Drogiego, fakt, ale rzetelnego. Jakość przecież kosztuje. Potem używać. Nie producenta, tylko numeru. No, gdyby jednak kogoś, to najwyżej można byłoby poużywać starszej córki producenta, bo fajna z niej dupa.

W notatniku Robala zapisane zostały kolejne dwa hasła: ten nieszczęsny REGON i papier firmowy. Potem dopisał trzecie: wizytówki.

Papier jest potrzebny. Jak cholera. Musi być. Na dole strony, w stopce firmówki, powinny się znajdować jakieś wiarygodnie brzmiące informacje: numer NIP, wysokość kapitału zakładowego, no i ten nieszczęsny REGON. Oczywiście adresy, telefony kontaktowe. Stacjonarny numer na Spokowicach i komórkowy Kazimierza Krężela. Ten ostatni tymczasowy, na nierejestrowaną kartę. Oczywiście będzie czynny jakieś pięć do sześciu miesięcy. Niech się kontrahenci cieszą, że aż tak długo.

Prywatna firma bez własnego papieru firmowego jest zdecydowanie *passee*. Niewiarygodna, niepoważna. Papier ma być wydrukowany jak się patrzy. W drukarni. Offsetem, na ładnym, eleganckim papierze. Podobnie – szykowne wizytówki prezesa. Znaczą bogato i z rozmachem.

Potencjalni kontrahenci powinni wiedzieć, że mają do czynienia z eleganckimi, poważnymi biznesmenami glamour, a nie ze szmondakami i gołodupcami. Palantami,

kmiotami, wieśniakami.

Albowiem jak cię widzą, tak cię piszą.

Bo niby na czym będzie się podpisywać pan prezes? Słać listy intencyjne, pisma przewodnie, pozdrowienia, życzenia noworoczne? Przecież nie na zwykłej kartce z badziewiastego hipermarketu!

Porządna polska spółka kapitałowa powinna mieć swoją stronę internetową. Rzecz jasna. Zagraniczna także, ale nie wszyscy takie przeglądają. Dyrektor projektu musiał mieć to wszystko na uwadze i przygotować sobie zgrabne wytłumaczenie chwilowego niemania. W tej kwestii postanowił uruchomić kontakty jednego z ludzi Złotego, z zamiłowania kumatego hakera. Oczywiście, że sam mógł się zająć i tą sprawą. Albo budowę strony zlecić jakiejś niby profesjonalnej firmce, jakich pełno. Ale tutaj dla powodzenia misji istniało realne zagrożenie ujawnienia haniebnego procederu. Komputer mogli namierzyć po adresie IP. Kto? No, różni.

W notesie Rafała pojawiły się zatem kolejne hasła, czyli sprawy do pilnego przemyślenia oraz załatwienia: strona i adres poczty elektronicznej. Przy tym ostatnim Robal dorysował jeszcze symbol małpki i duży wykrzyknik.

Te nieszczęsne strony WWW i adres e-mailowy były pilną sprawą, jeszcze przed wydrukowaniem papieru firmowego. Z pocztą mógł się uporać raz dwa. Nie odwlekać. Tylko należało na pół godziny dorwać jakiś w miarę bezpieczny komputer. Gdyby Robalowi nic mądrzejszego nie przyszło do głowy, zawsze mógł się zwrócić do swojego specja od dokumentów. Albo też zagadać panienkę z hotelowej recepcji, celem użycia. Jej komputera,

oczywista, bo używanie samej recepcjonistki wchodziło w grę jedynie opcjonalnie.

Idąc na spacer po centrum miasta i przy okazji po drobne zakupy, w jakimś starym zaułku niedaleko hotelu Rafał zwrócił uwagę na jaskrawy neon. W oczy raził przechodnia napis: Internet @ Café.

- A może tutaj by sobie pogrzebać? To jest to! Proste i genialne! Tylko musiałbym się jakoś zakamuflować. Mogą mieć kamery, licho nie śpi. Ktoś mógłby mnie zapamiętać z innych powodów. Wprawdzie to tylko głupia poczta, ale po co kusić szatana?

Robal wrócił zatem do swojej hotelowej kwatery, nałożył noszone wcześniej wąsy i brodę, ciemne okulary, na głowę kupioną przed chwilą na straganie kolorową czapkę z żółtym pomponikiem. Narciarską, dziewczęcą. Szyję ozdobił czerwonym szalikiem. Wyglądał po prostu zabójczo.

Po jakiejś godzinie odwiedził namierzoną uprzednio kawiarenkę. Tę wytypowaną do przeprowadzenia operacji na komputerze. Sam wyglądał także smarkato oraz pociągająco, bo w ostatniej chwili wymyślił symulowanie ostrego, sezonowego przeziębienia. Jesień przecież trochę dżdżysta, to nadszedł sezon grypowy. Każdy zrozumie i będzie współczuł.

Wykupując u młodego mężczyzny dwugodzinne miejsce przy komputerze, parokrotnie wydmuchał nos w chusteczkę higieniczną. By uwiarygodnić chwilową niedyspozycję zdrowotną, nabył jeszcze butelkę wody mineralnej, czekoladowego batona i mocną kawę. Tak wyposażony w kawiarniany oręż ciężko chorego klienta usiadł sobie

wygodnie przy przydzielonym mu sprzęcie i ciurąsem obstalował trzy skrzynki e-mailowe na popularnej stronie internetowej, dostępnej dla każdego zjadacza polskiego chleba. Na Zenobiusza, na Roberta Zielonkę i na siebie. To znaczy na Kazimierza Krężela. (Wyszedł mu k.krezel). Oczywiście wszystkie adresy miały w nazwie Kozłowskiego i syna. Przed małą. Wyglądało dobrze. Poważnie, profesjonalnie.

Rafał sprawdził jeszcze drożność poczty, krzyżowo wysyłając wiadomości. Zadowolony z siebie i ze swojego arcydzieła, dopisał adresy elektronicznej poczty firmowej do projektu papieru firmowego oraz do firmowych wizytówek prezesa.

Już wychodził z kawiarenki, ale nagle doznał olśnienia.

- Ale ze mnie gamoń! Kretyn. Sekretariat! Przecież trzeba jeszcze koniecznie utworzyć skrzynkę na firmowe biuro. Na papierze firmowym wystarczy adres biura, na wizytówce prezesa tylko namiary na Zbunia. Reszta na wszelki wypadek. Niech sobie trochę powisi w sieci. Jeść przecież nie woła!

Robal pomyślał także, że zacna firma musi mieć sekretariat i, w domyśle, sekretarkę. Modne są akurat młode i cysate asystentki. Z pupami nawołującymi do klepania. A że petent usłyszy męski głos, to trudno. Najwyżej powiedzą takiemu, że asystentka ma grypę.

- Najlepiej powiedzieć w zaufaniu, że dziewczyna ma okres. To zawsze działa.

Po rzeczowej rozmowie z Szefem Rafał już nie zastanawiał się tak bardzo, ile kosztuje operacja, i jak wiele jeszcze

będzie kosztować.

- Rafałku. Wiem, co robię, i ci ufam. W kwestiach finansowych także. Wydasz tyle, ile trzeba. - Szef poklepał Robala po ramieniu.

Zatem Rafał skwapliwie robił szczegółowe zestawienie wydatków, nawet tych najmniejszych, jednak nie pod kątem potencjalnego oszczędzania. Razem z opłatą za tego zaufanego producenta dokumentów, nazwijmy ją organizacyjno-rejestracyjną, kwota inwestycji nie powinna była przekroczyć dziesięciu, może dwunastu tysięcy złotych. A to dla pana szefa jak splunąć. Rozpatrując zjawisko pragmatycznie, optymistycznie oraz przyszłościowo, żadne to pieniądze. Drobniaki jakieś. Poza tym, żeby zarobić, trzeba zainwestować. Wiadomo. Coś lub kogoś poświęcić. Cokolwiek to znaczy w naszych czasach.

Lajf is brutal.

Po prawie dwóch dobach od zasiedlenia w bloku na Spokowicach Zenobiusz raczył wreszcie zauważyć, że w mieszkaniu nie ma jego psa. Po tej ważkiej konstatacji postanowił odpowiednio zareagować.

Po powrocie ze spotkania u notariusza nikt go nie witał, nic nie czekało, nie machało nędznym ogonkiem. Nie podskubywało nogawek spodni.

- Tyyyy, gdzie mój pies? Nie ma go nigdzie. Co z nim, kur... zrobiłeś?

Rudy nie mógł już dłużej kręcić i milczeć na temat spektakularnej ucieczki kundla. Mleko się wylało. Haniebny akt zagubienia czworonoga ujrział światło dzienne.

Argument witania, bardziej braku witania, szczekania i merdania, był dominującym.

Zbunio był akurat wyspany, wymyty, wprawdzie na siłę, ale zawsze częściowo wyczyszczony, przynajmniej odświeżony. Najedzony do syta oraz trzeźwy jak niemowlę jeża, ponieważ przed ważnym spotkaniem panu prezesowi nie podano żadnego napoju zawierającego alkohol. Pobudzony nieco, bo rano do śniadanka wypił mocną kawę z mlekiem, nieco wcześniej herbatkę z rumiankiem i meliską. Tak na wszelki wypadek. Ziółka są przecież zdrowe. Coś tam wspomagają i regulują.

W gabinecie notariusza poczęstowano go bardzo mocnym espresso z dużą ilością cukru, a prawdziwą czarną kawkę Zenobiusz pił w takiej formie pierwszy raz w życiu.

Zdziwienie i oszołomienie nieznanym trunkiem usiłował wyartykułować werbalnie, jednak kołnierz ortopedyczny krępował mu dolną szczękę i uniemożliwiał konwersację.

Na dodatek Robal szybko się zorientował w niecnym zamiarze pana prezesa i spiesznie przetłumaczył jego reakcję.

- Kawusia wygląda smakowicie, prawda? Pan prezes z przyjemnością się napije. My także. Poprosimy zatem.

- Hmm... uhuu... gagu.

- Jaki mają państwo ekspres do kawy? Jest pyszna. Może do naszego biura kupimy podobny, tej samej marki?

- Uhuu. Mmm.

- No to załatwione, panie prezesie. Jutro się tym zajmę.

Tymczasem Rudy nie odstępował Zbunia na krok. Niejeden życzyłby sobie tak profesjonalnej ochrony

osobistej. W pewnym momencie, gdy Zenobiusz ponownie miał ochotę otworzyć paszczkę, żeby wypowiedzieć coś bardzo mądrego, Rudy wsadził mu palec między zębra, dając tym samym wyraźnie do zrozumienia, by prezes natychmiast zamknął dziób.

- Aaauaa...

- Oj, chyba pana prezesa znowu boli kręgosłup. Sami państwo rozumieją: niedawno miał przykry wypadek. Proszę, tu jest lek przeciwbólowy - zareagował przytomnie Robal i zwrócił się do asystentki notariusza: - Mogę panią prosić o pół szklanki wody? Pan prezes potrzebuje popić tabletkę.

Nie był to oczywiście żaden lek przeciwbólowy, tylko kolejna ziołowa tabletką uspokajająco-tonizująca. Zupełnie nieszkodliwa dla organizmu. W niewielkich ilościach substancji czynnej. Robal miał nadzieję, że po niej Zbunio szybciej zaśnie albo przynajmniej będzie lekko przymulony. Nie będzie kłapał dziobem i demonstrował światu gołych dziąseł ozdobionych brunatnymi kikutami. W tymczasowym domku obejrzy sobie program w telewizji, potem szybko przeniesie się w objęcia Morfeusza.

- Naturalnie. Zaraz przyniosę. Dla panów coś jeszcze do picia? Może ciasteczko? - Sekretarka notariusza była bardzo uprzejma.

- Nie, dziękujemy. Za ciasteczko także - odpowiedział szybko Rudy.

„Jeszcze czego. Zbunio błyskawicznie wyżarłby wszystko do cna, jeszcze zapewne wylizałby talerzyk. No i byłby obciach jak psia mać. Wpadka na całego” - pomyślał.

Przy okazji przyszło mu do głowy, że ten Robal ma łeb

jak sklep. Zawsze wie, co i jak powiedzieć. I jeszcze reaguje jak jakiś pieprzony komandos: błyskawicznie.

Robalowi zaś przyszło do głowy, że facet, to znaczy jego Rudy, jest coraz lepszy w tym, co robi. I w tym, co mówi. I że prawie na pewno weźmie go na następną robotę. Zresztą poszukiwanie kolejnego kandydata na asystenta zajęłoby trochę czasu. Dochodzi do tego sprawdzenie, chociażby ogólne, potem wstępne przeszkolenie. Nie wiadomo, kto by się trafił. Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu. No i w tym przypadku lepsze byłoby wrogiem dobrego.

„Ten Rudy może nie jest idealny, ale na pewno niezły. Ma chyba tak zwaną inteligencję wrodzoną. Naturszczyk. Nieoszlifowany kamień. Szybko się uczy. Na razie nikogo innego nie będę szukać. Może trzeba mu znaleźć jakieś samodzielne zadanie? Żeby się lepiej sprawdził w obszarze planowania i realizacji?”

Sama kancelaria notarialna wywarła na przybyszach niesamowite wrażenie. Nie było osoby, która zareagowałaby obojętnością. Wystrój wewnątrz pasował do okolicy wrocławskiej starówki. Do pięknego barokowego gmachu głównego słynnej uczelni. Eleganckie, stylowe, ciemne meble z epoki skrywały dokumenty i opasłe tomiska akt. Na olbrzymim biurku leżała tylko jedna firmowa teczka z aktualnymi dokumentami Kozłowskiego. Tymi do podpisu. Inne papiery służbowe kancelarii, niepotrzebne na spotkaniu z Kozłowskim, pochowane były tak, że klienci mecenasa mieli wrażenie odbywania wizyty w muzeum, a nie u prawnika.

Lampy od Tiffany'ego rzucały dyskretne światło na pomieszczenie biurowe. Wszędzie unosił się równie dyskretny zapach pielęgnowanej woskiem politory, jak również eleganckiej, drogiej wody po goleniu pana mecenasa.

Atmosfera gabinetu przytłoczyła Zbunia Kozłowskiego. Skulił się, nerwowo rozglądał się dookoła siebie. Elegancja i klimat przybytku jakby go osaczyły. Dawno temu widział film wojenny, gdzie wysoki urzędnik gestapo przyjmował gości w podobnej aranżacji. Zbunio wystraszył się po prostu. Autentycznie.

Nawet Rudy czuł się tam niepewnie. Jakby wehikułem czasu został przeniesiony w inny wymiar. Albo w scenerię baśni Andersena.

Po wyjściu z kancelarii notarialnej panowie poszli na obiad do baru mlecznego opodal siedziby tejże kancelarii. Prawie za rogiem. Aby godnie uczcić podpisanie aktu notarialnego i formalne, oficjalne założenie firmy oraz rozpoczęcie jej działalności.

Bar, z założenia studencki, akademicki, usytuowany blisko gmachu głównego wrocławskiego uniwersytetu, był przestronny. Przewijało się przez niego sporo osób. Głównie studentów i pracowników uczelni. Nikogo zatem nie dziwiło, że w takich pospolitych okolicznościach jadają tam także faceci w eleganckich garniturach: przedstawiciele wrocławskiego biznesu, palestry i im podobni. Ciasno poustawiane stoliki zapewniały konsumentom anonimowość. Tako samo gwar rozmów, odgłosy przesuwanych krzesełek i stolików. Pachniało gotowanymi ziemniakami, smażonymi naleśnikami, przypalonym masełkiem i gorącym olejem

rzepakowym.

Rudy, trzymając menela kurczowo za ramię, polował na wolny stolik. Robal stanął w długiej kolejce do michy.

Zenobiusz dostał pod nos barszczyk ukraiński, pierogi ruskie omaszczone cebulką i boczkiem, a do popicia kompocik z owocem w środku. Do zjedzenia parujących delikatesów chciał zdjąć z szyi niewygodne chomąto w postaci kołnierza ortopedycznego, ale Robal kategorycznie się sprzeciwił.

- Nie zdejmuj. Jesteśmy za blisko siedziby kancelarii notarialnej. Ktoś z personelu może nas przypadkiem zobaczyć. Nawet przez okno. Wytrzymaj jeszcze trochę!

Po chwili Rafał przyniósł głodomorowi jeszcze podwójną porcję naleśniczków na słodko z twarożkiem. Posypanych cukrem pudrem i szczyptą cynamonu.

- To w nagrodę, że byłeś grzeczny. I za ten kołnierz. Pamiętaj, masz się nie odzywać! Tylko potakiwać! Rozumiesz?

- Noo. Dajcie mi piwa! - wybełkotał Zbunio zachwycony widokiem kolejnego ciepłego, ładnie pachnącego jedzonka.

- Gadał dziad do obrazu. Chyba jednak nie rozumiesz. - Rafał westchnął. - Dostaniesz w domu to twoje piwo. Tutaj i tak nie sprzedają alkoholu, bo to studencki bar mleczny. Teraz jedz, bo ci wystygnie.

Robal i Rudy także zdecydowali się na pierożki. Na talerzach licznych konsumentów wyglądały świeżo i smakowicie, dodatkowo były tanie jak barszcz. Wprawdzie panowie dysponowali dużą gotówką, także na codzienny catering, ale Robal postanowił nie przyzwyczajać menela do dobrych i drogich restauracji, a Rudego nie skazywać na

wielogodzinne ślęczenie w kuchni przy garach. Przecież jego głównym zadaniem było pilnowanie Zbunia. Tutaj na pewno wszystkie serwowane dania były świeże. Prosto z gara. Na pewno nic nikomu nie zaszkodzi.

W barach mlecznych o przepustowości ludu porównywalnej do tłumu pasażerów międzynarodowego dworca kolejowego także można było się zacnie żywić. Smacznie i niedrogo. Oraz, co chyba najistotniejsze, dyskretnie. Na pewno o wiele dyskretniej niż w droższych, zwykle pustawych, monitorowanych knajpach i restauracjach.

- A co będzie na kolację? - upomniał się Zbunio. Wpieprzał te swoje pierożki, aż mu się uszy trzęsły.

- A na co masz ochotę, robaczku? - Robał był w dobrym humorze po pracowitym i pełnym sukcesów dniu.

U notariusza udało się załatwić wszystko, co zostało zaplanowane. W banku także poszło im nieźle.

- Na kaszanke. I piwko - rozmarzył się Zbunio.

- Dobrze. Będzie i ta twoja kaszanka, i piwo. Robert, robaczku, zrobisz nam wszystkim kolację? Może później pobędę trochę z wami. Bo jeszcze muszę załatwić coś pilnego. Zejdzie mi z tym akurat do wieczora.

- Zrobię. Też chyba pojadłbym dobrego krupnioka. Gryczanego. Nawet podsmażę cebulkę do tej kaszanki. Musimy zrobić zakupy. To znaczy ty musisz. Jakiś ser by się przydał. Masło. Jajka. Pasztetowa, ogórek kiszony. Ta jego, znaczy nasza kaszanka i cebula. I kup do kolacji jakieś bułki. Weź więcej, to na śniadanie zrobię nam tosty francuskie. Chodzą za mną od dawna.

- Dobrze, dobrze. Kupię. Może jeszcze wam przyniosę

owoców.

- A ty, Kaziu, na co miałbyś smaka? - Rudy miał ochotę sprawić przyjemność szefowi. Właściwie podlizać mu się kulinarnie.

- Ja? Hmm. Na to co ty. Na kurki, gąski i rydze - odpowiedział z uśmiechem Robal i uważnie spojrzał na Wojtka. - Przemyśl sobie moje słowa.

- Na co? A, na grzyby? Nie bardzo rozumiem - wybąkał lekko zaskoczony Rudy. Wydawało mu się, że przy wypowiedzianiu tej kwestii kolega mrugnął powieką.

„To musi coś znaczyć. Tylko co? Kurki? Gąski? Dziwne. Jeszcze mam sobie przemyśleć. Zapytam wieczorem”.

Przecież o niczym innym nie można było przy Zbuniu rozmawiać. Obaj biznesmeni doskonale zdawali sobie sprawę, że temat żarcia jest uniwersalny. Bezpieczny, zarazem dyskretny. Zastępczy oraz poprawny w każdym kontekście. Na pewno poprawny politycznie. A także społecznie i gospodarczo.

- No to gdzie jest mój pies? Gadajcie natychmiast, skurwysyny! - Zenobiusz ponowił zasadnicze pytanie. Był wyraźnie zniecierpliwiony i podirytowany. Z oczu ciskał złowrogie błyskawice.

Jedna mała ziołowa tabletką na uspokojenie nie zadziałała tak, jakby tego Robal sobie życzył. A już na pewno nie tak, żeby z menela do cna wypłukać całą pamięć o pupilu. Nie uwzględniono pobudzającego działania esencjonalnego espresso.

- No, miałem ci to powiedzieć rano, przed naszym wyjściem z domu. - Rudy zdobył się na odwagę.

Obok stał Robal, przysłuchując się inteligentnej konwersacji dwóch podopiecznych. Gdyby doszło do rękoczynów, musiałby Zbuniowi zrobić krzywdę.

- Twój pies mi uciekł, jak go rano wyprowadzałem. Szukałem, wołałem, ale nie znalazłem. A ty jeszcze spałeś. Może nie uciekł daleko? I jeszcze ten twój kundel do nas wróci?

- Buuu... mój pies! Mordercy!

- Nie drzyj się tak, bo znowu ktoś przylezie. Psa będziemy szukać. Obiecuję. Może właśnie pobiegł do waszego domu? Wrócił do Kamieńska na tę twoją Wiejską? Przecież tam jest jego dom. Kto wie?

- Ja chcę mojego psa. Jebane mordercy! - Zbunio był wściekły. I zrozpaczony.

- Je... nieważne. Dobra, już nie wyj. Nic to nie da, a jeszcze narobisz nam dymu. Nie zamordowaliśmy przecież tego kundla, tylko sam mi uciekł. Widocznie tak chciał albo poczuł wolę bożą. Sukę znaczy. Pojedziemy do ciebie i poszukamy. To znaczy ten, Kaziu pojedzie samochodem. Znajdzie się prędzej czy później. Może jednak przyjdzie tutaj?

- Uuuu!

- Przestań drzeć mordę, do kur... do ciężkiej cholery! Dam ci jeszcze piwa. Chcesz?

- Co? Dobra. No. Dawaj.

- Robercie. No to powoli kończymy. Jutro po śniadaniu spakujesz tego naszego drogiego prezeska Zbunia. Daj mu wszystkie ciuchy, w których tu chodził, kosmetyki, buty,

jego pościel, resztę żarcia z lodówki i suchego. To kupione dla psa także. Nic, co ci nie jest potrzebne, nie może tu zostać, a i tak musielibyśmy wyrzucić. A co menel z tym robi, to już nie nasza sprawa. Pewnikiem sam zje. Albo przehandluje i przepije. Kupiłem u Chińczyków dużą torbę, to mu podarujesz. Mam w samochodzie. Odwieziemy go do tego całego Kamieńska. Ale nie za blisko domu, niech się przejdzie. Kasę dostanie na odchodne tutaj. Nie w samochodzie, bo ktoś może przypadkiem przyuważyć. Rozumiesz? Jakies pytania?

Było już późno. Zbunio spał jak zabity po kolejnej sutej kolacji, herbatce i dwóch puszkach piwa z ziołową wkładką. Z jego sypialni, zamkniętej na klucz od zewnątrz, dochodziło gromkie chrapanie.

Mężczyźni mogli swobodnie porozmawiać i ustalić plan na najbliższe dni.

- Zachowaj niezbędne środki ostrożności i nie zostawiaj na jego manelach odcisków palców.

- Się wie, szefie. Żadnych śladów. Pamiętam. Założę rękawiczki. I przetrę pudełka. Jeszcze szafki i kuchenkę. A, koniecznie umyję i wyłączę lodówkę.

- Mądry chłopczyk! - ucieszył się Robal.

Nauka mistrza nie poszła w las.

Wprawdzie Robal wynajął mieszkanie na Spokowicach na okrągły miesiąc, z możliwością przedłużenia umowy na kolejny, jednak ze sprawami wymagającymi obecności Kozłowskiego uporał się w niespełna dwa tygodnie. To znaczy ze wszystkimi czynnościami formalnoprawnymi, w których Zbunio miał uczestniczyć osobiście.

Facet był operatywny, energiczny, kontaktowy. Wiele

z tych spraw pozałatwiał dzięki wrodzonemu oraz nabytemu sprytowi, nieprzeciętnej inteligencji oraz niebudzącemu wątpliwości urokowi osobistemu. Miał to rzadkie coś, co wzbudzało zaufanie u mężczyzn i zmiękczało serduszka kobietom. Nogi także.

Poza tymi wszystkimi cechami Robal miał pieniądze, a to dodatkowo otwiera i drzwi, i kieszenie. Zawsze i wszędzie.

- Jasne, szefie. Uff. Dobrze, że z nim koniec, bo mam go dosyć. Cholernie upierdliwy sukinsyn. Już teraz wiem, co miałeś na myśli z tym żarciem. Gdybym go nie pilnował i nie zamykał kuchni na klucz, wyżarłby nam wszystko, łącznie z metalową puszką na herbatę. Wpier... tego, wpieprza wszystko jak leci. W sekundę opylił mi dużą paczkę ciastek. Wysz...edłem po coś do kuchni. Tak, dobrze chyba mówię. Wyszedłem. Myślałem, że się pochoruje, a on chciał więcej. Zmiata żarło jak odkurzacz.

- No niestety. Ale ma gość spust! Gdzie to mu się mieści?

- Nie wiem. Chudy jak patyk. A o co ci chodziło z tymi grzybami na kolację? Tam w tym barze mlecznym. Bo chyba nie skumałem.

- Z jakimi grzybami? A, z kurkami, gąskami i rydzami? To taka kulinarna metafora była. Chciałem cię zmusić do myślenia.

- Dalej nie kumam. Co to było? Meta coś tam.

- Zaraz zrozumiesz. Od początku. Metafora, czyli przenośnia, rodzaj porównania. Od końca. Z czym kojarzy ci się rydz? Pierwsze skojarzenie.

- Rudy rydz?

- Właśnie, super. Rudy. A gąska? Oprócz ptaka.

- Głupia gąska. Moja babcia nazywała tak moją siostrę. Ale nie wiem. I grzyby takie są. Zielonki też na to mówili.

- Zapamiętaj te skojarzenia. Głupia, zielona gąska. Jeszcze kurki.

- Nie męcz mnie, bo i tak nie wiem, o co ci chodzi.

- Poczekaj chwilę. Pomyśl logicznie. Żeby kurki dawały jajka, to czego im potrzeba?

- Koguta! Koguta?

- No nareszcie! Chodziło mi o towarzystwo nieskomplikowanych lasek. Kolokwialnie rzecz ujmując, coś niezobowiązująco bym wyrwał. Tak na jedną noc. Pewnie ty też! Po prostu dla odmiany miałem wtedy ochotę na niedługie towarzystwo jakiejś kobiety.

- Że ja niby też mam ochotę na rude i głupie? Jak ten kogut?

- A nie masz?

- No mam.

- Widzisz, jak ci dobrze idzie? To właśnie była moja metafora. Pomyślałeś, skojarzyłeś i sam doszedłeś do sedna.

- Masz rację. Po tym całym Zbuniu coś bym sobie wyru... tego, zaliczył. He, he, dobre. Rydze i gąski. Na grzyby do lasu. Tu są ładne dziewczyny. Jedną taką rudą widziałem nawet pod naszym blokiem. Wiesz, wtedy jak mi kundel nawiał. Takiej bym nie odmówił. He, he. A tak poważnie. A my teraz co? Też kończymy? I co z tym garniturem? Też pakujemy?

- Z którym garniturem? A, z tym po mnie? Jasne. Mnie przecież niepotrzebny. Zrobił się troszkę przyciasny. A gdyby nawet był na mnie dobry, to brzydziłbym się cokolwiek nosić po lumpie. Parchy by mnie oblażyły, świerzb

albo inne pieroństwo. Nawet po wyczyszczeniu. A że ten garnitur jest z naturalnej cienutkiej wełenki, to w wysokiej temperaturze zrobiłby się z niego filc. Spodenki pasowałyby tylko na górala karła. I po ptakach.

Rudy przytakując kiwnął głową.

- Tak. Pakujemy garnitur. Zlikwidujemy stąd wszystkie nasze manele, dokładnie posprzątam i z powrotem przeniesiesz się do mnie, do hotelu. Hotel także nam zmienię. Masz osobny pokój. Duży, przestronny. Nowoczesny. Nie taki badziew jak tutaj. Potem umówię się z właścicielem lokalu i oddam mu klucze. Rozliczę się z wpłaconej kaucji.

- A długo tu jeszcze będziemy?

- We Wrocławiu? Kilka dni może. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia, kilka ważnych spotkań. Drukarnia, ten notariusz, dokumenty, takie tam. Rozliczenia z kontrahentami. Ty będziesz mieć w tym czasie wolne. Albo pojeździsz sobie ze mną. W zasadzie bardziej pochodzisz, bo większość spraw mamy w centrum. Niedaleko rynku. Jak wolisz.

- No wiesz. Tego. Znaczy... Chyba jednak wolę jeździć z tobą. Mamy jedno auto. Fajnie się prowadzi tego nissana. Zwacam honor. Lekki wózek. Miękki. A co będzie ze mną?

- W jakim sensie z tobą?

- No dalej. To znaczy potem. Jak skończymy tom robote. Wracam na bramkę do burdelu Złotego?

- Tę robotę. Bramkę. Tam wszędzie są końcówki nosowe. A chcesz tam wracać?

- Aa... końcówki nosowe? Hmm. Gdzieś słyzałem. Nie wiem. Nic innego na razie nie mam. Ale szczerze, Robal,

wiesz, teraz to już wolałbym robić coś innego. A nie garować za ciecia i objmordę w burdelu. Kiedyś to się chyba nazywało wykidajło. Tak gdzieś słyszałem. I chyba film oglądałem.

- Prawie się zgadza. Może być wykidajło. Też pięknie. - Robal znał ten film. - No to, mój ty rudy robaczku, skoro nie chcesz tam wracać, to na razie możesz tam nie wracać. Ha, ha. To znaczy nie musisz. Miałbym chyba lepszą propozycję. Chcesz nadal pracować ze mną? W terenie i u nas na miejscu? Jako asystent, sekretarz albo po prostu mój pomagier?

- No mowa! Jasne! Nawet dalej mogę się opiekować takim samym szmaciarzem i śmierdzielem. Tylko trochę odsapnę. Lepsze to, niż lanie gości po spitej mordzie i pilnowanie dziwek. No nie? Parę nowych ciuchów bym sobie kupił. Może jakiś garnitur? Taki elegancki, wyjściowy, jak twój. No i ten tutaj. Ciepłą kurtkę, buty. Zima idzie. A weźmiesz?

- Co wezmę? Aha, ciebie?

- No? - Rudy popatrzył na mentora z nadzieją. Niemalże błagalnie. Bardzo podobała mu się praca z Robalem. Nikt jeszcze nie dał mu takiej szansy.

- Wiesz co? Przemyślałem. Wezmę cię, robaczku. Z dobrodziejstwem inwentarza.

- Z czym?

- Całego. Raz kozie śmierć. Masz załatwione. Sprawdziłeś się przy tej robótce w nowej roli. Pytanie dodatkowe: byłeś na Wawelu?

- Co? Gdzie byłem? O kur... de. W mordę. Ale zajebicie.

- Bez takich. To ostatnie stwierdzenie było zbędne.

Zapytałem, czy byłeś na Wawelu. To taki zamek królewski. W Krakowie.

- Nie pamiętam. Nie, chyba nie byłem. Byłem na wycieczce w podstawówce. W Krakowie znaczy. Pamiętam tylko Sukiennice. I smoka. Tam jest taka skarpa, ja na nią wlałem i się spier... tego, spadłem. Rozbiłem sobie kolano. A co?

- A to, że w grudniu pojedziemy do Krakowa. Służbowo. Będiesz jeszcze raz. Pasuje?

- No mowa! Ładne miasto. Dzięki, Robal. Kaziu. Jesteś, ku... sorry, spoko facet. Równy gość.

- Fajnie że równy, a nie krzywy. Miło wiedzieć. A podziękujesz po tej robocie. Postawisz mi dobrą kawę. Miałbym dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę. Kulturalną.

- Nie rozumiem. Jaką? Co to znaczy?

- Pojutrze wieczorem zabieram cię do teatru. Na komedię.

- Naprawdę? Do takiego prawdziwego teatru? Nie byłem nigdy.

- No to będziesz. Kiedyś trzeba zacząć. Jak ci się spodoba, to w Krakowie też pójdziemy do teatru. Muszę cię trochę wyedukować i ukulturalnić. Jeżeli nadal mamy razem pracować. Może zaliczysz jakieś muzeum? Malarstwo polskie na początek, coś w miarę lekkiego i miłego dla oka. Coś działającego na wyobraźnię, też uwrażliwiającego takich gości jak ty. Powoli przestajesz przeklinać jak szewc, co mnie także bardzo cieszy.

- No dobra. Spróbuję. A jak mi się nie spodoba? Ten teatr?

- To ja pozostanę przy scenie teatralnej, jeżeli

pozwolisz, a ty pójdziesz sobie do kina. *Deal?* A z teatru zawsze możesz wcześniej wyjść. Są przerwy. Tylko nie narozrabiaj w mieście! Nie jesteśmy na naszym terenie i tutaj nie mamy swoich glin.

- No, teraz już wiem, co to jest. Dil!

- Mądry, zdolny chłopczyk. Ha, ha.

- Ty, Kaziu, a jak ty się właściwie nazywasz?

- Powiem ci jutro, jak się pozbędziemy Zbunia. Licho nie śpi. Wypśnie ci się i będzie problem. A, jeszcze coś. Zapomniałbym. Na następną robotę będziesz miał znowu inne nazwisko. I dokumenty. Mówię zawczasu, abyś nie był zdziwiony.

- Znowu mam się uczyć? Trudne?

- Eee tam. Łatwe. Na pewno polskie. Jeszcze nie wiem. Dokumenty dopiero są... hmm, organizowane.

- Na pewno musimy mieć nowe? Te są niedobre?

- Są znakomite, ale na nową robotę nowe papiery. Zasada. Te się jakby przeterminowały. To bezpieczniejsze. Nie bój się. Dasz radę. Na razie sprawdź i przypilnuj Zbunia, bo jakoś wydaje mi się, jakby przestał chrapać. Ja jadę do siebie. Będę jutro około dziewiątej, dziesiątej. Zdażysz ze wszystkim?

- Jasne. Chyba. Nie wiem. Aha, słuchaj, jeszcze jedna sprawa. Jak będę musiał znowu po nim sprzątać sracz, to mogę się nie wyrobić. Gorzej niż małe, wiecznie obesrane dziecko. Nie spuszcza po sobie wody i nie podciera papierem dupy.

- To ogarnij tylko z wierzchu. Potem posprzątamy razem, a ja dokupię jakiejś chemii, coś odkażającego i rękawiczki jednorazowe. Nie możemy zostawić bałaganu,

mówiąc po twojemu: syfu, bo właściciel mieszkania może dymić. A po co nam to?

- Też racja. Ale jeszcze nie spotkałem takiego syfiarza.

- Uwierz mi. Ja także nie.

- Zbierajcie się, panowie. Ty, Zbunio, ruszaj tyłek z tej kanapy. Jedziemy do domu. Jesteście gotowi? Spakowani?

- Tak, szefie. Jesteśmy. Tylko garnitur nie zapakowałem, bo Zbunio chce go mieć na wieszaku. To znaczy zabrać osobno, żeby się w torbie nie pogniótł.

- O, jaki elegancik się nagle zrobił! Niech bierze, jak chce. Jego łachy. Może go nawet wyrzucić.

- Nie. Nie wyrzucę. Ładny. Będę może nosił - odezwał się menel. Usłyszał wszystko bardzo dobrze oraz prawidłowo zinterpretował.

Robal i Rudy popatrzyli na Zbunia zaskoczeni. Najbardziej zaszokowani byli metamorfozą, jaką facet przeszedł przez te niecałe trzy tygodnie. Nawet kilka razy bez przypominania sam, z własnej i nieprzymuszonej woli, ogolił się i coś sobie umył.

- A gdzie moja forsa? Bez szmalu nigdzie nie idę. Dawać kasę!

- Już ci dajemy. - Ze skórzanej aktówki zapinanej na zamek szyfrowy Robal wyjął zwitek banknotów i chciał podać Zbuniowi. Po chwili, widząc wahanie lumpa, położył pieniądze na środku stołu.

Plik był pokaźny. Składał się z używanych dziesiątek, dwudziestek i kilku pięćdziesiątek. Przewiązany gumką recepturką wyglądał imponująco. Specjalnie został

przygotowany tak, by wyglądało na dużą kwotę.

Zbunio niepewnie obejrzał zwitek, powąchał, jakby zawiniątko zważył w dłoni. Po chwili schował do kieszonki spodni od dresu.

- Nie przeliczysz? - zapytał Rafał.

- A ile tego?

- Dwa tysiące złotych. W różnych, używanych banknotach. Tylko nie wydaj wszystkiego naraz. I nie daj się okraść!

- Dwa? Tysiące? - Zbuniowi aż dech zaparło z wrażenia. Wybałuszył na Robala gały, lekko opadła mu dolna szczęka.

Widać było gołym okiem, że po swojemu usiłuje przetrwać uzyskaną informację. Najpewniej właśnie przeliczał sobie te dwa tysiące złotych na litry, półlitry i inne pojemniki z wysokoprocentowymi napojami.

- Ty, co jest? Zawiesił się, czy co? - Rudy przyglądał się lumpowi. - Może dałeś mu za mało hajcu? I teraz coś nam jeszcze wywinie?

- Nie. Chyba nie. Wygląda na to, że nawet dostał za dużo i nie spodziewał się takiej horrendalnej kwoty. Przecież konkretnie nie ustalaliśmy wynagrodzenia. Miało być dużo? Jest dużo. Dla niego na pewno. Może jeszcze przetwarza informację. Bądź jednak czujny.

- Aa. Nooo. Pić mi się chce. Idę do domu. - Po kilku chwilach Zbunia odblokowało.

Nadal zastanawiając się intensywnie nad czymś arcyważnym, Zenobiusz Kozłowski wstał z kanapy i sięgnął po wieszak z garniturem.

- Wychodzimy wszyscy. Podwieziemy cię z tymi manelami, bo to bardzo daleko stąd. Chcesz? - zapytał

uprzejmie Robal.

- Co? No... I teraz to wódeczki bym się napił.

- Ty, Zbunio, gdzie wysiadasz? - zapytał Rafał, gdy mężczyźni dojechali już do Kamieńska i z centrum wrocławskiego przedmieścia przedostali się w okolice ulicy Wiejskiej. - Może chcesz podjechać pod jakiś sklep?

- No! Tak.

Robal wymownie popatrzył na Rudego.

- Znajdź gdzieś jakiś monopolowy. Albo osiedlowego spożywcza, ale z alkoholem. Tylko nie podjeżdżaj autem pod sam sklep. Ktoś mógłby nas namierzyć i zapamiętać. To już są chyba zakłęte rewiry naszego drogiego prezesa.

- Dobra, szefie. Kumam. Niech się chłop zachleje na amen. - Robal ściszył głos tak, by usłyszał go tylko siedzący obok Robal.

- No właśnie o to mi chodzi. Ma się cieszyć kasą i zająć swoimi sprawami - równie cicho, prawie szeptem odpowiedział Rafał.

Gdy Zbunio wreszcie wytarabanił się z wozu, Rudy szybko wysiadł, otworzył bagażnik i wyjął z niego dwa uprzednio spakowane tłumoki. Dużą brezentową torbę podróżną wypakowaną nowymi ubraniami i dodatkowo olbrzymi, mocny plastikowy wór reklamowy z popularnego hipermarketu, wypchany po brzegi pozostałościami jedzenia i picia. Po opróżnieniu lodówki i kuchennej szafki trochę jednak się tego nazbierało. Kloszard nie zdążył wszystkiego wtrząchnąć. Może i zjadłby, gdyby Rudy częściej wpuszczał go do kuchni. To znaczy pożarłby na pewno i do cna.

Rudy postawił torby na chodniku.

- No to cześć. I uważaj na siebie.

Zenobiusz Kozłowski nie odpowiedział. W ręku trzymał wieszak z eleganckim garniturem. Stał w miejscu jak słup soli, gapiąc się na ten garnitur i na swoje nowe bagaże z manelami niczym sroka w gnat.

Zostawiwszy oniemiałego Kozłowskiego przy drodze, Rudy szybko wsiadł za kierownicę i ruszył z piskiem opon.

- Ty, Robal, na co on się tak patrzy? Aj. Miało być bez „ty”. Sorry. Nasz menel znowu się zawiesił? Czy jak?

- Osłupiał raczej. He, he. Pewnie się teraz intensywnie zastanawia, jak to wszystko ze sobą zabrać do sklepiku, potem przetransportować dalej, do siebie. Ma do przejścia z buta spory kawałek drogi. Będzie kilkaset metrów. Sądzę, że zaraz nie wytrzyma i pójdzie po wódkę. Ale to już nie nasza sprawa. Jak nie przeżyje chlania za te dwa koła, to też nie będę po nim płakać. I tym lepiej będzie dla nas. Wprawdzie oczywiście najlepiej byłoby, gdyby Zbunio rzeczywiście zszedł, ewentualnie, ale optymalnie dopiero za kilka miesięcy. Nie teraz. Po tym, jak nasz interes się rozkręci i nabierze tempa. Gdy chłopaki od Szefa doprowadzą do końca sprawy firmy Kozłowskiego i zwieńczą dzieło.

- Co zrobią?

- Nieważne. Taka metafora. Zrobią swoje. Dokończą rozpoczęty przez nas biznes. Niech cię już o to ta twoja ruda główka nie boli, mój robaczku.

- Mowa. Rozumiem. Lepiej będzie. Dokąd teraz, szefie?

- Uff. Nareszcie jesteśmy sami. Teraz wracamy do mieszkania na Spokowicach. Musimy po sobie dokładnie

posprzątać. I wyrzucić śmieci.

- Trochę już po nas posprzątałem. A, jeszcze jedno, Ka... Robal, można o coś zapytać? Miałeś mi powiedzieć, jak się właściwie nazywasz. To znaczy naprawdę.

- Rzeczywiście obiecałem. Teraz mogę ci powiedzieć, bo się nieźle spisałeś, brachu. Naprawdę mam na imię Rafał. Ale nie używaj za często mojego prawdziwego imienia. Najlepiej wcale.

Przecież Robal nie mógł powiedzieć Rudemu, że jego pełne imię i nazwisko brzmi: Rafał Maria Korybut Czarniecki. Rudy mógłby tego nie zrozumieć. Albo nie wytrzymać ciśnienia i umrzeć ze śmiechu.

No i z kim wówczas potomek wielkopolskich arystokratów rozkręcałby kolejny interes Szefa?



ROZDZIAŁ III.

- Kotek, mamy dzisiaj coś pilnego do załatwienia?

- Dzisiaj? Nie przypominam sobie. A co? - Anka Stopińska bardzo się ucieszyła z telefonu męża, bo już ładnych kilka godzin nie słyszała jego głosu. Rzec by można, że się stęskniła za głosem swojego chłopca. Za samym chłopcem trochę mniej.

- A bo trafiła mi się służbowa fucha. Znalezione niezidentyfikowanego trupa. Czyli blada dupa. W rowie. Musimy to wstępnie obrobić. To znaczy ja muszę. Jestem sam, bo mój Mundek wyjechał na jakiś rodzinny pogrzeb. Chyba daleko! - jednym tchem wykrzyczał Tomasz do słuchawki telefonu komórkowego.

- Nie bardzo rozumiem. Co daleko? Trup daleko? Aha. Chyba rozumiem. To znaczy zrozumiałam, że blada dupa trupa leży w rowie.

- No, mniej więcej tak jest.

- Czyli co? Garujesz do wieczora? Ja dzisiaj kończę normalnie. Nic takiego ważnego nie mam, chyba że coś się jeszcze urodzi. Oby nie.

- Nie wiem. Daleko wyjechał. Nie trup, tylko Mundek. Za to ten zimny trup z siną dupą leży u nas na zadupiu. W rowie. Ale chyba skończę wcześniej. To znaczy powinienem być w domu najpóźniej przed siódmą. Po zmroku przecież i tak nic nie ustalimy, bo na tym cholernym

zadupiu nic nie będzie widać. Nie ma sensu latać po krzakach w egipskich ciemnościach.

- A ty w ogóle dzisiaj coś jadłeś? W pracy znaczy? Kanapkę, gorącego psa? - Anka wiedziała o namiętności męża do hot dogów, kupowanych na ząbek w przydrożnych fast foodach i na dużych stacjach benzynowych.

- No jakoś nie. Nie miałem kiedy. Jakoś wytrzymam. Zjem coś dopiero w domu. Jest jeszcze mój rosół? Nie zeżryjcie mi. I powiem ci potem, co się stało, bo teraz już nie mogę gadać. Zadzieram kiecę i lecę.

- Dobrze. Jakoś to zorganizuję. Poproszę rodziców, żeby nam przywieźli dziecko. Albo sama po niego pojedę. Mama ma dla nas pierogi. Uważaj na siebie! A twój rosół jeszcze jest. I będzie ogórkowa.

- Spokojnie. A, dobrze. Jasne. Będę uważać. Zostawcie mi trochę!

Żona Tomasza domyśliła się, że w tej ostatniej wysapanej kwestii chodziło o pierogi. Wyprodukowane przez teściową męża. Przypuszczalnie ruskie. Za pierogami mamy, ruskimi, z mięsem, wigilijnymi, każdymi, przepadała cała rodzina. Na jedno posiedzenie wszyscy zjadali ich co najmniej po trzydzieści sztuk. Omaszczone cebulką smakowały wybornie, a wiara mogła je jadać o każdej porze dnia i nocy. Także na zimno i prosto z lodówki.

Dochodziła czternasta trzydzieści. Anka Stopińska za moment rozmieniała ostatnią godzinę pracy w swoim biurze.

Aspirant Stopiński zaś właśnie otrzymał informację, że na terenie podległym komisariatowi policji Wrocław Kamieńsko, tuż przy szosie wiodącej z dzielnicy, właściwie z osiedla Rymanów do następnej wsi za miastem, znaleziono

zwłoki mężczyzny. Tym razem tylko bosa. Dokładniej w przydrożnym rowie. Parę metrów dalej odkryto pognieciony stary rower. Należący najprawdopodobniej do ofiary. Poza tym jeszcze starsze, zdezelowane, drewniane drzwi zewnętrzne, kilkanaście porozrzucanych drewnianych desek w różnych rozmiarach i jeszcze parę zasznurowanych butów typu kamasze.

Tomasz musiał pilnie jechać na miejsce zdarzenia i dokonać wstępnych jego oględzin. Prewencyjnie zabezpieczyć większe ślady, zanim wezwani technicy zrobią to po swojemu, czyli na pewno o wiele bardziej profesjonalnie i dużo szczegółowiej. Ogólnie się rozejrzeć, obejrzyć co się da, ewentualnie poczynić wstępne notatki. Po prostu na miejsce zdarzenia rzucić fachowym okiem policyjnego detektywa.

Przed wykonaniem organizacyjnego telefonu do żony Stopa upewnił się, że dyżurny komisariatu wysłał na miejsce wypadku umundurowany patrol oraz wezwał prokuratora. No i karetkę pogotowia, by lekarz dyżurny formalnie stwierdził zgon, postępując zgodnie z obowiązującą procedurą. Sam spieszył się bardzo, bo jego kolega z sekcji, właściwie służbowy partner, miał tego dnia wolne.

Przed wszystkim Tomek chciał zdążyć ze wszystkimi czynnościami przed jeszcze dość szybko zapadającym wczesnowiosennym zmierzchem, to znaczy z najpilniejszymi ustaleniami, im wcześniej bowiem się to uczyni, tym lepiej. Jak to zawsze bywa przy dochodzeniach w sprawach kryminalnych.

Pogoda była w kratkę. Od czasu do czasu kropił deszczyk, trochę wiało, niebo pokrywało się ciężkimi

chmurami. Potencjalne ślady mogły w każdej chwili ulec całkowitemu zatarciu bądź zniszczeniu. Nie przez gapiów, których na jeszcze miejskim zakuprze nie było, bo niby skąd mieli się tam nagle wziąć, a przez panujące warunki atmosferyczne. Tak czy owak, należało się pospieszyć.

Po przyjeździe na miejsce znalezienia zwłok starszego mężczyzny aspirant Stopiński chwilę porozmawiał z kobietą w średnim wieku, która niespełna godzinę wcześniej odkryła przedmiotowe zwłoki. Pani była w ciężkim szoku. Nadal. Telepała się niczym osika. Pochlipując, zeznała, że jechała sobie spokojnie na rowerze, bo akurat wracała do domu z codziennych zakupów. Na ramie jej jednośladowego pojazdu wisiały siatki z nabiałem, pieczywem, dwoma butelkami taniego piwa i czymś jeszcze. Podczas nieco chaotycznej oraz lakonicznej wypowiedzi na okoliczność odkrycia trupa, potem własnoręcznego wezwania policji, pokazywała to wszystko palcem. Jakby ten nabiał stanowił tutaj *corpus delicti*. Albo potrzebne jej było nabiałowe alibi.

- Panowie, ja go nie zabiłam. Naprawdę! O Jezu! Ja go tylko znalazłam. Po co ja w ogóle pojechałam na te zakupy? Teraz mam tylko kłopot.

- To raczej ten tutaj ma kłopot. Ale wierzymy pani. Proszę się opanować. - Stopa starał się uspokoić kobietę. - Może potrzebuje pani lekarza? Da pani coś na uspokojenie...

- Nie wiem. Nie, chyba nie. Ale to naprawdę nie ja! Przysięgam!

- Powtarzam, że pani wierzymy. To nie pani go zabiła. Proszę mi tylko powiedzieć, jak to było. Może pani mówić?

- Chyba tak... O Jezu!

Kobieta opowiedziała. Cokolwiek chaotycznie, ale nawet

sensownie.

Jadąc, pedałuując i myśląc o tym, cóż takiego przygotuje mężowi na obiad, pani trzymała się pobocza. Albowiem miała świadomość czyhającego na nią niebezpieczeństwa. Wprawdzie ta boczna trasa rzadko była uczęszczana przez pojazdy, ale właśnie dlatego kierowcy nie spuszczaali nogi z gazu. Na pustej wyboistej drodze, pokrytej częściowo poniemieckimi kocimi łbami, a częściowo łatami popękanego asfaltu, prowadzący pojazdy czuli się na tyle bezkarni, że znacznie przekraczali obowiązującą prędkość, wynoszącą w tym miejscu aż pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Po deszczyku zakurzony kamienny bruk robił się śliski. W każdej chwili mogło dojść do niebezpiecznej kolizji.

No i, na co wskazywało znalezisko, doszło.

Aspirant Stopiński od całkiem niedawna był świeżo upieczonym absolwentem Podyplomowego Studium Kryminalistycznej Rekonstrukcji Wypadków Drogowych. Nauki kryminalistyczne pobierał na własny koszt na wydziale prawa miejscowego uniwersytetu. Sam podnosił sobie policyjne kwalifikacje. Z własnej i nieprzymuszonej woli.

Dlaczego podnosił? Bo lubił. Nikt mu nie kazał podnosić. Ba, w policji niechętnie patrzono na podobne brewerie i traktowano naukę jako akt niełojalności. Ktoś na wyżynach (tych policyjnych) uważał, że taki naumiany i ponadprzeciętnie wykwalifikowany szeregowy policjant, czytaj: wykształcony i zarozumiały, stanowi realne zagrożenie dla wszelakich przełożonych. Albowiem taki „głupiomądry” gliniarz będzie chciał awansować, ubiegać

się o premie, zakwestionuje ich arcymądre decyzje. Zaraz po przedłożeniu dyplomów. Tak czy owak, przełożony wyjdzie na głupka. Bądź po prostu gliniarz okaże się mądrzejszy, i tę mądrość jeszcze publicznie udowodni. A do tego dopuścić nie można.

Ochota do płatnej nauki przelazła na Tomasza od żony, bo ta z kolei uporczywie od lat ryła jak głupia. Pędem do wiedzy oboje Stopińscy nadwyręzali ździebko domowy budżet, ale przecież *per saldo* inwestowali w siebie. Poniekąd uważali, że wiedzy i kwalifikacji nigdy dość. No i że kiedyś może się przydać.

A czy te inwestycje przyniosły spodziewane profity, jakiegokolwiek, to już zupełnie inna kwestia.

Interesowało to trochę Tomasza. Kryminalistyka znaczy. Kryminologia także. Na dobitkę Tomek wykorzystywany był jako policyjny negocjator, także od całkiem niedawna, ściągany do różnego rodzaju prób samobójczych, pyskówek, aktów przemocy. Dodatkowe kwalifikacje z dziedziny kryminalistyki stosowanej wykorzystywał także w tej dziedzinie.

Ponadto detektyw Stopiński za kilka lat wybierał się na policyjną emeryturę. Zbliżała się wiekopomna chwila. A że chłopak lubił pracować, działać, w ogóle jakkolwiek być czynnym, to przy okazji wymyślił, że pobrane nauki mogły mu tylko pomóc w znalezieniu dodatkowej, nie najgorzej płatnej fuchy.

Od razu, gdy tylko na miejscu Stopa zapoznał się z zastanymi faktami, wysnuł wielce prawdopodobną hipotezę, że policjanci mogą mieć tutaj do czynienia ze

śmiertelną ofiarą wypadku komunikacyjnego. Najprawdopodobniej gość, ten leżący i nieżywy, jechał sobie rowerem, do którego przywiązane były owe znalezione w pobliżu całe drzwi i dechy. Jechał, zanim umarł, rzecz jasna. Mógł także tylko prowadzić ten napakowany gratami rower, zważywszy na gabaryty przewożonych materiałów, przeto na sporą niewygodę jazdy na siodełku. Na pewno w fatalnym momencie zderzenia z czymś dużym obecny nieboszczyk stanowił z rowerem jakby jedną całość. Na prostej drodze i po zmierzchu obok idącego przejechał z dużą prędkością pojazd mechaniczny. Auto potrafiło gościa, a ten, wprzódki wyskoczywszy z własnych butów, wylądował w rowie. Martwy od razu po potrąceniu.

Albo mężczyzna zszedł był z tego padołu dopiero po upadku do rowu. Może nawet żył jeszcze jakiś czas? Na razie Tomasz tego nie wiedział.

Sprawca pojechał sobie dalej, i jak to niegdyś odnotowano w jednym ze starych raportów, naonczas milicyjnych: „obywatel zbiegł z miejsca wypadku, nie zapodawszy kierunku”.

Tak na dobrą sprawę, jeżeli ów sprawca prowadził z nadmierną prędkością tira, ciężarówkę albo inny wielkogabarytowy pojazd, mógł nawet nie zauważyć oraz nie odczuć, że potrafił człowieka. Jakąkolwiek żywą istotę. Lisa, sarnę, dzika, psa. Rower mógł być niedostatecznie oświetlony, po zmroku niewidoczny, ofiara nie zaopatrzyła się w żaden odblaskowy gadżet. Po prostu była zupełnie niewidoczna na ciemnym poboczu. Latarnie jeszcze nie świeciły. A jeżeli już jakieś przy jezdniach zapalono, to i tak w pobliżu zwłok żadnej nie było. Ponadto na szosie nie

stwierdzono widocznych śladów hamowania.

Taki scenariusz zdarzenia był wielce prawdopodobny.

Jeszcze zastanawiało to obuwie z zawiązanymi sznurówkami. Leżące osobno, to znaczy poza stopami pierwotnego użytkownika. Żaden mądry naukowiec, biegły sądowy z dziedziny fizjologii człowieka, nawet mechanik czy fizyk nie jest w stanie do końca wytłumaczyć zjawiska „wyskakiwania” z butów. Istnieją różne niepotwierdzone naukowo teorie zjawiska, że gdy przy wypadku komunikacyjnym, jakimkolwiek samochodowym, kolejowym, motocyklowym, jego ofiara leży bez butów, a jej obuwie wala się na glebie w znacznym oddaleniu od niej, ów człowiek wypadku nie przeżyje. Statystycznie w ponad dziewięćdziesięciu pięciu procentach.

W tajemniczych okolicznościach, zapewne fizycznych i mechaniczno-fizjologicznych, śmiertelnym ofiarom wypadków komunikacyjnych spadają nawet mocno zasznurowane, bardzo wysokie trzewiki typu motocyklowe glany. Albo wojskowe kamasze, damskie kozaczki itepe. Podczas uderzenia z dużym, pędzącym ciałem obcym. Tak bywa i już.

Stopiński to wiedział. Wiedzę tę posiadał dzięki długoletniej praktyce milicyjno-policyjnej, i jeszcze z mądrej prawniczej szkoły. Jak też wiedziała o tym znakomita większość policjantów, kolejarzy, strażaków i drogowców.

Gapiąc się na leżące buty nieboszczyka niczym sroka w gnat, detektyw zamyślił się na chwilę.

- O, dzień dobry, pani prokurator. - Stopa przywitał się uprzejmie ze znaną sobie prokuratorką rejonową, właśnie przybyłą na miejsce zdarzenia. Odnotował także od razu, że

pani odziana była w eleganckie rajstopy i nowe skórzane czółenka. Jasnobrązowe. Ładne, także eleganckie. Z przyklejoną do nieznoszonej podeszwy ceną na jaskrawej karteczce.

- Do czego przyjechałam? - Baba nie odpowiedziała na pozdrowienie. Była wkurzona.

- Sądzę, że to wypadek komunikacyjny. Potrącenie ze skutkiem śmiertelnym. Uprzedzając pani kolejne pytanie: sprawcy nie mamy. Śladów pozostawionych przez sprawcę też na razie nie stwierdzono. No i dość ciężko będzie go znaleźć.

- Tak? A skąd pan wie?

„Z wykopalisk...” - prawie wymsknęło się Tomkowi.

- Ślady na to wskazują. Te większe. To znaczy na razie. Większość już zabezpieczyliśmy. Ale ja, zwykły i podrzędny glina, oczywiście mogę się mylić. Trzeba będzie ściągnąć drogówkę i biegłych. Mikroślady i sekcja powinny wiele wyjaśnić. Pogotowie też powinno za moment przyjechać. Aha, najważniejsze: gość wyskoczył z butów. Dosłownie. Tam leżą. - Tomasz wskazał palcem na rów i pobocze, gdzie w około metrowej odległości rozrzucone były dwa stare, znoszone, ciężkie, sznurowane trepy, należące pierwotnie do denata. Sam denat miał na stopach jedynie brudne i dziurawe skarpetki.

- A co to znaczy? - zainteresowała się prokuratorka.

- To znaczy, że najprawdopodobniej zgon nastąpił na miejscu. W momencie wypadku. To znaczy przy potrąceniu.

- Aha, tak. Rzeczywiście. Dobrze. Kim jest ofiara? - Pani prokurator cały czas stała przy swoim samochodzie, tym samym w znacznym oddaleniu zarówno od rowu, jak i od

leżących tam zwłok mężczyzny. Tak na dobrą sprawę to nie całkiem ze swojego wozu wysiadła. Jedną nóżką raczyła dotknąć pobocza drogi, druga nadal pieściła dywanik leżący przed przednim siedzeniem. Na ofiarę wypadku rzuciła tylko niedbale starannie pomalowanym okiem. Nie weszła do rowu, nawet nie robiła żadnych notatek.

Oczywiste. Ma od tego ludzi.

- Nie wiadomo - cierpliwie wyjaśniał policjant. - Nie miał przy sobie żadnych dokumentów. W kieszeni kurtki, luzem, znaleźliśmy ledwie parę groszy. Poza tym trochę wygląda na lumpa. Biednie w każdym razie. I chyba leży tutaj już kilkanaście godzin.

- To ustalcie mi go jak najszybciej.

- Oczywiście, pani prokurator. Zrobię co tylko w mojej mocy. To znaczy zrobimy - odpowiedział uprzejmie Tomasz. I dodał jeszcze, widząc, że kobieta chce jak najszybciej stamtąd uciec: - Nic zatem nie wskazuje na umyślne zabójstwo. Bardziej to wygląda na nieszczęśliwy wypadek.

- A to czekam na wasze raporty. Wiecie, co macie robić. Do widzenia. - Paniusia spieszenie wsiadła do auta i odjechała w stronę centrum Wrocławia. Efektownie to zrobiła. Z fasonem. Wiała, aż się za nią kurzyło.

Najwyraźniej w ogóle nie była zainteresowana dokładniejszymi oględzinami zwłok tego typu. Bardziej przejmowała się delikatnymi szpileczkami niż procedurą, którą miała powinność wykonać z urzędu.

- Przynajmniej stworzyłaby pozory, że ją to w ogóle obchodzi. - Tomek chwilę przyglądał się spalinom samochodu pani prokurator.

Takich zdarzeń miała widocznie na pęczki.

Prokuratorka. Nadto zgon nieznanego, niezamożnego i na dodatek starszego mężczyzny nie był wydarzeniem, na którym można byłoby cokolwiek zawodowo ugrać: zrobić karierę, zaistnieć w mediach, pochwalić się przed wyższą instancją. Dostać premię, order. No to właściwie po co miała sobie brudzić swoje eleganckie nowe butki? W imię czego?

- Wiemy - odrzekł Stopa głośno. Już sobie a muzom. - Do widzenia pani. - Skłonił się szarmancko. Rura wydechowa prywatnego wozu pani prokurator z pewnością doceniła ten ukłon.

Tomasz od paru minut miłej i sympatycznej pogawędki z prokuratorką zastanawiał się, dlaczego ta baba zwraca się do niego w liczbie mnogiej. Per wy. Przecież rozmawiał z nią sam jeden, bo akurat w pobliżu nikogo nie było.

- Widocznie sama jest po rozmowie z jakimś waźniakiem. Chyba też zwracał się do niej per wy, to przelazło. Jak w słusznie minionym ustroju. Jeszcze nawet nie raczyła podnieść i ruszyć tej swojej prokuratorowskiej dupy - pomruczał pod nosem Stopa. - Zapewne umówiła się do fryzjera albo do kosmetyczki. Jędza wredna!

Jedyny przypadkowy świadek zdarzenia, tak po prawdzie to tylko jego skutku, czyli pechowa pani, która odnalazła zwłoki, została zwolniona do domu. Jeszcze przed przyjazdem pani prokurator. Już nic nowego nie wniosłaby do sprawy, więc nie było sensu trzymać jej w nieskończoność na nieprzyjaznym wygwizdowie. Umarlaka także nie kojarzyła.

Tomasz spisał dane kobiety z jej dowodu osobistego, wręczył roztrzęsionej niewieście swoją wizytówkę (obstalowaną na własny koszt, bo firma takim jak on niczego

podobnego nie fundowała) i rutynowo poprosił o kontakt. Gdyby sobie coś jeszcze przypomniała.

Po kolejnej godzinie dokładnego przyglądania się drzewom, rowerowi, dechom i butom denata oraz znajdującej się pod tym wszystkim ziemi, jak też młodej trawce wyrastającej pośród równie młodych chwastów, Tomasz doszedł do wniosku, że trudno będzie ustalić sprawcę i dojść do prawdy.

Statystyki wykrywalności przestępstw powindują w dół, komendant będzie niezadowolony, przełożeni z tak zwanej góry zaczną naciskać na poprawę rzeczonych statystyk. To znaczy poziomu wykrywalności przestępstw. Zaczną wiercić biedakowi (komendantowi) dziurę w brzuchu. Już siódmą w tym roku. Że niby Wrocław ma być najlepszy w kraju, a ten komisariat, Kamieńsko, niby ponownie znajduje się na szarym końcu. Zatem nici z premii. Przyznają jakieś ochłapy. Jeżeli w ogóle. Jak przy każdym dochodzeniu z trupem w roli ofiary przestępstwa.

Co tam nieboszczyk? Już i tak nie żyje. Pomóc mu nie można. Najważniejsza jest wykrywalność!

Pogotowie ratunkowe przyjechało i pojechało. Po wykonaniu kilkudziesięciu fotografii i kilkuset żmudnych pomiarów technicy z KWP także odjechali.

Zapadał zmrok. O tej porze roku słońce zachodziło względnie wcześniej, bo tuż po siedemnastej.

Nareszcie można było zabrać umrzyka leżącego w rowie. To niewdzięczne zadanie należało do dwóch panów z Zakładu Zieleni Miejskiej. Chłopcy z należytą czcią zapakowali gościa w czarny, zapinany na długi suwak plastikowy worek, pakunek ułożyli na poręcznych, prawie

ratowniczych noszach, delikatnie umieścili w furgonetcie. Na końcu fachowo przeprowadzonej akcji wywieźli do Zakładu Medycyny Sądowej.

Tomek uśmiechnął się lekko na ten widok. Nie na zabieranie truposza, do czego przywykł podczas długoletniej służby w wydziale kryminalnym, a samo zabieranie jakichkolwiek zwłok nie należało przecież do najśmieszniejszych, tylko na widok pakowania tych zwłok do specjalistycznego pokrowca. Tak na dobrą sprawę aspirant szczyrzył zęby jedynie do rzeczonoego pokrowca.

Właśnie mu się przypomniało, jak to kilka miesięcy wcześniej, tuż przed Bożym Narodzeniem, kupowali z żoną choinkę. To znaczy iglaste drzewko na choinkę. Pojechali wtedy do olbrzymiego marketu i wybrali ponad półtorametrową roślinę w doniczce. Musiała rosnać w donicy. Musiała mieć względnie niezniszczone korzenie, bożonarodzeniowe drzewko wysadzone zostawało bowiem wczesną wiosną do gruntu na wiejskiej posesji rodziców Anki. Jak co roku.

To wybrane było wielkiej urody, nawet niedrogie, bo akurat w promocji, ale bardzo kłujące.

Po przeprowadzeniu z panem subjektem od drzewek konstruktywnej i ze wszech miar fachowej dyskusji Tomasz stwierdził, że nie będzie płacić temu panu dodatkowo za ewentualne opakowanie, jak też za przeniesienie tłumoka do wozu. Spieszył się trochę, a dyskusja ze sprzedawcą nie prowadziła do żadnych mądrych wniosków. Zostawił więc żonę w markecie, by pilnowała już opłaconej zdobyczy, przy okazji rozglądała się za inną wielką okazją, a sam udał się

do samochodu po pokrowiec.

- Wiesz co, kotek? Ja chyba mam w aucie coś odpowiedniego. Właśnie mi się przypomniało. Pana już nie będziemy fatygować.

- No to ja chociaż pomogę panu zapakować. - Subiekt najwyraźniej postanowił popilnować żony Tomasza. Chyba żeby nic nie ukradła. Albo z innych powodów. Nazwijmy je estetycznymi albo towarzyskimi.

Po chwili Stopa przyniósł złożony w kostkę pokrowiec. Identyczny z tymi, w które pakowano ludzkie zwłoki. To znaczy gustowny, czarny, długi wór i na całej swojej długości wyposażony w suwak. Wyszczuplający, bo czarny. Wiadomo bowiem, że wszystko, co czarne, wyszczupla. Nawet nieboszczyków.

Stopa rozłożył woreczek tuż przy nogach sprzedawcy. Na kawałku alejki wolnej od doniczek z roślinami.

- Pan mi pomoże zapakować w ten pokrowiec - poprosił ekspedienta doradcę.

- O Jezu! - Tylko tyle zdołał wykrzesać z siebie młody człowiek, zobaczywszy gustowne wdzianko dla truposzy. Oczęta na moment wyszły mu z orbit. Zaraz potem po prostu uciekł. Z wizualnymi oznakami przerażenia na twarzy.

- Ha, ha. No to masz tego swojego konsultanta. Po kim to? - zainteresowała się Anka. Także była zachwycona aktualnym widokiem czarnego wora, jednak nieco w innym kontekście.

- Po nikim. Świeży. Nieużywany do ludzkich włók, jeżeli o to ci chodzi. Poprosiłem kiedyś chłopaków z zieleni, to mi jeden dali. Chyba tylko wiozłem w tym zderzak do Poloneza.

Zapniesz? Trochę się pokłutem, cholera. Mogłem wziąć od faceta rękawiczki.

- Akurat by ci dał! Kazałby ci kupić! Wywiął, jakby zobaczył wampira. Zapnę. - Ania Stopińska wprawnym ruchem zasunęła zamek na zapakowanej choince. - Mina tego chłopaka była bezcenna. Ciekawe, co sobie o nas pomyślał. Że hieny cmentarne? Ha, ha.

- Grabarze albo asystenci jakiegoś mafiosa. Specjaliści od mokrej roboty. Hi, hi.

Uśmiechnięci od ucha do ucha małżonkowie, zanieśli drzewko do samochodu. Wspólnie i w porozumieniu. Rzeczywiście przedstawienie mogło przypominać nieco przenoszenie ludzkich zwłok. Kilka osób obejrzało się za nimi, kilka kolejnych przystanęło na ulicy, bo przewożony w czarnym osobowym aucie czarny pokrowiec na umrzyka z drzewkiem w środku wystawał za prawe tylne okno. Prawie pół metra.

Po kilku dniach od przewiezienia nieznanego zwłok mężczyzny do wrocławskiego „zedemesu” policjanci z komisariatu w Kamieńsku otrzymali protokół z ich sekcji.

Z zapisów biegłego patologa niezbitnie wynikało, że Tomasz miał rację. Facet rzeczywiście został potrącony przez samochód, najprawdopodobniej ciężarowy, co skutkowało głównie obrażeniami głowy w części potylicznej. Powstał tam krwiak podtwardówkowy, obrzęk mózgu. I to było bezpośrednią przyczyną zgonu. Do tego dochodziły liczne złamania kości po lewej stronie ciała, inne obrażenia i krwotoki wewnętrzne.

Martwy człowiek leżał w rowie kilkanaście godzin.

Zdarzenie miało miejsce poprzedniego dnia w godzinach wieczornych, to znaczy między dziewiętnastą a dwudziestą.

Tak stwierdzono. Biegli uwzględnili panujące warunki atmosferyczne, temperaturę i inne parametry wewnętrzne, jak też zewnętrzne, niezbędne do ustalenia dokładnego czasu zgonu.

Protokół sekcji zwłok przyozdobiony był fotografią twarzy obduktowanego mężczyzny. Bardziej popiersia. Wykonano ją jednak już po przeprowadzeniu sekcji, czyli najbardziej widoczny był gustowny, aczkolwiek fachowy szew, przechodzący wzdłuż ciała denata od nasady głowy po mostek. Dołu nie sfotografowano.

- Komendancie, sorry, że pytam, ale gdzie jest materiał techników z miejsca zdarzenia? - zapytał Tomasz swojego przełożonego podczas cotygodniowej odprawy. - Wprawdzie tam byłem, zwłoki osobiście widziałem, ale z tą tu fotografią trudno mi będzie znaleźć tego gościa. W sensie identyfikacji.

- A co? Nie dostałeś? Jak to możliwe?

- No jakoś nie dostałem. Poczta z miejskiej przyszła, z sądówki też, ale bez fotosów. Widocznie w miejskiej uznano, że nie musimy tego mieć.

- Dobra, zadzwonię tam i zapytam. Albo ty zadzwoń. Ja też nie miałem zdjęcia w poczcie, bo chyba bym ci dał. Raport przyszedł bez fotografii. Aj, dobra, czekaj, zrobię to od razu. - Komendant niezwłocznie wykręcił numer telefonu.

Aparat na biurku miał stary, niemalże kultowy, z okrągłą tarczą. Kultowa tarcza śmiesznie terkotała przy kręceniu. Wszyscy zamilkli i czekali na wieści z góry.

Po skończonej rozmowie komendant zrobił głupią minę.

- Już wszystko wysłali do prokuratury. Nie będzie tych zdjęć. Musicie sobie poradzić z tym, które mamy.

- Cudnie. Będziemy demonstrować towarzystwu cokolwiek zdefasonowaną facjatę po wizycie u krawca. Zaszytą gustownym ścięciem krzyżykowym. Do tego fragment torsu wyglądający tak, jakby po gościu przejechał czołg. Na pewno niektórzy się ucieszą. Czarno widzę to ustalanie tożsamości. Gdy nikt nie zgłosi zaginięcia, będzie kolejny en-en. Mówi się trudno i tyra się dalej.

- Ja też jakoś tego nie widzę - odrzekł komendant. - Ale jak ciebie znam, to jakoś sobie poradzisz i z tym. Musisz. Znaczą musicie. Obaj z Edmundem.

- Dziękuję, szefie, za dobre słowo. Miło mi. A z czy sobie poradzę? Hmm... Z pokazywaniem na pewno. Niektóre damy mogą nawet zemdleć z wrażenia. Albo dostać spazmów. Wówczas będę reanimował. Co ładniejszej osobiście zrobię nawet sztuczne oddychanie metodą usta-usta. Masaż pleców też mogę zrobić, bo umiem.

- Ha, ha... Jaja sobie robisz? Żartowniś się znalazł.

- Robię. A i owszem. Cóż innego mi pozostało? Siąść w kątku i płakać?

- Ha, ha... Dobrze!

Raport policyjnych techników był także krótki i lakoniczny. Uderzenie w obiekt nie pozostawiło nawet resztek lakieru samochodowego. Niczego, co mogłoby naprowadzić na ślad pojazdu i przybliżyć detektywów do ustalenia sprawcy wypadku.

- Dupa mokra - mruknął pod nosem Stopa, czytając raporty. Następnie zwrócił się do kolegi: - Mundek, mamy

orkę na ugorze. Nijak nie mogę ustalić tożsamości faceta. Tego umrzyka z rowu przy Rymanowskiej. Nikt nic nie widział, nie wie, nie zna.

- Aaa. To co w takim razie proponujesz?

- To ty weź to śliczne zdjęcie, a ja go zrobię, znaczy sobie pstryknę, i zapiszę w telefonie. Gdy będziemy u Tereni, zaczniemy pokazywać i rozpytywać. W sklepach, na złomowiskach, tym naszym żułom z piątej brygady podziemnej. Komu się da. Pokażę dyrektorom naszych szkół i w przychodni. Może w końcu ktoś go rozpozna. Klient targał rowerem jakieś drewniane manele, zapewne na opał, to nie może być z daleka. Co ty na to? Mieszka, to znaczy mieszkał, albo na naszym terenie, albo gdzieś w ościennych wiochach.

- Gdzie będziemy? U jakiej znowu Tereni? Nie znam.

- Żarcik taki. Jeden z najstarszych dzielnicowych mojej teściowej tak śmiesznie mówił. To znaczy zamiast „w terenie” mawiał „u tereni”. Z lwowska bardziej. Albo z wileńska.

- Aha. Już myślałem, że mamy na kontakcie jakąś Teresę. No dobra. Nie mamy innego wyjścia - odpowiedział Mundek i schował fotografię do portfela. Potem, po krótkim namyśle, wyjął kartonik z portfela i włożył między kartki notatnika służbowego. - Tak zrobimy.

Kilka dni później Tomek bawił w prokuraturze rejonowej. W zupełnie innej sprawie. Postanowił zainteresować się aktami wypadku, poprosić o fotografie denata sprzed sekcji, i tę ładniejszą utrwalić na swoim telefonie. Po lustracji udostępnionej teczki doszedł do wniosku, że tam także nie

ma dobrego zdjęcia. Umrzyk był, owszem, ujęty z różnych stron jako leżący w rowie, ale bez widocznej twarzy. Leżał na brzuchu z nosem w chaszczach. Samo ucho nie wystarcza do okazania obywatelom.

- Cholera by wzięła.

Kto właściwie zawalił? Chyba przybyli na miejsce technicy. Trudno. Mleko się wylało. Normalnego zdjęcia denata nie ma i nie będzie.

Aspirant sztabowy Tomasz Stopiński jechał samochodem służbowym ulicą Wiejską w kierunku jednego z miejscowych punktów skupu złomu. Aspirant Kurzawa siedział obok.

Akurat prowadzili czynności dochodzeniowe w sprawie kradzieży kilkuset metrów kabla telekomunikacyjnego.

Gdy lokalnym złodziejaszkom, tym drobnym, upierdliwym, wszędobylskim i wrednym, brakowało mamony na flaszkę, zwykle włamywali się do studzienek telekomunikacyjnych. W środku odcinali sobie spory kawałek kabelka, zwijali, wieźli bądź nieśli w bezładne chaszczce. Tamże drut opalali w ognisku. Jeżeli był czymś otulony. Pozbywali się czarnej gumowej otuliny. Czarniawy dymek leciał w eter, co czasami naocznie można stwierdzić, przejeżdżając przez ugory wielkich miast.

Skoro niezabezpieczone dobro materialne leżało niemalże na wierzchu, menele częstowali się jak swoim. To przecież oczywiste. Korzystając z okazji, nad gorącym płomieniem piekli sobie kiełbaskę i chlebek. Zagrychę wędzili w gęstym dymie. Nierzadko opalali z pierza ukradzioną komuś kurkę, kaczuszkę. Czasami miejskiego

gołąbka. Albo nawet raz ukatrupili kulawego bociana. Oczywiście w celach konsumpcyjnych.

Efektowny, wonny, ciemnobury dymek widać było z dużej odległości. Czuć także było. Po owych zabiegach pielęgnacyjno-kulinarnych wiara sprzedawała druty na wagę. Właśnie w najbliższych okolicznych skupach złomu. Rzec by można, że zaprzyjaźnionych. Opalone dobra zbywała w pakiecie z aluminiowymi puszkami, fragmentami starego żeliwa, zardzewiałymi prętami zbrojeniowymi i metalowymi częściami siatek ogrodzeniowych.

Interes się kręcił, bo przecież pieniądz nie lubi stać w miejscu. Sam biznes także nie jest zwyczajny próżni. Telekomunikacja namiętnie oraz ochoczo naprawiała swoje linie i kładła nowe kable. Studzienek nadal lepiej nie zabezpieczano, bo widocznie koszty były niewspółmierne do efektów. Bądź też nikt tam nie pomyślał o prewencji. Wydatki ponosiło przedsiębiorstwo (natenczas jeszcze państwowe lub już publiczno-prywatne), jakkolwiek się ono wtedy nazywało. To znaczy ostateczny odbiorca, konsument, bulił za to w abonamencie. Klient prywatny i instytucjonalny. Robotnicy mieli co robić, ale bynajmniej nie pracowali na akord, bo na etacie, gdzie zarabiali stałą pensję miesięczną. Zatem nie wysilali się zbytnio, a analizę zjawiska mieli w wielkim poważaniu. Nie oni są od myślenia. Rzeczoznawcy (czytaj: lumpy i rabusie) dostawali pieniądze za złom. Złomowiska także na tym zarabiały.

Wygląda na to, że wszyscy coś z tego mieli. Nikt nie tracił. Czyli z procederu kradzieży kabla komunikacyjnego wychodziło gospodarcze perpetuum mobile.

Fenomenalne!

Policja musiała ścigać proceder z urzędu, bo kradzież mienia to przestępstwo. Opisane w artykule 278 Kodeksu karnego. A wartość skradzionego kabla zwykle wyczerpywała znamiona przestępstwa kradzieży pospolitej. Trochę mniej kabla i mamy tylko wykroczenie. Też ścigane. Do ścigania policja wykorzystywała środki publiczne. Przeznaczano je na benzynę, telefony, papier, długopisy. Na wynagrodzenia dla policjantów.

Właściwie po co ścigać? Skoro nikt na tym nie tracił? Do końca nie wiadomo. Per saldo lumpy kradły dobro publiczne, czyli poniekąd także swoje. I tego się trzymajmy.

Przy okazji Mundek i Stopa zaplanowali sobie zajrzeć pod dwa adresy. Pod jednym, właśnie na końcu podmiejskiej ulicy Wiejskiej, mieli pilnie przeprowadzić wywiad środowiskowy. Pod drugim, na następnym nowo powstałym osiedlu domków jednorodzinnych, chcieli obejrzyć pewnego psa, podobno groźnego, który pogryzł był listonosza. Pies napadł na funkcjonariusza podczas wykonywania przez tegoż czynności służbowych. Zębami poszarpał mu nogawkę spodni razem z fragmentem łydki. Korespondencji nie poszarpał, ani tej akurat dostarczanej, ani przenoszonej w torbie, bo nie pachniała tak pięknie jak spodnie pokrzywdzonego i męska, schodzona na podmiejskich brukach, owłosiona łydka. Listonosz (jakiś czas nazywany doręczycielem) wylądował w szpitalu z ranami szarpanymi nogi, jak też dodatkowo uszkodzony na psychice, bo okazjonalnie nabawił się ciężkiego służbowego szoku.

Należało zatem rozpytać na tę przykrą okoliczność właścicieli rzeczonych pieska, jeżeli oczywiście da się to

uczynić ze względów oczywistych. Ale czy pies pozwoli dostać się jakkolwiek na posesję? Tego już policjanci nie wiedzieli.

- Może od razu się wylegitymujemy i nas wpuści?

- Co? Kto? - Mundek nie skojarzył jakoś błyskotliwej wypowiedzi Tomka z celem ich podróży, jak też nie połączył oczywistego żartu kolegi z zadaniem służbowym.

- Ten pies. Powinien mieć szacunek dla władzy. Gdy zobaczy nasze szmaty, powinien podkulić ogon i nas wpuścić.

- Pies? - Partner Stopy najwyraźniej nie załapał wytrawnego dowcipu. Popatrzył na Tomka zdziwiony, jakby lekko szczęka mu opadła. - Co ty gadasz? O czym właściwie?

- No przecież my też jesteśmy psy. Swoich powinien wpuścić - cierpliwie uzasadnił Stopa. - Znowu mnie nie rozumiesz. Co z tobą?

- Ze mną? A z tobą co? Jakieś bzdury gadasz o psach. Nic nie rozumiem. Bredzisz, kolego. Najpierw o pasku do malucha, teraz o jakimś psie.

- No może rzeczywiście trochę bredzę. To z przepracowania. Już się zamykam - odburknął Tomek. Potem tylko westchnął.

Po bzdurnym dialogu z Mundkiem aspirant Stopiński trochę się zamyślił. Właśnie użalał się nad sobą z powodu skazania na towarzystwo gburowatego i nie do końca lotnego partnera. Koleżanka teściowej powiedziałaaby na takiego „kiwi”. Bo kiwi to też nietot.

- O żeż ty, w mordę jeża! Widziałeś to?

Tomek z piskiem opon zatrzymał swojego służbowego poldka. Nieoznakowanego.

- Co widziałem? Nie wiem. Nic ciekawego nie widziałem.

- No, ten garnitur. Tam wisiał, na słupie.

- Co wisiało? Garnitur? Na jakim słupie? A co w tym takiego dziwnego?

- Czekaj moment. Cofnę i obejrzę to dokładnie. Albo mi się coś przywidziało.

Mundek, siła spokoju, wrócił do przeglądania wyjętego zza pazuchy ulubionego „Przeglądu Sportowego”. Tomasz przejechał na wstecznym jakieś pięćdziesiąt metrów. Niedbale zaparkował samochód na poboczu wyboistej drogi i na części czegoś w rodzaju chodnika w najbliższej okolicy posesji pod numerem szóstym. Wsiadł i podszedł do płotu.

Aspirantowi Stopińskiemu nic się nie przywidziało.

Na terenie posesji należącej do znanego im już menela Zenobiusza Kozłowskiego stał stary drewniany słup energetyczny. Niskiego napięcia. Na wysokości około dwóch metrów, na olbrzymim gwoździu pokrytym rdzą, dodatkowo na prawie antycznym, bo ponemieckim wieszaku ubraniowym z częściowo widocznym fragmentem logo przedwojennego magazynu wisiał precudownej urody markowy męski garnitur znanej firmy Bugo Hossa. Barwy błękit pruski, dwurzędowy. Elegancki, o ponadczasowym, uniwersalnym, klasycznym kroju. Pierwotnie musiał być cholernie drogi. I wisiał sobie. Tak po prostu.

W sklepie firmowym taki sam nowy kosztował akurat prawie tyle, ile wynosiło miesięczne wynagrodzenie przeciętnego polskiego policjanta. Czyli Tomasza. Przyszyta

na lewym rękawie marynarki charakterystyczna naszywka nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do producenta ciucha. Ładne szylkretowe guziki marynarki połyskiwały w promieniach wiosennego słońca. Nogawki spodni powiewały na wiosennym wietrzyku niczym sztandar dzielnych zuchów. Albo proporzec średniowiecznych hufców. Przy mocniejszym powiewie gatki efektownie łopotały, jakby ulegały tym powiewom. Albo się z nimi bawiły.

Wprawdzie garnitur był ewidentnie wcześniej używany oraz lekko, nieznacznie, prawie niewidocznie poplamiony, do tego cokolwiek wymięty tudzież ociupinę nieświeży, ale właściciel najwyraźniej wietrzył go na podwórku. W nieznanym, jeszcze nieustalonym celu.

Na ten widok Stopińskiego autentycznie zatkało. Tak normalnie, po ludzku.

- Jasna cholera!

„Skąd ten szmaciarz wziął takie cudęńko? Na pewno nie kupił. Może komuś ukradł? Albo pożyczył. Ale po co śmierdzącemu menelowi taki wypasiony garnitur? Muszę to sprawdzić. Koniecznie” - pomyślał Tomek, gapiąc się na łacha niczym sroka w gnat.

- Skąd ty się tu wzięłeś, łajzo? - rzekł głośno w kierunku słupa.

Mówił dziad do słupa, a słup stał jak dupa.

Nieruchomo i niemo słup stał sobie tam, gdzie go pierwotnie lata wcześniej postawiono. Na nim wisiał garnitur. Stopie zaczęło się wydawać, że nawet z niego sobie beczelnie kpili. I ten stary słup, i cudny garnitur.

- Sukinkot!

Nie tak wiele wcześniej komisariaty otrzymały informację, że na jednym z parkingów usytuowanych przy autostradzie A4 (MOP) skradziono ciężarówkę przewożącą męskie garnitury, marynarki, spodnie i koszule. Konfekcję. Bandyci przywiązali kierowcę sznurem do drzewa, akurat tego, przy którym spokojnie sobie sikał, niczego nie podejrzewając, i zostawili w przydrożnym lasku. Kilka godzin stał opuszczonymi gaciami, bez dokumentów, kluczyków od wozu i bez portfela. Oczywiście także bez środków łączności.

Z tego, co policjant zapamiętał, zrabowana odzież pochodziła z pewnej znanej polskiej firmy, a nie od ujrzanego właśnie Bugo Hossa. Wprawdzie złodziejom najprawdopodobniej chodziło wówczas bardziej o skrojenie samego tira, nie o jego zawartość, ale na przewożonym towarze także jakoś zarabiano. Złodziejskie szajki tanio sprzedawały trefne fanty. Przez umyślnych. Na niedzielnych targowiskach i ryneczkach. Korzystnie. Tak, aby zachwycona wiara konsumencka nie targowała się zbyt, cudeńka brała w ciemno, płaciła gotówką. Co najważniejsze, żeby wniebowzięty, potencjalnie wystrojony nabywca nie zadawał głupich pytań.

Konstatując niezmiernie ciucha, Stopa zauważył za domem kobietę. Właśnie wyszła z koszem pełnym mokrego prania i przymierzała się do rozwieszenia go na słońcu. Przez dwa drewniane słupki przewieszonych zostało kilka sznurków.

- Halo, proszę pani! Można prosić na moment? Dzień dobry! Pani pozwoli!

- A co? Czego chce? Nic nie kupuję! Niech sobie idzie! -

Kobieta zaniechała czynności i z mokrym ręcznikiem w ręku zastygła na moment, przyglądając się Tomaszowi.

- Policja! - Stopa pomachał odznaką. - Chciałbym o coś zapytać! - krzyknął do kobiety. - Pani podejdzie!

- Ja nic nie wiem - burknęła niewiasta. Odstawiła ciężką kadź, ale wąską dróżką podeszła jednak do swojej furtki.

- Może pani zna tego mężczyznę?

Detektyw wyjął swój prywatny telefon i zademonstrował twarz ofiary wypadku.

Oglądająca zdjęcie mogła mieć zarówno lat siedemdziesiąt, jak i pięćdziesiąt. To się nazywa średnim wiekiem niewiasty. Przyglądając się nietypowej gębie umrzyka, pokręciła tylko niepewnie głową. Potem wyszczerzyła przerzedzone, koślawe zęby.

- E... O Jezu! Jaki brzydki! Nie wiem. A kto to? Co temu tu się stało?

- Właśnie to próbuję ustalić. Czyli pani go nie zna.

- No nie! - Kobieta machnęła ręką i ruszyła za dom do swoich czynności gospodarczych.

- A skąd się tutaj wziął ten garnitur?! - Z nadzieją w głosie zawołał za nią Stopa.

- Nie wiem. Nie nasz!

- A czyj? - nie odpuszczał detektyw.

- Po mojemu to tego tu... Kozłowskiego! - Niewiasta ponownie uruchomiła pustą rękę i machnęła nią w kierunku wrót prowadzących do rezydencji menela.

- A jest w domu?

- Widzi mi się, że wychodził. Albo nie wychodził i śpi. - Kobieta zniknęła za węgłem.

- Przynajmniej próbowałem - westchnął Tomasz.

Wrócił do radiowozu, zajął miejsce i zapiął pasy.

- Co tak długo?

- Dlaczego - odruchowo poprawił kolegę Stopa.

- Co dlaczego? A, bo jakoś długo cię nie było.

Swoimi wątpliwościami i dodatkowymi ustaleniami Stopa podzielił się z partnerem. Opowiedział mu o garniturze i o babie wieszającej pranie.

- Wiesz co? Coś ty się tak czepił tego garnituru? Nie rozumiem. - Mundek nie odrywał oczu od swojej gazetki.

- Bo to cudo wisi na posesji tego śmierdziela, menela, skurczysyna Kozłowskiego. Jak mu tam? Zbunio? Zenobiusz chyba. Ciekawe, skąd on go ma? I dokąd w nim chadza?

- A na co ci to wiedzieć? Było zgłoszenie o kradzieży?

- No niby nie było. Ale to sprawdzę. Garnitur jest śliczny. W życiu nie będzie mnie na taki stać - westchnął Tomasz. - Przy okazji rozpytam tego lumpa na okoliczność posiadania. Może puści farbę. Teraz na złom.

- Pamiętaj o listonoszu! - przypomniał Mundek. - To przecież po drodze.

- Racja. Pogryziony listonosz. Piesek do przesłuchania. Tak mnie zakręcił ten garnitur, że prawie zapomniałem, po co tutaj przyjechaliśmy. Jasna dupa!

„Najpierw babskie rajtuzy w kieszeni, teraz ten garnitur. Jeszcze śliczny. Coś z tym Stopą nie tak. Leczyć się chyba powinien” - pomyślał Mundek. I trochę dokładniej przyjrzał się koledze prowadzącemu radiowóz. Jakby z ojcowską troską.

Aspirant Stopiński znowu się zamyślił. Był na siebie trochę zły, że ponownie usiłował pożartować. Tym razem na temat

psów. Nie ten adres. Niestety. Mundek nie znał się na takich dowcipach. Na innych także nie bardzo. Sam dysponował tylko dwoma brodatymi. Ale ile czasu można opowiadać te same kawały o głupiutkich blondynkach?

Tomasz był osobą bardzo kontaktową. Lubił rozmawiać z ludźmi o wszystkim. O dupie Maryni także. Czasami pożartować, czasami kogoś skomplementować, pochwalić. Zwłaszcza panie. Potrafił rozładować czymś gęstą atmosferę: żarcikiem, nawet samokrytyką. Starał się wywołać uśmiech na twarzy interlokutora. Praca w policji, właściwie codzienna, ciężka, niewdzięczna służba, stawała się dużo znośniejsza przez przyjacielską postawę wobec całego świata. Oraz przyjemniejsza.

Poza tym Tomek bardzo lubił zwierzęta. Nie bał się ich. Nie miał powodu.

Jeżeli ten pies rzeczywiście zaatakował listonosza, a wszystko na to wskazywało, musiał mieć jakąś przesłankę. Albo źle odebrał sygnały, nieprawidłowo je zinterpretował, przeto czuł się zagrożony. No i ugryzł. Albo też zwierzę broniło kogoś, względnie czegoś. Może siebie? A może ten kłusujący doręczycieli pieseczek to szczenna suczka, i wtargnięcie listonosza odebrała jako atak na jej potomstwo...

- Zobaczymy - westchnął Stopa.

- Co zobaczymy?

- A, już gadam sam do siebie. Myślałem o tym psie od listonosza.

Aspiranci mieli na razie za mało danych o zdarzeniu. Nie wiadomo było, czy pies przechodził szkolenie, a jeżeli tak, to pod jakim kątem. Czy posesja została prawidłowo

zabezpieczona? Czy na płocie wisiało ostrzeżenie przed groźnym zwierzem lubiącym kąsać ludzkie łydki? Albo informacja, że bestia nie lubi listonoszy. Wolno jej nie lubić. Każdemu wolno nie lubić intruzów. Tabliczka powinna wisieć, skrzynka na listy także. W każdym razie nikt nie powinien wchodzić na cudze posesje jak na swoje.

Na pewno trzeba będzie sprawdzić aktualne szczepienia tego psa. Oby je miał, bo jeżeli nie, listonosza czeka dodatkowo seria bolesnych zastrzyków w brzuch. Psa też czeka przymusowa kwarantanna, jak też obserwacja weterynaryjna.

- Biedny piesek!

- Co? - Mundeek zdziwił się po raz kolejny.

Na myśl o psach pilnujących prywatnych posesji Stopa znów uśmiechnął się sam do siebie.

W kontekście czekającego ich przesłuchania rasowego kundla właśnie przypomniało mu się pewne zdarzenie sprzed kilku lat.

Tomek miał wówczas dostarczyć przesyłkę z prezentem okolicznościowym do jednej z koleżanek swojej teściowej. Zupełnie przez przypadek mężem tejże koleżanki był były dowódca Tomasz. Teściowa wyjechała na dłużej za granicę, Tomasz miał akurat przebywać niedaleko posesji owej koleżanki, zatem nadawał się na posłańca. Jak najbardziej się nadawał. Do wszystkiego się właściwie nadawał, o czym jego teściowa zdążyła się przekonać.

Tomek podjechał samochodem pod dom tych ludzi, wysiadł, sporą, ciężką paczkę dzierzył w dłoni. Podszedł do furtki i nacisnął przycisk dzwonka. Uczynił to parokrotnie.

Do płotu przybiegły dwa śliczne pieski i zaczęły szczekać. Nie tylko to. Szczekać, ujadać, warczeć i pokazywać Stopie zdrowe psie uzębienie. Także śliczne.

Rasowe młode bokserki darły japy. Tomasz także darł japę, nawołując domowników. Równocześnie uporczywie naciskał przycisk dzwonka.

Gospodarze się nie pojawiali. Wrota domu stojącego w rozległym ogrodzie były otwarte. W pełnej krasie prezentowała się część salonu z innymi rozwartymi drzwiami, wychodzącymi na przydomowy ogród i fragment tegoż za domem. Wszystko tam stało otworem jak na holenderskiej wsi. Wyglądało na to, że na pewno ktoś był w domu albo przy nim. I ten ktoś z pewnością był przygłuchy.

- Ogłuchli tam wszyscy, czy co? Halo! Zaraza ich chyba powaliła. Hallooo!

Stopiński zaniósł paczkę z powrotem do wozu, bo była ciężka oraz nieporęczna. Podszedł nazad do furtki, następnie wesoło zagadał do ujadających „wściekłych” psów obronnych.

Na furtce wisiała tabliczka z informacją „Uwaga, groźne psy”, odstraszać zarówno okolicznych sąsiadów, jak i potencjalnych rabusiów.

- Dobre pieski, jak ładnie pilnują domu! Śliczne jesteście, piękne, tak, ale zawołajcie swoich państwa.

- Hau, hau... Wrrr... - odpowiadały bokserki.

- No nie szczekajcie na mnie, tylko idźcie po panią. Albo po pana. No nie bądź świnia, jedna z drugą, i zawołaj gospodarza... Jakbym wiedział, że tu są takie cuda, to przyniósłbym wam coś dobrego! Dobre pieski, dobre,

kochane, maleńkie...

Stosownie do werbalnych pieszczot Stopy, pieski bokserki powoli zmieniały swoją początkowo bardzo agresywną postawę wobec obcego najeźdźcy. Na nieco łagodniejszą. Przestały ujadać, zaniechały warkotu i szczerzenia kłów. Poszczekiwały tylko frywolnie i machały kikutami ogonków. Tomasz nie rezygnował. Ani z dzwonienia, ani z nawoływania.

- Halo! Jest tam kto? Dobrze pieski. Halo! Kochane bestyjki. Zawołajcie państwa. Wpuście mnie do środka? Sam sobie poszukam. Dobrze, dobrze... Tak? No tak. Pewnie, że mnie wpuście. Malutkie susełki. Ślicznotki. Moje, moje...

Przemawiając czule do psinek łagodnym i spokojnym głosem, Tomasz sprawnie otworzył zamkniętą od środka furtkę, po czym wolno i spokojnie, ale zdecydowanie wszedł na posesję. Bramkę za sobą starannie zamknął, by którejs bestii nie przyszło do głowy wydostać się na ulicę. Przecież nie tylko mogły wpaść pod samochód, biedactwa, ale co gorsza - chapnąć niechcący przygodnego przechodnia. Albo dziecko sąsiadów.

Pieski od razu do niego podbiegły, początkowo trochę nieufne, zdziwione bezczelnym zachowaniem obcego typu. Jednak po kilkunastu sekundach zaczęły się łąsić do przybysza. Stopa podstawił im do powąchania lewą dłoń, jest bowiem praworęczny, potem obiema pogłaskał pieski po główkach. Pozwolił sobie też na oklepywanie zwierzątek po ślicznych łaciatych boczkach i umięśnionych dupinkach.

Po kolejnych kilkunastu sekundach psy już leżały na pleckach i wystawiały brzuszki do głaskania.

Tomek równo obdarowywał zwierzaczki pieszczotami. Obiema rękoma. Stwierdził przy okazji, że gdyby tam były trzy pieski, do głaskania musiałby wykorzystać jeszcze nogę.

- Chodźcie do wujka! Tak, dobre psiny. Moje, moje... śliczne... Tak, ja też was bardzo lubię. Poczekamy razem na pana... śliczności. Jakie mamy ładne brzuszki! Malutkie. Tak... Dobre psiny, dobre...

Misiaczkowanie susełkowych brzuszków trwało dobre kilka minut.

Podczas tej skądinąd niecodziennej sceny miłosnej, albo nawet zbiorowego grupenseksu przypominającego trochę filmik dla dorosłych fanów zoofilii, z przodu willi wreszcie pojawił się gospodarz. Zarazem właściciel dwóch arcygroźnych piesków, były dowódca Stopińskiego jeszcze z zasadniczej służby wojskowej. Pan przyszedł prosto z ogrodu, bo żona kazała mu sprawdzić, kto się do nich dobija. W ręku dzierżył małą metalową motykę.

- Co tu się dzieje? - Dowódca stanął jak wryty. Chwilę przyglądał się nietypowej scenie. Otwierał i zamykał usta. Jakby sam nie wierzył w to, co zobaczył. - Tomek? Co ty tutaj robisz? I, do cholery, co ty robisz moim psom?

Zaraz potem gospodarz zwrócił się do rzeczonych, rozanielonych psów:

- O wy... Wy dziwki! Wy kurwy jedne! Miałyście pilnować domu! To ja płacę ciężkie pieniądze za szkolenie, a wy wpuszczacie obcych? To mają być groźne psy obronne? Postrachy okolicy? Dziwki, nie suki!

Nie spuszczać bestii z oczu, pułkownik w stanie spoczynku zwrócił się teraz do Stopińskiego:

- Jak ty to zrobiłeś?

Przynajmniej tak się Tomkowi wydawało. Tym razem wielce uradowane pieski łąsiły się do swojego pana. Tomasz mógł wstać.

- Ty, Tomek! Nikt do nas nie wchodzi, bo wszyscy się ich boją. Nawet długoletni sąsiedzi boją się podejść do furtki. Nieprawdopodobne! Wy zdradzieckie dziwki! - Ta ostatnia kwestia chyba już nie była skierowana do byłego podwładnego.

Tomek bynajmniej nie wziął wulgarnych kalumnii do siebie. Nie utożsamiał się także z jakąkolwiek zdradziecką dziewczyną. Cały czas pochylał się nad zwierzątkami i poklepywał je po brzuskach, śmiejąc się od ucha do ucha.

Ukochane pieski pana pułkownika, rasowe, tresowane, obronne, właściwie rodowodowe suczki rasy bokser, oto właśnie oddały się na podwórku pierwszemu lepszeemu. Nieznajomemu. Znaczący aspirantowi, detektywowi Stopińskiemu. Gwałtowne uczucie niezwłocznie odwzajemniły, uległy Stopie bez wstydu i bez skrępowań. Tak po prostu.

Patrząc na zjawisko pragmatycznie, to te suczki postąpiły prawidłowo. Atawistycznie. Oddały się innemu psu. Rasowemu. Ale właściwie komu miały się oddać jak nie psu?

Polska, dolnośląska, wrocławska wiosna załęgała się w naturze na dobre.

Tutaj, do Kamieńska, przyszła troszeczkę wcześniej, już bowiem jakiś czas przedtem stwierdzono, że stolica Dolnego Śląska jest jednym z najcieplejszych miast w kraju. Ponadto

o cechach klimatu śródziemnomorskiego.

Wielkość samego miasta, jego architektoniczny rozmach oraz ten niepolski klimat sprawiają, że jesienią napływają do Wrocławia ciepłolubni bezdomni. Na pewno ze Wschodu, czasami z Północy, no i z okolicznych wioch i miasteczek. Bo tam, u siebie, mają zdecydowanie zimniej oraz przewiewniej. Dlatego zimą w mieście statystycznie wzrasta zagęszczenie. I ludności, i kloszardów. Tych ostatnich na pewno. Menelska brać z lubością gnieździ się w altankach, w kanałach ciepłowniczych oraz w pustostanach.

Ptaszki wesoło ćwierkały, trawka ślicznie i jasnozielono wybujała, kwiatki kładły się kolorowymi kępkami na miejskich skwerkach i trawniczkach. Było nieco chłodno, ale już bez nocnych przymrozków. I bez zalegającego śniegu.

W tych pięknych i rześkich okolicznościach miejsko-wiejskiej przyrody członkowie pewnej kamieńskiej brygady, nazywani przez dziarskich przedstawicieli lokalnej policji „piątą podziemną”, postanowili urządzić sobie imprezkę okolicznościową.

Owych okoliczności było naówczas sporo. Nazbierało się ich po zimie, czyli organizacja wiosennego melanzu była jak najbardziej uzasadniona. A to:

Primo Wielkanoc, co czcić należy. Po chrześcijańsku, oraz jak przystało na prawdziwych narodowych patriotów. Opić także trzeba świąteczną okoliczność, do tego musowo obstalować na zagrychę niezbędne jajo. Niekoniecznie kurze. Jak bowiem powszechnie wiadomo, bez jaj nie ma świąt.

Secundo: rychłe imieniny jednego z brygadzystów, bo mu było Zbycho. Znaczy fetował na kwietniowego

Zbigniewa.

Przy okazji *tertio*, bo za moment wzmiankowany Zbycho miał obchodzić okrągłe urodziny, a to zobowiązuje. Zwłaszcza zobowiązuje jubilata do zmontowania hucznego melanzu. Takiego na pięćdziesiąt fajerek.

Jeden ze współorganizatorów oraz pomysłodawców odebrał właśnie kolejny zasiłek dla bezrobotnych czy inne należne mu cykliczne świadczenie. Gość był zatem nadziany i mógł należycie ugościć znajomych. Kumpli z lasu. Koleżanki z podziemia. I jeszcze wiarusów spod dworca kolejowego. Jak też pragnął godnie przyjąć kilku przyjezdnych, do których wieści o spotkaniu dotarły i którzy pojawili się na dworcu kolejowym Wrocław Kamięńsko w przededniu świątecznej uroczystości. Przyjechali sobie koleją, podobno z niedaleka. Gdyby kto pytał, to na gapę. Nawet gdyby mieli za co kupić bileciki, to i tak te walory natychmiast zamieniliby na inne, konsumpcyjne, a nie na nikomu niepotrzebny papierek.

Konduktorzy polskich pociągów pasażerskich, przede wszystkim tych osobowych, doskonale wiedzą, że na świecie istnieją pasażerowie, których należy wysadzić z pociągu na najbliższej stacji kolejowej. To znaczy uprzejmie wyprosić z mobilnej siedziby PKP. Bo nie mają ważnego biletu. Bo inni podróżni skarżą się na nieco odmiennie pachnące towarzystwo. Wreszcie dlatego, że takiego pana (rzadziej panią) nie bardzo można wysiudać podczas poruszania się pociągu po torach. Chętnie by to może uczynili, znaczy wypraszenie, wysadzanie, nawet wypychanie, doprowadzili szybko i skutecznie do oczyszczenia atmosfery, jak też osiągnięcia kolejnego celu w postaci zadowolenia pasażerów

mających bilety, ale gra jakby nie jest warta świeczki. Pracownicy kolei nie są potworami. Konduktorom nie płaci się za wyrzucanie lumpów za okno. Oni tutaj tylko ciężko pracują.

O tym wszystkim wiedzą także polscy i inni (niepolscy) kloszardzi, zatem podróżują sobie namiętnie. Kiedy chcą i dokąd tylko im się zamarzy.

W każdym razie takich przyjezdnych gości pojawiło się troje. W Kamieńsku znaczy. Dwóch panów i jedna śliczna pani. Osoba zidentyfikowana została jako niewiasta głównie po ubiorze typowym dla niektórych kobiet. Po niczym innym. Miała na sobie, to znaczy na pupie, długą wełnianą spódnicę, a na głowie damską chustkę nałożoną pod ciepłą męską czapkę. Bez tej spódnicy i chustki wyglądem przypominała klasycznego unisexsa. Jakich ostatnio coraz więcej, nie tylko w środowiskach lumpenproletariatu.

Na miejsce wielkosobotniej libacjo-kolacji, wielkanocnego śniadania połączonego z obiadkiem, z kolejną kolacją i z drugim długim noclegiem wybrano przestronną altankę na jednej z działek pobliskiej kolonii ogródków. Niegdyś pracowniczych, obecnie zaimplantowanych głównie dla leciwych tradycjonalistów. Oczywiście w Kamieńsku, bo gdzieżby indziej?

Główny pomysłodawca i sponsor, do tego solenizant oraz jubilat Zbycho jeszcze przed zimą odkrył domek, do którego od kilku sezonów nikt nie zaglądał. Pierwotni gospodarze najprawdopodobniej pomarli, a ich atrakcyjną działeczkę spadkobiercy mieli w dupie. Albo nic o niej nie wiedzieli. Zbycho pomieszkiwał tam czasami, to znaczy wówczas, gdy sen nie zmorzył go akurat w innym miejscu.

Doskonale zatem wiedział, że miejscówka jest względnie bezpieczna. I że nikt nie powinien im przeszkadzać. Gdyby pojawił się jakiś nieproszony gość, to zaproszono by i jego. Według odwiecznych, utrwalonych zasad narodowej gościnności. Ale wstęp na uroczystości dozwolony jest tylko ze stosownym prezentem. Najlepiej, żeby taki przybysz do wrót zapukał nogami, bo jego ręce zajęte byłyby załącznikami. Optymalnie w szklanych butelkach.

Intymną atmosferę i brak nieproszonego towarzystwa miejscowych działkowiczów zapewniały poniekąd także radosne wiosenne święta. W tym czasie Polacy oddawali się przygotowaniom, zakupom, modlitwom, miłemu sercu towarzystwu bliskich oraz innym wielkanocnym rozkoszom. Nie w głowie im były wizyty na ogródkach, kopanie, pielenie i nasadzenia. Grządki mogły sobie poczekać te kilka dni.

Jeden z takich dziarskich ogródkowiczów pasjonatów wyłamał się jednak z powszechnie panujących narodowych zwyczajów i w Poniedziałek Wielkanocny udał się na swoją ulubioną działeczkę. Skoro świt. Zamierzał przewietrzyć wycackany domeczek, zinwentaryzować pozostawiony w nim sprzęt ogrodniczy. Chyłkiem posprzątać to i owo. Zagrabić i zutilizować zeszłoroczne suche listki, które bezczelnie skądś przywędrowały. Akurat na jego wymuskane arealy. No bo przecież dzisiaj święto, to nikt nie powinien tego oglądać. Potem już, za kilka dni, gdy inni działkowicze gromadnie przybędą, będą tyrać motyką i grabiami, szpadlami oraz kultywatorami, on będzie kosić swoją młodą trawkę. Obchodzić posesję w kółko, doglądać wyglancowanego inwentarza, ewentualnie gawędzić przez sąsiedzki płotek o wyższości ogórka gruntowego nad

rzodkiewką szklarniową.

Po kilku godzinach spokojnej pracy działkowicz pójdzie sobie jak gdyby nigdy nic do domu na świąteczny obiadek. Już się cieszył na odżywczy żurek z białą kielbaską. Żona robi najlepszy na świecie! On sam ma przy tym świątecznym daniu wielkie zasługi, ponieważ osobiście zakupił doń białą kielbaskę. Od innego działkowicza amatora, który opodal hodował świniaczka. Oczywiście też na działce. Potem wypije ze szwagrem naleweczkę. Ta zeszłoroczna, z własnej pigwy, wyszła mu latoś najlepiej. Przy święcie trzeba delikates spożyć. Pod ten żurek. Należy się jak psu buda albo jak obiadowe zlewki pysznemu świniaczkowi sąsiada.

- Niech zazdraszczają. Niech wią, jakiego mają gospodarnego sąsiada za płotem! Ha!

Przyszedł zatem chłop raniusieńko, jeszcze nie całkiem za widoku, i zdębiał.

Kilka alejek dalej płonął domek. Dokładniej altanka. Działkowa. To znaczy właściwie już się poaltankowe zgliszcza dopalały. Jednakowoż przybyszowi, rannemu ptaszкови, zrobiło się tak bardzo, bardzo źal...

Pożar to pożar. Gasić należy. A jak ogień przejdzie na inne okoliczne domki? Jeszcze na ten jego? Wymuskany? Wypieszczony? Pali się przecież całkiem niedaleko. Pożar szybko się rozprzestrzenia. Wieje przecież troszeczkę.

- Dlaczego, cholewka, w moją stronę? Niech wieje w przeciwną!

A jeśli tam coś przy okazji wybuchnie? W tym domku? I będą dodatkowe straty? Na przykład coś stamtąd przeleci, potem spadnie na nowy dach jego domku? Ludzie trzymają w altankach butle gazowe, paliwo do kosiarek, substancje

łatwopalne oraz wybuchowe. Środki ochrony roślin. Rozpuszczalniki. Cholera wie, co jeszcze. Może się przecież zdarzyć.

Wreszcie czymś zalatuje. Na pewno spalenizną.

- Cóż, pierona, śmierdzi... Stamtąd jakby. Fuj!

Jemu śmierdzi. Na jego ukochanej ekologicznej działeczce. Nikogo innego tam przecież nie ma, żeby jakoś zareagował, wziął plandekę albo inny stary kocyk i smrodliwy wiaterek odwrócił. A dym ewidentnie zaszkodzi jego wypielegnowanym drzewkom owocowym, które tak ładnie zaczęły kwitnąć... Chmura odpadów toksycznych opadnie na jego ukochaną wisienkę i na stary pigwowiec. Poniemiecki. Owoce będą do wyrzucenia. Kompocik na pewno wyjdzie gorzki, a po spożyciu naleweczki na pigwie potencjalni konsumenci nawet mogą się świecić. W nocy na pewno. Jeszcze komuś zaszkodzi...

- Moje drzewka! O nie! Żadnych takich!

Cóż było robić? Gapiąc się na pożar z pewnej i bezpiecznej odległości, działkowicz wyciągnął z kieszeni spodni telefon komórkowy. Prędko wystukał numer straży pożarnej.

Ta miała na szczęście niedaleko, w ów uroczysty Poniedziałek jeszcze niewiele do roboty, to przybyła po kilkunastu minutach od powiadomienia. Z fasonem. Z przytupem. Na sygnale. Pożar altanki wartkim strumieniem wody ugasiła. Tradycji śmigusowo-dyngusowej także stało się zadość.

Ruiny i zgliszcza strażacy fachowo spenetrowali, a po tych rutynowych czynnościach dowódca czym prędzej wezwał policję.

Aspirant sztabowy Tomasz Stopiński miał planowy dyżur. Akurat w tym uroczystym, świątecznym dniu. Ktoś musiał mieć.

Przyjechawszy na miejsce pożaru, Stopa ujrzał ludzkie zwłoki. W tej nadpalonej altance działkowej. Siedziały sobie w trochę nienaturalnej pozie na sprężynowym, metalowym stelażu typowo altankowej, na poły nadpalonej kozetki. Pierwotnie kozetka była chyba starą, peerelowską wersalką.

Trup.

Z okolic brzucha denata wystawała rękojeść dużego kuchennego noża, a płuca, na gołe oko z pewnością już śmiertelnej ofiary pożaru, tak były rozdęte i popękane, że przez otwory ulatywał z nich jeszcze sinoniebieski dymek.

„No pięknie - pomyślał Tomasz. - Nie dość, że mam zabójstwo, to jeszcze trafił mi się kolejny menel. No to sobie dzisiaj poświętowałem. Szlag by trafił”.

Po dyżurze ojca i męża cała rodzina Stopińskich miała zwieńczyć świętowanie Wielkanocy u jednej z babć. Zgodnie z okrzepłą rodzinną tradycją. Cieszyli się perspektywą nasycenia brzuchów pysznym makowcem domowej roboty, kultowym babcinym serniczkiem, rewelacyjnymi drożdżowymi rogalikami z różą i orzeszkami. Chcieli poplotkować z długo niewidzianą rodzinką. Poobgadywać nieobecnych.

- Trzeba będzie to odwołać. Albo pojedziemy wieczorem. Może nam wszystkiego nie zeżrą? Może matka przytomnie zabezpieczy i odłoży nam trochę ciasta?

Stopa przywitał się ze strażakami.

- Cześć pracy, rodacy! Fajnie zaczął się nasz dyżur. Już

właśnie sobie poświętowałem. Widzę, że kolejny lump rzucił palenie!

- Bardziej palenie rzuciło jego. Albo nim. Zależy, jak na to spojrzeć. Zobacz, Tomek, gość nawet po śmierci puszcza sobie dymka! No. My też akurat chcieliśmy poświętować. Kawa nam wystygnie. I mazurek obeschnie.

- Kto znalazł zwłoki? - zapytał rutynowo Stopa.

- My. Podczas akcji gaśniczej - odpowiedział konkretnie i zwięźle dowódca wozu.

- Wezwaliście już pogotowie? Proroka? Czy ja mam to zrobić?

- No wiesz, Tomek? - obruszył się żartem strażak. - To nie pierwsza taka akcja. Jasne, że już wezwaliśmy, kogo trzeba. Niedługo powinni być. Prokurator też. Do truposzy przecież się nie spieszą. Na dodatek w święta. He, he. Zadzwoniliśmy po was i po nich.

Cały problem z dojazdem lekarza polegał na tym, że najbliższa podstacja pogotowia ratunkowego znajdowała się dopiero na osiedlu Spokowice. Karetki stamtąd obsługiwały teren oddalony nawet o dziesięć do piętnastu kilometrów od rzeczonyj stacji. W tym właśnie przedmieście Kamieńsko i okoliczne podwrocławskie wsie. W szczycie komunikacyjnym godzinami czekało się na pogotowie i lekarza.

- No to dzwonię po naszych techników. Może się ich doczekam. A kto wezwał was?

- A taki jeden starszawy facio. Przyłazł sobie na działeczkę popracować. Widocznie nie mógł wytrzymać w chałupie. He, he.

- Gdzie jest ten gość? - Tomasz nie zauważył w pobliżu

żadnego cywila.

- Poszedł do domu na świąteczny żurek. Z takim nabożeństwem o nim gadał, że nam wszystkim aż ślinka pociekła. Tu masz kartkę z danymi, nazwiskiem, adresem i telefonem. Spisaliśmy gościa z dowodu i kazaliśmy mu spadać. Po co ma się szwendać i zacierać ślady? Poza tym jojczył, że mu śmierdzi czy coś w tym stylu. Jeszcze coś o kierunku wiatru i pigwie. Jakbyśmy mieli na to wpływ.

- Słusznie. Dzięki - stwierdził Tomasz, a kartkę schował do służbowego notatnika, potem do wewnętrznej kieszeni ciepłej tweedowej marynarki. - Pogadam z nim po świętach. Nie będę go odrywał od tego żurku. - Stopa przyglądał się działaniom strażaków. - Chłopaki! Mogę już tam wejść? Czy jeszcze coś robicie?

- Nie. Właściwie niedużo nam zostało. Już prawie koniec. Ale poczekaj może moment, bo jeszcze sobie sfajczysz te twoje eleganckie butki. Niech trochę ostygnie! Fajne są. Podłoga niech ostygnie, bo tamten facet niby już zimny i sztywny jak cholera, ale jeszcze trochę będzie gorący.

- He, he. Dobra. Poczekam. I tak musi go obejrzeć lekarz i stwierdzić zgon. Żona mi zasponsorowała.

- Właśnie. Pożycz mi tej swojej żony. He, he.

- Niechętnie - zaśmiał się Tomek.

- Wiedziałem. No. Możemy trochę tu jeszcze z tobą pobycć. Nie mamy na razie żadnego wezwania. Kawa i tak ostygła. Patrz pan, a ten tu się tli. Moje chłopaki powinni jeszcze pogrzebać. W takich przypadkach możliwy jest pożar wtórny. Albo podczas czynności coś komuś poleci na głowę. Jeszcze wieje na dodatek. Coraz mocniej. Masz, nałóż

kask na wszelki wypadek. Licho nie śpi.

- Jasne. Wiem. Dawaj ten hełm. Oż kurde, ale ciężki!

- A ty, Tomek, swoją drogą to masz dziwne szczęście do tych płonących meneli. Wspecjalizowałeś się czy co?

- Na to wychodzi. Może pracę doktorską z nich napiszę?

- Dlaczego akurat doktorską? He, he...? A magisterską masz?

- Już mam. Z pedagogiki sportowej dzieci i młodzieży z elementami psychologii i resocjalizacji. Nie z płonących meneli.

- He, he... Nic z tego nie rozumiem.

- Ja właściwie też nie bardzo...

Rozmowa kolegów z zaprzyjaźnionych lokalnych służb mundurowych przeszła na tematy ukończonych szkół, świąt, rodzin, samej ciężkiej służby. Strażak zainteresowany był tytułem pracy magisterskiej Tomka. Poprosił o bardziej szczegółowe wyjaśnienia. Reszta ekipy strażaków grzebała w marnych resztkach działkowej altanki.

Obaj panowie znali się nieźle, bo w Kamieńsku pracowali ładnych parę lat i spotykali się na wspólnych akcjach. Ostatnio, jakieś pół roku wcześniej, widzieli się służbowo przy spalonej ławeczce na pętli tramwajowej.

Różnica między ofiarami tych pożarów polegała jednak na tym, że przy poprzednim zgonie człowieka w pożarze nie stwierdzono udziału osób trzecich. Tamten umrzyk zasnął z papierosem w ustach. Tutaj ewidentnie ktoś pomógł nieboszczykowi w zejściu z tego świata. Najprawdopodobniej także ten sam ktoś majstrował z ogniem, próbując zatrzeć ślady. Częściowo mu się udało. Tomka czekało mnóstwo pracy.

Pozostali strażacy kręcili się jeszcze po nadpalonych zgliszczach, przerzucali deski, zniszczone graty i nadgryzione ogniem meble. Ostrożnie obchodzili zwłoki szerokim łukiem, i tak, aby kolegom policjantom nie partolić pracy. To znaczy nie zatrzeć im wszystkich pozostałych śladów.

- Dowódco, chyba coś mamy. Obejrzysz?

- A ja też mogę? Niech zgadnę: to podpalenie, a twoi chłopcy znaleźli dowody i pierwotne ognisko pożaru?

- Jasne. Skąd...? A wiem. Głupie pytanie.

- Wcale nie głupie. Wielu rzeczy o pożarach i zgliszczach nauczyłem się od was.

- Ty, Stopa! To może chcesz się do nas przenieść? Przydałbyś się nam do dochodzeń. Jest tego od cholery. Nie wyrabiamy i nie mamy kim tyrać. He, he...

- Jeżeli się dokądś jeszcze przeniosę, to tylko na emeryturę. Potem pewnie na tamten świat. Byle nie odwrotnie. Kolejność jest dosyć istotna. Już powoli mam dosyć tej roboty. Ale dzięki za propozycję. Doceniam! Jak mi odwali, to rzeczywiście zmienię zawód. I mundur. He, he...

Strażacy znaleźli i zabezpieczyli dowody na to, że altanka została podpalona. Celowo. Najprawdopodobniej już po zabójstwie faceta, który w niej został. Najwyraźniej komuś puściły nerwy.

- Dobra. Dzwonię jeszcze raz po dyżurnych techników. Trzeba pogonić to towarzystwo. Do ich przyjazdu powinniście skończyć, tak?

- No. Jasne. Aha, Tomek, nie znaleźliśmy nic, po czym można byłoby zidentyfikować zwłoki. Wala się od cholery

butelek, puszek, słoików. Musiała tu być niezła libacja.

- Na pewno była efektowna i skuteczna. Zostało po niej flambirowane mięsko...

- Dla mnie grillowane. Hi, hi...

Po kolejnych dwudziestu paru minutach na ogródki działkowe podjechała karetka pogotowia ratunkowego. Wsiadła z niej bardzo młoda lekarka, na widok której jeden ze strażaków aż gwizdnął.

- Gdzie ten pacjent? - zapytała, nie witając się z mundurowymi.

Ani dzień dobry, ani pocałuj mnie w nos.

- Kto? A, pacjent pani doktor. Tam, w domku. Tylko proszę stąpać ostrożnie, bo można zniszczyć butki. A byłoby szkoda.

- Trudno. Pacjent to pacjent.

Lekarka właśnie ujrzała nieco nadpalone zwłoki, z których nadal ulatywał już prawie niewidoczny i zanikający sinoblękitny dymek. Zatrzymała się kilka metrów przed zgliszczami, właściwie na wielce uroczy widok stanęła nagle jak wryta. Zamachała rękoma, odwróciła głowę i zapytała zaskoczona:

- To co ja mam teraz z nim zrobić?

- Reanimować! - odkrzyknęli chórem strażacy i Tomasz.

- No wiecie? Żartów wam się zachciewa! Przecież on nie żyje! Kupa kretynów! Ja jestem lekarzem! Składałam przysięgę Hipokratesa! Nie życzę sobie takich dowcipów! I robienia sobie podobnych jaj...

„Widocznie woli surowe, a nie pieczone” - pomyślał Tomek.

Kobieta momentalnie odwróciła się na pięcie, prawie

biegiem wróciła do karetki, i tyle ją widziano. Wszyscy obecni patrzyli za nią jak na przelatującego przez działki ufoludka.

- Ale głupia cipa! Rany! Co to było? - To retoryczne pytanie padło z ust dowódcy wozu strażackiego. - Już jej miałem powiedzieć, że to są przecież święta z jajami. I że wszystko tu pasuje.

- Hi, hi... Pani doktor to była. Z szacunkiem! Lekarz. Teraz będziemy za nią biegać, żeby nam łaskawie wypisała akt zgonu. Kurczę blade. Niech to sobie załatwia komendant. Ja osobiście nie potrzebuję tego papierka. Widocznie paniusia nie usłyszała, że jedzie do trupa.

- Albo to jej pierwsze takie zejście śmiertelne, i nie wie, co ma z tym zrobić!

- Dobrze, że ona sama nam tu nie zesła!

- No to byśmy doktorkę reanimowali!

- Od teraz będę ją nazywać Hipokratesa. Z szacunkiem do lekarza! Ale przyznać trzeba, że niezła laska!

- Dupcia jak ta lala...

- No... he, he...

Strażak i Stopa przerwali obgadywanie oraz obrabianie tyłka ślicznej lekarki, bo pod działkę podjechał kolejny samochód, z którego wysiadł dyżurny prokurator. Kolejna kobieta.

- O, dzień dobry! Sami znajomi! Przepraszam, że tak późno, ale dzisiaj jestem bez samochodu. Mąż mnie przywiózł. Panie Tomku, pan też ma dzisiaj dyżur? Co za przypadek! Jak to wygląda?

- Witam. Zaprowadzę panią. - Tomasz najwyraźniej

ucieszył się na widok dyżurującej prokurator rejonowej. Przywitał się szarmancko, klasycznie, całując kobietę w dłoń. – Techników jeszcze nie ma. Możemy pogapić się tylko z daleka.

Prokuratorka także ucieszyła się na widok Stopińskiego. Dogadywali się, ponadto Tomasz wydawał jej się wyjątkowo rzeczowym i kontaktowym policjantem. Profesjonalnym, a zarazem pokornym. Znającym swoje miejsce w szeregu.

Była to jedyna prokuratorka, z którą kamienieckim gliniarzom pracowało się normalnie. Z punktu widzenia Stopy. Wszyscy z komisariatu Tomasza cenili ją i poważali. Sympatyczna, empatyczna, wyrozumiała. Poza tym ze Stopą znali się trochę pozasłużbowo, jakby półprywatnie, poprzez jej męża, który był wysokim oficerem Wojska Polskiego. Czasami spotykali się na wspólnych imprezach w miejscowym gimnazjum, do którego z kolei uczęszczała córka pani prokurator, a rodzice zasiadali w zacnym gremium rady szkoły.

– Jasne, rozumiem. O, mamy klasyczne zabójstwo. Nawet narzędzie zbrodni zostało w ciele ofiary. Jak miło ze strony sprawcy! Nie trzeba nigdzie szukać. No to wszyscy mamy dużo pracy. Wiecie już, kim jest denat?

– Na razie nie wiemy. Ale po mojemu to znowu jakiś lump. Chyba kloszard. Może jego paluchy będą w naszej bazie, to się szybko dowiemy.

– Jasne. To co, panie Tomku? Jesteśmy w kontakcie. Zapewne to ja będę nadzorowała wasze śledztwo. Wie pan, gdzie mnie szukać. A, mam pytanie. Kiedy ten tu zginął? Według pana?

– Chyba jakoś w nocy albo jeszcze późnym wieczorem.

Według mnie. Nieźle tu wiara imprezowała. Ktoś najpierw sprzedał gościowi kosę, a dopiero potem najprawdopodobniej podpalił ten domek. Chciał zatrzeć ślady albo ukryć jeszcze coś innego. Chyba że to piroman.

- Aha. Ciekawe. Hmm... No to działamy. Czekam na wyniki oględzin techników. Mogę już iść? Czy jestem wam potrzebna? Notatkę ze swoich oględzin napiszę przy biurku. Wasze nazwiska i stopnie znam. Dzisiaj wprawdzie mam dyżur, ale może już nie będę wzywana.

- Dziękuję. Działamy, pani Renato. Wesołych świąt! Proszę pozdrowić małżonka.

- Właśnie! No przecież mamy święta! Prawie zapomniałam. I smacznego jajka. Pozdrowię. On też miał służbę, ale wczoraj. Takie życie, taka praca. Do widzenia panom!

- Do widzenia szanownej pani prokurator! - odpowiedzieli chórkami strażacy.

Po kilku dniach od pożaru altanki na działkach do Komisariatu Policji Wrocław Kamięnsko zaczęły nadchodzić pierwsze raporty.

Najpierw od techników kryminalistycznych. Nie tych kamienieckich, ponieważ zgodnie z wewnętrzną procedurą policyjną do zabójstw i innych nienaturalnych zgonów przyjeżdżali koledzy z KMP. Czasami nawet z KWP. Nadto w jednostkach nadrzędnych było zdecydowanie więcej specjalistów i mieli o niebo lepszy sprzęt. No i pełnili dyżury w dni wolne od pracy.

Na podstawie pobranych śladów linii papilarnych palców ustalono, że nieboszczyk jednak był już notowany.

Za drobne kradzieże i włamania. Kilka razy za nieobyczajne zachowanie w miejscu publicznym. Ktoś z najbliższej rodziny denata, nadal mieszkającej we Wrocławiu, nawet na terenie podległym KP Kamięnsko, wystąpił do sądu o alimenty. Od onego nieboszczyka. Gdy się ich fizycznie nie doczekał, a faktycznie jeszcze „dziada, pijusa i sukinsyna” utrzymywał, wyrzucił go z domu na zbity pysk. Facet był praktycznie bezdomny, pomimo konkretnego stałego adresu zameldowania. Pobierał z MOPS-u zasiłek, który momentalnie przepijał. Sam albo z innymi miejscowymi menelami jemu podobnymi. Aby mieć na wódkę, gość okradał rodzinę, znajomych, sąsiadów oraz każdego, kto porządnie nie zabezpieczył przez rabunkiem metalowego mienia ruchomego przypominającego złom. Żebrał pod sklepem, nagabywał bądź straszył przechodniów.

Zbigniew, bo tak mu było na imię, miał spore grono tak zwanych przyjaciół, wspierających go w licznych szemranych interesach oraz inicjatywach. Najbardziej w spożywaniu. Znakomita większość tego Zbychowego towarzystwa także była już notowana, zatem Stopa nie miał zbyt trudności w zidentyfikowaniu i namierzeniu paru kolejnych wielkanocnych imprezowiczów.

Ci z kolei, odpowiednio przez Stopę i Mundka zmotywowani oraz zainspirowani, uprzejmie zeznali to i owo. Niektórzy puścili farbę mniej, niektórzy nieco więcej, jednak ich opowieści wystarczyły detektywom do częściowego odtworzenia przebiegu altanowego spotkania. Także do namierzenia kilku następnych współbiesiadujących, równocześnie potencjalnych sprawców czynu karalnego, pospolitej zbrodni zabójstwa, zagrożonej

karą od ośmiu lat pozbawienia wolności do dożywocia.

Po kilku dalszych dniach roboczych z Zakładu Medycyny Sądowej nadszedł następny kompletny raport, właściwie ostateczny protokół z sekcji zwłok denata.

Czarno na białym stało tam napisane, że w momencie wybuchu pożaru denat jeszcze żył. Cios zadany w brzuch zwykłym, na poły zardzewiałym nożem kuchennym uszkodził kilka narządów. Przebił śledzionę i jelita, spowodował obszerny krwotok wewnętrzny.

Ale nie to było bezpośrednią przyczyną zgonu. Rzec by można, że gość z majchrem w trzewiach jeszcze jakoś dychał, potem nawdychał się gorącego, toksycznego dymu, opalił sobie to i owo, osmalił płucka, udusił się, na końcu zmarł.

Pod nadzorem prokurator rejonowej Renaty policjanci prowadzili postępowanie zmierzające do ustalenia sprawcy (lub sprawców) zabójstwa. Dochodziło do tego nieudzielenie pomocy, podpalenie, i jeszcze kilka innych przestępstw towarzyszących temu zdarzeniu.

Stopiński uparł się, aby dodatkowo precyzyjnie ustalić faktyczny, najprawdziwszy motyw zabójstwa. Nie przypuszczalny, prawdopodobny, co od razu było wiadome.

- Chcę znaleźć odpowiedź na kluczowe pytanie: dlaczego?

Na pewno doszło do sporu. Awantury. Balangowicze prawdopodobnie pokłócili się o flaszkę, o pieniądze, o zagrychę. Jak to czynią upojone lumpy podczas alkoholowej libacji. Takim wystarcza byle drobiażdżek, by na siebie nastawać.

Nadto to nie było pierwsze takie zdarzenie

w kryminalnej karierze Tomasza.

Impreza imprezą, kosy w brzuchach, w plecach i w piersiach już się zdarzały, ale dlaczego ta skutkowałą śmiertelnym zejściem lokalnego menela?

Chłopcy mogli się spierać o cokolwiek, to się zdarzało, jednakowoż dla Stopy właśnie rzeczony motyw wydawał się kluczowy dla ostatecznego wyjaśnienia całej zagadki.

Policjant twierdził, że jeżeli nie ma sprawcy, po motywie na pewno się do niego dojdzie. Prokuratorka w całej rozciągłości poparła Tomasza, i dała zielone światło do działań. Miała do Stopińskiego zaufanie i dziwną słabość.

Zatem Stopa miał się czym zająć. Służbowo. Zostawał w pracy po godzinach, z uporem maniaka znowu przyszło mu zwiedzać meliny, dworcowe poczekalnie, ogródki działkowe, okoliczne sklepiki sprzedające alkohol. Obowiązkowo skupy złomu.

Biegał po wądołach w dwie wolne soboty i nawet w jedną niedzielę.

W służbowych poczynaniach jak zwykle wsparła Tomasza żona, głównie odciążając go przy ogarnięciu spraw rodzinnych. Dalej teściowa. Trochę kulinarnie, trochę merytorycznie, bo onegdaj sama była świetnym gliniarzem i mogła się także do czegoś przydać. Konceptyjnie. Następnie partner (służbowy, nie prywatny), Mundek, uwielbiający pracę za biurkiem i grzebanie w papierach, wertowanie starych i nowych akt. Wreszcie bezpośredni przełożony, bo łaskawie dał swoim najlepszym gliniarzom kolejne zielone światło oraz wsparcie logistyczne w postaci nieoznakowanego radiowozu. Rzucił obietnicą niezbędnego paliwa do tegoż radiowozu. Ponadto obdarował policjantów

mglitym, cokolwiek niepewnym przyrzeczeniem wygospodarowania środków pieniężnych na premię. Bo na pewno Tomasz na nią zasłużył.

Nie było tajemnicą, że Stopa na premię zasługiwał stale, jak nikt w tym komisariacie, ale nagrody dostawali inni. Jakoś tak wychodziło. Widocznie dopieszczano funkcjonariuszy metodą „na zachętę” oraz za wybitne zasługi. Przyszłe oraz potencjalne. Jak zwykle zresztą.

Jeszcze podczas fazy wstępnej trwającego postępowania wydano rodzinie Zbycha doczesne szczątki krewnego, bo już nikomu do niczego nie były potrzebne.

Denatowi można było zorganizować pochówek. Zewłok na pewno nie mógł zostać w lodówce „zedemesu”. Choćby nawet bardzo chciał. Rodzina ochoczo przystała na pogrzeb, nawet katolicki, taki porządny: z mszą i celebrującym uroczystość księdzem proboszczem z ich parafii. Albowiem nie dość, że rodzinie po prostu to się materialnie opłaciło, to jeszcze sąsiedzi by gadali, obgadywali jak też komentowali. A do takich skandali dopuścić nie należy. Odpowiednio opłacony proboszcz otrzymał instrukcje, co i jak ma przy trumnie powiedzieć. Miało być wspomnienie o nieodżałowanym przykładowym mężu i ojcu szanowanej rodziny, o dobrym chrześcijaninie. O hojnym, pobożnym parafianinie. Bo jak inaczej?

Pochówek Zbycha miał się odbyć na okolicznym cmentarzyku (parafialnym), do tego w dzień powszedni i w godzinach przedpołudniowych.

Aspirant Tomasz Stopiński postanowił zatem pofatygować się osobiście. Na uroczystość. Bynajmniej nie

po to, by rzewnymi łzami płakać na pogrzebie miejscowego lumpa, zawodzić z okolicznymi dewotkami i wyśpiewywać hymny pochwalne, ale w celu obejrzenia sobie żałobników i sfotografowania scenerii. Wyłapania kumpli umrzyka o podobnych zainteresowaniach i pasjach co on sam.

- Ty, a po cholere chcesz tam iść? Nie masz co robić? - zapytał Mundek.

- Gdyby ten pogrzeb był w wolną sobotę, żadna siła by mnie nie zmusiła. A w tę sobotę dyżuru nie mam. Będę przecież wtedy w pracy, to mogę iść. Może pojawi się tam ktoś, z kim jeszcze nie gadaliśmy? Kolejny menel, który mógł być na tej działkowej imprezie? Przesłuchamy sobie gościa. Może wniesie do sprawy coś nowego?

- Masz rację. Nie pomyślałem.

Stopa miał już na końcu języka wredną ripostę w stylu „nie pomyślałeś, bo do tego bezwzględnie potrzebny jest mózg”, która to riposta była jednym z ulubionych powiedzonek dobrej koleżanki jego żony Anki Stopińskiej.

- W dalszym ciągu nie mamy sprawcy. Gdybyś nie pamiętał. Cały czas prowadzimy postępowanie *in rem*. Ktoś przecież jemu, temu całemu Zbychowi, tę zardzewiałą kosę sprzedał. Sam jej sobie do brzucha nie wepchał. To nie japoński samuraj, by honorowo popełniać seppuku. Tylko nasz miejscowy menel. No, może półmenel. Jeszcze niewątpliwie był w stanie upojenia alkoholowego.

- Co? No. A postępowanie prowadzimy w sprawie.

- A co ja powiedziałem?

- Nie wiem. Ale coś innego.

- To było po łacinie. *In rem*. Ale niech ci będzie po polsku, że w sprawie.

- Aha. No. Ale ty masz skojarzenia! Niech cię dunder świśnie... Właściwie chyba dobry pomysł z tym pogrzebem. Może ja też tam z tobą pójdę?

- Jak chcesz, to chodź. Mnie tam rybka - odpowiedział cicho Tomasz. Właściwie mało elegancko odburknął.

Czasami ten Edmund potrafił autentycznie wkurzać Tomasza. Poza tym kompletnie nie wykazywał poczucia humoru. Ani krzty nie potrafił jej z siebie wykrzesać. Teściowa Tomka, zarazem matka Anki, mawiała w takich wypadkach, że gość jest sztywny jak koci ogon. Nudny jak flaki z olejem. Do tego pierdoła saska albo dupa wołowa. Do Edmunda pasowało jak cholera. Wszystko.

Mundek Kurzawa nie interesował się właściwie niczym poza codziennym człapaniem do pracy. Oczywiście tylko do pracy. Nie chadzał na żadne służbowe imprezy, nie uczestniczył w ściepach na okolicznościowe kwiatki i inne sratki-dupatki-czekoladki. Dlaczego?

- Nie, bo nie.

Ponoć nie miał kasy. (A kto z nich miał?). Mundek nie widział zasadności powyższych spotkań. Przecież nikomu tam się nie przelewało.

O niczym pozasłużbowym nie można było ze sztywniakiem pogadać. Zatapiał nos w tej swojej kretyńskiej gazetce, godzinami siedział w papierach albo marudził. Przynudzał jak diabli.

- Poszedłby raz na mecz tego jego Śląska, na ryby, choćby na spacer. Zajął się czymś pożytecznym! Zapisał się do kółka różańcowego albo innej sodalicyj mariańskiej. W mordę jeża! Siedzi tylko w tych swoich laczkach i mędzi.

Edmund bywał przydatny służbowo, owszem, ale kumpel był z niego żaden. Nie tylko dla Stopy. Większość kolegów uważała go za dziwaka. Jeszcze czasami zadawał Tomkowi głupkowate, wkurzające pytania. Na przykład teraz o ten pogrzeb, wcześniej o garnitur, o rajstopy żony. Zamiast cieszyć się wtedy, że jest czym przywiązać rower, albo uśmieć się z nietypowego, wielce oryginalnego, wręcz innowacyjnego pomysłu kolegi, gderał jak stara dewota. Zupełnie jakby czasami wyskakiwał z torów prowadzonych wspólnie spraw i rozmów. Znowu było z nim jak z powiedzonką teściowej: „ja o krupie, on o dupie”.

„A może to ze mną jest coś nie halo, i tylko on w tym gronie jest normalny?” – pomyślał Tomek. Przybrał nawet kwaśną, równocześnie zadumaną minę, ale się nie odezwał, koncentrując się na wsypywaniu kawy do ukochanego kubka z peerelowskiego, peweksowskiego duraleksu.

Polemika ze sztywniakiem na jakikolwiek temat nie miała w tym momencie najmniejszego sensu.

W pogrzebie zamordowanego Zbigniewa uczestniczyło kilkadziesiąt osób. O dziwo.

Na cmentarzu parafialnym zebrał się całkiem spory tłumek. Najmniej tam było nieutulonej w żalu najbliższej rodziny. Reszta, to znaczy znakomita większość przybyłych żałobników, byli to rżadni sensacji starsi wiekiem miejscowi, bardziej uznane lokalne dewoty w osobach bliższych i dalszych sąsiadek z osiedla. Pojawiło się kilkunastu przedstawicieli tak zwanej lumpenproletariackiej arystokracji, którzy godnie reprezentowali środowisko

rzeczoznawców, zbieraczy, fanów całorocznych imprez na świeżym powietrzu, zarazem w pięknych okolicznościach miejskiej przyrody. Wreszcie przybyło kilku honorowych członków piątej brygady. Tej podziemnej. To znaczy w pogrzebie uczestniczyła godna reprezentacja bezdomnych kumpli Zbycha. Towarzyszy od nalewek i winka. (Właściwie to spokojnie można byłoby nazwać to towarzystwo zubożałą szlachtą, bo niekwestionowanymi, uznanymi arystokratami byli Zbunio i jego najbliższa świta. Ci arystokratyczni książęta nie kumplowali się jednak z nieboszczykiem, i na ten pogrzeb nie przyszli).

Na widok jednego z czynnie uczestniczących żałobników Tomasza autentycznie zamurowało.

Facet był jakby okolicznościowo umundurowany. Wystąpił bowiem w garniturze. Nie on jeden. Nie byłoby może w tym odzieniu nic dziwnego, ponieważ na pogrzeby, śluby, do teatru i do opery panowie czasami wkładają garnitury. Gdyby nie drobny szczegół. A to taki, że lump miał na sobie cudne granatowoszare wdzianko od Bugo Hossa. Takie samo jak to, które ze dwa, może trzy tygodnie wcześniej podziwiał Tomek. To wiszące na słupie przed posesją zamieszkiwaną przez Zbunia.

Właściwie to był na pewno, na jakieś dwieście procent, ten sam garnitur. Może tylko ociupinę bardziej poplamiony.

Na żałobnego gościa, zresztą od dawna już znanego policji z drobnych wykroczeń przeciwko porządkowi publicznemu, gustowne, odświeżone wdzianko wydawało się trochę za obszerne. Ale nogawki i rękawy zostały podwinięte do środka i przypięte agrafkami. Obecny użytkownik garnituru wyglądał zatem bardzo odświeżenie

oraz dostojnie. Można zaryzykować twierdzenie, że nad wyraz elegancko. Tym samym wyróżniał się na tle całego towarzystwa.

Tomasz postanowił porozmawiać z nieznanym elegantem.

- Trafiony, zatopiony!

Tu i teraz zagaić wystrojonego żałobnika. Niezwłocznie zaprosić go na komisariat i tam pociągnąć za język. Właściwie najpierw rozpytać, potem ewentualnie przesłuchać. Potencjalnie w charakterze świadka. Na okoliczność pozbawienia życia zmarłego, podpalenia altanki, no i także garnituru. O ostatnią rzecz podpytać tak przy okazji, na marginesie. Głównym tematem pogawędki miały być oczywiście okoliczności śmiertelnego zejścia kolegi Zbycha.

Kradzieży takiego markowego garnituru oficjalnie nie zgłaszano, co Stopa już sprawdził, zatem Tomka bardzo interesowało jedynie nieoficjalnie i już poza tym postępowaniem, skąd ten cudny łach wziął się najpierw na słupie Zenobiusza, a potem na karku tego tutaj. Może dostojny gościu rozjaśni temat? Oby.

Tomasz miał intuicję. Taką gliniarską, warsztatową. W odróżnieniu od swojego służbowego partnera czuł, że wszystko, co łączy się z garniturem, może być z jakiegoś względu ważne.

Może to coś wyjdzie kiedyś na jaw? Może uda się połączyć z jakimś istotnym zdarzeniem?

W stosowej chwili, to znaczy po ceremonii pochówku i rozejściu się żałobnego konduktu, Stopiński uprzejmie zagaił faceta.

Zagajony żałobnik nie wyparł się znajomości ze Zbigniewem. Nawet ochoczo ją potwierdził. Co więcej, jakby oficjalnie usankcjonował swoje czynne uczestnictwo w feralnym melanzu oraz bierny udział w awanturze, która doprowadziła potem do fatalnego zakończenia żywota poczciwego jubilata. Czyli nie nastąpił *happy end*. A mógł, bo impreza była na prawdę fajna.

Na pogrzeb przyszedł, bo chciał. Ba, nie wypadało mu postąpić inaczej.

Żałobnik zezna policjantom wszystko, o co zapytają, jak na świętej spowiedzi, nawet dużo więcej, ale nie teraz, tylko po pierwszej stypie. Bo go oficjalnie zaproszono na uroczystą, smacznie się zapowiadającą konsolację. Jako najbliższego przyjaciela Zbycha. Dodatkowo jako bardzo oddanego sąsiada oraz przy okazji poniekąd szwagra. Znaczy jako prawie najbliższą rodzinę zmarłego.

- Panowie, zrozumcie człowieka! Dajcie pożycz. Temu tu już nic nie pomożecie!

Fakt. Nie pomogą.

Pan pożyczył garnitur od Zbunia. Tego z ulicy Wiejskiej. Za flaszkę nalewki cherry. Nie on pierwszy pożyczył i chyba nie ostatni, bo łacha do jutra musi oddać właścicielowi. W stanie nienaruszonym. Inaczej łachudra jedna porachuje mu kości.

Zbunio ów jakoś tak od niedawna, w zasadzie od listopada czy października zeszłego roku, jest szczęśliwym posiadaczem nieziemskiego, wielce eleganckiego, wyjściowego garnituru. Co z resztą widać i czuć.

- Dostał od kogoś chyba, panie władzo, ale ja tylko pożyczyłem! Nie ukradłem, przysięgam! Za darmo nie

wydaje ścierwo, łachudra jedna. Chytry skurwiel. Wykosztowałem się troszkę. Ale ja nawet w lumpeksie chciałem coś kupić na ten pogrzeb, to tam wyszłoby drożej. I nie było takich ładnych, zagranicznych. No to pożyczyłem od tego sukinkota. Krawat też. Ładny, no nie? Elegancki jak ta lala. Podobno jedwabny. Taki zagraniczny. Dużo taniej mnie wyszło. Rodzina, nie? To trzeba się pokazać. Zbychowi też by się podobał.

Stopiński domyślił się, że zarówno krawat, jak i garnitur spodobałyby się nieboszczykowi. Zbigniew pochwaliłby działania szwagra w temacie.

- A konkretnie to co pana łączy z tym zamordowanym? Jakieś pokrewieństwo?

- No, panie, prawie szwagier jestem. Hę, tego. To znaczy byłem. Bo Władzia, znaczy wdowa po nim, to moja rychtyczna cioteczna siostra. Po matce.

- Rozumiem. To pójdzie pan z nami. Rozmowę o więzach rodzinnych dokończymy na komendzie.

- Teraz? A nie mogę po stypie? Ma być rosół! I schabowy! Panie władzuniu, bądź pan człowiek, jak babcię kocham, to pogrzeb mojego szwagra! No i zwydatkowałem się na ten garnitur! Co ma się tyle dobra zmarnować?!

- A gdzie ta stypa?

- A tu niedaleko, w Kamieńsku. U nas, znaczy się. W tej starej budzie przy Piątkowskiej. Bar Pod Kuflem znaczy.

- Sprawdzimy. Hmm... Dobrze. Niech pan zatem idzie na stypę po szwagrze. Na ten schabowy. No a my sobie poczekamy, aż pan się naje. Potem pan przyjdiesz do nas złożyć wyjaśnienia. - Tomasz spojrzął na zegarek, szybko obliczył prawdopodobną godzinę zakończenia stypowej

konsumpcji. Sam bywał na paru, to się orientował. - Jak się pan do trzynastej nie pojawisz, to idziesz pan siedzieć. Najpierw na czterdzieści osiem, potem pewnie na dłużej.

- Jezu, matuchno najświętsza, za co? Nic nie zrobiłem. Przysięgam!

- Za utrudnianie śledztwa. Albo inne występki. Nawet za zabójstwo szwagra. Zawsze coś się znajdzie. Tylko nie uciekaj, gościu, bo i tak ciebie znajdziemy.

- No przyjdę. Jak babcię Kocham! Przyjdę, i nie zabiłem!
- zaklinał się facet, tłukąc pięścią w klapę pożyczonej marynarki. - Bo to był fajny chłop. A nie taki skurwysyn jak ten Zbunio. - Szwagier Zbycha się zadumał. - Matuchno kochana, to nie ja sprzedałem mu tę kosę! Przysięgam!

Z wyvodu gadatliwego żałobnika wynikało, że tym fajnym chłopem był nieboszczyk, a w ramach lubienia go, szacunku, oddania czci oraz aby sprawiedliwości stało się zadość, szwagrowi także poniekąd zależy na ujęciu i zapuszkowaniu złoczyńcy. To znaczy tego zbira, który wykończył mu krewnego, zarazem przyjaciela.

- No i z kim ja teraz będę pił?

- Dlaczego tak się z nim certoliłeś? Trzeba było go zapudłować! - zapytał Tomka Mundek z pretensją w głosie.

- Ja tam bym go od razu skuł i przesłuchał. Wrzucił do nas na dołek na cztery osiem. Może to jednak on zabił?

- Um. Nie on. Na pewno nie on - zaakcentował Stopiński. - Facet chyba sporo wie, ale to nie on. Poza tym uważam, że po tej stypie facet będzie najedzony, zadowolony i powie nam wszystko, co chcemy wiedzieć. Przecież już kilka razy z nim gadaliśmy. I ładnie sypał.

Jeszcze jedno. Gdyby to rzeczywiście on zabił i potem podpalił altankę, nie przylazłby na pogrzeb i nie pożyczyłby tego garnituru. Odsztafirował się jak stróż w Boże Ciało. Pewnie na swoim ślubie wyglądał mniej elegancko. Jeżeli w ogóle jest żonaty.

- Przestępcy podobno przychodzą na pogrzeby swoich ofiar i wracają na miejsce zbrodni...

- Jasne. Przychodzą. W starych kryminałach Agathy Christie. Nie w naszym pocziwym Kamieńsku.

- Ale mówiłem! Ja bym tam się z nim nie cackał. Facet ci nawieje. I coś ty się znowu czepił tego garnituru?

- Dobra. Niech ci będzie. Czepiłem się. Podoba mi się. Już przestań gderać. Jak chcesz, to go sobie zamykaj teraz. Ja czekam na gościa do trzynastej - niekulturalnie odburknął Tomasz.

Był przekonany na sto procent, że facet do nich przyjdzie, aby złożyć zeznania. I że tego nie zrobił. To znaczy nie zabił Zbycha. Jeżeli był jakkolwiek zamieszany w to zabójstwo, to jedynie pośrednio. Najwyżej postawi mu się zarzut nieudzielenia pomocy, przypucuje się jeszcze coś. Dajmy na to: zniszczenie mienia. Też nie wiadomo czyjego. Przesłucha się gościa na razie w charakterze świadka. Jak będzie fikał albo mataczył, bez problemu zdobędą prokuratorski nakaz, i gość posiedzi dłużej. Na bank ma coś za uszami.

Poza tym do jego przyścia Stopa chciał jeszcze raz na spokojnie przejrzeć materiał zgromadzony w sprawie oraz przygotować się do przesłuchania. Uporządkować dotychczasowe ustalenia. Był pewien, że tym razem ich śledztwo posunie się naprzód. Rzeczoną pewnością dawała

mu intuicja psa policyjnego.

Ze zgromadzonych oraz wreszcie częściowo potwierdzonych informacji niezbiecie wynikało, że pochowany właśnie nieboszczyk, pan Zbigniew Winter, lat pięćdziesiąt, mógł zginąć z ręki kogoś spoza miasta. To znaczy zostać dźgnięty przez jednego z przyjezdnych, przebywających w Kamieńsku na tak zwanych gościnnych występach.

Po dwóch tygodniach intensywnych czynności dochodzeniowo-śledczych detektywom udało się jako tako odtworzyć przebieg feralnej, ostatecznej imprezy rzeczonoego Wintera. Tym samym Stopiński autorytatywnie stwierdził, że zima, to znaczy Winter, odszedł do wieczności spektakularnie, dynamicznie, z przytupem oraz z fajerwerkami. Na dodatek niczym marzanna, bo z pierwszymi oznakami nadchodzącej wiosny.

Tak po prawdzie, to trójkę obcych gości, zupełnie niezwiązanych ani towarzysko, ani emocjonalnie z jubilatem, solenizantem i głównym organizatorem wielkanocnego melanżu, przyprowadził na chatę (to znaczy do altanki) kolega menel pomieszkujący na co dzień w poczekalni dworca kolejowego. Dwóch panów i jedna pani akurat wpadli z wizytą. Na lokalny dworzec, bo do tego kolegi to już niezupełnie. Bardziej wypadli z pociągu, potem pojawili się na dworcu. A że miejscowy kloszard szykował się akurat na proszoną bibę, to zabrał ich ze sobą. Znali się tylko z widzenia, nawet kiedyś z jednym z panów coś razem spożyli, ale to przecież nikomu nie wadziło. Ba, jak najbardziej wystarczyło, by takich przybyszów uznać za serdecznych przyjaciół.

Dlaczego mają oni, nieboraki, samotnie siedzieć pod dworcową ścianą, samotrzeć gapić się na koślawy napis o jednym ukrytym i drugim przyczajonym, skoro mogą zapoznać innych członków lokalnej arystokracji? Nawiązać stosunki towarzyskie z miejscowymi? (To znaczy z arystokracją późniejszego gatunku, bo pierwszym w okolicy, niepodzielnie panującym i niekwestionowanym arystokratą był przecież Zenobiusz Kozłowski. Znany jako Zbunio).

Może w końcu, kiedyś, zrewanżują się zaproszeniem do nich? Ci przyjezdni. Poza tym nikt przy zdrowych zmysłach nie zostawi majątku obcym. A nuż jeszcze coś ukradną? Przecież takich należy mieć na oku. Zajmą legowiska, nakryją się pozostawionymi w poczekalni ciepłymi kołderkami, i jeszcze im się nowa meta spodoba? Zalęgną się na bliżej nieoznaczone dłużej, nie będą chcieli w ogóle wyjechać?

Niedoczekanie...

Gościnnie gospodarz przyjął obcych szczerze i wylewnie. Jak swoich. Poczęstował, uraczył, serdecznie ugościł. Tak po polsku.

Niech rozstawią imię wrocławskiego dobroczyńcy Zbigniewa poza miastem. Ba, nawet daleko poza województwem! Może odwdzięczą się jakoś za zaproszenie? Im szybciej, tym lepiej. Na przykład wdzięczność wyrażą w naturze? Bo taka opcja podziękowania także wchodziła w rachubę.

Po ładnych kilkunastu godzinach wznoszenia toastów: za zdrowie solenizanta, powodzenie gości, za przyjaźń naszą i waszą, wszelaki dostatek oraz na pohybel skurwysynom

(przy tym toaście miejscowi parokrotnie wymienili kolegę Zbunia) mocno wstawiony i cokolwiek zużyty szacowny jubilat doszedł do wniosku, że od przyjezdnych w zasadzie nie dostał jeszcze żadnego prezentu.

A niby z jakiej paki nic nie dostał? Czemu, do czorta, niczego nie wnieśli do sprawy, znaczy na spotkanie? Piją jak za swoje, zakąszają, jakby się dołożyli, a nie przytargali ze sobą nawet głupiej butelczyny. Winka, piwka, nalewki na kościach. Niczego. Na dodatek, skurwiele jedne, chujce jebane, nie chcą dobrowolnie opuścić imprezy. Cudzą altankę prawie zaanektowali do cna, nieliczne legowiska zagospodarowali. Dobrze, że im tu dobrze, ale bez przesady.

Poza tym wszystkim i po kolejnym wybełkotanym toaście w stylu „Panowie i panie! Pijmy szybciej, bo się ściemnia...” miejscowi skapowali, że tak na dobrą sprawę napitki powoli się kończą, a bal dopiero się rozkręca.

Od słowa do słowa, próbowano podziękować obcej trójce za towarzystwo. Bo goście zrobili się uciążliwi. Najpierw poniekąd dziękowano uprzejmie, potem dosadnie. Coraz bardziej rozochoconą trójcę usiłowano jakoś wyprosić, najpierw słowami, potem czynami. Dobitnie wyjaśnić, że już nie są mile widziani. Byli, owszem, na początku, jednakowoż dosyć tego dobrego. Skończyło się babci sranie. Niech sobie idą, skąd przyszli.

Niech wracają w pizdu!

Albo natychmiast się dołożą, względnie jakoś inaczej za gościnę podziękują.

Wyszło na to, że samo wypraszenie zamiejscowych zakwalifikować można było do kategorii „usiłowanie nieudolne”.

Nadmiernie zdrożony wędrowiec, chyba o imieniu Edek, najwyraźniej nie tylko odpoczął sobie na Zbychowej imprezce po uciążliwej podróży koleją publiczną, ale i nabrał był wigoru. Wstąpiły weń siły witalne. Po spożyciu. Darmowym. Sponsorowanym. Większość obecnych z minuty na minutę opuszczały, te siły, u niego było dziwnie odwrotnie.

Edek najwidoczniej uznał, że jemu, jako bardzo ważnemu gościowi, poczęstunek się należy. Im właściwie, bo przecież z daleka przybyli we trójkę. Jego dziewczynie oraz przyjacielowi trzeba udzielić gościny, noclegu, może kilku. Musowo uraczyć, jak też nie szczędzić. Niczego. Tych ostatnich kilku kropelek naleweczki także nie.

Niewykluczone, że do gromadnych rękoczynów doszło właśnie po ostatniej flaszce pysznej i rubinowej naleweczki cherry albo innego markowego winka, zawartością której Edek nie chciał się podzielić ze sponsorami, tym samym z gospodarzami. W ruch poszły zatem nie tylko niewyszukane werbalne kalumnie, ale i fragmenty mebli oraz tak zwane szklane tulipany. Materiału na bitewny oręż walało się dostatek. Butelek, puszek, sztuców. Zdezelowanych krzesel, gazrurek. Było w czym przebierać, czym straszyć, czym miotać, wreszcie czym dźgać.

Najlepszy kumpel Zbycha, równocześnie prawie najbliższy szwagier, jeszcze wtedy na względnym chodzie, zważywszy na okoliczności oraz liczbę wzniesionych toastów, wybiegł z altanki po wsparcie. Po jakąś pomoc. Tudzież po inne argumenty mogące rozładować coraz bardziej gęstniejącą atmosferę. Chyba wybiegł i chyba po odsiecz, bo sam dokładnie nie kojarzył, po co właściwie

stamtąd wybył. I jak. Mogło to być na przykład oddalenie się po butelkę z bimberkiem własnej roboty z przydomowego składziku. Może dwie butelki... Celem wybycia mogło być także zaspokojenie potrzeb fizjologicznych, które miało się odbyć w okolicznych krzakach.

Podczas zeznań na powyższy temat, w krzyżowym ogniu pytań detektywów, szwagier już nie bardzo mógł sobie przypomnieć, o której to było godzinie. Na pewno było już od dawna ciemno, raczej na pewno zimno, a i część balangującego towarzystwa zdążyła opuścić zgromadzenie. Z różnych powodów. Nie zdzierżywszy już okoliczności fizycznie albo tylko psychicznie.

Opuściwszy zacne grono, goście posnęli po kątach, w krzaczkach owocowych i przy okolicznych altankach. Kilkoro obaliło się pokotem na działkowych ławeczkach. Oraz w wygodnych wannach. Także działkowych. Paru kumpli zmogło trochę dalej, gdzieś na osiedlu domków jednorodzinnych. Żadna awantura nie była w stanie wyrwać niektórych z objęć Morfeusza.

Nie wiadomo także, kto co zapamiętał z tego wszystkiego. Pewnikiem każdy co innego i po trochu. Jak to zwykle bywa po dwudniowej balandze.

Szwagier kojarzy tylko, coś mu się majaczy, że jeszcze przed jego wyjściem Zbycho domagał się zadośćuczynienia za gościnę. Jakiegoś prezentu, upominku okolicznościowego, rekompensaty. Gospodarz imprezy najpierw obcych ugościł, potem ową gościnę zweryfikował, na końcu był żądny zadośćuczynienia. Sprawiedliwości dziejowej.

W celu wyegzekwowania praw jubilata, do tego solenizanta i gospodarza, był łaskaw przystawić się na

trochę do zamiejscowej laski. Jedynej baby, która na imprezie się pojawiła i zabawiła dłużej.

Kiedyś mówiło się poderwać, teraz wyrwać.

Tak mu, znaczy Zbychowi, laska przypadła do gustu, że nastawał na jej cześć niewieścią. Głośno oraz wyraźnie nastawał. Publicznie na dodatek.

Samemu szwagrowi ta rura nie bardzo się podobała. Na początku. Innym też nie. Z każdą wypitą literatką jednak coraz więcej. Po kilkunastu godzinach obcowania obok, znaczy w bezpośredniej bliskości damy, paru kolegów zachwyciło się nią oraz zakochało. Dosłownie na zabój. Tak to już jest. Ponoć to naturalna kolej rzeczy.

- No bo wie pan, panie władzo. Jak to mówią? Wszystkie baby są piękne, jeno czasami winka brak...

Słuchając zabawnych komentarzy przesłuchiwanego, także tego na temat laski, innych pięknych kobiet i trunków, Tomasz uśmiechnął się od ucha do ucha.

Teściowa (matka żony Tomka) opowiadała niegdyś, że pracowała z kolegą, który lubił się relaksować we wrocławskich knajpach. Po ciężkiej, niezmiernie stresującej i wyczerpującej służbie. Tam odreagowywał zmęczenie oraz stres. Tak to się wówczas nazywało oraz uzasadniało. W centrum miasta istniała nawet taka jedna restauracja hotelowa, niby resortowa. Czyli w tej milicjant bywał najchętniej.

Gliniarz wychodził z roboty w „fabryce” i szedł na dużą wódkę. Optymalnie w towarzystwie kilku kolegów z formacji. W rzeczonyj restauracji było swojsko tym bardziej, bo gliniarska wiara właśnie tam kierowała

pierwsze kroki. I ostatnie. Knajpa znajdowała się bardzo blisko komendy, miała dobre połączenia tramwajami z resztą świata, a na postoju przed owym przybytkiem resortowej rozpusty stwierdzono dostatek taksówek.

Z dużym prawdopodobieństwem można było natknąć się codziennie na bliższych albo dalszych znajomych. Po prostu było z kim się napić.

Znając swoje upodobanie do mocnych trunków oraz do płci przeciwnej, jak też okazjonalne skłonności do niewierności małżeńskiej, ów kolega teściowej wchodził do lokalu i zaraz, przed konsumpcją, wybierał sobie najpaskudniejszą niewiastę, jaka tamże aktualnie gościła. Nie z charakteru paskudną, tylko z urody. Czyli facet namierzał sobie paszteta, poczwarę, raszplę, megierę, obrzydlistwo. Piękność jednej nocy listopadowej. Jak zwał, tak zwał. Wiek oraz proveniencja tymczasowej wybranki nie były istotne. Mogła to być nawet leciwa kelnerka lub chroma babcia klozetowa. Panienska niecieężkich obyczajów akurat stacjonująca przy barowej ladzie. Towarzyszka innego gościa restauracji. Nierzadko koleżanka z pracy, bo i takie się zdarzały.

Gdy owa uprzednio namierzona pani zaczynała mu się podobać, to znaczy z pięknej inaczej przeistaczała się w tylko piękną, do tego nad wyraz ponętą, powabną, a nawet seksowną, kolega teściowej zwijał dzidę. Płacił za konsumpcję, nawet cudzą, nie szczędził napiwków, zaraz potem kulturalnie dawał w długą. Najczęściej po angielsku. Z przybytku gliniarskiej rozpusty udawał się prosto do domu. Czym i jak się dało. Nawet na piechotę, na azymut. Ażeby przewietrzyć nieco oszołomioną łepetynę.

Spieszył do własnej żoneczki, do własnego łóżeczka.

Kolega teściowej wiedział, że dla niego impreza powinna się rychło skończyć. Ba, on musi przerwać bal, i to radykalnie.

No, może mniej wiedział, bardziej jakby atawistycznie to czuł, ponieważ miał zakodowane.

Najważniejsze, że mechanizm działał, kolega (teściowej) uniknął bowiem tym samym kilku problematycznych sytuacji, komplikujących żywot zdarzeń, tudzież kłopotów. Towarzyskich jak też rodzinnych.

To się nazywa prewencja! Obyczajowa.

Jak można było przypuszczać, krewki Edek, dostrzegłszy uwagę konkurenta, gwałtownie był zaprotestował. Albowiem piękna niewiasta, konkretnie ta, na której cześć nastawano, była jego osobistą koleżanką. Edka znaczy. Tylko jego. Nawet podobno była czymś w rodzaju narzeczonej. Najbliższą, dosłownie i w przenośni, w tym momencie najdroższą jedyną.

Kompletnie nie wchodziło w rachubę jakiejkolwiek używanie przez obcych. Nawet tak gościnnych oraz wylewnych jak Zbigniew.

Łapy precz od jego baby. Co z tego, że gospodarz?

- Wara od Maryśki! Gdzie z tymi łapami, chuju błady!

Czy rzeczona Maryśka także protestowała albo się opierała? Tego szwagier nie wie. Chyba nie. Raczej na pewno nie.

- Jakaś niemocna była wtenczas albo co. Chyba już się pospała, panie władzo. Tak było! Jak babcię kocham!

Stopa początkowo zrozumiał „popsuła”. Mogło też być

„posrała”. Oba wyrażenia także pasowały do kontekstu. Nie chciał przerywać ciekawej opowieści, ale profesjonalizm nakazywał doprecyzować.

- Jeszcze raz powtórz. Co zrobiła?

- No nic nie zrobiła. Mówię: pospała się.

- Aha. Dziękuję.

- Opierała się naonczas chyba o takiego jednego. Tego drugiego obcego. Chyba mu było Antoni. Albo inny taki święty. Nie wiem. Nie bardzo pamiętam... Antoni, Tolek, Tosiek... jakoś tak.

W drodze do domku szwagier lekko zaniemógł. Nie pamiętał jednak szczegółów przemieszczania się i zlegnięcia.

- Film mi się urwał. Jak babcię kocham! Jak siebie znam, to do chałupy lażem na azymut. Na skuśkę. Wie pan władza, jak jest. Wypity byłem!

W tym momencie Tomasz zaczął się poważnie zastanawiać, ile ta babcia może mieć lat. Zapewne dużo. I za co on ją właściwie tak kochał?

Profesjonalizm w każdym calu.

Przesłuchiwany kontynuował wątek urwanego filmu.

Szwagier dowlókł się do szopy na posesji sąsiada i tam się obudził następnego dnia. Okropnie nieświeży, po swojemu nietomny. Przykryty starym worem po kartoflach. Albo po cebuli.

- A jak mocno suszyło!

To jakoś zapamiętał.

Chyba w okolicach późnego śniadania pojawił się we własnym domu, co najbliżsi na pewno potwierdzą, bo żona („moja”) i teściowa były bardzo niezadowolone. Zelżyły

biedaka, wywaliły z chałupy, kazały wracać nazad tam, skąd przyszedł. Kategorycznie poleciły powrócić do rodziny w stanie używalności. Głównie towarzyskiej.

Goście zaproszeni, patrzeć tylko jak zakończą, pieczone w duchówce, a tu, przy familijnym wielkanocnym stole mocno nieświeży pijus. Nicpoń! Wstyd i tyle. Co ludzie powiedzą?

- No to, panie władzo, poszłem kimać do składziku.

Tyle w temacie.

O pożarze szwagier dowiedział się dużo później. Rejwachu na działkach nie słyszał, bo spał snem sprawiedliwego. A popłakał się nawet na wieść o nożu tkwiącym w szwagrowym brzuchu.

- To nie ja! Przysięgam! Tak mi się widzi, że to chyba ten Edek! Morderca! Zbir i menel! Ja żem tylko z nimi pił!

Po zastanowieniu jeszcze dodał:

- Panie, gdybym ja wcześniej wiedział, co się święci, skułbym temu Edkowi mordę już na początku. Jak jeszcze nie byłem mocno wypity. On od razu miał takie wredne oczka!

Znakomita większość rozmów, rozpytań, pogawędek zmiękczejących delikwenta, w tym wypadku z ogródkowymi balangowiczami, odbywała się na terenie komisariatu. W maleńkim, ciasnym, zagraconym pokoju, zajmowanym przez dwóch detektywów z sekcji kryminalnej, to znaczy przez Stopę i Mundka.

Jednostka policji w Kamieńsku nie miała osobnego pokoju przesłuchań. Nie było dokąd przyprowadzać lumpów, meneli, złodziei i kurew. To znaczy ciężko pracujących pań

nieciężkich obyczajów, jakie także pojawiały się w okolicy. Pokrzywdzonych i poszkodowanych. Świadców oraz innych petentów. Nieletnich w towarzystwie opiekunów. Policjanci nie mieli łatwo. A ich warunki pracy wydawały się, delikatnie rzecz ujmując, siermiężne.

Takiego zmiękczonego klienta przejmował potem dochodzeniowiec. Ewentualnie. Żeby formalnie dokończyć przesłuchiwanie, a finalnie przedstawić mu zarzuty. Bądź też poinformować, że osoba zostaje przesłuchana w charakterze świadka. Także formalnie, co oczywiste, i na podstawie odpowiedniej procedury, spisanej w Kodeksie Postępowania Karnego.

Tomasz Stopiński bardzo ubolewał z powodu braku godziwych warunków, nawet takich minimalnie biurowych. Jego żona zasiedlała w swojej pracy przestronny samodzielny gabinet. Wcześniej pięknym służbowym lokum dysponowali teść i teściowa. Mama i tata. To chłopina przez lata się naoglądał i teraz zazdrościł.

Na dodatek niektórzy goście detektywów specyficznie pachnieli. Bardziej okropnie cuchnęli. Okno wspólnego pokoju Mundka i Stopy rzadko kiedy było zamykane. Pomieszczenie należało stale wietrzyć. Nie raz, nie dwa emitowany przez gości fetor wydostawał się na korytarz i momentalnie zasmradzał inne służbowe pomieszczenia w komisariacie.

Cudnej urody garnitur, ten ze Zbuniowego słupa, aż tak bardzo nie jechał nieświeżym lumpem albo kloszardem. Widocznie pomogło mu wietrzenie. Na pewno nie zaszkodziło. Ten sposób jest zawsze dobrym patentem na odświeżenie odzienia.

Ponieważ szwagier umrzyka także niedawno się umył, ostatnio chyba z okazji rodzinnych uroczystości żałobnych, to przesłuchiwanie go nie było dla policjantów zbyt uciążliwe. O dziwo stało się nawet znośne. Tomasz zadawał pytania zasadnicze i dodatkowe, szwagier odpowiadał nawet wyczerpująco i sensownie, bo w komisariacie pojawił się pokornie po sutej stypie i bez kropli alkoholu w ustach. Co najistotniejsze - punktualnie. Jeszcze przed ustaloną godziną trzynastą.

- Nawet setuchny poskapili! Jak stypa bez wódeczki? Nie uchodzi!

Promila we krwi nie uświadczył. Wot i przykrość.

Podczas konstruktywnego dialogu ze szwagrem umrzyka Edmund robił bieżące notatki, a zeznania od razu wpisywał do gotowego formularza protokołu. Odręcznie.

Po kilkugodzinnym przesłuchaniu wyelegantowanego szwagra Stopiński prawie był w domu. Z wiedzą na temat zabójstwa. Wielkanocne wydarzenia nareszcie zaczęły się układać chronologicznie oraz logicznie. W konkretną całość. Brakowało kilku ważkich elementów, należało popracować nad szczegółami, ale policjanci mieli już zdecydowanie bliżej niż dalej. Oczywiście bliżej rozwiązania kolejnej zagadki kryminalnej.

Należało niezwłocznie potwierdzić spowiedź szwagra, odzianego cały czas w garnitur pożyczony od Zbunia za butelczynę. Informacje zdyskontować. Wprawdzie na czas zgonu Zbigniewa jego szwagier nie miał rzetelnego alibi, ale przecież sprawa zakończona nie została. Na razie wystąpił jedynie w charakterze świadka. Na pewno jeszcze nie był formalnie podejrzanym.

Postępowanie wkroczyło w kolejną fazę. Krąg osób podejrzewanych o zabójstwo zawęził się do trzech osobników płci męskiej.

Teraz najważniejszym zadaniem było sporządzenie portretów pamięciowych potencjalnych sprawców zbrodni. Przyjezdnych na pewno. Tego Edka, bo to chyba od Edwarda, Toniego albo Tośka, no i przy okazji towarzyszącej tym dwóm pięknej Maryśki. Marii, Marianny albo Maryny.

- A, panie władzo, diabli ją tam wiedzą. Mańka chyba. Bo Święta Maryja to ona nie była.

Gdyby ci jeszcze nie do końca ustaleni nie zostali rozpoznani w dostępnych rejestrach, należałoby rozpuścić za nimi listy gończe, wysyłając w Polskę przygotowane portrety pamięciowe.

Przede wszystkim trzeba się było rozmówić z nadzorującą z urzędu, niby prowadzącą postępowanie prokurator Renatą. Może coś jeszcze zaproponuje, wskaże, nakieruje. Podpowie, pouczy. Spojrzy na śledztwo z innej perspektywy. Do tego przecież jest (jak dupa od srania). Tym bardziej trzeba pogadać, ponieważ jeszcze nikomu formalnie nie postawiono zarzutów. Nadal postępowanie prowadzone było *in rem*, czyli w sprawie, a nie przeciwko osobie (*in personam*).

Na pewno należałoby namierzyć konduktorów pociągu osobowego, który zatrzymał się wówczas na stacji Wrocław Kamieńsko. Może coś jeszcze kojarzą.

Jak będzie potrzeba, warto skonfrontować zeznania imprezowiczów. Zorganizować tak zwane okazanie, może nawet wizję lokalną. Przecież chodzi o zbrodnię! A nie o byle włam do altanki. Ale już w innym miejscu, bo to

właściwe uległo zniszczeniu.

Odtworzyć zdarzenia godzina po godzinie, kwadrans po kwadransie, minuta po minucie. Przynajmniej od kluczowego momentu wskazanego przez szwagra, gdy to solenizant głośno i wyraźnie upomniał się o swoje „czesne”, odstępnę albo inną rekompensatę za korzystanie z miejscówki. Czyli o opłatę za miejsca półleżące w jakby hoteliku, który jakiś czas wcześniej sam był zagospodarował, jak też przejął we władanie.

Optymalnie jednak przydałoby się znać cały przebieg wielkanocnych imienin. Od pojawienia się pierwszego gościa do zawiadomienia (wezwania) straży pożarnej przez wielbiciela świątecznego żurku.

Znakomita większość ustalonych imprezowiczów została już przesłuchana. Pozostało jeszcze tylko co najmniej dwóch miejscowych, lokalnych gości jubilata, wśród nich prekursor ekumenicznego melanzu, czyli ten konkretny kloszard dworcowy, który przywłókł obcych. A gdzieś człowieka wciągnął. Od dłuższego czasu nie widziano go na „jego” dworcu. Panie z kas biletowych, zawiadowca stacji i inne osoby, z którymi gość zwykle stykał się tam na co dzień, także nie kojarzyły, by go ostatnio oglądały.

- Kiedy? Hmm... Przed Wielkanocą na pewno. Potem chyba nie.

- A wiesz pan? W sumie? Ostatnio go jakby nie było.

Istniało przypuszczenie, że menel mógł wyjechać z miasta w towarzystwie nowych kumpli, czyli Edka, Tośka i Marychy.

- Ciekawe, gdzie jest ten kolejowy piździelec i co ma na sumieniu? Po mojemu współudział...

Tomasz stwierdził, że najprawdopodobniej ma tym samym ustalonego kolejnego potencjalnego sprawcę, którego pilnie należałoby przesłuchać. I jakoś zdaktyloskopować. Najpierw namierzyć, potem doprowadzić. To oczywiste.

No i jeszcze to nieszczęsne trio zamiejscowych. Tercet prawie egzotyczny, bo na dobrą sprawę także nie do końca było wiadomo, skąd oni przybyli.

- Pewnikiem z antypodów.

Przynajmniej tak wyglądali. Z jednoźródłowej i na razie niepotwierdzonej informacji wynikało, że mogli przybyć z niedalekiego zagłębia miedziowego. Z Lubina, Głogowa, Legnicy. Może z Polkowic. Koczowali sobie spokojnie i dostatnio tam, gdzie najwięcej kopalni oraz wielkich budów. Tym samym ciepłych zakamarków. No i jeszcze tam, gdzie dostatek złomu zbrojeniowego. Mnóstwo materiału do zagospodarowania przez rzeczoznawców. Gdzie niemało bogatych mieszkańców rozumiejących potrzeby wolnego człowieka.

Po wnikliwej analizie zgromadzonego materiału policyjni detektywi przybliżyli się troszeczkę do przypuszczalnego, prawdopodobnego motywu zbrodni.

Wyglądało na to, że kilku panów pokłóciło się o rurę. Albo o szyjkę. Taką z butelki lub, co po zeznaniach szwagra stało się najbardziej prawdopodobne, o taką rurę spod babskiej spódnicy. Jedna z wysuniętych hipotez zakładała spór o obie szyjki równocześnie.

Równolegle, przy okazji innych czynności, Stopiński częstował przesłuchiwanym i rozpytywanym widokiem

fotografii ofiary wypadku komunikacyjnego. Nadal nieznanego z imienia i z nazwiska. Nietypową fotkę okazał podczas przesłuchania także szwagrowi ostatniego denata.

- A właśnie. Pytanie z innej beczki. Zna go pan?

- Nie wiem. Dziwny jakiś. Nalany taki na gębie. Ale... czekaj pan. Jakby widziałem. Trochę podobny do takiego jednego, ale włosy ma inne.

- A do kogo podobny? Co za jeden?

- Nie wiem. Nie znam. A co mu się stało? Widzi mi się, że też nieboszczyk.

- Owszem. Nieboszczyk. Ale z kim go pan skojarzył? - Stopa uznał, że rozmówcy należy się szacunek. Między innymi za spełnioną obietnicę przyjścia, ponadto za dobry gust. To znaczy założenie garnituru od Bugo Hossa.

- Panie władzo, no bo taki podobny chyba kiedyś był pod moją szopą, i coś chciał mi zabrać. Zwinąć znaczy. Kręcił się po okolicy i myszkował. Ale go pogoniłem. Potem jeszcze go gdzieś widziałem.

- Dziękuję. To mi wystarczy.

Potwierdziła się informacja, że sztywniak ze zdjęcia w komórce mógł być już widziany w okolicy Kamieńska. Czyli niby miejscowy był. Na razie tylko tyle.

- Szukamy nadal. Pierwsze koty za płoty.

Wczesną jesienią w Komisariacie Policji w Kamieńsku pojawił się starszy pan. Dyżurnemu zgłosił zaginięcie brata.

Tłumacząc powód swojej wizyty, pan kulturalnie uzasadnił, że najpierw wydzwaniał do braciszka kilkanaście, może nawet kilkadziesiąt razy o różnych porach. Potem, to

znaczy teraz, osobiście przyjechał do niego z innego miasta, gdzie żył i od paru ładnych lat oddawał się emerytalnemu nicnierobieniu. Brata w chałupie nie zastał. Zastał natomiast okrutny, od dawna nie sprzątny bałagan. Wewnątrz i na zewnątrz. Przy domu rosły stare, od wielu miesięcy nie wrywane chaszczki i chwasty. Pan zauważył także lekko zapadnięty dach szopy. Zupełnie jakby od dawna nikogo tam nie było.

Uważa zatem pan petent, że jednemu braciszкови mogło się coś przytrafić. Na pewno nie wyjechał, bo nie miał dokąd. Brat żył bardzo skromnie, nawet biednie. Nikomu nie dawał sobie pomóc.

- Dlaczego dopiero teraz pan zgłosił?

- Ano dlatego, bo byliśmy skłóceni. Od lat. O majątek po rodzicach. To znaczy o tę starą, zrujnowaną, ponemiecką chałupę i o kawałek ogródka. O sad z paroma starymi drzewami. Też stary, przedwojenny, niewiele wart. Panie sierżancie, mój brat był trudnym, kłótliwym człowiekiem, na dodatek upartym jak stary osioł. Nie dał się namówić na korzystną sprzedaż domu i gruntu, na uczciwy podział majątku, na przeniesienie go na stare lata w bardziej przyjazne miejsce. Od dawna mu proponowałem. Nawet płaciłem za ten jego telefon, żeby mieć z nim jakiś kontakt.

Obecny zaginiony był od wielu lat skłócony oraz zwaśniony z całą bliższą i dalszą rodziną, nie tylko z rodzonym bratem. Nawet z sąsiadami nie gadał „od wieków”. Okradał ich, złośliwie niszczył sąsiedzkie mienie.

- Stary dureń, ale mój jedyny brat. Tylko on mi teraz został. I przyjechałem, ażeby wreszcie zakopać topór wojenny. Może namówić starego osła na wyprawdzkę.

Od słowa do słowa i dyżurny komisariatu, zanim formalnie przyjął zgłoszenie o zaginięciu mężczyzny, zawołał aspiranta Stoińskiego. Ten z kolei, dowiedziawszy się, o co starszemu panu chodzi, wyciągnął z kieszeni marynarki prywatny telefon komórkowy i okazał śliczną fotkę twarzy ofiary wypadku komunikacyjnego. Dokładnie tę facjatę zeszytą po sekcji zwłok za pomocą gustownego ściegu krzyżykowego.

- Boże złoty! Tak, to mój brat. Nie żyje, prawda? Tak czułem. Co mu się stało? Kiedy to było? Cierpiał przed śmiercią? Gdzie został pochowany?

Zanim Tomasz wyczerpująco odpowiedział na pytania starszego pana, poprosił o ponowną relację i podanie powodu wizyty w komisariacie. Oraz zapytał o dokładne dane. Brata. Przybyłego pana oczywiście także. Imię, nazwisko, datę urodzenia, adres zamieszkania i zameldowania. Dowód osobisty starszego pana leżał przed nim na biurku.

- Nazywa się Alojzy Kotas.

- Przepraszam, jak? Proszę powtórzyć. - Stopa uznał, że się przesłyszał.

- Alojzy Kotas. Nieładnie się nazywa, wiem. W szkole przezywali nas „kutasy”. Ja się szybko wyprowadziłem z domu, robiłem na kopalni miedzi, potem się ożeniłem i na ślubie przyjąłem nazwisko żony. A brat został w tym toksycznym towarzystwie. Nie ożenił się, nazwiska nie zmieniał. Był starym, bezdzietnym kawalerem.

- Bardzo mi przykro. Rzeczywiście mieliście panowie no... hmm... niefortunną godność. - Mimo wszystko miło się rozmawiało z kulturalnym, obytym, starszym panem.

Przy okazji Stopa skonstatował, że gdyby on sam miał na imię Alojzy, na dodatek nazywał się Kotas, to już dawno temu by się z tego powodu pochlastał. Albo też, osiągnąwszy pełnoletniość, na pewno zmieniłby sobie zarówno imię, jak i nazwisko. W ogóle się nie dziwił, że ten nieżyjący już facet był wredny i zgryźliwy. Z takim mianem każdy by był.

- Bardzo panu współczuję - powtórzył Stopiński. - Jeszcze będzie pan się musiał pofatygować do wrocławskiego urzędu stanu cywilnego i tam połatwiać formalności. Pański brat został pochowany jako osoba nieznana.

Detektyw nie dodał już, że miejsce obecnego pochówku nie było ani ładne, ani interesujące. Znajdowało się na końcu najbliższego cmentarza komunalnego, w kwaterze dla osób nieznanymi, pod starym, wałącym się płotem. Na urzędowej tabliczce widniała jedynie płeć i data śmierci.

Równocześnie Tomasz starał się ukryć autentyczną radość z faktu, że zmarła ofiara wypadku drogowego została nareszcie zidentyfikowana, a kolejna służbowa zagadka prawie rozwiązana. Prawie. Sprawcy bowiem nadal nie ma, ale ofiarę poznano z imienia i z nazwiska. Oraz, co najistotniejsze, po roku z okładem trzymania nietypowej foty w telefonie nareszcie można ją stamtąd na trwałe usunąć.

Bawiąc służbowo w okolicach ulicy Wiejskiej, aspirant sztabowy Tomasz Stopiński za każdym razem starał się choć przez moment rzucić okiem na posesję Zenobiusza Kozłowskiego. Sprawdzić, co się tam dzieje, czy przypadkiem nie zaszły jakieś zmiany. Estetyczne,

budowlane, remontowe.

Stopę ciągnęło okrutnie do widoku granatowoszarego garnituru od słynnego Bugo Hossa. Nie mógł się oprzeć. Śmiało można stwierdzić, że na punkcie tego ciucha Stopiński dostał klasycznej obsesji. Znaczy pierdolca. Nie tylko służbowo, ale zdecydowanie bardziej prywatnie. Kilka razy rzeczywiście dostrzegł ten garnitur. Wówczas niezmiennie wisiał sobie na starym słupie. Garnitur. Nie Tomasz. Raz nawet bez wieszaka. Niedbale, tylko na gwoździu. Wisiał i się wietrzył.

Widocznie szczęśliwy posiadacz i właściciel odzienia, lump, menel tudzież półkloszard, sukinsyn i skurwiel nad skurwiele, jednakowoż niekwestionowany przywódca lokalnych rzeczoznawców, nadal robił na nim niezły interes. Konsumpcyjny.

Od inauguracyjnego kontaktu wzrokowego aspiranta Tomasza Stopińskiego z garniturem (tym od Bugo Hossa) minął ponad rok.

Miłość od pierwszego wejrzenia trwała *constans*. Niestety, bez wzajemności. Cudne odzienie męskie najwyraźniej spędzało policjantowi sen z powiek, przyprawiało go o hercklekoty, oraz, jak to z platonicznym uczuciem bywa, także o motyle w brzuchu.

Stopa uparcie odwiedzał drogie sklepy w poszukiwaniu czegoś podobnego. Przymierzał kosztowne spodnie i marynarki, gdzie się tylko dało. Cmokał i z niedowierzaniem kiwał głową na widok cen na metkach. Nawet po siedemdziesięcioprocentowej przecenie nie stać

go było na ekskluzywny zakup. Przymierzał, oglądał się w lustrze, potem odkładał na miejsce, wzdychając teatralnie do sztucznie uśmiechniętych subiektów.

- Nie ma pan (pani) może ociupinę większego? Mniejszego? Jaśniejszego? Ciemniejszego? W tym coś podszywka ciągnie... Chyba źle odszyta. Nie ma? Och. Jaka szkoda!!! Już prawie się zdecydowałem.

Oczywiście nie kupił niczego podobnego, bo po prostu nie miał kasy. Niepodobnego też nie nabył, z tego samego powodu.

Nadto rozsądna żona niezmiennie zadawała Tomkowi jedno ze swoich głupich pytań:

- Podoba ci się? Jeżeli bardzo potrzebujesz, żyć bez nowego garnituru nie możesz, to sobie kup. Jakoś wyskrobię. Najwyżej nie pojedziemy z dziećmi na wakacje. Bez dzieci także nie. Albo będziemy trzy miesiące wpieprzać kupny makaron z białym serem.

Potem dodawała z właściwym sobie przekąsem:

- Przypominam ci tylko, skarbie mój ty kochany, że w szafie masz pięć dobrych garniturów, co najmniej piętnaście marynarek i dwa smokingi.

Dzielny detektyw mógł sobie pozwolić tylko na same rękawy od markowej marynarki. W porywach i okazjonalnie. Bezskutecznie szukał przecen na garnitury, zaprzyjaźniał się z właścicielkami kilku niby ekskluzywnych second-handów. Ponieważ w rzeczonych lumpeksach czasami można było trafić na coś oryginalnego i pięknego. Stopa też raz trafił, owszem, ów trafiony garnitur od Bugo Hossa był nawet nieco podobny do wymarzonego, jednak o cztery rozmiary za duży.

- Tyle mojego, ile sobie pomacałem i poprzymierzałem.

Wczesnym latem nastąpiła fala upałów.

Początek czerwca był niemożliwie duszny i gorący. Rodzina Stopińskich szykowała się do urlopu, tym razem za granicą, zdołała bowiem uciąć trochę pieniędzy na tygodniowy pobyt nad Adriatykiem. Lato na prawie antypodach zapowiadało się wielce interesująco. Służba w policji jednak już taka interesująca nie była. Wakacyjnie interesująca także nie. W sferze marzeń pozostawały w dalszym ciągu siedzenie we względnie chłodzie i znośne warunki pracy. Dla wszystkich gliniarzy komisariatu w Kamieńsku.

Pewnego pięknego, upalnego i słonecznego ranka detektywi aspiranci Tomasz Stopiński i Edmund Kurzawa otrzymali zgłoszenie, że należy się pilnie udać do jednej ze starych kamienieckich kamienic w samym centrum przedmieścia, czyli opodal ich komisariatu. Tam, w asyście straży pożarnej oraz wezwanego lekarza z pogotowia ratunkowego, trzeba było się jakoś dostać do mieszkania należącego do starszej pani. Najlepiej wejść przez okno.

Dlaczego tą drogą? Albowiem istniało uzasadnione przypuszczenie graniczące z pewnością, że owa pani od jakiegoś czasu nie żyje, a jej doczesne szczątki były uprzejme wyemitować specyficzne wonie, które dla bezpośrednich sąsiadów stały się cokolwiek nieznośne oraz uciążliwe. To znaczy nadal są uprzejme emitować. I to bardzo.

Fetor zwłok stał się nie do zdzierzenia przy tym

sakramenckim upale.

Właścicielka mieszkania jakiś czas wcześniej raczyła osobiście zabarykadować się od środka, pewnie ze strachu przed rabusiami, sąsiadami i kimś jeszcze, albo tylko z przyzwyczajenia. Przy tym nie omieszkła pozamykać na amen okien i lufcików, potem wrednie odejść z tego padołu, robiąc sąsiadom na złość. Ponoć za życia także była wredna, upierdliwa do bólu, wścibska, i od lat nikt nie chciał się z nią zadawać.

W każdym razie wyszło na to, że jedynym sposobem na pozbycie się nieprzyjemnego smrodu było wejście do mieszkania przez okno i zrobienie porządku z upiorną babą. To znaczy z tym, co po niej zostało. Ostatecznego porządku.

Dla strażaków taka akcja to bułka z masłem. Dla zaprawionego w policyjnych bojach Tomasza w zasadzie także. Jak się potem okazało, dla innych uczestników tego nietypowego urzędowego włamania już niekoniecznie. Ani bułka, ani tym bardziej z masłem.

W towarzystwie jednego z kolegów strażaków Stopa wjechał na platformie strażackiej, zwanej koszem, na wysokość drugiego piętra starej, przedwojennej kamienicy. Z zewnątrz usiłował zajrzeć do cuchnącego lokum przez brudne okno. Jeszcze nie było czuć, że cuchnęło, ale Tomek miał tego świadomość. Starał się przygotować psychicznie na okoliczność okropnego fetoru rozkładających się ludzkich zwłok. Nikogo wewnątrz nie widział. Ani żywego, ani martwego. Tylko stare meble, wyliniałe dywany, sprzęty codziennego użytku. Uwagę detektywa przykuły wiszące na ścianach leciwe makatki, ponieważ jego babcia miała podobne.

Aby dostać się do środka, policjant zmuszony był poczekać na wybicie szyby w jednym z okien. Z wielką wprawą uczynił to kolega strażak.

W tym momencie okrutny odór rozkładających się w upale ludzkich zwłok omal nie powalił obu mundurowych na podłogę kosza i nie zrzucił ich z platformy na ziemię.

Stado tłustych, brzęczących much wydostało się na zewnątrz razem ze smrodem. Stopiński nabrał w płuca upalnego, ale troszkę świeższego powietrza i przez dziurę w szybie chyżo wskoczył do mieszkania. Najpierw pootwierał na oścież wszystkie okna, jakie tylko znalazł, to znaczy wszystkie dwa, potem dopiero udał się do wnętrza w poszukiwaniu właścicielki. Znalazł. Leżała sobie w wąskiej sionce przy drzwiach wejściowych. W stanie częściowego rozkładu, czego zasadniczo można się było spodziewać. I już tak spuchnięta, że jej zwłoki, w zasadzie kompletnie wydęte doczesne truchło wylewające się z nocnej koszuli, zajmowały prawie całą podłogę niewielkiego pomieszczenia.

Trzymając się za nos, na resztkach zgromadzonego w płucach powietrza, przy całkowitym bezdechu, Tomek sprawnie przeskoczył leżącą panią, po czym zaczął się mocować z trzema okazałymi zamkami u drzwi wejściowych. To znaczy usiłował otworzyć te wrota od środka. Tak zupełnie i do końca mu się to jednak nie udało. Po odblokowaniu dwóch zasuw zaniechał mozołu i uciekł z mieszkania przez otwarte okno, przy którym nadal wisiała platforma strażacka. Tą samą drogą, którą wszedł.

Mimo solidnego sportowego i policyjnego wyszkolenia Stopiński nie poradził sobie z obecnymi warunkami pracy. Radykalnie się pogorszyły. Na domiar złego jego policyjne

szkolenie BHP nie dotyczyło podobnych sytuacji.

Ani chwili dłużej nie dało się pozostać w mieszkaniu denatki. Za chińskiego boga. Jeszcze dwie, trzy sekundy zwłoki, a detektyw ległby bez życia tuż obok truchła starszej pani.

- I co tam jest? Znalazłeś zwłoki? - zapytał Tomasz czekający w koszu dowódca wozu strażackiego.

- O kurwa - wysapał Stopa. - Jak w bakutilu... No, ja jeszcze żyję. Ona już od dawna nie. Rozłożyła się przy drzwiach wejściowych. Dosłownie także.

- Aha. - Strażak chyba nie zrozumiał inteligentnej aluzji policjanta dotyczącej zastanej sytuacji oraz faktu, że zwłoki w stanie kompletnego rozkładu blokowały drzwi wejściowe.

- To co robimy?

- Wyważamy te drzwi. Nie udało mi się ich otworzyć od środka. Nie wyrobiłem po prostu. Jeden zamek jeszcze trzyma. Mam próbować jeszcze raz?

- Nie, skąd! Dobra. To wchodzimy tam z klatki.

Aby zabezpieczyć zwłoki kobiety, przeprowadzić niezbędne czynności, uprzednio dokonać przewidzianej przepisami wstępnej obdukcji przedlekarskiej i na ten moment wykluczyć działanie osób trzecich, tym samym stwierdzić zgon kobiety z przyczyn naturalnych, należało jakoś względnie normalnie otworzyć drzwi wejściowe. Umożliwić działanie policji, lekarza, prokuratora.

Przecież organy publiczne nie będą wchodzić do mieszkania umrzyka przez okno. Na dodatek z kosza platformy umieszczonej na dźwigu wozu strażackiego. Ani to wygodne, ani bezpieczne. Dozwolone też nie bardzo. Zdecydowanie za dużo luda pchało się do mieszkania

denatki, a w koszu mogły jeździć maksymalnie trzy osoby naraz. Lekkie. Tak w ogóle i zgodnie z przepisami, to tylko dwóch strażaków. Albo dwie inne osoby po specjalistycznym przeszkoleniu oraz otrzymaniu specjalnego certyfikatu. Znaczący uprawnionych do takich podróży.

Nadto cywilizowani ludzie na ogół wchodzą do mieszkań przez otwarte drzwi.

Po konsultacji z dowódcą sikawki aspirant Stopiński podjął decyzję o wyważeniu wrót za pomocą specjalistycznego dźwigara, pozostającego do stałej dyspozycji strażaków. Hydrauliczny dźwigar stanowił element niezbędnego wyposażenia rzeczonyj sikawki.

Z tego wszystkiego Stopa zapomniał w porę nadmienić, że z samym otwieraniem drzwi do środka należy szczególnie uważać, zwłoki blokują bowiem wejście i przejście. To znaczący niby nadmienił, ale po swojemu. Właściwie Tomek tę informację wydyszał, wysapał, i to jeszcze jadąc na dół w strażackim koszu.

On przynajmniej posiadał niezbędne uprawnienia do nietypowych podróży, ale inni funkcjonariusze komisariatu w Kamieńsku takowych nie mieli.

Zanim jednak specjaliści zadziałali mechanicznie na babcine wrota zawarte na amen, na klatce schodowej kamienicy zgromadził się już spory tłumek bab i chłopów w różnym wieku. Dzieci też. Na schodach i piętrach stłoczyło się zatem kilku policjantów, wśród nich Tomasz, który najchętniej natychmiast nawiałby stamtąd gdzie pieprz rośnie, bo jako jedyny był w środku i na własne oczy ujrzał zdefasonowany zewłok starszej pani. Oraz, co najistotniejsze, poczuł nosem. Najpierw poczuł, potem

zobaczył.

Dalej dwóch strażaków w pełnym rynsztunku, wyposażonych w dźwigar do wyważania drzwi i nie tylko, czyli w urządzenia wielofunkcyjne à la profesjonalne łomy. Ci z kolei, jako pierwsi rzetelnie poinformowani o zjawisku, także nie mieli wielkiej ochoty włączyć do środka. Chcieli jedynie otworzyć te diabelskie wrota, potem czym prędzej zakończyć swoją akcję.

Następnie przebierało nogami dwoje przedstawicieli prokuratury rejonowej wezwanych na miejsce. Dwoje. Albowiem prokuratorowi dyżurnemu towarzyszyła młoda pani asesor. Babeczka ambitna, ciekawa świata, na pewno żądna widoku pierwszego swojego służbowego nieboszczyka. Aż się paliła, żeby wykonać fachową obdukcję prokuratorowską, stwierdzić co trzeba, potem koniecznie to wszystko wyczerpująco opisać. Do tego zaimponować przełożonemu fachowością i zaangażowaniem.

Przed drzwiami stał zaproszony do nieboszczyka lekarz pogotowia ratunkowego, który już wprawdzie kilka takich niemiłych sytuacji przerabiał, ale bardzo mu było pilno do innych zajęć, bo karetka otrzymała kolejne wezwanie. Tym razem do jak najbardziej żywego chorego, któremu dla odmiany można było jeszcze jakoś pomóc. Właściwie to doktor miał ochotę stwierdzić fakt zgonu kobiety po samym zapachu oraz po opisie Tomka. Zebrał wystarczająco dużo danych. Na widok groźnych, zasadniczych min prokuratorów płci obojga postanowił poczekać na widok.

Kilku mundurowych usiłowało powstrzymać licznych gapiów od stratowania przedstawicieli służb publicznych. No i od zatarcia potencjalnych, jeszcze niezabezpieczonych

śladów, gdyby się okazało, że starszej pani jednak ktoś pomógł w przeprowadzce na tamten świat. Zadaniem owych miejscowych funkcjonariuszy było także zabezpieczenie mienia właścicielki mieszkania przed grabieżą, bo już się oczywiście lotem błyskawicy rozniosło, że w chałupie pozostały skarby, jakich świat nie widział. Bo po co niby sąsiadka stosowała aż takie zabezpieczenia? Gdyby babcia nie miała nic cennego, nie ryglowałyby podwójnych drzwi na trzy jebutne zamczyska. To oczywiste. Normalni sąsiedzi mieli po jednym lichym zamku i jakoś nikt się do nich nie włamywał. Na chude mienie nie nastawał. Czasami im się zdarzało w ogóle nie zamknąć wejścia i też żaden zbir ich nie odwiedził.

Zatem ciekawscy sąsiedzi dyżurowali w pobliżu, by wykorzystać dogodną sposobność, potem niezauważenie co nieco przytulić sobie z tego wielkiego majątku. Albo na wyścigi. Należy im się przecież jak psu buda, choćby za starty moralne. Albo przez zasiedzenie. Nieboszczce nic się nie przyda, a na horyzoncie nie stwierdzono obecności żadnego spadkobiercy.

Dodatkowo okoliczna ludność zablokowała przejście chodnikiem przed kamienicą. To znaczy mieszkańcy Kamieńska, zwabieni widokiem wozu strażackiego i dwóch policyjnych radiowozów, nie wspominając o ambulansie. No bo działania straży i policji były niecodziennie sensacyjne. Do tego karetka. Działo się!

Drzwi nareszcie puściły. Chłopcy z rozbiegu tak się zaparli i na wyważane wrota naparli, że otwór wejściowy zdolali rozewrzeć i powiększyć do czterdziestu, może do pięćdziesięciu centymetrów. Z powodu naturalnej

przeszkody wewnątrz, nie dało się więcej. Tym samym strażacy nieco sfatygowali mechanicznie zwłoki leżące przy drzwiach.

Pierwszy wskoczył przez próg młody policjant, adept zawodu, od kilku dni odbywający praktykę w kamienieckim komisariacie. Pociotek jakiegoś ważniaka z komendy miejskiej, przeto sam najważniejszy w całej wsi. Znalazłszy się wewnątrz, wszedł był jedną nogą w ciało nieboszczki, niechcący rozczłonkowane dodatkowo przez otwierane drzwi. Czyli wdepnął. Dosłownie i w przenośni. Wprawdzie w momencie mechanicznej dewastacji zwłok ponownie buchnęło okrutnym odorem, po stokroć intensywniejszym niż kilka minut wcześniej po wybiciu szyby, ale w momencie wbiegania ambitny policjancik jakoś tego zapachu nie odnotował. Dziarsko parł do przodu. Na miejscu zdarzenia musiał być pierwszy. Wykolegować innych. To była jego pierwsza akcja i na dodatek od razu trafił się trup!

Hurrrraaaa! Trzeba działać!

Na barykady, ludu roboczy...

Już na progu tej barykady, znaczy drzwi, młodzian wyprzedził, bardziej wepchał się przed równie młodą oraz podobnie zdeterminowaną prokuratorkę, która z powodu oberwania smrodem w nos niczym obuchem albo bejsbolem stanęła nagle jak wryta. Tuż przed wejściem do mieszkania. Złapała się za usta, jęknęła gromko, odwróciła się na pięcie i chciała wybiec na ulicę, by gdzieś tam, powiedzmy na świeżym powietrzu, uwolnić pełne usta gwałtownie zgromadzonych w niej torsji. Spożyte kilka godzin wcześniej i tylko nieznacznie strawione śniadanko było uprzejme właśnie się cofnąć... Gwałtownie.

Pańcia wybiec nie zdążyła, bo nie zdołała się przepchać przez zalegający schody tłum podnieconych sensacją gapiów. Prokuratorskie śniadanko zostało zwrócone na schody zatłoczonej klatki. Ubrudziło przy tym fragment obrzydliwej, porysowanej lamperii na ścianie, jak też letnie obuwie paru stojących gapiów.

- Uff. O Jezusie Nazareńskim. Dobrze im tak. Trzeba było nie stać w przejściu i mnie przepuścić. Mam tego dość. Spadam stąd...

Tym sposobem było już po prokuratorskich oględzinach, bo szef niewiasty także zrezygnował z czynnego uczestnictwa w przedstawieniu. Tym samym, dosadnie rzecz ujmując, olał czekające go niezbędne czynności służbowe realizowane w przypadku podobnych zgonów. Na odchodne rzucił Tomkowi, że poczeka na wynik sekcji u siebie. Czyli w warunkach zdecydowanie mniej śmierdzących.

I tyle go widziano.

W tym czasie Stopiński, widząc, co się dzieje z wrażliwą na bodźce uroczą panią asesora, prędko zamknął wyważone przed chwilą drzwi za młodym kolegą, uniemożliwiając odwrót dziarskiego adepta. I siłą rzeczy zostawiając owego kolegę w środku.

- Chciał być w sercu wydarzeń? W samym epicentrum? Chciał. No to jest.

Tomek postąpił wprawdzie wielce przytomnie, ale trochę wrednie. To znaczy ociupinę złośliwie wobec butnego, bezczelnego, wszystkowiedzącego, wyniosłego szczeniaka, który ledwo przyszedł, a już udowodnił, że pozjadał wszystkie rozumy. A trochę może z troski o pozostałych uczestników interwencji. Nieziemskie widoki

i wonie mogły bowiem sprowokować torsje kolejnych osób, a do tego nie można było dopuścić. Kolejna fizjologiczna tragedia wisiała na włosku... Albo katastrofa ekologiczna, zważywszy na rozmiar potencjalnego skażenia środowiska.

W środku mieszkania, w przedpokoiku, młodzian zorientował się, że przed chwilą co najmniej jedną nogą wlaź był w stare, zepsute, miękkie i śliskie truchło. Ludzkie.

- Kur...!

Cofnąć się nie mógł, bo zamknięto za nim drzwi. Galopem przebiegł więc przez mieszkanie, lecąc prawie na oślep w kierunku jakiegoś względnie świeższego powietrza oraz światła dziennego. Zatrzymał się dopiero przy otwartym oknie, dając upust targającym nim gwałtownym reakcjom fizjologicznym. Dokładniej gastrycznym.

Wydalał przez rzeżone, uprzednio otwarte okno. Śniadanko młodego policjanta, dużo obfitsze i tłustsze niż to pani asesor, efektownie uleciało przez otwór okienny i równie efektownie upstrzyło fragment ściany kamienicy między pierwszym a drugim piętrem. Troszkę kolorowych zlewek artystycznie udekorowało stojący pod posesją czerwony wóz straży pożarnej.

Po kilkunastu kolejnych minutach obecne służby publiczne wspólnie i w porozumieniu zdecydowały, jak nigdy dotąd wyjątkowo zgodnie, że pozostałych obowiązkowych czynności nie da się wykonać bez użycia masek przeciwgazowych. Znowu pierwsze skrzypce musieli grać biedni strażacy, bo inni nie byli w stanie. No i żaden z policjantów, oprócz aspiranta Stopińskiego, nie posiadał odpowiednich uprawnień.

W kamienieckiej kamienicy uspokoiło się dopiero tuż

przed południem.

Z pewną trudnością organizacyjno-logistyczną zaopatrzone jakoś doczesne szczątki mocno starszej pani. Pozbierano je do kupy, na końcu zabrano i wywieziono do Zakładu Medycyny Sądowej. Mieszkanie po nieboszczce zabezpieczono od zewnątrz policyjnymi taśmami i plombami. Oczywiście strażacy odjechali dopiero po zwiezieniu z okna mieszkania denatki nieco sfatygowanego na ciele i umyśle policjancika. No i po zlanu strumieniem wody klatki schodowej, mocno ubrudzonej kilkunastoma kolorowymi pawiami.

Stopa z Mundkiem jeszcze chwilę musieli tam zostać. Ażeby instytucjonalnie zwieńczyć dzieło służb mundurowych. Przez moment rozpytywali najbliższych sąsiadów nieboszczki na okoliczność samej zmarłej i jej najbliższej rodziny, po czym, ledwo żywi oraz z wizualnymi oznakami kompletnego wycieńczenia, udali się do swojego komisariatu. Byle jak najdalej od sakramenckiego upału, odoru rozkładającego się ciała i obrzydliwego, niecodziennego widoku tegoż.

Dosłownie i w przenośni obaj byli na ostatnich nogach.

W swojej jednostce mieli szczerzy zamiar, to znaczy bardziej naturalny oraz gwałtowny przymus, *primo*: napić się czegoś chłodnego, ciepłego, na pewno czegokolwiek mokrego, jak też czymkolwiek splukać z ust smak trupa. *Secundo*: wybłągać u komendanta godzinkę przerwy w służbie na prysznic i zmianę odzieży. Może półtorej godzinki. *Tertio*: posiedzieć chwilę na własnej dupie, optymalnie na czymś miękkim i koniecznie w cieniu. Jeżeli nie pod urządzeniem klimatyzacji, którego i tak tam nie

było, to chociaż w chłodzącym przeciągu. Podłubać chwilę we własnym nosie, pomilczeć albo zająć się dupą Maryni. Przestać myśleć o wizycie w mieszkaniu starszej pani. O czymkolwiek. Najlepiej od razu się odmóżyć, potem zająć się czymś innym.

- O kurde, ale akcja - wysapał Tomasz do Mundka. - Muszę się czegoś napić i zmyć z siebie ten cholerny smród. Przebrać się w świeżą koszulkę. Przytomnie wziąłem sobie zapasową. Jeszcze trochę i sam puszczę pawia. W ogóle to mam dość.

- Ja też się spociłem. Jak mysz. Wiesz, może uda się skończyć na dzisiaj?

- Dobry pomysł. Odmeldujemy się u starego i fajrant. Przypuszczam, że tak cuchniemy, że sam nas wyrzuci z komisariatu. Raporty jutro. Należy nam się po tej... chyba naturalnie zmarłej babci. Ile ona miała lat?

- Osiemdziesiąt dziewięć?

- Jakoś tak. A nie dziewięćdziesiąt osiem? Uff... Błeee...

- Stopa usiłował odświeżyć się pod pachami ciepłą wodą z butelki. - Widziałeś tych jej najbliższych sąsiadów? Tragedia, kurde. Nie mogli wezwać nas wcześniej? Musieli czekać do takiej upiornej kanikuły? Przecież ona tam leżała i śmierdziała od kilku miesięcy... Oż, w mordę jeża.

- Tobie na pewno się należy. Ja na szczęście tam nie wlałem - przyznał Mundek. Tym samym okazał podziw partnerowi. - Ale też czuję się kiepsko. I upał jak diabli. Cały się kleję...

- Rany! Nie przypominaj mi tego trupa. Błeee... Ja chcę iść na zimne piwo! Ratunku! Zaraz dostanę jobla i zacznę wyc!

Tomasz i Mundek dotarli do macierzystego komisariatu w stanie absolutnego wycieńczenia. Ledwo powłóczyli nogami. Dyżurny już na nich czekał.

- O, fajnie, że jesteście. Stary was potrzebuje.

- Zaraz. Nie piekarnia. To znaczy na razie tylko piekarnik. Można u ciebie trochę posiedzieć? Odsapnąć? Tutaj chyba masz najchłodniej.

- Wiesz, Stopa, jasne, siedź sobie do woli, mnie tam rybka, ale komendant chce was pilnie widzieć. Obawiam się, że jednak piekarnia.

- Po co? To nie może poczekać?

- Nie wiem. Chyba nie może. Jacyś ważniacy są u niego. Dwóch facetów i baba. Chyba Warszawka. - Dyżurny wskazał w stronę podwórka, na którym parkowano służbowe auta.

Tomek dopiero teraz zauważył zaparkowanego przed komisariatem ciemnego forda z przyciemnionymi szybami, na warszawskich numerach. Wracając z akcji, doznał jakby lekkiego zaćmienia i zamroczenia, a na obcy samochód po prostu nie zwrócił uwagi.

- Daj czegoś się napić, bo zdechnę. Ta babcia mnie wykończyła.

- Jaka babcia? A, te wasze zwłoki. Masz tu ciepłą mineralną. Zimnej nie mam. Może być?

- Pewnie. Dzięki. Dobra, bo mokra. - Tomek wypił duszkiem prawie pełną szklanekę osobistej wody mineralnej dyżurnego.

Bańka wody służbowej już dawno się zużyła, wyszła, została wyżłopana, a nowej wody nie dostali.

I prawdopodobnie szybko nie dostaną. Oszczędności.

„Muszę pamiętać o wodzie do pracy. Najlepiej kupię od razu całą zgrzewkę. Jakąś starą lodówkę trzeba zorganizować” – pomyślał Tomek.

Mundek od razu poszedł do ich wspólnego pokoju. Zdjął buty i przepecone skarpetki, ściągnął z siebie mokrą od potu koszulę, nastawił wodę na herbatę w zdezelowanym elektrycznym czajniku.

- Nie ma to jak gorąca herbatka. Jezu, ale skwar...

- Uff. Ten żółtodziób dotarł? - Tomasz przysiadł na drewnianym krzeselku i niezbyt przytomnie popatrzył na kolegę dyżurnego. W oczach miał mroczki. - Mówił coś?

- Dotarł chwilę przed wami. Nie. Nic nie mówił. Cuchnął tylko jak cholera. Ty też czymś takim jedziesz, ale mniej. Jakby padliną. Kazałem mu zdjąć i umyć buty, bo je czymś ufajdał.

- A tak. Tak się gówniarz rozpędził, że wdepnął stopą w rozkładające się zwłoki.

- Żartujesz? O rany...

- Nie chce mi się żartować. Mieliśmy tam istny *hardcore*. Uff. Dobra. Idę do starego. Póki jeszcze mam trochę siły. Po drodze zgarnę Mundka. Wiesz, o co im chodzi? - zapytał na odchodne Stopa.

Dyżurny spojrzał na Tomka zdziwiony.

- A wiesz, że nie wiem? O coś ważnego. Chyba sprawy gospodarcze, ale zabij mnie. Nadęci jacyś ci przyjezdni. Machnęli mi tylko szmatami, ani dzień dobry, ani pocałuj w nos. Od razu kazali się prowadzić do komendanta. Jeszcze zdziwieni, że nikt na nich nie czekał, bo podobno się zapowiadali. Jakbym nie miał nic innego do roboty.

Z transparentem mieliśmy ich witać czy jak?

- Meldujemy się, komendancie. Dzień dobry państwu.

Aspiranci weszli do ciasnego gabinetu szefa, szurnęli butami o skrzypiącą podłogę pokrytą tanim gumoleum, potem popatrzyli pytająco na trójkę przybyszów.

Ci ludzie wyglądali tak, jakby przyjechali z planu filmowego amerykańskiej produkcji o początkujących ambitnych agentach FBI. Rzuconych na akcję chwilę po intensywnym szkoleniu na kursie oficerskim.

Panowie odziani byli w czarne garnitury i białe koszule oraz ciemne, dyskretne krawaty. Lekko poluźnione pod szyją.

Pani miała na sobie czarną garsonkę z wąską spódniczką i jasnobieżową bluzeczkę ze sztucznego jedwabiu. Chyba sztucznego. Z cienkiej, półprzezroczystej żorżety. Chusteczką ocierała pot z szyi.

Wszyscy troje jeszcze przed chwilą mieli na twarzach ciemne okulary, po których zostały odgniecione, lekko czerwone ślady na ich nosach. Teraz okularki podnieśli na czoła.

„Tajnos agentos, psia ich mać. Korpogliny. Na cholere im tutaj te okulary i marynarki? Co oni chcą nam udowodnić? Że są lepsi, ważniejsi? Ale nadęte dupki...” - przemknęło przez myśl Stopińskiemu. Był zmęczony i wściekły.

Mundek zatrzymał wzrok na modnej fryzurze jednego z obcych facetów. Zastanawiał się, ile tego gościa mógł kosztować sam fryzjer.

„Ktoś im umarł? Na pogrzeb przyszli czy co?” - Stał w drzwiach i gapił się na przybyszów z lekko rozdziawioną

buzią.

- Czekamy na was prawie godzinę! - odezwała się kobieta z pretensją w głosie.

Tomek pytająco spojrział na szefa. Ten zaś ledwo powstrzymał szyderczy uśmiech.

- Państwo oficerowie przyjechali tu specjalnie! Z centralnego biura. Hmm. Z komendy głównej. I z nakazem zatrzymania jednego z naszych wrocławskich biznesmenów. Adres zameldowania ma na naszym terenie. Pilnie trzeba go tutaj przywieźć, to znaczy doprowadzić, i umożliwić państwu przesłuchanie... hmm, tej osoby.

Komendant, który podczas wieloletniej służby jeszcze nie dorobił się szlifów oficerskich, położył szczególny nacisk na tych oficerów, na centralne biuro, i na słowo „specjalnie”. To ostatnie nabrało szczególnego znaczenia w wypowiedzi.

- Tak jest. Jak trzeba, to trzeba. A możemy wiedzieć kogo? - zainteresował się Tomasz.

W tym czasie Edmund zapiął dwa guziki nadal mokrej koszuli i westchnął żałościwie.

- Coś nie tak? - zapytał jeden z mężczyzn, usłyszawszy jęk Mundka.

- Wszystko tak, ale jesteśmy padnięci po akcji na zewnątrz. Zanim pojedziemy na to doprowadzenie, musimy chwilę odsapnąć... Zaraz pojedziemy.

Młoda wyelegantowana pani komisarz, jak się później okazało najstarsza stopniem w całym gronie, niecierpliwie przerwała dialog miejscowego z przybyszem.

- Do rzeczy. Mamy informację, że na waszym terenie mieszka prokurent, nie, to nie ten, prezes takiej jednej

firmy, którą się interesujemy. Spółki kapitałowej o nazwie „Kozłowski i Syn”. Nazywa się Zenobiusz Kozłowski. Ulica Wiejska numer sześć. Natychmiast chcemy go przesłuchać. Po to przyjechaliśmy. Ta sprawa nosi najwyższy priorytet.

Aspirantów zatkało. Dosłownie. Obu naraz. Najpierw spojrzeli niedowierzająco na siebie, potem znów pytająco na komendanta, który, zaopatrzony w głupią minę, w ogóle przestał się odzywać. Tym samym postąpił słusznie, kulturalnie, jak też nad wyraz taktownie.

Mundek z otwartą buzią z powrotem rozpiął dwa górne guziki koszuli i otarł ręką pot z czoła.

Stopa zaś, stwierdziwszy, że się przesłyszał, że nie chyba, a na pewno właściwie nie zrozumiał ani imienia, ani nazwiska owego prezesa firmy ze sprawy o najwyższym priorytecie, widocznie przez zaćmienie umysłu spowodowane okrutnym zmęczeniem, wziął głęboki oddech i zwrócił się z uprzejmym pytaniem do ślicznej komisarz. (Czyli po staremu po prostu ważnej pani porucznik). Do żoły. Warszawskiej, centralnej.

- Przepraszam. Nie dosłyszałem. Proszę powtórzyć nazwisko. I adres...

Pierwszą myślą Tomka był garnitur. Ten od Bugo Hossa.

- Stąd ten garnitur na słupie. Skurczybyk... - westchnął Tomasz i lekko uśmiechnął się pod nosem.

- Co pan mówi? - zainteresował się jeden z kolegów żoły.

- A nic takiego. Wiemy, gdzie to jest. Na pewno państwo teraz chcą przesłuchać tego... prezesa? A co on nawywijał? To znaczy: o co jest podejrzewany?

- Niestety. Na tym etapie osobom postronnym nie

możemy ujawniać tajemnicę śledztwa. To ściśle tajne. - Zołza, zaopatrzysz się w na poły kwaśną, na poły srogą minę, otworzyła przygotowaną aktówkę. Wyciągnęła z niej trzy zapisane kartki papieru formatu A4.

Komendant komisariatu gapił się w pustą szklankę stojącą przed nim na biurku. Niczym sroka w gnat. Ledwo powstrzymywał się od śmiechu. Dodatkowo rozbawiła go reakcja jego ludzi. To znaczy osób niby postronnych dla śledztwa warszawiaków.

- Tu macie nakaz zatrzymania Kozłowskiego. Tu nakaz przeszukania całej jego posesji. Zabezpieczcie i przywieźcie nam wszystkie nośniki informacji, jakie znajdziecie. To znaczy komputery, laptopy, telefony komórkowe. Nośniki pamięci zewnętrznej. Aparaty fotograficzne. No i dokumenty tej jego firmy. Wyciągi bankowe, dokumenty finansowe. - Zołza podała Tomkowi dwa dokumenty. - Tu jest zdjęcie tego Kozłowskiego. Jedyne, jakie mamy. - Stuknęła wymuskany paznokciem w otwartą teczkę.

- Tak jest. - Tomek nie miał siły się uśmieć. - Zatrzymać, przeszukać, dostarczyć. Mogę zerknąć? - Pochylił się nad biurkiem, by obejrzeć sobie facjatę Zbunia. Przyjrzał się dokładnie powiększonej fotografii z dowodu osobistego Kozłowskiego. - Stare to zdjęcie. Facet mógł się zmienić.

- Nie sędzę - odrzekła z przekazem funkcjonariuszka centralnego biura. - Pospieszcie się. Jeszcze dzisiaj chcemy wracać do Warszawy - ponagliła zołza.

- Już się robi, pani komisarz. - Teraz Stopa zrobił głupią minę.

Mundek ponownie jęknął, potem bez słowa wykonał

przepisowy w tył zwrot i po prostu wyszedł z gabinetu komendanta.

Tomek poszedł w ślady partnera.

Tomek Stopiński bez słowa opuścił budynek komisariatu za Edmundem i skierował się prosto do służbowego poloneza. To znaczy do radiowozu na cywilnych numerach rejestracyjnych, który za chwilę znowu miał prowadzić.

Upał, letni i wczesnopołudniowy, nadal doskwierał. Niemiłosiernie. Właściwie był coraz dotkliwszy. Na pewno dla policjantów, umordowanych niedawną akcją.

Stopa otworzył w nagrzanym aucie wszystkie drzwi i okna, po czym zatrzymał się przy nim, nie wsiadając. Mundek człapał za nim pokornie, także bez słowa, i zrobił dokładnie to samo. Dyszał przy tym ciężko, jakby kopał rowy. To znaczy czekał, aż temperatura w wozie obniży się do takiej, w której można będzie bez większego problemu wsiąść. Potem pojechać po znanego im doskonale Zbunia. Doprowadzić na przesłuchanie miejscowego, klasycznego lumpa. Menela, śmierdziela, perfidnego gnoja.

- O kurwa jasna! - powiedział wreszcie Tomek i zamilkł.

Stwierdzenie to zawierało w sobie wszystkie emocje Tomasza. Nagromadzone w ciągu ostatnich kilku godzin. Właśnie owe uczucia eksplodowały werbalnie. W tej jednej krótkiej kurwie.

Na pewno autor kwiecistej i nad wyraz inteligentnej, jak też kulturalnej wypowiedzi zamierzał określić skalę niesamowitego, tropikalnego upału. Wciąż narastającego. I swoje okrutne zmęczenie. Ponadto wyartykułować wściekłość, że na razie nie ma szans na złapanie oddechu,

na chłodny i orzeźwiający natrysk, na wyłopanie zimnego piwka z ulubionego pokala z cienkiego szkła. Wreszcie trzeba odwlec pobyt w chłodnym pomieszczeniu. Choć przez moment.

Że teraz obaj muszą jechać zdezelowanym samochodem, nagrzanym na dodatek do granic wytrzymałości. Na jakimś wsiowym zadupiu szybko odszukać śmierdziela, następnie tym samym środkiem transportu przytaszczyć go na komisariat.

Bo z tym podobno nie można czekać. Trafiła się sprawa życia i śmierci. A polecenie wydała im jakaś nadęta cipa z Warszawy.

Wreszcie wyrzucił z siebie, że po ciężkiej akcji z rozkładającymi się zwłokami nawet nie mają szansy, by pozbyć się jakoś z siebie smrodu tych zwłok. A za moment zapewne czekają ich kolejne atrakcje tego typu. Czyli kolejny odludzki odór. Smrody się na siebie nałożą, pomieszają, i Stopa będzie mieć kolejny zapachowy *hardcore*.

Jeszcze do tego ci warszawscy gówniarze zadzierający nosa, traktujący ciężko harujących gliniarzy w sposób karygodny. Jakby ci ostatni byli niedouczonymi śmieciami.

To ostatnie wkurzyło Tomka najbardziej.

Stopiński pożałował, że od razu nie pojechał do domu po akcji z babcią, tylko pokornie wrócili z Mundkiem do jednostki. Zupełnie bez sensu.

- Za dużo tego na jeden dzień. Zdecydowanie.

- No... Nie mieli kiedy przyjechać? - przytaknął Mundek. - Do dupy to wszystko.

Na ostatnie bodźce środowiskowe zareagował podobnie,

choć trochę bardziej flegmatycznie.

- A jacy ważni! Kurde, za chwilę jeszcze jeden śmierdziel. Nie wyrobię chyba.

- Wyrobisz jakoś. - Stopa spąsował i zrobił się buraczkowy na twarzy. Z wycieńczenia i z emocji. - Nie bój żaby. Nie masz innego wyjścia. Ale jaja z tym Kozłowskim. Właściwie, mówiąc precyzyjnie, zbuki. Nie jaja. Ugotowane na twardo. Ale skoro to wszystko takie tajne, do tego łamane przez poufne, i jeszcze najwyższy priorytet, to wrzucimy warszawskim elegancikom tego całego ich prezesa do pokoju, a potem zamkniemy za sobą drzwi. Niech go sobie obrabiają do woli. Niech poczują zapach swojego sukcesu. To znaczy smród. Jakoś go chyba doprowadzimy. Coś mi się wydaje, że w sprawie mają namierzonego tylko tego... słupa. Bo wychodzi na to, że ktoś zrobił wielki przekręt na podstawionego słupa lumpa. Z resztą ustaleń są w czarnej dupie. Dlatego im zależy, że aż osobiście pofatygowali się do nas. Wygląda mi na chachmęt na sporą kasę. Ktoś nieźle pomyślał. Inaczej robiliby to nasi, z wojewódzkiej, a nie Warszawka.

- No, chyba tak. Aleś ty złośliwy! Rany! Przykleiłem się do siedzenia, kurde. Może się kiedyś dowiemy, co to za firma i o co chodziło w tym przekręcie? - stęknął Mundek, wsiadając do samochodu. - Masz jakąś wodę? Coś do picia?

- Ja? Złośliwy? Nieee... coś ty! Raczej profesjonalny. Ja chcę tylko wykonać polecenie tej stolicznej cipki. Ruki po szwam, jak mawiał mój teściu, i do roboty. Czeka, wodę chyba mam w swoim aucie. Przyniosę, to po drodze się napijemy. Ale będzie gorąca. Uff. Bez sensu. Albo wiesz co? Wodę kupimy w sklepiku u pani Eli. Może będzie miała coś

mokrego z lodówki? Pięć minut zwłoki chyba nas nie zbawi. Znowu zwłoki. Tfu!

- Na pewno nie. Nawet dziesięć. W dupie mam tę nadętą babę. Niech czeka. Pociąg im nie ucieknie. Muszę się czegoś napić, bo nie zdążyłem. Trzeba przepłukać gardło po tych zwłokach babci i przed wożeniem naszego znajomego menelka. Tak samo cuchnącego. Błeeee... Jeszcze przeszukanie mamy mu zrobić. W tym upale, w jego wszawym burdelu. Jeszcze czego! Nawet nie mam zamiaru niczego tam dotykać.

- Nie do końca się z tobą zgadzam. Zrobimy mu dokładne przeszukanie. Książkowe. Specjalnie i z dedykacją dla tej całej paniusi. Znaczą pani komisarz. Mam zapasowe rękawiczki. Jest nakaz? Jest. Coś tam zawsze znajdziemy. Oprócz gówien, starych łachów i butelek. Może jakieś trefne fanty uda się trafić, i będziemy mieli wykrycie?

- No może...

- A, i koniecznie przywieziemy im ten garnitur od Bugo Hossa. Jeżeli jeszcze będzie gdzieś w tym syfie albo na zewnątrz, na słupie. Chyba że znowu komuś pożyczyl.

- Po co mamy przywozić? Znowu się czepiłeś tego brudnego łacha? Daj sobie spokój. Ale wiesz, tak mnie teraz naszło. Właściwie zaczynam rozumieć twoje zainteresowania. Miałeś chyba nosa - wysapał aspirant Edmund. - Ale skwar... Ty, mogę zdjąć koszulę? Nie będzie ci przeszkadzać? Tak tylko na parę minut?

- A zdejmuj sobie, co chcesz. Dla mojej przyjemności możesz rozebrać się nawet do gaci. A odpowiadając na twoje pytanie o zabranie garnituru, to cię nie rozumiem. Jak to po co? Nie kapujesz? To będzie chyba jedyny nośnik

informacji, jaki tam znajdziemy. Chcieli? Proszę bardzo. To będą mieć. A co oni z tym zrobią, to już nie nasza brocha. Uff... Zaraz mnie szlag trafi. Od tego upału, a potem pewnie od kolejnego smrodu. Ale gówniany dzień!

- Ha, ha... no rzeczywiście dobry nośnik informacji. O ich prezecie słupie! Masz rację. Przywieziemy im. Chciałbym zobaczyć minę tej paniusi. Dobra, już chyba możesz wsiadać. Uff, jak gorąco! Dawaj do tego sklepiku napić się czegoś mokrego, potem na Wiejską po pana prezesa Zbunia. Im szybciej to załatwimy, tym lepiej. Zanim padnę trupem.

- No to jazda. Ja chyba już padłem... Ledwo widzę!

W drodze na Wiejską policjanci dokończyli obgadywanie ważnej, nadętej pani komisarz. To znaczy klasycznie obsmarowali jej warszawską, stoliczną dupencję. Na wrednej babie nie zostawili suchej nitki.

„Ona jest taka warszawianka jak ja paryżanin. Pewnie cipa jest z Radomia albo z Wołomina” - pomyślał Stopa, ale tym spostrzeżeniem już nie podzielił się z kolegą.

Żona Stopińskiego miała częsty kontakt ze służbowymi ważniakami z centrali. Z instytucji, w której pracowała. Opowiadała, że rdzenni warszawiacy są o wiele sympatyczniejsi od tych napływowych z ościennych prowincjonalnych miasteczek. Skromniejsi i tak się nie sadzą. Nie podkreślają w każdym zdaniu, jacy to oni ważni warszawiacy.

- A ty, Mundek, jeszcze jedno. Miałem przez moment wrażenie, że ci centralni traktują nas jak debili. Zauważyłeś?

- No, może trochę. Tak mnie zatkało, że połowy nie

słyszałem.

- Jakbyśmy się zatrzymali w rozwoju w epoce kamienia łupanego. A jak nam pipa tłumaczyła, co to są te całe nośniki informacji? Specjalnie nic nie mówiłem, bo niech się baba jeszcze trochę popodnieca swoim spektakularnym sukcesem. Ponapawa. Nie zamierzałem jej wyprowadzać z błędu.

- Co robi? Jezu, ale upał. Jakim sukcesem? - dopytał się Edmund.

- Niewątpliwie spektakularnym. Jak zobaczy i poczuje swojego prezesa, to się chyba pochlasta. Albo po prostu puści niekontrolowanego pawia. He, he... Ale pewnie per saldo oberwiemy my. Coś czuję, że to dopiero początek zabawy, bo jeszcze się narobimy przy tej sprawie Zbunia. Jak dzikie woły.

- Nie kracz, cholera. Ja też nie chciałem z nią polemizować. A widziałeś minę naszego komendanta? Jeszcze moment i schowałby głowę do szuflady biurka. Ledwie się powstrzymywał od śmiechu. Z drugiej strony wcale mu się nie dziwię. Też pewnikiem potraktowali go z góry, zadzierali nosa, co to nie oni. Wydawali durne polecenia, jakby gliniarzem został dopiero wczoraj. Jak go znam, to chętnie utarłby im tego nosa. Zarozumiałe palanty.

- Nic dodać, nic ująć. Dobrze powiedziane: zarozumiałe palanty - powtórzył Tomasz i pomyślał, że podczas upału Mundek jest jakby bardziej kontaktowy niż zwykle. Oraz błyskotliwszy. Po prostu letni skwar i zmęczenie służą partnerowi na rozum.

Po dwudziestu minutach policjanci dojechali na miejsce.

Po drodze wstąpili do osiedlowego sklepiku pani Elżbiety, która poczęstowała ich zimną mineralną. Z lodówki. Zamienili z nią kilka zdań, a ona bardzo im współczuła upalnych działań przy forsowaniu drzwi mieszkania zmarłej kobiety. Albowiem sensacyjne wieści o cuchnącej akcji dotarły do sklepiku lotem błyskawicy.

- Już pani wie? Szybko dotarło.

- Panowie, przecież nasze Kamieńsko to taka większa wiocha z małą, zamkniętą społecznością. Tu prawie wszyscy się znają! No i nie codziennie trafia się takie wydarzenie. Niemal przebiło skalą tego spalonego Seweryna.

- No tak. Faktycznie. Wiocha.

Dokupili jeszcze dużą butlę wody na zaś, przy okazji służbowo wypytali kobietę o Zenobiusza. Skoro już tu byli?

- Nie, ostatnio jakoś go nie widziałam. Na szczęście dla mnie. Wchodzą tacy, śmierdzą, niewiele kupią, jeszcze coś drobnego zwiną. Same straty. Ale w taki upał ci partyzanci pojawiają się tuż przed zamknięciem sklepu. A piją w nocy. Wypełzają ze swoich legowisk późnym popołudniem.

- Super. To znaczy, że wypełzają. Nie, że kradną. O to nam chodziło. No to jest jakaś szansa, że zastaniemy go w chałupie. Dziękujemy, pani Elu.

- A ten wasz lump swego czasu dużo u mnie kupował. Nawet mnie zastanawiało, skąd ma pieniądze.

- Tak? A kiedy? - Stopa zainteresował się żywo spostrzeżeniem sklepowej.

- Tak jakoś w zeszłym roku. Na początku zimy.

- Aha. Jedziemy. Służba nie drużba. - Tomek jęknął.

- Współczuję wam, chłopaki. Ja mam tutaj względnie chłodno, a ledwo wytrzymuję. Może kupicie sobie lody dla

ochłody? Dzisiaj przywiozłam świeżutkie.

- Nie. Dziękujemy. Po nich wypilibyśmy cysterne wody. Jeszcze upapralibyśmy auto. Lepiej nie! A, da nam pani jeszcze jedną butlę mineralnej. Możemy potrzebować.

Na ulicy Wiejskiej było pusto. Za policyjnym polonezem unosiły się tumany kurzu, i to był jedyny ruch powietrza, jaki odnotowano. W większości tutejszych posesji pozamykano okna, zasłonięto firanki, spuszczone rolety lub żaluzje, by „gorąc nie nalatywał do izby”.

Nawet żaden okoliczny pies nie zaszczekał. Wszystko co żywe pochowało się po kątach i czekało na chłodniejszą porę dnia. I orzeźwiająca noc.

Pierwszą rzeczą, na którą Tomasz zwrócił uwagę, był jego ulubiony garnitur. Stojący od północnej strony domu słup przyozdobiony był spodniami i marynarką. Rzeczy wisiały sobie na wieszaku jak gdyby nigdy nic. Nie można było jednoznacznie stwierdzić, że ciuch się wietrzył, bo było raczej odwrotnie. W panujących wokół prawie tropikach raczej nabywał jeszcze więcej smrodu i kurzu.

„Jeszcze trochę i wyblaknie. A Zbunio nic na nim nie zarobi” - pomyślał Tomasz, konstatuując wygląd garnituru na słupie.

Na zawalonym śmieciami maleńkim podwórku i na dwóch potężnych kupach poniewierały się zardzewiałe elementy drutu i konstrukcji stalowych. Jakby specjalnie gromadzone i przygotowywane do dalszej dystrybucji. Albo do transakcji kupna-sprzedaży.

Wrota do apartamentu Zbunia także były zamknięte. Policjanci nie stwierdzili też żadnego śladu lumpiarskiego

kundla, bo nie zostali przez niego obszczekani. A drzewiej tak bywało.

Mundek zwyczajowo najpierw zapukał, potem pchnął ramieniem do środka zdezelowane drzwi. Same się otworzyły.

- Halo! Policja! Jest tu kto?

Zenobiusz Kozłowski był w domu. Spał smacznie we własnym łóżku.

Tę budę, czyli pomieszczenie zamieszkane przez menela, można byłoby na upartego podciągnąć pod miano domu. A barłóg, w którym go policjanci zastali, zakwalifikować do kategorii łóżka. Jak zwał, tak zwał. Najistotniejsze, że stosunkowo żywy Zbunio znajdował się pod adresem zameldowania. Tym razem można było nawiązać z nim coś na kształt dialogu. Skomunikować się. Wytargać z chałupy za przydługie kudły, doprowadzić warszawiakom na przesłuchanie. Zgodnie z posiadanym urzędowym kwitem.

Czyli, aby dostarczyć Zenobiusza Kozłowskiego do komisariatu Wrocław Kamieńsko w celu przesłuchania przez kolegów oficerów, na razie w charakterze świadka, potencjalnie jako podejrzanego w prowadzonej sprawie, nie trzeba było jeździć za nim po wądołach, chaszczach, punktach skupu złomu i osiedlowych sklepikach. Ani wyciągać delikwenta z kanału czy z innej dziury. Wystarczyło wziąć go za wszarz, potem wrzucić na tylne siedzenie radiowozu.

Stopa i Mundek stosunkowo chyżo, jak na wszechobecny upał, wparowali do izby. Nałożywszy uprzednio lateksowe rękawiczki, odkryli drzemiącego

i posapującego menela. Bardziej odkopali go spod sterty brudnych szmat. Szarpnęli za ramię.

- Policja! Budzimy się i wstajemy!

- Halo, Kozłowski, wstawaj! Policja!

Zbunio cuchnął mniej więcej tak intensywnie, jak przedpołudniowe doczesne truchło bardzo leciwej babci. Dookoła było nie lepiej. To znaczy upał jeszcze potęgował odór ciała lumpa. Niemytego co najmniej od miesiący. Czuć było nigdy nieprane gacie.

Wszędzie walały się odpadki i śmieci, jak też stare lumpie lumpy.

Obudzony Zbunio zelżył policjantów. Swoim zwyczajem.

- Co znowu, kurwa... Odpierdolcie się.

- Zbieraj się, jedziesz z nami.

- Nigdzie nie jadę. Czego?

- Pójdiesz sam czy mamy cię skuć? Wstawaj, Kozłowski! A nie, przepraszam, panie prezesie Kozłowski. A gdzie masz papiery firmy? Dajesz sam, czy mamy ci wszystko wypierdolić za okno? - zdenerwował się Stopiński.

- Co? Jakie papiery? Nie mam żadnych papierów.

- Przecież masz firmę i jesteś jej prezesem. Dobra, sami sobie poszukamy. Mamy nakaz. Nie ruszaj się.

Mundek ponownie nałożył zdjęte przed chwilą gumowe rękawiczki i wywalił na podłogę zawartość zdezelowanej kuchennej szafki. Jedyne mebla, jaki wisiał w mieszkalnej izbie Kozłowskiego. Pośród brudnych i cuchnących, trudnych do zidentyfikowania łańców upchnięte zostały w miarę czysta, wymięta, jeszcze trochę biała koszula oraz zwinięty w kłębek elegancki krawat w granatowe i bordowe prążki. Ten sam, który onegdaj na pogrzebie miał na sobie

szwagier zamordowanego na ogródkach Zbigniewa Wintera. Pasujący jak ulał do pięknego, eleganckiego garnituru od Bugo Hossa.

- Jesteś zatrzymany w związku z podejrzeniem popełnienia przestępstwa z artykułu... - Tomasz zerknął na nakaz i dokończył urzędową formułę: - dwieście dziewięćdziesiąt sześć Kodeksu karnego.

- Co? Odpierdolcie się. Z psami nie gadam - odburknął trochę przytomniej menel.

W tym momencie Stopa zorientował się, że na posesji nie zastali Zbuniowego kundla. Zwykle upierdliwego, czekającego, częściowo wyliniątego wypłosza. Na razie jednak nie miał żadnych podstaw, by zaciekawić się służbowo tym zjawiskiem. Ponadto brak kundla ułatwiał im czynność przeszukania.

- Oo. A co to jest? Skąd to masz? Skroiłeś komuś? - zainteresował się Mundek.

W tym czasie Stopa grzebał kijaszkiem w manelach rozrzuconych w pomieszczeniu niby-kuchennym. Niedaleko zdezelowanego węglowego piecyka z przepalonymi fajerkami znalazł wymięty i ufajdany czymś wyciąg z ksiąg wieczystych. Sprzed dziesięciu lat. Wyciągnął z kieszeni letniej marynarki czysty plastikowy woreczek spożywczy i delikatnie wsadził weń cenne znalezisko.

Chwilę przyglądał się pogniecionej starej tablicy rejestracyjnej na dolnośląskich numerach. Skonstatował też, że tymczasem Zbunio poczęstował się także metalową tablicą z nazwą ulicy wiodącej z przedmieść Wrocławia do następnej wsi. Nazwisko i imię patrona tejże ulicy było długie, zatem tablica także była dość długa, ciężka

i okazała. Po opaleniu w ognisku można ją było korzystnie sprzedać i uzyskać nawet równowartość połowy butelki taniego wina. Gliniarz odrzucił znalezisko w kąt, gdyż ze względu na ślady zniszczenia do niczego się nie nadawała. Poza tym przyjechali w innym celu.

- Dostałem. Co! Kurwa... To moje! Panowie, suszy! - jęknął Zbunio. - Dajcie złotóweczkę na piwko, jak rany! - Przy takich tekstach kloszard stawał się sympatyczniejszy.

- Ja ci dam piwko! Gnoju parszywy! Na komendzie dostaniesz wody. - Tomasz podniósł głos. Wydawało mu się, że Zbunio jakby znowu nie dosłyszał. - Jak będziesz grzeczny, to dostaniesz coś do picia. Gdzie masz swój dowód osobisty?

- Co? Nie wiem.

- Dawaj ten dowód, bo zaraz puszcę ci ten pierdolnik z dymem. Przynajmniej wyępimy odór i robactwo.

Smród stawał się niemożliwy do zniesienia. Także samo upał i duchota w pomieszczeniach zamieszkiwanych przez Kozłowskiego. Stopę już dobrze zemdliło. Ledwo powstrzymywał odruchy wymiotne.

- Nie... za co? Tam, w tej torbie. Ja pierdołę...

Stojący bliżej wskazanego miejsca Mundek sięgnął po dużą brezentową torbę podróżną, wystającą spod sterty złożonej ze starych kołder i koców. Całkiem nową i najczystsze z walających się maneli kloszarda. Zawartość torby wysypał na podłogę. Dwie małe puszki psiej karmy potoczyły się pod nogi Tomasza. Z rozerwanego firmowego opakowania na podłogę wysypały się psie chrupki. Dowodu osobistego Zbunia nie znalazł.

- A to skąd masz? - Mundek podniósł jedną z puszek

i przeczytał nazwę. – O, nie najtańsza. Ukradłeś?

– Nie, kurwa, ja pierdołę... Dostałem. To moje. Dla psa.

– Tak? A właśnie, gdzie ten twój pies? Sam zdechł z głodu, czy ty go zżarłeś?

– Co? Nie wiem. Od dawna go nie ma. Zaginął kiedyś. – Zbunio rozgadał się na temat swojego ulubionego zwierzaka. Czyli jednak postanowił pogadać z psami o psie. – Zabili mi, skurwysyny! Jebańce jedne! Mojego psa zabili! Buuu... – Coś mu się chyba przypomniało, bo najwyraźniej się zdenerwował i zapłakał.

– A... No i dobrze. Przynajmniej tyle. Nie ma tu dowodu. Może w kieszeni? – Mundek przejrzał zawartość dwóch kieszeni torby, zamkniętych na suwak. – Mam ten jego dowód. Znalazłem. Uświniony jak diabli. A ty masz coś? – zwrócił się do Tomasza grzebiącego w palenisku starej kuchni.

Edmundowi pot ściekał po twarzy. Ciurkiem. Lateksowe rękawiczki parzyły w dłonie, zaczynał się dusić. Wyglądał na człowieka, któremu z powodu przegrzania zaraz przydarzy się udar mózgu, a policjant wymagać będzie natychmiastowej interwencji medycznej. Aspirant Kurzawa rozejrzał się, podszedł do brudnego, odrapanego okna z jedną pękniętą szybą i usiłował je otworzyć. Chwilę mocował się z klamką, sapiąc przy tym okropnie. Po kilku nieudanych próbach uchylił na oścież drzwi wejściowe i aby same się nie zamykały, podparł je zalezioną na podłodze pełną puszką z psią konserwą.

Aspirant Stopiński zainteresował się wątkiem dotyczącym Zbuniowego pieska. To mogło mieć jakiś związek ze słupem. Nie przerywając grzebania w śmieciach

gospodarza, głośno zapytał:

- Tyyy, a kto dokładnie zabił ci psa?

- Co? Tacy jedni. Jebańce! Buuuuuu... - Zbunio kiwał się, jakby miał chorobę sierocą. Przy tym wył wniebogłosy.

Stopa pociągnął ten wątek. Czuł, że podobnie jak cudny garnitur od Bugo Hossa, kundel menela może być równie kluczowy dla sprawy i jakoś ich przybliżyć do rozwiązania tej zagadki.

Przy okazji przypadkiem i nieformalnie rozpoczął przesłuchiwanie Kozłowskiego.

- A ilu ich było? Tych jednych? Hmmm, jebańców?

- Dwóch. Uuuu... Mój pies... ajaj... ja pierdołę... - Zbunio najwyraźniej miał po czymś klasyczną traumę. Albo dorobił się ostatnio czegoś na podobieństwo zespołu stresu pourazowego.

Poza tym właśnie mu się przypomniała przymusowa kąpiel w wannie i realna groźba wyrzucenia jego kundla przez okno.

- Dobra. Dwóch. Jak wyglądali? W jakim wieku? Gdzie to było?

- Co? Nie wiem... Sukinsyny. Biznesmeny... I mieli taksówkę. Jechałem z nimi.

- To sobie szybko przypomnij. A na komisariacie opowiesz nam wszystko o tych dwóch, o twoim psie i o garniturze. O tej taksówce, no i o firmie. - Teraz Tomasz zwrócił się do partnera: - Znalazłem tylko jeden stary dokument urzędowy. Ale nie firmowy, tylko majątkowy. Już zabezpieczyłem. Tutaj nic nie ma. To znaczy nic dla nas interesującego. Same ufajdane śmieci... A ty?

- Mam koszulę i krawat. O, jeszcze widzę jakieś

wizytowe buty. Całkiem nowe. - Po chwili zastanowienia policjant upchał znaleziska do brezentowej torby lumpa. - Jeszcze zabezpieczę ten twój garnitur i możemy jechać. Spieprzamy stąd. Nic tu po nas. I tak niczego w tym syfie nie znajdziemy.

- Nie, to moje! Nie dam! - Zbunio bronił swoich biznesmeńskich ciuchów jak niepodległości. Nawet wystartował z łapami do prowadzącego go policjanta. Po chwili lekkiej szamotaniny kopnął Mundka w goleń.

- Nie dyskutuj, wszarzu śmierdzący! Jednak muszę cię skuć z tyłu. Sam się o to prosiłeś. - Policjant wyciągnął kajdanki z pokrowca przytroczonego do paska spodni, już gdzieś mokrych od potu płynącego wartkim strumieniem po całym Mundku. Wprawnym ruchem skuł rękę menela. - Jedziesz na przesłuchanie. Te trefne manele zabieramy jako dowód w sprawie. I nie rzucaj się, bo jeszcze skuję ci nogi - wysapał.

- Ale oddacie? Skurwysyny... - Zenobiusz nie dawał za wygraną i pomimo założonych kajdanek rzucał się i wił niczym piskorz. Kilkakrotnie próbował nawet ponownie kopnąć prowadzącego go funkcjonariusza. Przy tym upale dostał niespodziewanego wigoru.

Cuda po prostu. „Panie, cuda!”

- Nie wiem, to nie zależy od nas - stwierdził Stopiński. - Dawaj go do wozu, a ja idę po garnitur. Nie wyglądasz najlepiej. Chyba jeszcze wisi na tym słupie. Przed chwilą był. Pierwsze, co zrobiłem, to zwróciłem na niego uwagę. Aha, i zapodaj dyżurnemu przez radio, że tym centralnym bufonom wieziemy ich prezesa. Zatrzymanego dostarczymy jakoś za dziesięć minut. Niech się przygotują do

przesłuchania.

- He, he... Uff. Dobra. Już zgłaszam. Centralnym bufonom. Dobrze!

Detektywi dojechali do komisariatu kilka minut przed czasem.

Stopa solidnie depnął pedał gazu. Na trasie przez Kamieńsko kilkakrotnie przekroczył dozwoloną prędkość. Pruł, ile mocy pod maską poldka. Gnał, jakby ich goniono. Mundek tym razem nie protestował. Obu panom spieszyło się bardzo, dodatkowo przez wszystkie otwarte w wozie szyby pęd auta tworzył przyjemny przeciąg. Przeto od wiezionego lumpa mniej cuchnęło i ogólnie jakby było nieco chłodniej. Jak w pewnym polskim przeboju: pęd osuszał im nie łzy, a pot z czoła.

Aspirant Stopiński już miał zaprowadzić zatrzymanego do pokoju komendanta, gdzie nadal siedzieli warszawiacy, ale w ostatniej chwili żal mu się zrobiło wyelegantowanej i wyperfumowanej laski. To znaczy pani komisarz. Przechodząc obok dyżurnego, przykuł Zbunia kajdankami do kraty.

- Daj mu pod tyłek jakiś stołek. Niech się wietrzy na siedząco - zwrócił się do zdziwionego kolegi. - To słuchanie pewnie trochę potrwa. Ja idę po naszych drogich gości.

- Przecież mieliście doprowadzić jakiegoś prezesa! - Dyżurnemu prawie gały wyszły z orbit i opadła szczęka. - A to jest przecież nasz Zbunio.

- No więc doprowadziliśmy. Coś taki zdziwiony? To jest właśnie ten ich prezes.

- Ale jaja! - Sierżant machnął ręką i usiadł za swoim

biurkiem. - No to zorganizuję im jakieś krzesła. Nie mogę tego przegapić.

- Okej. Krzesła się przydadzą. Na zakończenie szczytu czeka nas niezły cyrk.

- Można? - Tomasz zapukał we framugę otwartych drzwi pokoju szefa.

Towarzystwo siedziało przy stoliku i chłodziło twarze „bryzą” z włączonego wentylatora. Stary zdezelowany sprzęt rzeził przy tym i wydawał z siebie ludzkie jęki. Niczym rozbudzony i skacowany Zenobiusz Kozłowski.

- Tak, wchodzi Tomek. I co?

- Melduję doprowadzenie zatrzymanego. Pani komisarz, zadanie wykonane.

- To gdzie możemy go przesłuchać?

- Na dole. Tutaj nie ma warunków.

- No niby nie ma. - Komendant się uśmiechnął.

Trójca centralnych spieszenie zgarnęła dokumenty i zeszła za Stopińskim na parter komisariatu. Komendant został u siebie.

- Kto to jest? - zapytała laska, ujrawszy przykutego do kraty kłoszarda. Równocześnie chwyciła się za nos. - Dlaczego ten człowiek tak cuchnie?

Koledzy laski ledwie powstrzymali parsknięcie. Spojrzeli na siebie, potem na koleżankę, na końcu na Tomka. Zobaczyli trzy przygotowane krzesła i na nich usiedli. Czekali na rozwój wypadków.

- To jest właśnie pan prezes Zenobiusz Kozłowski. Zamieszkały przy ulicy Wiejskiej sześć. Był w domu. To jest jego dowód osobisty. Proszę. Wszystko się zgadza. - Stopa

wyciągnął z kieszeni plastikowy woreczek z zabezpieczonym dokumentem tożsamości Kozłowskiego i usiłował wręczyć go kobiecie.

Pani komisarz zdębiała. Najpierw zbladła, potem dostała buraczkowych wypieków na twarzy i podobnych na szyi oraz dekolcie. Zatoczyła się lekko i osunęła na trzecie wolne krzesło.

- O kurwa... - wydobyła z siebie soczyste przekleństwo. Ciche, ale niezwykle kulturalne. I rzeczowe.

- Kierowniczo! Piwka! - Zbunio wykorzystał chwilę ciszy. Zorientował się, że tym razem dowodzi tutaj kobieta. - Suszy!

- O jasna kurwa! - powtórzyła trochę wyraźniej warszawska laska. Ponownie wyszło jej kulturalnie oraz elegancko.

- Wezwać pogotowie? - zapytał zaniepokojony Stopa.

„Jeszcze tego mi tylko brakowało” - pomyślał.

- Nie... dziękuję - wyszeptała warszawianka.

Najwyraźniej spuściła z tonu. Nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą ujrzała.

Z wrednej larwy nagle przepoczwarzyła się w słabego, kruchego, delikatnego motylka. Właśnie zdała sobie sprawę, że dostarczono jej pod nos klasycznego słupa. To była w jej karierze druga tak poważna sprawa, a pierwsza prowadzona samodzielnie. Na dodatek jej koronny podejrzany objawił się światu jako śmierdzący menel, na którego dane osobowe ktoś niewątpliwie inteligentny sprytnie założył firmę i przeprowadził milionowe transakcje. I bardzo długo potrwa, zanim znajdą rzeczywistych sprawców przestępstwa. Oby w ogóle to się udało. I chyba teraz już nie

obejdzie się bez pomocy lokalnej policji. Tych dwóch starych gliniarzy. Stąd. Jeżeli cokolwiek jeszcze zdołają ustalić ponad to, czego dowiedziano się i odkryto w stolicy.

Sprawa wydawała się zatem beznadziejna.

A warszawska paniusia źle znosiła wszelkie porażki. Psychiczenie i fizycznie. Tej służbowej nie zniosła w ogóle. To znaczy widać było gołym okiem, że nie udźwignęła jej ciężaru.

- Ja stąd idę, bo zaraz zwymiotuję. Rzeczywiście czuję się nie najlepiej. - Wstała i słaniając się na nogach, skierowała się na schody prowadzące na pięterko i do gabinetu komendanta. - Spróbujcie coś z niego wyciągnąć. O Jezu... Słabo mi...

- Na pewno nie potrzebuje pani pomocy? - Tomasz chciał przytrzymać nieco zwiotczałą niewiastę.

Ta tylko przecząco pokiwała głową. Nie miała siły się odezwać.

- No dobra - powiedział jeden z towarzyszących kobiecie podkomisarzy.

Spod rękawa marynarki odsłonił wypasiony, drogi zegarek i chwilę analizował aktualną godzinę.

- Pomożesz nam? W tej sytuacji chyba nie możemy liczyć na naszą koleżankę. - Spojrzał uważnie na Tomka.

Głos mu troszeczeczkę jakby złagodniał, w oczach pojawiła się troska. Prawdopodobnie o koleżankę, która nareszcie pokazała ludzką twarz. O kobietę, słabą płęć. Wrażliwą i coś czującą. Takiej jej jeszcze nie znali, a pracowali razem prawie dwa lata. Dotychczas kreowała się jako bezduszny babochłop, wredny w obyciu. Do tego klasyczna świnią.

A tu? Proszę bardzo! Prawie normalna baba. Chwila słabości, drobne służbowe niepowodzenie, porażka, i wyszło szydło z worka.

- A mamy inne wyjście? - odpowiedział Tomek, odprowadzając wzrokiem paniusię. - Ale ta sprawa podobno taka ściśle tajna, że nie wiem, czy formalnie możemy wam pomóc. Obaj mamy dopuszczenie jedynie do klauzuli „tajne”. Poza tym ten tu Zbunio jest jeszcze tak skacowany, że niewiele z niego wyciągniecie. Już próbowałem z nim gadać. Obaj próbowaliśmy. - Wskazał stojącego z boku Edmunda. - Może jutro powie wam więcej. Wrzucimy lumpa na dołek, napoimy, nakarmimy, wyśpi się, skruszeje, wytrzeźwieje, i może przypomną mu się jakieś szczegóły. Chociaż nie liczyłbym na cud. Mózg mu już wyżarło do połowy.

- Kurwa mać! - Drugi z mężczyzn ściągnął marynarkę od garnituru, powiesił ją na krześle, poluźnił krawat i rozpiął guziczek kołnierzyka nieskazitelnie białej koszuli. - To co robimy? Chłopaki, co radzicie? A jak przeszukanie? Znaleźliście coś u niego?

Zbunio sapał coraz głośniej. Patrzył półprzytomnie na stojących w pewnym oddaleniu gliniarzy.

- Piwka! - domagał się coraz głośniej. - Jebańce jedno!

- Zamknij ryj! - zachnął się warszawiak. Już nie był ani taki miły jak przy szefowej, ani kulturalny, ani elegancki. - Czekaj na pytania. Zaraz nam wszystko wyśpiewasz. Jak na świętej spowiedzi.

Milczący dotychczas Mundek nieco odpoczął. Wstał z krzesła zajmowanego obok dyżurnego i postawił na kolanach pytającego brezentową torbę z manelami

przywiezionymi od Zbunia.

- Co to jest?

- Efekt naszego przeszukania. Przecież chciałeś. A w środku masz jedyne nośniki informacji, jakie u niego znaleźliśmy. To pijacka melina, gdybyś chciał wiedzieć. Aha! Na wierzchu macie stary wyciąg z ksiąg wieczystych. Nie zdążył tego puścić z dymem, bo upał. - Mundek w ślad za Tomkiem także przeszedł z warszawiakami na ty. Konwenanse miał w nosie.

Podkomisarz odpiął suwak torby i zajrzał do środka. Wyjął wymięty dokument w trochę mniej wymiętym woreczku, podał go koledze, potem dwoma palcami wyciągnął marynarkę od garnituru Bugo Hossa. Chwilę potrzymał na wysokości oczu. Zdziwiony wielce, pytająco popatrzył na aspiranta.

- Może rękawiczki? - zapytał Edmund. - Mogą się przydać.

- A co, myślicie, że można z tego zdjąć jakieś ślady? - zaciekał się młody warszawiak.

- Możecie spróbować. I życzę powodzenia. Jakie ślady? Paluchów? Chłopie! Raczej syf, malaria i insekty. Możesz się zainfekować jakimś świństwem. O to mi chodziło. To przecież ciuchy kloszarda!

W tym czasie drugi mężczyzna, nadal siedzący w marynarce na grzbiecie, wyciągnął z teczki z aktami sprawy jakiś dokument i porównał go z zapisami tego dostarczonego przez miejscowych. Studiowanie i porównywanie zajęło mu jakieś dwie minuty.

- Kurwa mać, księgi wieczyste też sfałszowali. Nic tu się nie zgadza oprócz nazwiska i adresu. Macie może coś

jeszcze?

Mundek i Stopa ze stoickim spokojem i twarzami pokerzystów wskazali palcami na torbę.

Nie było po nich widać, że pomimo okrutnego zmęczenia i panujących warunków klimatyczno-zapachowych bawią się setnie. Całą tą tragikomiczną sytuacją z prezesem Zbuniem w roli głównej. Widok arcywkurzonych kolegów z centrali napawał ich optymizmem. Sprawiedliwości stało się zadość.

- No to jesteśmy w czarnej dupie. Na poczet strat skarbu państwa chcieliśmy zabezpieczyć i zająć osobisty majątek Kozłowskiego, ale chyba jest dużo mniejszy niż ten tu. I jeszcze wspólność majątkowa. To znaczy nie do końca tylko jego. - Tym samym warszawiak uchylił nieco rąbka tajemnicy. Państwowej.

- Jaki majątek? - zaśmiał się Edmund.

- Widzieliście w ogóle ten majątek? Mówisz o tej wsiowej, starej, poniemieckiej, rozwalającej się ruderze? Przecież ona się do niczego nie nadaje. I tam jeszcze mieszkają jacyś jego krewni. Kto to w ogóle kupi, jeszcze z lokatorami? Funta kłaków nie jest warta. No, może jakby zburzyć, to tylko grunt - zawtórował partnerowi Stopa.

Na wieść o lumpiarskich mikrobach podkomisarz z obrzydzeniem odrzucił od siebie torbę i marynarkę Zbunia. Właściciel łachów zauważył manewr gościa i dość przytomnie krzyknął:

- Zostaw to, skurwielu! Nie dam! To moje! Dostałem!

- Od kogo? Gadaj, bo nie mamy czasu się z tobą certolić!

- Piwa... Auuu... Ja pierdołę!

- Dosyć tego. - Warszawiak zerwał się z krzesła. - Pogadamy z Martą. Niech dzwoni do centrali, niech

podejmie decyzję, co dalej z tym tu. Jeżeli o mnie chodzi, to ja bym was wtajemniczył w sprawę, zostawił te akta i oficjalnie poprosił o wsparcie. Znaczący o pomoc. Ale nie ja tu decyduję. Od razu tak można było zrobić, a nie pchać się w taki upał na prow... no czterysta kilometrów. Bez sensu! Dzięki, chłopaki. Kuba, idziemy.

- Nie ma za co. Decydujcie się szybciej, bo mamy za sobą ciężki dzień i ledwie trzymamy się na nogach.

- Dobra. Jasne.

Od komendanta warszawiacy dowiedzieli się o akcji z trupem. Nawet współczuli uczestnikom, chociaż takie działania policji były dla nich jedynie abstrakcją. Praktycznie nie znali się na mozolnej, trudnej i ciężkiej gliniarskiej robocie.

- A z tego jednak ściągnijcie odciski palców.

Podkomisarz Rafał oddał torbę Mundkowi. Ten odebrał tłumok i postawił go na podłodze.

- Dlaczego my? Nie za dużo od nas wymagacie?! Od prowincjuszy? - Stopa uchwycił i właściwie zinterpretował niedokończony wyraz warszawiaka.

Podkomisarz spąsował i spuścił wzrok.

- To wy macie u siebie w głównej lepszy sprzęt. I o niebo lepszych ekspertów. Tutaj możemy ściągnąć tylko plamy po lumpach. A z kołnierzyków padłe z głodu gnidy. - Tomasz prawie się zaśmiał. Doskonale wiedział, że z tego materiału niewiele da się wyciągnąć. Jeżeli tam rzeczywiście coś będzie, to tylko brud i ewentualne ślady biologiczne pochodzące od Zbunia oraz wszystkich tych lumpów, którym menel wypożyczał garnitur. Fragmenty naskórka i potu. - Idziemy z wami do szefa. Gdy tylko otrzymamy od niego

oficjalny rozkaz, to od jutra będziemy działać. Panowie, sorry. My jesteśmy tylko prowincjonalnymi detektywami w stopniu aspirantów. Wszystko na ten temat.

Stopa nie miał najmniejszego zamiaru bezinteresownie pomagać tym dupkom z Warszawki. W dodatku było już bardzo późno i nadal cholernie gorąco. Obaj z Mundkiem byli w stanie wskazującym na kompletnie wycieńczenie.

A w tym momencie dalsza zabawa w kotka i myszkę nie miała najmniejszego sensu. Ani z warszawiakami, ani z przykutym do kraty skacowanym lumpem alkoholikiem.

Warszawiacy postanowili poprosić komendanta komisariatu w Kamieńsku o pomoc. Jednak. Ale dopiero po wykonaniu czterech służbowych telefonów do centrali, fachowej konwersacji z przełożonymi, przeplatanej bynajmniej nie fachowymi kalumniami godnymi zatrzymanego lumpa. Oficjalnie i formalnie też. Nie mieli innego wyjścia. Porozumiewszy się z samym naczelnikiem centralnego biura, oficjalnie przekazali Wrockowi przywiezione z Warszawy chude akta sprawy. Które na miejscu odchudzili jeszcze bardziej. Okazało się bowiem, że tylko jeden dokument opatrzony był klauzulą „ściśle tajne”, a ową klauzulę nadał onemu dokumentowi nie kto inny, tylko śliczna pani komisarz Marta. Zapewne tylko po to, aby przydać większej wagi prowadzonemu przez siebie postępowaniu. No i tym aktom. Czyli nadała na wyrost. Lecz na tym etapie ustaleń wrocławowiakom ów papier i tak by się nie przydał.

Z grubsza omówiono plan działania wrocławskich kolegów. A ci, konkretnie Stopiński i Kurzawa, mieli

następnego dnia zapoznać się z materiałem oraz przesłuchać Zbunia na okoliczność działalności jego firmy, ze szczególnym uwzględnieniem ustalenia danych jego mocodawców. Wyciągnąć z lumpa, co tylko możliwe. Sporządzić portrety pamięciowe rzeczonych i wcześniej dosadnie nazwanych dwóch jebańców.

Stopa i Mundek poproszeni zostali o ustalenie jakiegoś konkretnego. Czegokolwiek.

Czyli gdzie to wszystko się działo, w jakich instytucjach i firmach pojawiał się Zbunio w charakterze prezesa zarządu swojej firmy, co podpisywał. Z kim się spotykał. O czym rozmawiał.

Wreszcie gliniarze chcieli uzyskać odpowiedź na pytanie, czy za świadczone usługi menel otrzymał jakąś gratyfikację. Oczywiście oprócz zabezpieczonego już garnituru, koszuli, krawatu i wizytowych butów. (Jak się potem okazało, podobno na niego trochę za małych).

W dalszej kolejności, po dokładnym przesłuchaniu prezesa słupa, funkcjonariusze pionu kryminalnego Komisariatu Policji Wrocław Kamięnsko mieli się udać śladami miejsc powstania podmiotu gospodarczego o nazwie „Kozłowski i Syn. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością”. Dokumentacji firmy dostępnej w aktach i uprzednio mozolnie zgromadzonej. To znaczy kolejno: do Urzędu Miasta, do notariusza, do oddziału banku, gdzie założono konto firmowe. Jeszcze do paru innych instytucji publicznych właściwych miejscowo.

Tam mieli rozpytać osoby, spróbować sporządzić portrety pamięciowe dwóch mężczyzn towarzyszących Zbuniowi. Albo je uzupełnić. Może zachowały się jeszcze

jakieś nagrania z monitoringu i zainstalowanych kamer? Szczerze w to wątpiono. Z materiału dowodowego wynikało bowiem, że spółkę Zbunia założono ponad półtora roku wcześniej. Nagrania mogły się nie zachować. Pamięć ludzka także bywa zawodna.

Aspiranci jednak nie dyskutowali, tylko kiwali potakująco głowami. Cierpliwie notowali pobożne życzenia kolegów z centrali.

Potem Stopa i Mundek nareszcie mogli się udać na zasłużony odpoczynek.

Komendant komisariatu pokwitował odbiór przekazanych akt.

Oziębłe, aczkolwiek kulturalnie pożegnał gości z nadzieją, że już nie będzie musiał ich oglądać. Nikogo z tej trójki. Nigdy, przenigdy. Ani w sprawie firmy Kozłowskiego, ani w żadnej innej. Warszawiacy zawracali mu gitarę przez cały upalny dzień. Udawali wielce ważnych i w efekcie potraktowali jego ludzi jak wyrobników. To znaczy jego samego oraz jego najlepszych, zaufanych podwładnych. Dosłownie i w przenośni padniętych po przedpołudniowej ciężkiej akcji.

- Gówno załatwili, zrobili cyrk, sadzili się, a ostatecznie wyszło na nasze. Dobrze im tak. Nadęte palanty! Szkoda czasu i atłasu.

Kolokwialnie rzecz ujmując, ci centralni warszawiacy nieźle dali wszystkim w dupę.

Na odchodne szef wydał detektywom krótkie dyspozycje:

- Chłopaki, odpocznijcie. Jutro cały dzień walczyście z Zenobiuszem. Mam nadzieję, że nic innego się nie urodzi.

Potem pogadamy. Jak się ochłodzi.

Przez cały ten czas rzeczony Zenobiusz Kozłowski nadal przykuty był lewą ręką do wewnętrznej kraty oddzielającej komisariat policji w Kamieńsku od świata zewnętrznego. Na swój marny los nie narzekał, bo siedział brudnym zadem na krześle i drzemał sobie w najlepsze. Od czasu do czasu budził się, ziewał, stękał, i kategorycznie domagał się zimnego piwka. Słowo „piwo” powtarzał cyklicznie jak mantrę. W różnych konfiguracjach oraz w towarzystwie swoich ulubionych kalumnii.

Charakterystyczny skowyt menela słychać było w całym Kamieńsku. Mimo saharyjskiego upału Zbunio nadal odziany był na cebulkę jak w trzaskający mróz.

Także dyżurny niecierpliwie czekał na decyzję w sprawie Zbunia. Już od dawna miał serdecznie dosyć jego śmierdzącego towarzystwa. Trzy razy poczęstował lumpa prywatną wodą mineralną. Ciepłą. Podawał mu ją w plastikowym kubeczku, kilkakrotnie używanym.

- Jak zniszczysz ten kubek, to nic nie dostaniesz do picia. I nie drzyj się tak, bo ci zakleję tę twoją niewyparzoną, cuchnącą gębę. Rozumiesz?

- Co? Nie... Ja pierdolę.

- Masz teraz kogoś na dołku? - spytał Tomasz dyżurnego, wiedząc, że na komisariatowy areszt ledwie wygospodarowano dwie maleńkie cele przedzielone metalową kratą. Odległość między dwiema twardymi pryzkami wynosiła tylko kilka metrów.

- Nie mamy nikogo. Jest pusto. A co?

Właściwie w tym momencie aspirant Stopiński sam chętnie skorzystałby z celi dla zatrzymanych. W charakterze lokatora. Na dołku było chłodno, pusto i cicho. Na służbowej pryczy Tomek wyciągnąłby sobie nóżki, pod głowę podłożyłby marynarkę i zdrzemnął się godzinę. Albo dwie.

- Wrzucaj tam tego lumpa. Zatrzymujemy go na razie na cztery osiem. Jutro dokończymy go słuchać. Może coś jeszcze mu się przypomni. Daj mu coś do picia i obstaluj jakieś żarcie. Pytam, bo gdyby tam jeszcze ktoś siedział, niechybnie zaskarżyłby nas o znęcanie się i naruszenie dóbr osobistych. I poniekąd miałby rację! Sam bym nas zaskarżył, gdybym musiał tam siedzieć przy panu prezesie Kozłowskim.

- Hi, hi... Ja chyba też! - Dyżurnemu bardzo spodobał się komentarz błyskotliwego kolegi.

- Mam dość. Jadę do chaty. Czuję, że cuchnę tak samo jak prezes Zenobiusz.

- Trochę mniej cuchniesz.

- Dzięki za dobre słowo. Cześć. I do jutra.

- Mnie jutro rano nie ma. Na szczęście. Jadę z żoną do lekarza. A moja żona pachnie ładniej. Cześć.

Po przyjeździe do pracy oraz krótkiej odprawie u komendanta aspiranci Stopiński i Kurzawa zabrali się do czytania akt sprawy. Bardziej za wnikliwe studiowanie papierów zostawionych przez niewątpliwie wspaniałych kolegów z centrali. Ochoczo oraz z dużym zainteresowaniem. Tym większym, że przekazując im materiał, komendant szczerzył przednie uzębienie w szczerym uśmiechu od ucha do ucha.

Warszawskie akta sprawy opatrzone zostały numerem i napisem: Zenobiusz Kozłowski - Wrocław.

- I co tam jest, szefie? Coś ciekawego?

- Sami przeczytajcie. Na pewno jest coś śmiesznego. Jeżeli akta mogą być śmieszne. Powiem wam tylko, że na dołku mamy prawdziwego milionera.

- A prezes Zbunio o tym wie? Może będzie chciał nas skorumpować? Stać go teraz...

- Na pewno. Na pałace i karoce też go stać. He, he...

Z tajnych dokumentów śledztwa wynikało czarno na białym, co potwierdzono na dodatek różnymi ważnymi pieczęciami, że spółka Kozłowskiego oszukała skarb państwa i firmy prywatne na kwotę nie mniejszą niż dwa miliony dolarów kanadyjskich. Taka bowiem kwota wypłynęła z firmowego konta na jakieś dziwne konto w Kanadzie. To znaczy konkretne konto konkretnej firmy. Tyle że lewej i zlikwidowanej już dawno temu. Ponadto bezczelnie orznięto Rzeczpospolitą na podatku VAT i innych należnościach publicznoprawnych. Na przykład na opłatach celnych wynikających z licznych transakcji przeprowadzonych przez spółkę. W tym kilku operacji milionowych i kilkunastu idących w setki tysięcy złotych polskich. Gdyby kto pytał. Na transakcjach kupna-sprzedaży, importu, eksportu, dystrybucji towarów objętych podatkiem akcyzowym.

Lista przekrętów i szkód wyrządzonych przez przedsiębiorstwo prezesa Kozłowskiego, to znaczy firmowanych i podpisywanych przez niego samego, była pokaźna. Do tego dochodziły wysokie odszkodowania wypłacone spółce przez firmy ubezpieczeniowe oraz

roszczenia kontrahentów.

Skarb państwa nie dostał ani złotówki. Prywatni kontrahenci także nie.

- Pięknie! - ucieszył się Tomasz.

- Właśnie. No to ta cała nadęta Marta zrobiła karierę. - Mundek zamknął teczkę i odłożył ją na bok zagraconego biurka.

- No, teraz to my będziemy robić karierę. Na pewno na naszym Zbuniu.

- Nie ma zmiłuj. Idziemy do niego. Ha, ha...

- Czekaj. Ja idę z kawą. Tobie też radzę. - Stopa włączył czajnik, do ulubionego kubka nasypał dwie i pół czubatych łyżeczek aromatycznej, świeżo zmielonej kawy i pomyślał, że to wszystko właściwie wcale nie jest takie śmieszne. Że czeka go kolejny ciężki dzień. A tak w ogóle, to chyba wolałby w tym sakramenckim upale kopać rowy łopata, niż godzinami przesłuchiwać cuchnącego menela. - Czas na emeryturę - mruknął pod nosem.

- Co mówisz?

- Nic. Już jestem najwyraźniej przemęczony. I moja forma zaliczyła spadek. Mam kawę. Idziemy na dół. Nie ma zmiłuj - odpowiedział Tomasz i wyszedł z pokoju.

Oficjalne rozpoczęcie przesłuchania zatrzymanego Zenobiusza Kozłowskiego odbyło się także następnego dnia. Zgodnie z zaleceniami warszawiaków, obietnicą komendanta i wolą detektywów.

Sceneria samego przesłuchania przypominała nieco wczorajszą. To znaczy menela doprowadzono z dołka (teraz zwanego fachowo „pomieszczeniem dla osób

zatrzymanych”) i według okrzepłej już tradycji przykuto go do kraty wejściowej. Pootwierano wszystkie drzwi i okna, by smrody emitowane przez lumpa znalazły ujście na zewnątrz.

Komendant zarządził, aby w przesłuchaniu Kozłowskiego uczestniczyły co najmniej cztery osoby. A to: Mundek i Stopa, kolega z pionu dochodzeniowego i kolega technik, który na bieżąco miał zadbać o sporządzenie portretów pamięciowych. Rzecz jasna portretów mocodawców Zbunia oraz pomysłodawców albo faktycznych wykonawców przekrętu dekady. Nie funkcjonariuszy policji.

W areszcie Kozłowski nieco wytrzeźwiał i częściowo odzyskał pamięć. Dzięki krzyżowym pytaniom policjantów, groźbom użycia siły i obietnicom wsadzenia do pierdła na kilka lat Zbuniowi trochę rozwiązał się język. Nie tylko odtworzył jakoś zdarzenia z udziałem tych „dwóch jebańców”, którzy zamordowali mu psa, ale nawet przypomniało mu się, że za usługę dostał dwa tysiące złotych. W kilku dużych kupkach banknotów.

Przy okazji policjanci dowiedzieli się, że tych pieniędzy już dawno nie ma, bo zostały niezwłocznie skonsumowane. Oraz zamienione na dobry humor Zenobiusza i kilku jego najwierniejszych kumpli. Przecież po to się żyje. I niby żyje się raz.

- No nie?

- Prawda. Raz - potwierdził Stopa.

Z podarowanych dóbr materialnych, to znaczy ruchomości, lumpowi zostało tylko to, co u niego w chałupie zabezpieczyli policjanci. No i karma dla psa. O dziwo jej nie zżarł.

- A gdzie mieszkałeś z tym jednym? Jak tego drugiego

nie było. Przypomnij sobie. To ważne - dociekał dochodzeniowiec.

- Poznałbyś osiedle, ten blok, klatkę i mieszkanie? - uzupełnił pytanie Mundek.

- Co? Nie wiem. Nie pamiętam. Dajcie mi już spokój! Mój pies... Mordercy! Buuuu...

Z wyводу Zbunia na temat jego doraźnej mety wynikało tylko tyle, że mieszkanie znajdowało się gdzieś „jak na Wrocław”, na dużym osiedlu mieszkaniowym, w olbrzymim bloku. Bardzo wysokim. Do mieszkania jechali windą. Także wysoko. I długo. A winda była ciasna. Na siódme albo szóste piętro. Może jeszcze wyżej. Na piętrze znajdowały się trzy mieszkania. To ich miało dwie sypialnie, salon, kuchnię, łazienkę z wanną kąpielową, do której wrzucono Zbunia siłą oraz podstępem, na pewno w celu unicestwienia. To znaczy wymycia. Jeszcze był mały balkon. Przez okna pomieszczeń było widać inne duże bloki mieszkalne i jakieś drzewa.

Przesłuchujący doszli do wniosku, że w grę mogą wchodzić ze cztery olbrzymie osiedla mieszkaniowe, w tym Pacanów, Spokowice, nawet Stary Dwór. Wszystkie usytuowane „jak na Wrocław”. Jeszcze kilka podobnych sypialni, a w nich jakieś siedemdziesiąt do stu wieloklatkowych, przynajmniej siedmiopiętrowych bloków mieszkalnych.

Szukaj wiatru w polu albo igły w stogu siana.

Ktoś z przesłuchujących rzucił nawet pomysł, z gruntu genialny, by pana prezesa zabrać na wycieczkę. Radiowozem. Po tych olbrzymich blokowiskach. Może gość cudem dozna olśnienia, rozpozna właściwe osiedle, blok i klatkę, potem konkretnie wskaże mieszkanie, w którym go

przetrzymano i gnębiono?

Koncept wydawał się świetny, owszem, ale w tym momencie nie do zrealizowania. *Primo*: jakoś nie znaleziono chętnego na przewodnika tej wycieczki, *secundo*: nie było wolnego auta na tyle godzin jeżdżenia po mieście. A jeżeli nawet jakieś by się znalazło, to komisariat nie miał środków na paliwo do tego radiowozu. Wreszcie *tertio*: szkoda zachodu, bo Zbunio na pewno niczego nie rozpozna ani nie wskaże. Nie ma szans. Za mało zapamiętał, nadto dla niego najwyraźniej wszystkie wrocławskie bloki mieszkalne wyglądają tak samo.

Kozłowski zaś dosyć precyzyjnie opisał swoją wizytę u fryzjera i u kosmetyczki, bo nie dość, że to w ogóle było dla niego wydarzenie stulecia, to jeszcze zapamiętał, że „kurwa jedna” skaleczyła go w palec. Przy pielęgnacji rąk i obcinaniu szponów. No i bardzo go bolało. Spod paznokcia dźgniętego palca poszła nawet krew.

- Gdzie był ten fryzjer? Na tym samym osiedlu? Szliście tam na piechotę? W bloku? W pawilonie? Kolor wnętrza? Jak wyglądała ta kobieta? Młoda?

- Nie wiem. Chyba daleko, bo wieźli mnie taksówką.

Równie precyzyjnie Zbunio określił wszystkie miejsca, w których wówczas bywał, ludzi, z którymi miał do czynienia, i sprawy, które natenczas załatwiał z tymi dwoma zbirami. To znaczy jebańcami.

Prawie dwie godziny trwało sporządzanie portretów pamięciowych Roberta i Kazia, bo w końcu Zenobiusz przypomniał sobie imiona tych dwóch. Tylko imiona, ponieważ nazwisk sobie nie przypomniał.

- Chyba nie mówili!

Z cech charakterystycznych wyglądu biznesmenów zapamiętał tyle, że jeden, ten mniejszy i grubszy, może od tego wysokiego starszy, a może nie, chyba był łysy (całkiem lub częściowo). Ten łysy miał tatuaże na rękach i na torsie. Może gdzieś jeszcze. Jakieś miał. Dużo ich było. Nie więzienne, czyli nie charakterystyczne dla odbywających kary stałych bywalców polskich zakładów karnych, tylko jakieś inne.

- A jakieś cechy charakterystyczne tych facetów? No, pomyśl, bo będziesz tutaj siedział do sądnego dnia! I nie dostaniesz nic do żarcia.

Gliniarze bowiem szybko odkryli, że lumpowi najbardziej w życiu zależy na jedzeniu. Oczywiście oprócz spożywania wysokoprocentowych napojów alkoholowych. Pozbawienie zatrzymanego wszelkiego pokarmu stało się stałym, niemal koronnym argumentem, by cokolwiek ze Zbunia wyciągnąć. Skutecznym straszakiem.

Podczas tego pamiętnego przesłuchania nie było dobrego i złego gliny. Tylko było żarcie albo bez żarcia. Proste.

- Nie wiem. Co?

- Blizny, brodawki, tatuaże?

- Aaa. Chyba coś takiego było. Ten Robert miał tatuaże.

- Gdzie i jakie? Może coś zapamiętałeś? Serca przebite strzałą, węże, kotwice, łańcuchy, gołe cycki? Twarze bab albo chłopów? Napisy? Imiona?

- E, nie. Takie kotwice to były w pierdłu. Ten miał inne.

- Jakie inne? Może kolorowe?

- Nie kolorowe. Ale inne. Nie wiem. Takie jak na obrazie.

- A gdzie je miał? Na rękach, na nogach, może na twarzy?

- Co? Nie wiem. Wszędzie. Na gębie nie miał.

Przy okazji dowiedziano się ze szczegółami, co Zenobiusz wówczas jadał i pijał. Zawsze to była jakaś konkretna informacja. Mogła się kiedyś przydać. Przy jakimś kolejnym zdarzeniu z udziałem tego kloszarda. Lepszy rydz niż nic!

A ten drugi, wysoki, szczupły i jakby jego (Zbunia) postury, stale chodził w eleganckim garniturze. Gajerku. Ciemnym. I miał wąsy. Jeszcze ładny zegarek nosił. Duży. Obiecał, że potem da, ale nie dał. Jebaniec jeden. Wydawał polecenia temu pierwszemu, to chyba był szefem. Zabrał ich na pierogi do baru. Dobre były te pierogi. Ruskie. Naleśniki z serem też jadł. W tym barze było dużo młodych ludzi.

Zatrzymany Zenobiusz zapamiętał pierogi, bo od tamtej pory niczego takiego nie jadł. Jeszcze na jedną kolację była kaszanka z cebulką, ale potem kaszankę jadł. Nie taką smaczną. Tamta, przyrządzona przez tego Roberta w kuchni, była lepsza.

- Ten Kaziu czasami przychodził. Nie mieszkał z nami.

- To już wiemy. Często do was przychodził? Codziennie? O jakich porach? I gdzie mieszkał?

- Nie wiem. Różnie. Chyba codziennie.

- A co przynosił?

- A nie wiem. O, taki placek w kartonie raz.

- Może pizzę? Zapamiętałeś może w jakim kartonie?

- Może być, że tom pice. Dobra była. Ciepła.

Eleganckie wczasy Zbunia trwały wtedy długo. Tydzień albo nawet dwa. Może dłużej. Albo krócej. A psa to mu

zamordowali zaraz na początku. Powiedzieli, że sam uciekł, ale im nie uwierzył.

Tak mniej więcej wyglądała pogawędka ze Zbuniem na większość tematów zasadniczych. Zatem zamożny prezes dostarczył policjantom jeden wielki konkret. Teoretyczny.

Zaiste: dupa blada.

Po kilkunastu godzinach przesłuchania nareszcie do Zenobiusza dotarło, że na jego nazwisko dokonano oszustwa na kwotę co najmniej kilku milionów. Nieważne, czy to były złotówki, dolary czy euro. Jeny czy leje. Obecny kurs walut był dla menela abstrakcją. Przemówiły miliony.

Idąc dalej tym tropem, Zbunio bardzo się zdenerwował, że on też na pewno został oszukany przez tych dwóch. Za firmowanie milionowego interesu dostał bowiem za mało. A mógł życzyć więcej. Dużo więcej.

- To znaczy ile?

- Nie wiem. Milion. Sukinsyny, jebańce, pierdolone zbóje. Oszuści.

Tym samym Zbunio postanowił trochę współpracować z policją, przynajmniej przy ustaleniu tożsamości tych dwóch, a potem, gdy już ich władza dorwie i zamknie, znaczy wsadzi za kratki, zażąda od „bandytów i morderców” stosownego zadośćuczynienia.

Stworzone przez technika portrety pamięciowe wyglądały mniej więcej tak, jak rysunkowe arcydzieła przedszkolaków, a gęby podejrzanych były podobne do nikogo. Albo do połowy facetów w średnim wieku mieszkających we Wrocławiu. Zależy od punktu widzenia.

Stopiński wpadł w dziki zachwyty. Po same uszy.

- No to się dowiedzieliśmy. Cała nadzieja w tym notariuszu - stwierdził Tomasz. - Może facet go lepiej zapamiętał. I jeszcze jego sekretarka. Ją także trzeba przesłuchać. Na pewno byli tam kilka razy, bo chyba procedury wymagają osobistego podpisu, potem odbioru. Ale się nie znam.

Po południu, to znaczy po ciepłym obiadku, Zenobiusz przypomniał sobie, że kazali mu nosić na szyi takie coś. Sztywne i niewygodne. Zapinane z tyłu. Strasznie go to coś uwierało. Nie mógł za bardzo rozdziawić gęby.

Po zadaniu w powyższym temacie kilku dodatkowych pytań policjanci doszli do wniosku, że to coś to mógł być kołnierz ortopedyczny. Powód nakazu zakładania nie był znany, jednakowoż na pewno oszuści mieli w powyższym jakiś konkretny cel. Na przykład odwrócenie uwagi od czegoś.

Śledczy z Kamieńska zanotowali, że należałoby namierzyć sklepy sprzedające to coś, i tamże spróbować naciągnąć na zwierzenia sprzedawców. Tego czegoś. A nuż, widelec ktoś coś zapamiętał?

Podobnie postąpiono z każdym rozpoznanym wątkiem. Czas działał na niekorzyść organów ścigania. Zdecydowanie. Przecież zdarzenie miało miejsce półtora roku wcześniej.

Lokalni technicy policyjni w liczbie dwóch chłopca dokładnie zbadali torbę Zbunia i usiłowali ściągnąć przydatny w śledztwie materiał ze wszystkich rzeczy, które po przeszukaniu mieszkania lumpa przyniósł do komisariatu Edmund. Zgodnie z wcześniejszymi podejrzeniami większość zabezpieczonych mikrośladów pochodziła od Kozłowskiego. W aktach sprawy pojawił się tylko opasły

raport, który ani na jotę nie przybliżył śledczych do końca postępowania.

- Psu na budę ta moja robota - poskarżył się jeden z techników. - Niczego takiego nie ma w bazie. Na skórzanych rączkach torby były jakieś paluchy, ale tylko Zbunia. I jeszcze jeden naszego Edmunda. Jeszcze jakieś świeże, ale to chyba tego palanta z Warszawy.

- Tak. Grzebał w torbie bez rękawiczek. No sorry, narobiłeś się. Ale poskarż się tym z Warszawy, nie nam. My też mamy przesrane. Dupki dzwonią codziennie do starego i ponaglają. Trują dupę ci z wojewódzkiej. Niech się sami do tego wezmą, jak tacy mądrzy. My latamy po mieście trochę bez sensu i jakby na oślep. Nikt już niczego nie pamięta. Nagrania z monitoringu dawno temu diabli wzięli, bo najdłużej trzymają rok. I jeszcze to trochę potrwa, jak znam życie.

- Dobra. Już się zamykam. Nie gniewajcie się, chłopaki.

Na razie odstąpiono od postawienia jakichkolwiek zarzutów Zenobiuszowi Kozłowskiemu.

Przestępstwo zostało ujawnione, sprawca także niby ujawniony i zatrzymany. Jednakowoż postępowanie utknęło na razie w martwym punkcie, a rzeczony sprawca okazał się pospolitym słupem. Czyli chała. Kolokwialnie rzecz ujmując: dupa blada, a faktycznych sprawców przekreśluje niet. Postać Zbunia była jak wierzchołek góry lodowej, z którą zderzył się policyjny Titanic.

W tej kwestii konieczna była konsultacja z warszawiakami. Ich sprawa, ich decyzja. Wreszcie ich prokurator prowadzący.

Nakazu zatrzymania słuza w areszcie śledczym także nie było. Zwykłej, trzymiesięcznej sankcji prokuratorskiej nie dosłano do Wrocławia. Stosowanej powszechnie, gdy istniało uzasadnione podejrzenie, że zatrzymany będzie mataczył, eliminował świadków albo spakuje walizkę i uleci za oceany na antypody. To przecież warszawiacy prowadzili postępowanie, nie przysłali pozostałych i niezbędnych w tym wypadku dokumentów, a wrocławiacz nie mieli żadnych formalnych podstaw, by lumpa dłużej przetrzymywać na dołku. To znaczy ponad te cztery osiem. Ani przesłanek proceduralnych, ani też merytorycznych. Nie mówiąc o estetycznych aspektach przetrzymywania kłoszarda gdziekolwiek na terenie KP Kamieńsko.

Po dwóch dobach męczącego dla wszystkich maglowania lokalnego śmierzdiela wypuszczono do domu. Pouczono, by nie wyjeżdżał z miasta i codziennie przed południem meldował się w komisariacie. Tak profilaktycznie. To znaczy, mówiąc językiem fachowym: prewencyjnie.

- Wy psy jebane! A mój garnitur oddacie? - Zbunio domagał się swoich niezbywalnych praw do odzyskania zajętego przez policję majątku osobistego.

- Oddamy. Resztę twoich cuchnących lumpów też ci wydamy. I torbę. Twój zawszony garniak nie jest nam już do niczego potrzebny.

- Ty, Kozłowski! Panie prezesie Kozłowski, śmierzdielu jeden! A właściwie co ty z nim zrobisz? Będiesz teraz w nim chodził? - zainteresował się aspirant Stopiński, z odrazą sięgając po torbę z manelami menela.

- Co? A, ten mój garnitur? Zrobię na nim biznes.

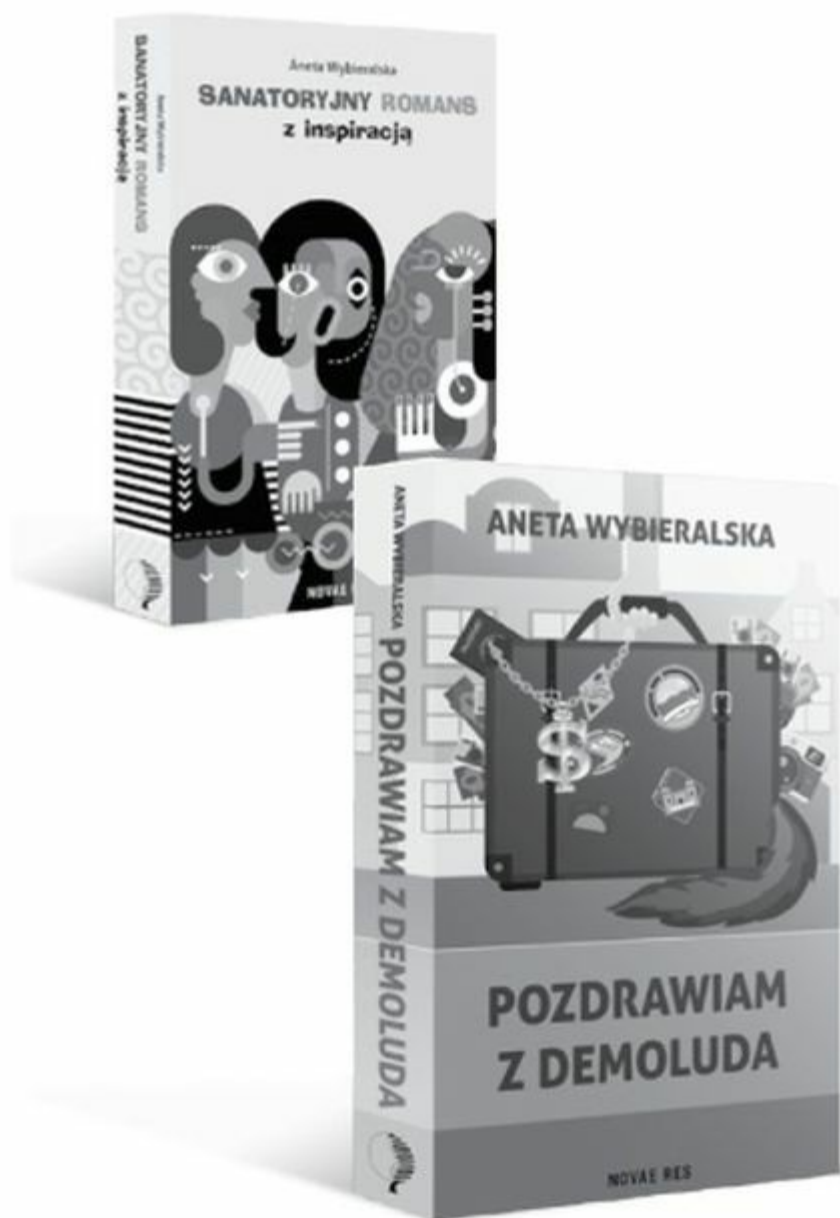
- Tak? A jaki?

Kolejnym, potencjalnym, świetnym interesem Zbunia Stopa był żywotnie zainteresowany. Naturalnie jedynie zawodowo.

- Co? Eee... - Z ust menela wykształciło się coś na kształt radosnego uśmiechu. Zademonstrował nawet zbrązowiałe kikuty kilku przednich zębów. - Mówię przecież. Biznes se zrobię. A najsam pierw powieszę na słupie!

KONIEC

Nakładem wydawnictwa Novae Res
ukazały się również:



Garnitur na słupie

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8147-651-5

© Aneta Wybieralska i Wydawnictwo Novae Res 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

KOREKTA: Katarzyna Pacyga

OKŁADKA: Artur Rostocki

ILUSTRACJE: Przemysław Stachurski

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.